











PISMA GABRYELLI.











Narcyza Żmichowska.  
(Gabryella).

RISMA

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

z życiorysem autorki skreślonym

przez

D-ra Piotra Chmielowskiego.

Wydanie uskutecznione staraniem

REDAKCYI BŁUSZCZU.

~~~~~  
TOM PIERWSZY.  
~~~~~



WARSZAWA.

NAKLADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—  
1885.

ДОВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава. — 8 Ноября 1884 года.



256416 L

L-P



## NARCYZA ŻMICHOWSKA.

---

W szeregu półtysiaca przeszło nazwisk, które bibliografia śledząca udziału kobiet w piśmiennictwie naszym zebrała, niema ani jednego, coby tak silnie i tak tajemniczo pociągało ku sobie, jak imię Gabryelli.

Ta zagadkowa potęga uroku nie polega ani na niezwyklej płodności twórczej, ani na szerokości wpływu wywieranego w społeczeństwie, ani nawet na przedmiotowej wartości pomysłów, lecz głównie i przede wszystkim na nadzwyczajnem uzdolnieniu rozbudzania uczuć i myśli za pośrednictwem samoistnego i oryginalnego przedstawienia prawd, wątpliwości i pytań.

Były u nas autorki, które liczbą swych utworów wprawiały w zdumienie; były inne, które działalnością swoją wywarły wpływ stanowczy na ukształcenie kilku pokoleń niewieścich; były jeszcze inne, które rozwijały przed społeczeństwem zadania pierwszorzędnej wagi; ale nie było kobiety, którejby w takim stopniu przysługiwała nazwa poetki w pierwotnem a wzniosłem tego wyrazu znaczeniu, prócz Gabryelli.

Nie znaczy to bynajmniej, ażeby w umyśle Żmichowskiej skupiły się wszystkie właściwości i przymioty, jakie bogato uposażonego ducha niewieściego charakteryzują; owszem, były w nim ważne braki — ale istniała tam taka głębia i taka artystyczna oryginal-

ność, że go do skali pierwszorzędnego talentu wyniosły.

Pierwsze wrażenia odbierała w zmierzchu dni królestwa kongresowego, ale ten zmierzch w porównaniu z bezpośrednio potem następującym mrokiem, pełen był promieni świetlanych... Dusza jej nabrała w siebie zapasu światła i ciepła, który starczył nietylko na jej jednostkowe potrzeby, na uszlachetnienie popędów i wydoskonalenie, wysubtelnienie myśli, ale i na własne otuchy w zwątpiałe serca tego pokolenia, które już przyszło po gromie.

Przetrwała czasy konwulsyjnych niepokojów i apatycznego odrętwienia i nie zmarnowała się, jak wiele talentów jej współczesnych, bo posiadała niepospolity hart woli i niezwykłą energią wytrwania.

Od zarania młodości zaczęła poszukiwać prawdy, a że poszukiwanie to było całkiem bezinteresowne, wolne od omamień miłości własnej, nie ograniczyło się więc, jak to bywa, na poznaniu i ukochaniu jednego systematu, któryby przesłaniał wzrok na wszystkie inne zdobycze nauki, lecz szło wraz z postępem badań, dokonywanych w świecie ucywilizowanym, doskonaliło się zarówno pod względem treści, jak i metody. Gdy myśl jej samoistnie wzlatywać już mogła, romantyzm nasz był w dobie najświetniejszego rozkwitu, a filozofia idealna pozyskiwała zapalonych wielbicieli. Rzecz naturalna, iż umysł jej dał się porwać potężnemu prądowi, ale nie dał się opanować w zupełności i wyłącznie. Jakoż prąd przeciwny, realistyczny, któremu przypatrywała się na schyłku życia, nie zastał jej nieprzygotowaną; zrozumiała go ona, oceniła i przyswoiła sobie w znacznej mierze.

Nie tylko atoli jako umysł wyższy, nigdy nie ustający w pracy, lecz kształcący się z wiekiem, ale nadto jako osobistość wywierająca wpływ na ludzi zajmuje Gabryella wydatne w dziejach oświaty naszej stanowisko. Zarównoc pismami, jak życiem własnem starała się ona usunąć przeszkody stojące na drodze rozwojowi samodzielności kobiety. Jej odwadze i odwa-

dze tego grona, którego ona była duchową przewodniczką, zawdzięcza umysł niewieści poczucie i świadome uznanie potrzeby głębszej, gruntowniejszej nauki, oraz odrzucenia krępujących swobodę indywidualną, przestarzałych i zgoła już pożytku nieprzynoszących formulek konwenansu. Gabryella słowem żywym i pisanem stawiała przed kobietą polską ideał samodzielności w myślach, uczuciach i postępowaniu i sama usiłowała do ideału tego się zbliżyć. Wiele zniosła dościników i cierpień, ażeby pochod życiowy następnemu pokoleniu ułatwić. Była ona nietylko genialną autorką, ale też prawdziwą obywatelką swego kraju. Im dokładniej działalność jej poznajemy, tem silniej cześć dla niej wzrasta.

## I.

Rodzina Żmichowskich, jak to rzecz zwykła na Podlasiu, była bardzo liczna, a jej mająteczek nader szczupły. Wiktorya z Kiedrzyńskich, rodem z Wielkopolski, wydając na świat w dniu 4-ym marca 1819 roku dziesiąte z kolei dziecko, rozstała się z życiem i zaledwie miała czas pobłogosławić niemowlę, które kiedyś miało się stać tak sympatycznie wymownem.

Ojciec, wielbiciel rewolucyi francuskiej z końca XVIII-go wieku i Napoleona, dawał dzieciom swoim imiona roślinne, z kalendarza jakobińskiego przejęte. I temu nowonarodzonemu obok dwu innych: Józefy, Kazimiery, przydał trzecie: Narcyzy, które następnie zarówno w zwyczajach rodzinnych, jak towarzyskich i społecznych, całkowicie wyrugowało dwa pierwsze <sup>1)</sup>.

W hodowaniu młodziutkiego kwiatu brak było ciepła macierzyńskiego; wspomnienie tylko o matce

<sup>1)</sup> Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. I, 261.



ukochanej a światłej, co pomimo mnóstwa zajęć około tak bogato rozrodzonego potomstwa, mogła i umiała „z najżywszym współdziałaniem“ historią bieżącą się zajmować <sup>1)</sup>). owiewało ożywczo dziecinne lata Narcyzy. Znalazła ona zresztą serca kochające gorąco a szczerze wśród rodziny swojej, mogącej być wzorem urzeczywistnienia zasady miłości.

Ojca знаła osobiście Narcyza bardzo mało; po śmierci żony żył on samotnie; starsze córki gospodarowały mu kolejno, a Narcyza znalazła się przy nim na czas dłuższy wtedy dopiero, gdy blizkim już był śmierci, wielką niemocą złożony. Chowala się ona przez pierwszych lat sześć przy stryjence, w domu wiejskim. urządzonym po staropolsku. Gospodyni domu była tkliwą matką nietylko dla przygarniętego dziecięcia, ale i dla całego otoczenia, dla swej czeladzi, z którą się zżyła zarówno w zajęciach, jak w uczuciach. Odbywały się tu wieczory prządek; opowiadano sobie baśnie cudowne, śpiewano, gawędzono i pracowano; a dziewczynka mogła swobodnie i bez przeszkody przysłuchiwać się pieśniom a baśniom, przypatrywać się osobom z ludu i ich obyczajom.

Tym sposobem zawiązywały się pierwsze ogniwa tego współczucia dla ludu, które miało się stać później jedną z cech znamiennych działalności Gabryeli. Już wtedy, w dzieciństwie, lubiła na podanej przez lud kanwie wyszywać nowe wzorki, obmyślała coraz to inne cudowne wypadki. Szkodliwego wpływu bajek o strachach nigdy nie doznała; nie pozbawiły jej one snu ani razu, nie przejęły głęboko bojaźnią istotną. „Bóg widzi — pisała później w „Prządkach“ — nie byłam ja pierzchliwem, rozmazgajonem dziecięciem; właśnie wtedy miałam najwięcej odwagi, kiedy jeszcze w najlepsze powieści o strachach słuchałam; — a jednak wierzyłam w nie całą wiarą dziecięcą; tylko, że wiejskiem powietrzem wykarmione ciało, ciągłym

<sup>1)</sup> Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. II, 328.

ruchem wzmocnione nerwy nie przepuszczały lęklivości do serca. Jeżeli kiedy myślałam o słyszanych bajkach, to zawsze dodawała w duchu: ach, gdyby mnie się coś podobnego zdarzyło! Teraz już wiele lat minęło od owego dziecinnego wieku, wiele czasu nad książkami i kajetami przepędziłam, a nie mam swojej dawnej dziecięcej odwagi!“

Co się tyczy wiary, to ta wśród kobiet zasadzała się przeważnie na spełnianiu powierzchownych obrządków religijnych, bez zagłębiania się w tajnie dogmatów; wśród mężczyzn zaś wychowanych na schyłku XVIII-go i w początkach XIX-go stulecia była delikatnie zachwiana lekkim powiewem tego, co u nas wolteryanizmem i wolnomyślnością zwano. Nie obeszło się tam niewątpliwie bez lekkich żartów i docinków, ale do zasadniczej i głębokiej rozterki pomiędzy mężczyznami i żeńskimi przedstawicielami rodziny nie dochodziło. Ta spokojna atmosfera życia religijnego, którą się dusza młodzietkiej Narcyzy poila, wpłynęła na nią o tyle, iż w niej nie rozwinęła się ani bezmyślna dewocya, ani zuchwałe i zuchowate niedowiarstwo, lecz łagodna wyrozumiałość dla wszelkich odcieni wierzeń religijnych.

W szóstym roku życia dostaje się Narcyza pod opiekę wujenki. Tu pierwszą jej w poznaniu wiedzy elementarnej przewodniczką była starsza jej siostra, Kornelia. Do grobu zachowała o niej Narcyza najserdeczniejsze wspomnienie. „Wierz mi — pisała pod koniec życia do przyjaciółki <sup>1)</sup> — że Kornelia odrazu urodziła się z macierzyńską miłością w sercu. Mając lat dziewięć, po całych dniach była gotową mnie, urodzoną wtenczas, kołysać i bawić. Mając lat czternaście, zawsze sama myła mię, cesała, uczyła literek, opowiadała śliczne powiastki i pieściła; — jedyna pie-

<sup>1)</sup> Listy Narcyzy Żaichowskiej, t. II, 543.

szczota prawdziwie rozpieszczająca, jaką z dzieciństwa mego pamiętam!“<sup>1)</sup>

Niedługo trwała ta pieszczota i ta nauka siostrzana, bo dwa lata wszystkiego. Oddana potem na pensyą Wilczyńskiej w Warszawie, znalazła się Narcyza wśród otoczenia obcego i musiała się do niego zastosowywać. Z zapalem oddała się nauce.

Lubo to był okres podniesienia stopnia naukowości w szkołach dla płci żeńskiej, nie można jednak wyobrazić sobie, ażeby wykłady w nich prowadzone stały istotnie wysoko. Ówczesne ministerjum oświecenia w królestwie polskiem miało na czele znanego Stanisława Grabowskiego, a inspektorem szkół żeńskich był Oebschelwitz... Władzy szkolnej ówczesnej nie chodziło o wykształcenie umysłowości kobiecej, o rozwinięcie tego, co w niej zarodkowo istniało, lecz o wytworzenie dobrych, praktycznych gospodyń, o wytrzymanie skłonności do marzeń, o stłumienie idealniejszych, czy też gorętszych drgnień serca. Do osiągnięcia tego celu musiał się przyczyniać wykład każdej nauki, zarówno arytmetyki, jak i religii. Zakres każdego wykładu naukowego był zatoczony bardzo małym promieniem, a cel zawsze i wyłącznie praktyczny.

Niewątpliwie, w porównaniu z tem, czem była u nas nauka kobieca w samym początku XIX-go wieku, postęp w szkołach ówczesnych można nazwać znacznym, ale ze względu na dzisiejsze choćby wymagania w tym względzie wydaje się nam ów stopień naukowości szkolnej dosyć niskim. A jeżeli wystarczał on dla średnio w umysłowe przymioty uposażonych pańienek; jeżeli nawet dla niektórych mógł być zawysokim; to dla utalentowanych jednostek, jakie się wtedy w szkołach znajdowały, a mianowicie dla takiego jak Narcyza dziewczątka, dostatecznym i zaspokajającym pragnienie wiedzy nie był stanowczo.

---

<sup>1)</sup> Siostra ta wyszła następnie za Głogera, ojca Zygmunta, znanego badacza rzeczy ludowych.



Nie szkole też, ale samoistnemu czytaniu zawdzięcza Narcyza ten zasób wiedzy niepospolity, jaki sobie zdobyła; a jeżeli zakład szkolny nie zostawił przykrego w sercu jej wspomnienia, to zapewne z powodu stosunku serdecznego do jego przełożonej, Wilczyńskiej. Rozgłos deklamacyi znanego wiersza Góreckiego („Śmierć...“) zwrócił na młodą wychowanicę uwagę ochmistrzyni, która pilnem okiem śledzić była zwykła zjawiające się zdolności, przyciągać je ku sobie, otaczać miłością i staraniem macierzyńskiem. Narcyza sercem na to zainteresowanie się odpowiedziała, pokochała swą ochmistrzynię, która jej choć wcześni matkę zastąpiła.

Wśród ówczesnych nauczycielek, których słuchała Narcyza, była jedna, której pominąć niepodobna. Mówię tu o Klementynie Tańskiej. Ta, co z taktem niezwykłym umiała się dopomnieć u społeczeństwa o prawo wyższego wykształcenia, mogła — takby się wydawało przynajmniej — wywrzeć żywem słowem daleko większy wpływ na młodociane umysły, aniżeli pisanem. Tymczasem, mianowicie w zastosowaniu do Żmichowskiej, stało się inaczej. „Rozrywki“ Tańskiej czytała Narcyza z zajęciem wielkiem, próbowała nawet na wzór Dziennika Krasieńskiej prowadzić własny swój dziennik; ale do osoby samej, jako nauczycielki moralności, nie czuła najmniejszego pociągu. Dostrzegła w niej jakiś chłód, jakieś estetyczno-arystokratyczne upodobania i predylekcyje, które wędką na jej serce stać się nie mogły. Nauka też nawet wypowiedana oschle, bez ożywienia, uświęcająca wszystkie przepisy, konwenansami spospolitowane, nie przylegając do umysłu, nie pobudzała go do ruchu i samoistnej działalności. Już w tym stosunku młodziutkiej dziewczynki do 30-letniej nauczycielki wydatniejsze zarys tych różnic, jakie następnie pomiędzy nimi się rozwinęły, różnic, charakteryzujących z jednej strony usposobienia indywidualne obu kobiet, a z drugiej dążności i ideały dwu różnych okresów, z których jeden wypiastrwany został przez literaturę konwencyonalno-klasyczną, a drugi

przez poezją romantyczną. Zetknięcie się tych usposobień i tych okresów nie było wprawdzie wrogiem, ale i przyjaznem nie było. Dyskusye w gronie poważniejszych osób toczone, dzieła samotnie czytane, wypadki współczesne silniej oddziaływały na duszę śmiałej i energicznej dziewczynki. Miłość jej ku bliźnim „sięgała tak daleko, jak Indyj błonia, jak Afryki pustynie.“ oburzała się niesłusznym kast podziałem, smutnym niewolników losem. Słyszając, że przy jej urodzeniu umarła „tak cnotliwa i święta jak anioły matka,“ czując w duszy tak wielkie i szlachetne myśli, zdawało się jej, że ją „niebo na spełnienie wzniosłych przeznaczeń wśród ludzi zesłało:“ wierzyła w to najsilniejszą, bo dziecięcą wiarą. Mając lat dwanaście, chciała pensją porzucić, trudne zlecenia na siebie przyjmować... Ażeby zaś doświadczyć samej siebie, czy trudom i mozołom da rady, całemi dniami żadnego nie przyjmowała pokarmu, w nocy opuszczała swe łóżko, na twardej zasypiając podłódze, znosiła przykre zimna bez skargi i narzekania. A że w ogrodzie była duża ławka kamienna, tam chodziła niepostrzeżona swej siły próbować; z niesłychaną radością widziała, jak się kamień podług jej woli jej siłą poruszał.

Prób tych musiała zaprzestać, bo się rozchorowała na odrę, która osłabiła w niej na czas moc duszy i ciała; kiedy po wyzdrowieniu poszła do ogrodu, ramiona jej nie mogły już wielkiego dźwignąć ciężaru. Wtenczas powiedziała sobie, że nie czas jeszcze, i czekała, póki jej dawne siły nie wrócą... Tymczasem dwie jej koleżanki, którym się z zamiaru swego zwierzyła, wykonały go... Gdy się dowiedziano, że i ona coś podobnego uczynić zamysłała, wyśmiano ją.— „Ach! jak mnie wstyd było! — opowiadała później bratu <sup>1)</sup> — rumieniłam się więcej na wspomnienie tego, niż człowiek z wielkiego świata, gdy go przekonają, że ukradł Żydowi pieniądze, przy kartach zaciągnięgo

<sup>1)</sup> Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. I, 14, 15.

długu nie zapłacił; poprawiło mnie to i uleczyło zupełnie z walecznych moich myśli... A jednak została w duszy dawna chęć—już nie pamiętam—sławy czy dobrze czynienia, bo wtenczas tak byłam dziecinną, że te wyrazy blizkoznacznemi sądziłam; zostało w sercu wiele z pierwszych uczuć moich.“

Skończywszy pensyą, przeszła Narcyza do instytutu guwernantek, który wtedy dostał się był także pod zarząd Wilczyńskiej. Jak poprzednio, tak i teraz praca samoistna, czytanie i zastanawianie się były przewodnikami żadnej wiedzy wychowanki. Sądziła wówczas—jak sama opowiada <sup>1)</sup>— że nauka daleko ją zaprowadzi; czytywała szczególnie dzieła historyczne; wtedy-to rozwinęła się w niej jakaś dziwna zdolność rozmyślenia: zaczęła porównywać wieki, szukać przyczyn i skutków. W wielkiej atoli liczbie wypadków zupełnie myśl jakiegoś celu zaginęła—wszystko przedstawiło się jej młodemu umysłowi, jako wiecznie taż sama jednostajność: zbrodnie i zbrodniarze, w wielkich masach zabójstwa i rzezie; czasem coś wielkiego, coś zupełnie dobrego nigdy. W skutek takiego zapatrywania się na historią, zatraciła zupełnie wyobrażenie o dobrem: „dobre“—mówiła sobie—zmienia się z każdą modą wieku; „dobre“ i „złe“ są-to dwa wyrazy od upodobania zależące—i nieraz człowiek w jednym lat tysiącu bohater lub święty, pierwej lub później byłby występny złoczyńcą: wybierajże tutaj wśród sądów tak wielu, gdy w każdym sądzie znajdziesz świadectwo sprawiedliwości i wzywane imię Boga“...

Rozejrzenie się wokoło siebie, wśród spraw bieżących utwierdziło młodą marzycielską wyobraźnię w tym smutnym nastroju, do jakiego doprowadziło rozważanie przeszłości. Narcyza doszła do przekonania, że ludzie nie są ani źli, ani dobrzy, lecz że jeden człowiek może ich czasem bardzo złymi zrobić, a dzieściu świętych dobrymi nie uczynią. „Ludzie, jakimi

<sup>1)</sup> Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. I, 16, 17

byli, takimi będą — myślała sobie — coraz tylko na mniejszą skalę, bo coraz rasa ich fizyczna niszczyje i upada. W ludziach nad wszystkie namiętności zawsze przeważy próżniactwo i rozwiąłość; dawniej miłość własna przeważała, lecz do miłości własnej trzeba silnej i wytrwałej organizacyi, a teraz coraz zimniejszą i gęstszą krew dzieci w puściźnie po rodzicach biorą... Największym ludzi nieprzyjacielem jest ten, który im chce dobrze czynić, bo przez to kłóci ich spokojność i sen ich przerywa; więcej nawet powiem: ten, który ludziom nowe drogi do doskonalenia się wskazuje, występnyimi ich czyni, bo oni temi drogami nie pójdą, a jeżeli jest sąd w niebie, o jedną opieszalność więcej skarconymi będą.“

Na wyrobienie takich poglądów nie wpłynął żaden zawód uczucia osobistego, o ile bowiem wiadomo, Narcyza w tym czasie rozczarowania indywidualnego nie doznała. Trzeba więc szukać przyczyny w wypadkach ogólniejszej natury, obchodzących całe ówczesne społeczeństwo. Narcyzy namiętne serce i zapalna wyobraźnia z himalajskich wyżyn marzonego szczęścia spadły na padół smutków, strat, zaprzaństwa. Zwykłym objawem u natur gorących bywa przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą. Nie dziw zatem, że młodzińczy umysł Narcyzy nie mógł się utrzymać w równowadze; jak dawniej wszystko obejmował z najogólniejszego punktu widzenia, ukochawszy kraj cały i ludzkość, tak teraz zszedł na poziom szczegółów, mając do ukochania najbliższych tylko, myśląc o wszystkim i oceniając wszystko z punktu widzenia rodziny.

Poco świat reformować, poco się kołysać marzeniami rewolucyi — myślała sobie — kiedy każda co najwięcej na zmianie miejsca i ludzi się kończy. Może być wprawdzie słuszną rzeczą niekiedy zrobić tę zmianę, bo czemuż jedni zawsze mają być wysoko, a drudzy zawsze nisko? Ale marzyć o równości ludzi jest szaleństwem, gdyż natura nie stworzyła ich do równości: jeden ma siłę i moc, drugi jest słaby i powolny; ten ma bystre i żywe pojęcie, tamten niedołęzny



i ograniczony umysł; równi majątkiem ludzie być nie mogą, bo przemysłem równi nie są; daj dwóm osobom jednakową ilość pieniędzy, po trzech latach już znajdziesz różnicę; co do różnicy urodzenia, prawda że zbyt wiele do niej przywiązują przesądów, ale „jest ona największą moralności podporą, bo jest najczęściej pamiątką pięknych czynów.“ Cała natura cierpieniem i śmiercią się utrzymuje; przestańmyż myśleć o jej udoskonaleniu: — jest-to wielka machina, której nie-wprawna ręka ludzka dotykać nie powinna, gdyż naprawić nigdy nie zdoła, a popsuć ją może. A więc zostawić należy świat i ludzi „wyrokom przeznaczenia...“ Wyrazy: równość, dobro ludzkości, wolność, żadnego nie mają waloru. Zamknąć się trzeba w granicach koła rodzinnego, zapomnieć, z jakiegośmy świata i z jakiej krainy. Nie znaczy to wcale, żeby ludziom, gdy się zdarzy, nie robić nic dobrego; owszem, gdy się to bez naszej szkody odbyć może, wypada pełnić dobro, ale nie trzeba rozmyślać o dobru ogółu i dążyć do jego urzeczywistnienia. Będą chłopi szczęśliwi przy roli, gdy się im jeden dzień pańszczyzny umniejszy; będą zadowoleni robotnicy i cała „rzemieślników i kupców tłuszcza,“ gdy się im złoty jeden więcej w zapłacie za pracę lub za towar dołoży — ale nie należy im wspominać o równości.

Przekonana, że wszystko na świecie musi pójść torem przeznaczenia, nie chce próbować nawet, by wyroki jego zmienić. „Gdyby mi się — powiada — na drodze życia trafiła sposobność uczynienia coś dobrego dla ogółu ludzi; gdyby mnie to ani trudów, ani zmartwień kosztować nie miało: tobym odważyła się to dobre wykonać. Lecz gdyby starań trzeba było dołożyć, gdybym jedną łzę mojego oka lub jednym westchnieniem kochanej przezemnie osoby musiała się zaszczytu dobrze czynienia dokupywać: och, doprawdy, anibym pomyślała o tem, i choćbym sto lat żyła jeszcze, ani jednej chwili żalu w sercu, ani jednej zgryzoty w sumieniu bym nie czuła.“ Propaganda zaś idei, mających niby uszczęśliwić ludzkość, jest bezpłodną, a nawet

szkodliwą, bo nikt z niej dla udoskonalenia swego nie skorzysta. To też Narcyza, gdy jej o takiej propagandzie wspomiano, powiadała wówczas: „Oto gdybym na książce Boga przeczytała dzisiaj, co jest z pewnością dobre i potrzebne ludzkości, nie powiedziałabym tego ludziom przez miłość bliźniego—a tem więcej, kiedy żadnej niema pewności, kiedy są tylko większe lub mniejsze prawdopodobieństwa — poco siebie i drugih trudzić“ 1).

Takie-to myśli rozwijały się w głowie panny, która, ukończywszy instytut, przebywała wśród rodziny, oddając się dopełnianiu braków swego wykształcenia samodzielnem czytaniem. Nie mając przewodnika w labiryncie nauk, coraz bardziej pogrążała się w smutnych rozmyśleniach. Ten proces przetwarzania się dziewczątka w świadomą siebie dziewczę nie odbył się oczywiście bez strasznych cierpień duchowych. One sprawiły, że dawna jej wesołość znikła, naiwna wiara uległa jeżeli nie zupełnemu zaprzeczeniu, to zachwianiu silnemu, złote i jasne marzenia zaszły chmurą powątpiewań, a ich miejsce poprzednie w duszy zajął dziwny a przykry sceptycyzm.

Nie chcąc być ciężarem rodzinie, w zajęciu obowiązkowem szukając może środka przytłumienia tych walk, jakie się w jej wnętrzu odbywały, postanowiła zostać nauczycielką. Wyszukanie miejsca nie było dla niej łatwe, gdyż pomimo wszelkich starań i trudów, nie potrafiła sobie przyswoić znajomości muzyki; a guwernantka bez muzyki w ówczesnych pojęciach równała się niemal osobie bez żadnej kwalifikacyi do nauczania młodych dziewcząt. Mimo ten brak znalazła jednak Narcyza pożądanę dla siebie zatrudnienie u hr. Zamojskich w r. 1837 i z początku była ze swego w tym domu pobytu zadowolona, o ile naturalnie przy ówczesnym stanie jej duszy o zadowoleniu mowa być może. Bawiła wtedy w Warszawie i mogła się przyjrzeć ru-

1) Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. I, 6, 14. 17.

chowi, jaki się wśród światka kobiet inteligentnych w owych czasach objawiać zaczął.

Paulina z Radziejowskich Krakowowa zdołała skupić wokoło siebie pewne gronko kobiet, których umysłowość, w skutek podniesionej skali wykształcenia niewieściego oraz potężnych wpływów poezji romantycznej, rwała się do objawienia swoich poglądów. Jako środek do urzeczywistnienia tej chęci wybrano rozpowszechniony wówczas, bo okolicznościami wywołany sposób publikacji drobnych utworów wierszem i prozą w tak zwanych „noworocznikach.“ Postanowiono utworzyć noworocznik złożony z pism samych dam i wybrano dla niego skromną nazwę „Pierwiosnka,“ przypominającą wiersz Mickiewicza, umieszczony na czele jego poezyj. W „Pierwiosnku“ mogła się wypowiedzieć umysłowość niewieścia ze swemi uczuciami, przekonaniem i ideałami, mogła wykazać swą dążność do samoistnego myślenia i działania.

W pierwszym roczniku „Pierwiosnka“ (na r. 1838) nie znajdujemy jeszcze nazwiska Żmichowskiej, ale już w następnym mieści się jej wiersz bez tytułu, czterema tylko gwiazdkami odznaczony. Wiersz to znamienuty: daje nam poznać duszę smutną, zboląłą, która w zetknięciu się ze światem doświadczyła przykrych wrażeń dlatego, że nie myślała jak inni. Nie idzie jej o to, ażeby tych innych przeciągnąć na stronę swych przekonań, ale o to, ażeby jej dozwolono myśleć poswojemu. Idea tolerancyi religijnej stanowi przewodnią myśl wiersza. Na namiętne wykrzykniki córki, która przekleństwa miota na bezbożnych, starzec doświadczony odpowiada poważnie i łagodnie:

Córko! nigdy przeklinać nie trzeba...

Wstrzymaj twój zapał, chociaż sprawiedliwy.

*Obrazę niebios niechaj pomszczą nieba;*

Dość dla człowieka, *by sam był cnotliwy.*

Lepiej się wyda naszej wiary świętość,

Lepiej się o niej umysł nasz przekona,

Kiedy złość ludzką, niewdzięczność, zawziętość

Zwalczy jej słodycz, niczem niezmienną,

Wydrukowania tego wiersza nie doczekała się Żmichowska w Warszawie, gdyż w połowie r. 1838 towarzyszyła rodzinie Zamojskich w podróży do Paryża. Oprócz możliwości zwiedzenia stolicy mody i oświaty, ciągnęła do Francji Narcyzę nadzieją, że ujrzy tam ukochanego swego brata Erazma, który tam przebywał.

Podróż ta, a zwłaszcza rozmowy z bratem i jego towarzystwem, silnie wpłynęły na zmianę wyobrażeń Narcyzy i stanowią początek nowego, najświetniejszego okresu w jej życiu.

---

## II.

Nie odrazu zobaczyła się Żmichowska z bratem Erazmem. Znajdował się on w Rheims, zarabiając na utrzymanie pracą w kantorze przemysłowca. Musiała przetrwać długie chwile oczekiwania i tęsknoty, starając się je skrócić sobie czytaniem książek poważnej treści, a zwłaszcza pisywaniem listów do brata. Co tylko zostawało jej czasu od zajęć nauczycielskich, to obracała na ukształcenie swego umysłu i zadośćuczynienie potrzebie serca. Chodziła do biblioteki publicznej, bywała na posiedzeniach akademii, czytywała dzieła filozoficzne i ekonomiczne, lubo wyznawała głośno, że żadnego usposobienia na sawantkę nie czuła, szukając w pracy umysłowej rozrywki jedynie.

Czytanie to, przy tym nastroju ducha, w jakim Narcyza z kraju wyjechała, istotnie nie mogło stać się bardzo owocnem. Zwątpiwszy o możliwości oddziaływania dodatnio na ludzi, nie chciała poszukiwać w książkach prawd w celu ich zużytkowania dla dobra czy kraju czy ludzkości, lecz jedynie dla nasycenia tej żądz wiedzy, której przytłumić w sobie nie potrafiła, lubo zapewne niejednokrotnie Salomonowe zdanie o próżności nad próżnościami do zajęć tych stosowała. Widać to wyraźnie z listów do brata pisanych.



Odporiadając na jego radę, żeby otwierała śmiało wszystkie księgi wogóle, pisze przy końcu września 1838 roku: „Dosyć już ja książek w życiu mojem przejrzałam i to nawet w różnych rodzajach; takie poważne niektóre, że aż mnie wstyd przy moich dwiętnastu latach ich tytuły wymawiać: była tam i chemia, i fizyka, i systema natury, i zasady filozofii i Bóg wie co jeszcze; — a wszystko bez korzyści przez głowę przeleciało; został się tylko straszny zamęt i ta skłonność do czczych marzeń, rozmyślań, powątpiewań, która na nic dobrego się nie zda. Co gorsza nawet, tak wszelka umysłowa wytrwałość jest mi nieznośna, tak myśli wszystkie rozbujane, że gdy je chcę silnie i stale do jednego zgromadzić przedmiotu, ani sposób. Czuję w duszy mojej taką niedbałość i niechęć, że sama przed własną słabością się rumienię. Otóż tedy dobrze się nad samą sobą zastanowiwszy, poznałam, że dotychczas zanadto lekkie i mdlawe pokarmy umysłowi memu dawałam i że go teraz czem pieprznem i tęgim wzmocnić trzeba... Niechaj cię ta naukomania nie przeraża... chciałabym tylko nie być tak zupełnie *petite ignorante*, jak teraz jestem. Moja zarozumiałość nie dochodzi do tego stopnia, żebym pomyśleć mogła nawet, że moje wiadomości kiedykolwiek na co dobrego się zdadzą; wcale nie, wiem ja o tem dobrze, że me życie upłynie bez użytku i celu, tak jak dotychczas najpiękniejsze młodości lata upłynęły... Niekiedy mam nadzieję, że się lepszą stanę, ale na co to mnie lub innym się przyda?“ <sup>1)</sup>

Brat, poznawszy sceptyczny nastrój swej siostry, starał się najprzód listownie, a następnie przy osobistem widzeniu się gorącemi słowy sprostować jej pojęcia, zalecał jej czytanie takich książek, jak *Le livre du peuple* i tym podobne, chcąc ją zjednać dla idei demokratycznej, której wiernie i wytrwale służył; ale przetworzenie wyrobionych przekonań, które się 19-letniej

<sup>1)</sup> Listy Narezy Żmichowskiej, t. I, str. 22, 23.

Narcyzie niezwalczonemi wydawały, nie szło szybko. Z początku siostra czuła się wyższą doświadczeniem od brata. lubo nieszczęśliwszą, bo się musiała wyrzec wielu miłych złudzeń; co więcej starała się nawet sprowadzić go na swoje rodzinno-egoistyczne stanowisko, wyrzucając mu, że się zbliża po bratersku do „ciemnego tłumu ludzi.“ Powoli wracała wprawdzie do wyobrażeń dzieciństwa, przypominała sobie pobożne dawniej słyszane słowa: o nagrodzie cnotliwych, o szczęściu świętych, o aniołach, co przed tronem Boga śpiewają, o łzach, które tam wyżej wiekami szczęścia się płacą; — ale długo, bardzo długo nie mogła uwierzyć w dobro ludzkości tutaj na ziemi w granicach kolebki i grobu zamknięte; długo, bardzo długo nie opuszczało jej przeświadczenie, że wszelkie usiłowania ludzkie celem podniesienia i uszczęśliwienia klas niższych są czcze i niewykonalne.

Dopiero gdy z domem Zamojskich rozstać się musiała i zamieszkała przy bracie w Rheims, długie rozmowy z nim prowadzone, towarzystwo ludzi wyznających zasady demokratyczne, a przedewszystkiem przykład pracy wytrwałej w imię idei, podziały stanowczo na hardy umysł Narcyzy i przeniknęły ją do głębi, zrobiły z niej kobietę o silnie wyrobionych przekonaniach, zdobytych mozolnie po długiem pasowaniu się z dawniejszemi mniemaniami, wskazały jej cel życia w pracy dla ogółu, w poświęceniu wszystkich sił swoich dla przyszłego szczęścia kraju, które bez ludu jest niemożliwe. To też chwile wtedy przebyte policzyła do najpiękniejszych dni swego życia. „Słonecznym punktem mojej biografii — pisała po latach wielu — był czas, w którym obiad z jednej zupy się składał, a mieszkanie z jednego łąco umebłowanego pokoju. Wątpię, czy Lukullus był szczęśliwszym, dysponując potrawki ze słowicych języków, jak ja, przygrzewając rosół lub czarną kawę dla brata. Śmiałam się wtedy ze wszystkich, co mnie pierwej wyśmiewali, że się domową pracą zająć nie lubię. bo właśnie wtedy lubiłam i zamiatać, i prasować i bieliznę naprawiać—i dotychczas

trudno mi pojąć, jak to można czego nie lubić dla tych, których kochamy. I to najlepszem wówczas było, że brat wcale też nie rozpaczał nad naszym niedostatkiem, bardzo się cieszył, kiedy na nową suknię dla mnie zapracował, lecz przydatkowym cieszeniem jedynie, — w treści to leżało, że nam dobrze było razem ze sobą i że cieszyliśmy się lub smucili jednemi rzeczami“<sup>1)</sup>).

To odrodzenie moralne, którego skutki nawet w tych drobnych szczegółach życia potocznego widzieć można, wróciło Narcyzie dawną wesołość i żywość, wlało nową energią, opromieniło pracę i trudy blaskiem przyszłego szczęścia, które już nie miało charakteru rodzinno-egoistycznego, ale ogólniejszy, społeczny. Brat stał się dla niej mistrzem, którego rad i wskazówek chętnie słuchała i gorliwie wypełniać się je starała.

W początkach września 1839 roku rozłączyła się z bratem, ażeby przez księstwo poznańskie wrócić do Królestwa i w swoim kółku urzeczywistnić te dążenia, któremi ją brat-mistrz przeniknął. Podróż ta, odbyta samotnie, była pierwszym samodzielnym krokiem na drodze rozszerzenia ciasnych szranek towarzyskiego zwyczaju, krępujących panny w ich postępowaniu. Dwudziestoletnia Narcyza zrozumiała dobrze śmiałość takiego wykroczenia przeciwko przepisom konwenansu i naturalnie, w interesie swojej przyszłej działalności, nie bardzo sobie życzyła, ażeby w kraju wiadano, że podróżowała bez towarzystwa starszej osoby; ale przekonawszy się własnem doświadczeniem, że taka podróż nie ubliża w niczem istotnej godności kobiety, odważniej mogła się już o własnych siłach puścić na gościniec życia praktycznego.

Rozejrzenie się po gnieździe rodzinnem swej matki nie było dla Narcyzy bez pożytku. Poznała kilka domów obywatelskich, rozpatrzyła się trochę w obyczajach i zwyczajach wielkopolskich, zawiązała serde-

<sup>1)</sup> Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. II, 150.

czny stosunek z młodziutką Teklą Dobrzyńską, która później do najbliższych i najlepszych jej przyjaciółek się zaliczyła.

Trzymiesięczny pobyt w księstwie poznańskim przygotował ją do pracy w królestwie; dał jej poznać różnice zachodzące w warunkach rozwoju obu tych prowincyj.

Przybywszy do królestwa, nie mogła innego znaleźć środka do utrzymania i działania, nad zawód nauczycielski. W przeciągu dwu lat obiegała kraj w różnych kierunkach, czasami trafiając na głowy otwarte i serca dobre, najczęściej jednak na umysły tępe, wyobrażenia spaczne i uczucia oschłe.

Losami literatury krajowej zajmowała się pilnie i cieszyła się rozwijającym się ruchem w świecie umysłowym warszawskim. Brat jej Janusz miał należeć do redakcyi najpierwszego wówczas pisma w kraju, t. j. „Biblioteki warszawskiej,“ ale choroba nie dozwoliła mu wziąć udziału. „Pierwiosnek“ wychodził jak poprzednio, a Żmichowska, przybrawszy pseudonym Gabrielli, pomieściła w nim na r. 1841 prześliczny swój wiersz p. n.: „Szczęście poety.“ Był on jakby „Odą do młodości,“ zastosowaną do uczuć i ideałów kobiecych. Budził uspięne duchy, zagrzewał do pracy, wskazywał cele działania pożytecznego dla społeczeństwa. Wie poetka, że na ziemi dużo jest złego: nędza, ciemnota, obłuda; ale nie myśli jak dawniej pozostawić losy świata wyrokom przeznaczenia, nie chce opuszczać rąk bezczynnie, nie chce się oddawać szalowi dzikiej rozpacz; ale pragnie złemu przeciwdziałać, pragnie wdrożyć w serca wszystkich to przekonanie, że Bóg dla człowieka nie stworzył w człowieku sługi lecz brata, pragnie nucić hymn przyszłości przed ludem i ochronić iskrę zapału:

Bo ja z nawałnic, ja z burz się śmieję...  
 Czyż mnie to kamień rozkruszy?  
 Czyż mi wyszarpią mroźne zawieje  
 Tajemnice światła z duszy?



Och, nie! ja wicher powstrzymam w biegu,  
Twardsze od twardych gromów mam czoło...

Powodzenie tego wiersza było wielkie, rozradowało Gabryellę, która w czerwcu roku 1841 pisała z Łomży do brata Erazma: „Przed Wielkanocą w przejeździe przez Warszawę, dowiaduję się, że łaskawie, najłaskawiej tę próbkę przyjęto! Zdumiałam! dają mi do czytania „Bibliotekę warszawską,“ „Piśmiennictwo krajowe“ — wielki Boże! pochwały! Ten, ów chce się poznać ze mną; och, doprawdy, zrozumiałam, o co idzie: dla zbudzenia śpiącej literatury wszystko tak grzecznie przyjmują; ja też jako zachętę przyjąłam pochlebne zdania; powiedziałam sobie, że muszę czem więcej się przysłużyć.. Do zobaczenia, mój najmilszy. Zobaczysz, jak przyjadę, że w moim tomoczku, zamiast stroików, będzie edycja dzieł Narcyzy lub Gabryelli, nie wiem jeszcze, ale będzie ogromne in-folio. Gdyby mogła iść między nami ciągła rozmowa, ileż to rad chciałabym zasięgnąć, z ilu trudności, powątpiewań wypowiedać się; przekazałabym ci myśl każdego nowego dzieła, każdego nowego zamiaru; ty musiałbyś mi o wszystkim zdanie swoje powiedzieć — choćby nawet miano powiedzieć, że nic sama z siebie nie umiałabym zrobić, ja nie dbam o zdanie ludzkie, idzie mi tylko o to, żeby dobre spełniać, czy z mojego, czy z innych natchnienia, aby dobrem było. Mistrzowska chwala mnie nie ludzi i narzędziem, byle ku chwalebnym czynom, chętnie zostanę.“

Niełatwo było wprawdzie wykonać postanowienie utworzenia w krótkim czasie wielkiego in-folio, gdyż umysł Gabryelli musiał mieć najzupełniejszą ciszę, ażeby mózgi tworzyć, a pozyskanie takiej ciszy przy zajęciach nauczycielskich w obcym domu było rzeczą niesłychanie trudną; — wszelako młoda autorka, odznaczająca się żelazną energią w przeprowadzeniu raz powziętego zamiaru, potrafiła niebawem urzeczywistnić choć w części to, co bratu obiecywała. Jakoż jeszcze w tymże 1841 roku czytano w „Bibliotece warszaw-

skiej“ pierwszy wyjątek z podróży kobiety p. n.: „Gibraltar.“ Przemówiła tu Gabryella swoją oryginalną prozą po raz pierwszy publicznie. Fantazją swą ujęła w formy alegoryczne; przemawia tu Europa. Afryka, Morze Śródziemne, Ocean. Temat ogarniał najważniejsze zagadnienia psychologiczno-społeczne: wiecznego pokoju, miłości ludów, oświaty powszechnej, ożywione myślami o Miłości, Nieskończoności i Dobrej Nadziei. W rozwinięciu tych tematów poznać było można umysł wdrożony do samodzielnego myślenia w kierunku wytkniętym przez poezję romantyczną i filozofią idealną; pomimo gorącej miłości prawdy, widocznej w każdym słowie, w każdym twierdzeniu, autorka woli raczej rojenie, niż doświadczenie...

W początkach r 1842, pozostając jeszcze w Łomży, Gabryella już w dwu pismach utwory swe pomieszcza, t. j. w „Bibliotece warszawskiej“ i w świeżo przez Eleonorę Ziemięcką założonym „Pielgrzymie.“ W pierwszej ukazał się początek poematu osnutego na micie słowiańskim p. n.: „Maina i Kościej;“ w drugim dwa wyjątki z podróży kobiety: „Burza“ i „Zwaliska Luxoru,“ oraz trzy rozprawki: „Zagadnienie,“ „Niepewność i Pewność,“ „Znudzony.“ Odmalowanie dzielności charakteru kobiety świadomej swych sił, rozwiniętej samodzielnie, roztrząsanie zagadnień religijnych, wyjaśnienie znaczenia marzeń jako wsłuchiwania się w głosy przyrody, podziwiania jej piękności, karmienia się pieśnią i żywienia nią innych, kochania, czucia bez niairy i pragnienia wczesnej śmierci: oto zasadnicze myśli rozprawek pomieszczonych w „Pielgrzymie.“ Poemacik zaś „Maina i Kościej“ jest wynikiem ówczesnego zwrotu do poezji ludowej, w której spodziewano się znaleźć nieprzebraną skarbnicę twórczych pomysłów, a równocześnie odbija w sobie wpływy niejasno jeszcze pojmowanej filozofii panteistycznej: Gabryella sądziła wówczas, że dla dusz niewieścich pełnych czucia ukojenie i ubłogosławienie znajduje się w odosobnieniu od świata, w rozpamiętywaniu rzeczy przeszłych, w letargu mistycznym.

Z niewiadomych nam powodów stosunki Gabryelli z „Biblioteką warszawską“ bardzo prędko się zerwały; z „Pielgrzymem“ natomiast trwały ciągle aż do czasu ustania wydawnictwa z końcem roku 1846. Lubo dążność tego czasopisma, polegająca na wykazywaniu niemocy rozumu i szerzeniu kornej wiary bez rozbioru, nie mogła mieć spólcucia w duszy Gabryelli, dawała jednak do niego nawet niektóre większe swe utwory, jak „Prządki,“ „Dańko z Jawuru“ niewątpliwie w tej myśli, ażeby nie usuwać swego współudziału w pracy podjętej przez kobietę. Przeciwnieństwo owe duchowe z Ziemięcką rozumiała bardzo dobrze Gabryella i określiła je dosadnie w jednym z listów do brata: „Najpierw Z. bardzo czule i sercowo na moje wyszła spotkanie. tak piękna jak sztych angielski, a tak łatwa, czarująca w rozmowie, że mogłabym *się w niej kochać*, gdybym była mężczyzną — ale *jej kochać* nie mogę. Daleko jak Rzym od Polski drogi nasze idą — pietystka, mistyczka, dewotka z systemu nie z serca, łatwowierna na ponętne wielkich panów grzeczności, w pewną ostrożność mię wprawia.“

To też nie w „Pielgrzymie“ wypowiedziała Gabryella swoje najgłębsze i najserdeczniejsze przekonania, swcje najmisterniejsze i najpiękniejsze pomysły, słowem swoje arcydzieła. Dla ich wypowiedzenia znalazła inny organ, który powstał w tym samym co i „Pielgrzym“ roku, ale z którym Gabryella weszła w ściśle stosunki trochę później, bo w r. 1843. Był-to pamiętny w dziejach naszego piśmiennictwa „Przegląd naukowy“ założony przez Edwarda Dembowskiego i Hipolita Skimborowicza, skupiający w gronie redakcyjnym wszystkie niemal dzielniejsze i śmielsze siły umysłowe młodzieży ówczesnej, żadnej wiedzy, pragnącej polepszenia doli kraju, a przedewszystkiem włościan, dyszącej poezją i ciekawej zagadnień filozoficznych, rozwijanych barwnie a nawet jaskrawo przez ojca Bronisława (Trentowskiego).

Zanim jednak Gabryella zżyła się z tem entuzjastycznym kółkiem, poniosła stratę okropną. Dnia 30-go

marca 1843 roku umarł jej brat Janusz, którego ona do szerszej działalności społecznej rozmowami swemi nakłoniła, z którym najwięcej się zgadzała. Najlepiej stosunek ten piękny określa słowa Gabrielli, napisane do brata Erazma (10-go maja 1843 r.): „On się trudnił całą przyszłością moją; jemu zawsze było na myśli, co ja napiszę, co zrobię, gdzie się obróczę. On był istotą, która mnie najlepiej i najwięcej kochała. Mnie dziś się zdaje, że i taką, którą ja kochałam najwięcej. Nie sądź jednak, że dlatego z uprzedzeniem zawsze wspominałam ci o nim, iż był wybranym mego serca. On się tak wykształcił, takie z wiekiem rozwinięły się w nim zdolności, że każda z sióstr, a my wszyscy tracąc go, czuliśmy, że podporę i nadzieję jedyną familii tracimy.“ Boleść tymi ciosem spowodowana sprawiła, że chwilowo uważała istotę swą moralną za zwichniętą, ale się krzepiła temi uczuciami i naukami, jakie stanowiły niegdyś tło rozmów z Erazmem. „Smutne jakieś przeznaczenie — pisze Gabriella w swym liście — nad całem naszym zawisło rodzeństwem; kroplą jest los nasz w oceanie losów ogółu, lecz ta kropla właśnie zaprawiona goryczą; — marnieją najpiękniejsze zdolności; śmierć lepsze zabiera głowy; ubóstwo trapi chętniejsze ku dobru innych serca. Jest, och! jest nad nami z doświadczeniem czy z karą gniewny palec Boży; jest jakieś czarne, ciężkie przeznaczenie... I cóż ztąd, Erazmie? czy myślisz, że ja rozpaczać zaczę? Ja przecież siostrą i uczennicą twoją jestem. Dalej, dalej, żyjmy... Co tam my! co tam szczęście lub niedola, co tam człowiek — drobna jednostka, listek małeńki na wielkiem drzewie stworzenia! Głupstwo i nędza — nie masz człowieka. są tylko ludzie i ludzkość, wiara i Bóg.“

Te gorączkowo nakreślone słowa, które sobie samej powtarzać musiała Gabriella dla pokrzepienia sił duchowych osłabionych boleścią, stały się następnie hasłami jej życia, gdy się znalazła w otoczeniu pokrewnych duchów, grupujących się około „Przeglądu naukowego.“ Pierwsze wrażenie z zapoznania się z Edwar-



dem Dembowskiem i żoną jego Anielą zaznaczyła Gabryella w tych słowach do brata pisanych: „Gabryella także Narcyzie dostarczała znajomości; ale wśród nich młodzi Dembowscy tylko od Narcyzy szczerem sercem przyjęci w imię pani Cecylii (Chłędowskiej). Zaiste, z nimi szczególnie łączy mnie i podobieństwo opinii i jedność dążeń, chęci, celów; — ale barwa, forma, wiek szczególnie rozłącza. Oni tacy młodzi, oni tak żywo czują oboje, tak się bawią tem czuciem, tem szczęściem życia i działania! Czasem patrząc sobie na nich pomyślę dumna we własnej skamieniałości: *dzieci!* — ale później aż mnie zazdrość bierze do nich, a żal do siebie, bo muszę przyznać, że to jednak szlachetne, błogostawione w myśli Chrystusa dzieci do poświęceń i czynów, dziś przynajmniej, w zupełności gotowe.“

Z postępem czasu przyjaźń z tym domem stawała się coraz ściślejszą, różnica w usposobieniach potęgowała nawet jej żywość. Znajomość ze współredaktorem „Przeglądu naukowego“ Hipolitem Skimborowiczem i jego żoną Anną, jeszcze trwalszemi zaznaczyła się śladami w życiu Gabryelli; gdyż w domu Skimborowiczów właśnie zbierało się grono osób płci obojej, różniących się wprawdzie i temperamentem i niektórymi szczegółowymi przekonaniem, ale związanych z sobą spólną miłością prawdy i dobra kraju. Było-to grono entuzyastów i entuzyastek, których dusza zajęta była ciągle najwyższymi zagadnieniami ludzkości, a serce drżało chęcią przemienienia w czyn pomysłów teoretycznych.

„Z najciaśniejszego kącika—jak mówi Gabryella—od najdrobniejszej plewki wlatywali oni na najdalsze obszary i przenosili w nie wszystkie kosztowności swego ducha. Same wszechświatowe zajmowały ich kwestye, same szerokie poglądy, same niebotyczne szczytności. Jakkolwiek różnili się nieraz zasadami, mianowicie religijnymi, tak, że ortodoksya spotykała się tu z herezyą, a wielkoświatowość z surowym ascetyzmem, wspólnie jednak wszyscy dążyli do głębszej wiedzy, do samoistności myśli, do podniesienia i polepszenia losu

wieśniaków; ideał społeczeństwa prawdziwie demokratycznego przyświecał im wszystkim.

Do grona tego należeli głównie, oprócz redaktorów „Przeglądu naukowego,” Jan Majorkiewicz, Dominik Szulc, Henryk Kamiński, Karol Baliński, a z pomiędzy kobiet, prócz Gabryelli, Anieli Dembowskiej, Anny Skimborowiczowej, siostra tej ostatniej Antonina Grotthusowa, Emilia Gosselin, Józefa Kucharska, Julia Janiszewska, Krystyna Siewieluńska (później Stelmowska), Kazimiera Ziemięcka (bratowa Eleonory), Wincenta Zabłocka, Zofia Mielęcka (Węgierska), Bibiana Moraczewska.

Młode serca tych ludzi tak się oburzały martwością, bezmyślnością, ospalstwem, zepsuciem wreszcie, które dokoła nich zalegało, niczyjej już nie zwracając uwagi; tak się oburzały wszystkim, co niestety już zwyczajnem się stało, że koniecznie zapotrzebowały myśłą. słowem i uczynkiem z tą powszedniością się rozgraniczyć. Ponieważ obrzydł im dykcyonarz towarzyski, zaczęli szukać rzadziej słyszanych, dobitniejszych wyrażen dla swych bezwzględnie wygłaszanych zdań. Namętne dysputy stały się dla nich rzeczą nieodzowną. Toczyły się one, stosownie do okoliczności, w domu różnych osób, ale najczęściej w redakcyi „Przeglądu naukowego“ w poufalitych przy kominku pogadankach.

Żmichowska, zetknąwszy się z tylu ludźmi gorącego serca i ukształconego umysłu, a za ich pośrednictwem poznawszy innych, znalazła w cierpieniach indywidualnych niejaką ulgę, a zarazem otuchę do pracy, która się jako owocna zapowiadała. Wyrazem tej otuchy i nadziei na przyszłość jest dla nas list do Erazma z 4-go października 1843 roku. „Nieraz—powiada tu Gabryella — moja polska дума aż pod niebo rosła, spotykając od czasu do czasu reprezentantów młodej generacyi, wychowanych wśród systematycznego obskurantyzmu, którzy bez żadnych nadal widoków, bez możności zrobienia jakiegokolwiek karyery, czystą miłością ojczyzny kształcili się w naukach i sztukach, żeby kiedyś, jak pora przyjdzie, dostarczyć krajowi

światłych i pożytecznych mężów. Nieraz, widząc którego z tych nieznanych prywatnego życia bohaterów, przyrównywałam go do wielkich imion, do głów najzdolniejszych, jakie wydał krótki czas liberalnej u nas edukacji, a które w ostatniem wstrząśnieniu miały za sobą cały urok moralnej wyższości i godne do jej pokazania pole; muszę ci szczerze wyznać, że porównanie zupełnie na korzyść terażniejszości wypadło.“

Twórczość i w tym roku 1843 nie ustawała, a jej najważniejsze płody pomieszczane były w „Przeglądzie naukowym.“ Wtedy-to powstały i drukowane były takie poemata, jak: „Trzy pieśni gęślarza,“ „Lilia,“ „Fantazyja,“ „Przekleństwo.“ Autorka wyrabiała się, potężniała zarówno myślą jak formą, przygotowywała się do najświetniejszej fazy swego duchowego rozwoju.

Nieszczęście, jakie dotknęło wielu z tych, których ona do najdzielniejszych umysłów, najlepszych serc liczyła, przejęło ją smutkiem, zniechęciło do autorstwa, kazało szukać mniej dusznego niż w kraju powietrza. Gdy do tych ogólnych powodów przyłączyła się jeszcze okoliczność dotycząca wprost samej Gabryelli, a mianowicie oświadczyzny znanego później zaszczytnie astronoma, Jana Baranowskiego, którego poetka szanowała i poważała, ale kochać nie mogła, bez miłości zaś za mąż iść nie chciała — wypadło jej wyjechać do księstwa poznańskiego. Właśnie wtedy dawna jej znajoma, Helena Turnowa, pisała do niej, żeby jej się jakiej osoby do dwu córeczek wystarać. Żmichowska zaofiarowała się sama. W Poznańskiem znalazła się niemal jak w domu. Dembowscy wówczas już tam się przenieśli. Bibianna Moraczewska, Tekla Dobrzyńska, Zofia Mielecka były jej serdecznemi przyjaciółkami.

Pobył w Poznańskiem trwał około dwu lat (1844 i 1845). Głównem miejscem pobytu było Objezierze, siedziba Turnów, znane dobrze z życiorysu Mickiewicza. Jak się Wielkopolska przedstawiła Gabryelli i jakie w niej myśli i zamiary obudziła, to w głównych zarysach poznajemy z listu do Erazma, datowanego z Objezierza 27 czerwca (zapewne 1844 roku). „W na-

szej kochanej rodzinnej Wielkopolsce — powiada tu, robiąc aluzją do pochodzenia matki — jest wprawdzie wiele hałasu i fanaberyi, głupstw robią coniemiarą; lecz z drugiej strony trafiłam tu na rozwijanie się dwóch najkosztowniejszych przyszłej narodowości klejnotów: publicznego rozumu i publicznej opinii. Co do pierwszego, to idzie jak w szkole podczas rekreacji: bawią się w rozporządzenia, statuta, narady, a niech Bóg da, przyjdzie już do czego, to i dzieciom z tych bawidel wprawa pozostanie. Opinia zaś tak była dla mnie upragnionem, wyczekiwanem zjawiskiem, że nią się tutaj dosyć nacieszyć nie mogę... Stronnictwa złe i dobre wybitnie się rozkreślają: każdy wie o każdym; jak w trybunale najwyższym jest sąd na bezkarnych gdzieindziej, a że od przeważnego wpływu niemczyzny bronić się trzeba, więc dla takiego, co z Niemcami przestaje, niema przebaczenia; on sam w prohibicyą wchodzi... Jest zawziętość, są kłótnie, są rozbudzone namiętności, czasem osobistość; ale to wszystko przynajmniej jakies życie składa, jakiś ruch daje, jakąś piękną przyszłość gotuje. Na dwa działy, jak wszędzie, rozpada się myśl tutejsza: na ciemność i światło, na zło i dobro, na czarta i Chrysusą, słowem na arystokracją i demokracją. Co do tych działów, różnica jest wyraźna, chorągwie rozwieszono, wybór konieczny. Ale dział ostatni ma tyle jeszcze odcieniów, że i między nimi jak w lesie zabłąkać się można. Otóż co do mnie, naprózno bym zupełnie odpowiedniego mej duszy stanowiska szukała. Od Towianizmu uczuciowości do panteistycznego rozumu centralizacyi, wszędzie jest dla mnie coś pouętnego i coś zrażającego wszędzie, bo nie cierpię szarlatanstwa, a brak marzącej pozaświatowej religii także mnie oburza. Sama więc w sobie jestem systemem, stronnictwem, wiary wyznaniem; ale pamiętna praw dawnej Sparty, wiem dobrze, że takim eklektyzmem w praktycznym życiu nią można się lubować i że jest kara śmierci na tych, co stanowczo się za tą lub za ową stroną nie oświadczą. Zrobiłam mój wybór i przystałam do najczynniejszych, z początku współ-



czuciem, teraz współmyślą, a szczęście Boże i współdziałaniem przystaną niedługo nawet, bo się już roi na jakąś dobrą dla mnie, biednej kobiety, pracę.“

Tą pracą miało być zwierzchnictwo nad zakładem naukowym dla kobiet, który miał powstać kosztem publicznym, a dla którego Żmichowska ułożyła plan organizacyjny. Planu tego dokładnie nie znamy; o ile z napomknien<sup>1)</sup> wnosić wolno, był on następujący: Zakład miał się składać z dwu oddziałów. W pierwszym z nich, w ciągu lat kilku, miano kształcić według najlepszych metod zdolności dziecka, rozwijając je stopniowo, ale liczbę przedmiotów wykładanych ograniczono do miary najniezbędniejszych potrzeb przeciętnego umysłu. Nauki tu dawane miały stanowić pewną całość zaokrągloną, tak, żeby wystarczyć mogły uczennicom nieposiadającym wielkich uzdolnień do zajęć umysłowych, ale skłonnyim do czerpania środków rozwoju w obowiązkach praktycznych, z samemże życiem związanych. Żmichowska słusznie utrzymywała, iż zmaganie osób takich do nauki książkowej działa na nie przygnębiająco, nie zaś zasilająco, a nadto wypiera ich temperament z właściwej kolei i stawia zaporę prawidłowemu rozwojowi innogatunkowych zdolności. Za cel drugiego oddziału, w którym nauki trwać miały także lat kilka, postawiła Żmichowska ułatwienie nabycia wiedzy uczennicom obdarzonym wyższemi zdolnościami i wyraźniejszą niejako tęsknotą za nauką dla własnej, osobistej potrzeby. Tu już pragnęła Żmichowska skierować umysły kobiet ku badaniom specjalnym; ugrupowała więc przedmioty wykładowe w pewne całości, ale w jakie — nie wiemy. Naturalnie obok dydaktycznej strony, uwzględniła Żmichowska w swym programie i stronę etyczną, wskazując środki rozciągnięcia szczególnej pieczy nad kierunkiem charakteru uczennic, nad budzeniem i rozwijaniem uczuć narodowych, nad usposobieniem dziewcząt do pełnienia przy-

<sup>1)</sup> Zebranych przez p-ą J. B., a mnie łaskawie udzielonych.

szyłych obywatelskich obowiązków w każdej sferze społecznej, do jakiej położeniem swem należą. Program ten nie mógł wejść w życie. Już przy samych jego narodzinach zachodziły pewne trudności; autorka jego powiadała, że sama nie posiada talentu pedagogicznego potrzebnego do prowadzenia zakładu na taką skalę; nadto w księstwie istniały „tysiączne uprzedzenia“ przeciw Gabryelli, więc się bała zaszkodzić dobremu dziełu swem imieniem. Pragnąc szczerze pracować pożytecznie, chętnie byłaby się zrzekła zwierzchniczego kierunku: „dla mojego zakresu—powiadała—dość będzie drugie, trzecie, najpodrzędniejsze zająć miejsce, z kądem o mnie ludzie nie zasłyszą, z którego ja tylko pracować będę mogła.“ Tak w początkach już na niepewnym stojący gruncie projekt, nie mógł następnie być urzeczywistnionym.

Kiedy myśl szerszej działalności pedagogicznej nie dopisała, Żmichowska postanowiła skorzystać z pobytu w księstwie, ażeby silniej zaznaczyć swoją działalność literacką. Jakoż r. 1845 wyszły w Poznaniu „Wolne chwile Gabryelli,“ pierwszy książkowy zbiorek jej utworów, w przeważnej części już poprzednio drukowanych w czasopiśmie. Zbiorek ten dał poznać szerszemu ogółowi te skarby fantazyi, uczucia i myśli, jakie do owego czasu szczupłe grono „Biblioteki,“ „Pielgrzyma“ i „Przeglądu“ ocenić było w możności. Talent jej poetycki uznany został zaszczytnie nawet przez zwolenników innego niż poetka kierunku myśli. Tryumfem to było dla Gabryelli niemałym, iż „Przegląd poznański,“ świeżo wtedy założony organ konserwatystów-ultramontanów, poświęcił „Wolnym chwilom“ rozbiór bardzo szczegółowy i bardzo pochlebny. Z tonu recenzji znać było poszanowanie istotnego talentu, który wprawdzie, zdaniem zachowawców, mętne miał tu i cwdzie poglądy, ale który był szczerym w swych myślach i natchnieniach. Prawdopodobnie życzeniem było obozu zachowawczego, ażeby talent takiej miary dla swoich zasad pozyskać i móżdż do swoich szeregów zaliczać.

Powróciwszy do królestwa, Żnichowska znowu się znalazła w swoim wybranem kółku. Zmalało ono wprawdzie od roku 1843, ale stawszy się ściślej, może serdeczniejszy i poufniejszy jeszcze niż wówczas przybrało charakter. I znowu się rozpoczęły posiedzenia przy kominkowym ogniu w redakcyi „Przeglądu naukowego,“ a rozmowy na nich prowadzone pobudzały twórcze umysły do przedstawiania roztrząsanych tematów w formie artystycznej. I Gabryella, wogólności bardzo trudna do pióra i potrzebująca szczególnych okoliczności, ażeby pisać mogła, uczuła się zdolną do podjęcia i przeprowadzenia większej kompozycyi. Rok 1846 zostanie nazawsze pamiętnym w dziejach naszej poezyi, gdyż jest on datą drukowania w łamach „Przeglądu naukowego“ poematu, któremu równych pod względem głębokości pomysłu, subtelności analizy psychologicznej i świetności stylu niewiele posiadamy. Poematem tym jest „Poganka,“ utwór pisany prozą, ale tak wspaniałą, taką oryginalną prozą, jakiej do owego czasu w literaturze naszej nie znano. Przypomina ona tu i owdzie prozę Kraszińskiego, a jeszcze bardziej w niektórych zwrotach Słowackiego, lecz bynajmniej naśladowaniem jej nie jest; tyle w niej bowiem oryginalności, tyle nowych ukształtowań stylowych, tyle wyrażen niespodziewanych a trafnych, tyle świeżych, właściwych Gabryelli tylko przenośni i porównań, że zaznaczywszy, iż autorka miała genialnych poprzedników, musimy wyznać, iż obok nich swoją niezależność, swoją samostność utrzymała zdołała bez wysiłku, bez widocznego starania, bez afektacyi. Treść poematu wypełniło to, co w kole entuzyastów i entuzyastek najczęściej i najżarliwiej rozbierano, co niejednokrotnie do najsprzeczniejszych zdań i wniosków prowadziło, a mianowicie kwestya miłości i sztuki. Gabryella w owych czasach była „radykalistką miłości,“ a w pojęciu istoty sztuki należała także do najbardziej krańcowych romantyków, utrzymując, iż sztuka wymaga zupełnego sobie oddania się, że wysysa i pochłania wszystkie myśli, wszystkie uczucia człowieka... Gdyby jednak w „Po-

gance“ te tylko poglądy rozwinęła, musielibyśmy w poemacie tym widzieć genialne upostaciowanie pomysłów mających czasowe jedynie znaczenie, musielibyśmy go oceniać z historycznego jedynie stanowiska. Tymczasem w „Pogance“ obok cech, jakie na niej wycisnął moment dziejowy jej powstania, istnieje pierwiastek wiecznotrwały, nadający utworowi znaczenie wielkiego dzieła sztuki, które czasu się nie lęka. Pierwiastkiem tym jest głębokie ujęcie i przedstawienie subtelnie psychologicznego faktu, iż w każdej duszy ludzkiej kryją się przeciwne, wręcz sobie wrogie potęgi, które o działaniu jego i losach, o jego szczęściu stanowią. Od najprostszych objawów w dziecku, do typowych ukształtowań w postępowaniu wielkich zbrodniarzy lub wielkich świętych, potęgi te uzewnętrzniają się na całej skali najdrobnostkowo przeprowadzonego stopniowania, jako powolność i upór, jako łagodność i gwałtowność, jako pobłażliwość i okrucieństwo, jako poświęcenie siebie dla innych i poświęcenie innych dla siebie. W literaturze naszej niema drugiego poematu, w którymby te elementarne potęgi ducha ludzkiego dobitniej i świetniej były przedstawione, jak właśnie w „Pogance.“ Ich artystyczne odtworzenie stanowi najdoskonalszy czyn poetycki Gabryelli; przezeń staje się ona w naszej poezji pierwszorzędną jej przedstawicielką.

Z tych wyżyn, na których rozgrywa się dramat opowiedziany w „Pogance,“ zbliża się Gabryella w drugim z owego czasu utworze, w „Książce pamiątek“ (r. 1847 — 8) do powszedniejszych trochę stosunków ludzkich, rozwijając przed czytelnikami nowe, dotychczas w takim stopniu przez siebie nieokazane zasoby talentu twórczego. Udowadnia, że obok mistrzostwa w prowadzeniu dyskusji pomiędzy wyseko ukształconymi i subtelnie czującymi ludźmi, potrafi również oddać rozmowę prostaczków i salonowców. Osobistości nie są już owemi demonicznymi postaciami, jakie w „Pogance“ dała nam poznać, ale ludźmi do rzeczywistości zbliżonymi, żyjącymi w warunkach ogółowi nieobcych. Bohaterka, Marya-Regina, to kobieta najświetniejszych



zdolności: rozum bystry, fantazyja bujna i ruchliwa, umiejąca odtwarzać najdelikatniejsze poruszenia umysłu i serca, mająca na posługi mowę bogatą we wszystkie barwy i ich odcienia: oto przymioty, któremi ta artystka życia rozporządza dla wyzyskania zalet i uzdolnień przyjaciół swych i znajomych, rzeczy i wypadków ku wzbogaceniu własnego ducha. Brata swego kocha, zdaje się, jako artystka tylko, rzucając mu pod nogi serca innych kobiet, ale niewiadomo, czyby swoje zdeptać pozwoliła. Aby talent jego wykształcić, niczego nie żałuje; z lodowatą obojętnością mówi o konieczności poświęceń dla niego. Myślą zasadniczą, którą Gabryella chciała w „Książce pamiątek“ uwydatnić, było zdanie radykalizmem miłości nawskroś przesiąknięte, że „zaprzeczenie własnego serca nikomu szczęścia nie przynosi.“ Idei tej nie mogła rozwinąć należycie, gdyż okoliczności nie dozwoliły jej na razie dokończyć „Książki pamiątek,“ a później nie potrafiła się już dostroić do dawniejszego usposobienia, gdyż w umyśle jej stanowcze zaszły zmiany. Oprócz tej myśli przewodniej, zasługuje na zaznaczenie w „Książce pamiątek“ gorące ukochanie warstw niższych, braterskie stosunki ze światkiem rzemieślniczym, w chęci oddziaływania nań w kierunku podniesienia jego rozwoju umysłowego.

Równocześnie z podjęciem tematu w „Książce pamiątek“ roztrząsanego, Żmichowska, nie zapominając o swych projektach poznańskich, a nie mogąc ich na taką skalę urzeczywistnić w praktyce, powzięła myśli przyłożenia się przynajmniej teoretycznie do wychowania młodzieży. Zamierzyła opracować kurs nauk w wykształceniu domowem dziewcząt niezbędnych. Jaki wyrobiła sobie Żmichowska plan pod tym względem, o tem nie wiemy; to tylko pewna, że musiał on być obmyślany rozumnie i gruntownie, jak się przekonać można z pierwszej zaraz książki tym planem objętej, którą w r. 1847 ogłosiła drukiem, jako tom I-szy kursu. Tytuł wydawnictwa był następujący: „Wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowem wychowaniu panien.“

Część 1-szą nazwała autorka „przedwstępną.“ Oprócz dziełka Jachowicza, przeważnie logicznej treści („Rozmowy mamy z Józią), oprócz paru dziełek tłumaczonych z francuskiego dla przełożonych w ochronkach, nie było wówczas w naszym piśmiennictwie pedagogicznem książki, któraby położyła za zasadę pierwotnego wychowania rozwijanie wyobrażeń dzieci, przed nauką czytania i pisania. Żmichowska rozumiała, że czytanie jest tylko środkiem do zdobycia wiedzy, jak pisanie środkiem do jej utrwalenia i przekazania innym, że zatem w wychowaniu dobra jest rzecz przyswoić sobie taki potężny środek, ale błędem byłoby uważać go za cel nauki; że przedewszystkiem potrzeba rozwinąć umysł i przygotować go do zastanawiania się nad rzeczami widomemi, najbliższemi, zanim się przejdzie do znaków rzeczy te symbolizujących. To, co dziś nazywamy metodą nauczania pogładowego, Żmichowska już z wielkim talentem w swej „części przedwstępnej“ wykładu nauk zastosowała. Na początku swej książki pomieściła kilkanaście pięknych bajek i innych wierszy, mogących zająć umysł dziecięcy; następnie rozpoczęła naukę od wyjaśnienia dziecku jego imienia i nazwiska, opowiedziała o rodzinie, o narodzie, o ludzkości; dalej o zmysłach i rozumie, o zwierzętach, o roślinach, o powietrzu, powierzchni ziemi i świecie. Wszystko w łatwych, zrozumiałe prowadzonych pogadankach. W drugim dziale pomieściła początkową naukę rachunków, w trzecim elementarne wiadomości z geografii, w piątym—opowiadania dziejowe. Dopiero po takim obznajmieniu z wszechświatem i jego historią, rozpoczyna autorka naukę czytania i pisania, podając osobne, dobrze ustopniowane ustępy do odczytania przez uczennicę; w ustępach tych są streszczone wiadomości, o których już poprzednio w pogadankach się dowiedziała.

Ogłosiwszy ten tom „Wykładu nauk“ Żmichowska postanowiła praktycznie wypróbować dobroć swojej metody. Zamieszkała na czas pewien w Rzeczycy, wiosce zarządzanej przez jednego z krewnych, i została nauczycielką w szkółce wiejskiej. Uczyła chło-

pskie dzieci, mówiąc im o tem, co stanowi najbliższe otoczenie naszego wieśniaka. Najstarsza z siostrzenic Narcyzy bywała na tych lekcyach; z jej opowiadań wiadomo, iż nauczycielka postawiła sobie za główny cel zbudzenie lub podsycenie w dzieciach zmysłu moralnego, ażeby pojęcie zła i dobra silnie w duszy ugruntować. Używała ku temu różnych środków. Dzieci zbierały się licznie, naukę polubiły, zdawały sprawę z wrażeń i uczynków dnia ubiegłego, nabywały pojęć, przyzwyczajały się mówić językiem poprawniejszym i t. p. Nie z winy Narcyzy nauka ta długo trwać nie mogła <sup>1)</sup>. Musiała jej zaniechać, a zwrócić się do autorstwa pedagogicznego.

Drugą z kolei książką, mającą wejść do „Wykładu nauk,” była geografia. Żmichowska większą już część pracy wykonała; a nawet wiele już arkuszy było odbitych, gdy klęska, jaka niespodzianie spadła zarówno na nią, jak na jej towarzyszkę i towarzyszków, nie tylko zmusiła do przerwania pracy, ale nadto pozbawiła ją swobody ruchów...

---

### III.

Żmichowska w końcu października 1849 r. przeniosła się do Lublina... W tym czasie znika z przed oczu naszych autorka i nauczycielka, a staje wobec społeczeństwa kobieta z całym hartem duszy i całą dzielnością charakteru, kobieta-obywatelka w całym podniosłym znaczeniu tego wyrazu. Jej listy wtedy do przyjaciółek pisane malują nam ją jako wytrwałą, rozumną, poświęconą, słowem mężną niewiastę, która w nieszczęściu umie zachować godność i przejąć szacunkiem nawet nieprzyjaciół. Podziw, uwielbienie i miłość obudzić one mogą w każdym szlachetnie czującym sercu... Była ona wte-

---

<sup>1)</sup> Z rękopiśmiennych notat pani J. B.

dy, mówiąc własnymi jej słowy, „cierpliwa, miłująca, cicha, a jednak odważna w prawdziwości swojej,“ była taką, jakimi chciała widzieć wszystkich.

„My — pisze do przyjaciółek — nowych pojęć nie głosimy, wszelkiej formy brak nam zupełnie, koniec jeden przebyliśmy i stoimy po drugiej stronie, Z czem idziemy wśród ludzi, co niesiemy światu, czem z bogacamy dzieje—trudno powiedzieć: ani systematu, ani instytucji, ani żadnej rzeczy określonej nie znajdzie wśród naszych... Bez klasy, bez kasty, bez rodzinnego rozróżnienia wśród innych, ci ludzie tworzą jakby rasę, należą jakby do jakiegoś nowego plemienia, które się rodzi dobrem, żyje z cnotą, nie bez cierpień, ale bez walki, i zreczywistniają biblijną Jeremiasza obietnicę, gdyż Bóg daje prawa w myśl ich, pisze je na sercach ich i prawa te ze krwią i oddechem po ich ciałach krążą... Bóg po wszystkich zakątkach naszego planety sieje niemi skąpiej lub obficie, a na to sieje, aby miłością zazieleniał pola“ <sup>1)</sup>.

Z tą świadomością zadania, jakie spełnić miało grono entuzyastów, własna dusza Narcyzy coraz wyżej się wzbijała w dążeniu do doskonałości. Z napomknien nawet tak skromnej jak Żmichowska kobiety, można wywnioskować ten urzeczywistniany codziennie popęd ku sferze ideału. Oto jej słowa do przyjaciółek zwrócone: „Prawda, że umrę trochę lepszą, niż się urodziłam; ale kiedy pomyślę, jaką błogosławioną rosą Bóg użyźniał grunt mojego życia, jakimi promieniami świecił myśli mojej, jakim ciepłem serce rozgrzewał, ile mi dał od was ukochania, szczęścia i wsparcia: to mi wstyd wielki, że tak mało przyniosłam owocu, tak niewysoko wzrosłam ku niebu. Dobrze-to jeszcze, że mię nigdy wasze słowa w pychę nie wzbijają — i owszem, po każdym ich przeczytaniu mówię sobie: nie jestem taką, lecz będę się starała, abym taką była... I tak zawsze na to wypada, że wszelki nawet błąd miłości waszej

<sup>1)</sup> Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. I, 169, 170.



niecio kurzu i brudu z duszy zdmuchuje. Powoli, powoli czołgam się tam, kędyście mnie w waszej wyobraźni umieściły; coraz mniej się... niecierpliwie, bo mam na pamięci, żeście mnie dobrą nazwały; coraz raniej zaczynam wstawać, boście moją chęć do pracy chwaliły. Ot, krótko mówiąc, co mi tu o mnie piszecie, to ja za dyspozycją, za rozkaz wasz przyjmuję i wykonywam jak mogę<sup>1)</sup>.

Pomimo jednak wszelkiego krzepienia się nadzieją lepszej przyszłości i samym postępem udoskonalenia wewnętrznego, musiała Gabryella odczuć dotkliwie zmienione pod wpływem ogólnej reakcyi europejskiej po roku 1850 warunki rozwoju społeczeństw. To też gdy w lutym 1852 r. przeniosła się do mieszkania siostry Hortensyi, również w Lublinie, znalazła się prawie zupełnie osamotnioną. Bliższych, serdeczniejszych znajomości brakło jej prawie całkowicie. Jarmundówny, Emilia Pillerowa, stanowiły niemal całe jej towarzystwo. Z mężczyzn poznawała samych księży tylko. „Nie wiem — pisała wtedy do przyjaciółek — czy mnie dewocya czeka czy gwałtowna herezya, to tylko pewnem, że jeśli książki z kąd dostanę, książka jest religijnej treści; jeśli co godniejszego uwagi posłyszę, to kazanie; jeśli mam jaką pracę w sumieniu, to kościelna sprawa“<sup>2)</sup>. Wskutek takiego osamotnienia duchowego, wobec nader rzadkich listów od dawniejszych towarzyszek, stępiąły w niej władze użycia, władze szczęścia; ciągnęła jakaś senność ciężła jej na mózgu; używała wszelkich środków, ażeby się z niej otrząsnąć, ale sprawa to była nader trudna; mózg jakby kamieniał i „całym ciężarem swoim na powieki spadał.“ Za środek odpędzenia tej senności przez wzięcie jej pod straż obowiązku, obrała sobie Żmichowska uczenie małych dzieci, obarczyła się pracą pedagogiczną od ranka do nocy. Tym sposobem czas jej schodził, ale zadowolenia wewnętrznego, przekonania, że pracuje owocnie, nie przyno-

<sup>1)</sup> Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. I, 174.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 191.

sił. bo się jej trafiały głowy zakute, którym po tysiąc razy jedno powtarzać trzeba było — i to bez skutku. Widząc bezowocność swoich wysiłków, próbowała kilkakrotnie zrobić tak, jak robią zazwyczaj nauczyciele rutyniści: przesłuchiwać lekcyj z zegarkiem w rękę; ale nigdy nie mogła dojść do takiego machinalnego sposobu uczenia i dopóty siedziała z uczennicami, póki choć na godzinę nie zrozumiała tego, co im zadawała.

To co się w kraju wówczas działo: bezmyślne gonienie za uciechami, zbieranie grosza dla życia wystawnego, wypaczenie charakterów, upadek opinii publicznej, martwota duchowa, szukanie w literaturze rozrywki tylko i zabawy, a przy tem ustawiczne szafowanie imieniem Chrystusa, dewocya i bigoterya — wszystko to działało ze swej strony nader przygnębiająco na umysł Narcyzy.

Stosunek swój do panującego wówczas kierunku otwarcie określiła w liście do Wincenty Zabłockiej (z dnia 29-go maja 1853 r.). „Ten ich tryumf, ta dewocya grasująca po salonach, to zbezwładnienie zamiast pociechy ludziom znękanym niesione, ten gwałtowny nawrót do nieba bez ziemi, to podarowanie milionowych plemion za kilkanaście osobliwości bigoteryjnych: to wszystko mię po dawnemu oburza i gniewa.“

Na wszystkie umysły żywsze i serca szlachetniejsze tak przygnębiające wywierały wrażenie pierwsze lata doby reakcyjnej; ale do jakiego stopnia wzburzały one Gabryellę, wyraźniej jeszcze niż z oceny ówczesnych objawów bigoteryi widać to z rady, jaką przyjaciółkom swoim dawnym przesłała, robiąc alluzyą do grasującej wtedy cholery. „Nie bój się śmierci — pisze ona — wydrzesz naturze niepomyślane jeszcze uciech i szczęścia tajemnice... Nie bój się śmierci, wszystko twojem jak świat długi i szeroki: twoim kwiat cudny, co na dnie przepaści rośnie, i orzeł w srebrnych chmurach podstępnych, twojem, co zechcesz, twojem, o czem zamarzysz... Ale się wprawiaj ciągle; bo to nie dosyć raz życie przeciw czemuś wielkiemu i wa-

znemu na rozrządzenie Opatrzności stawić; *w każdej chwili graj niem jak piłką*, graj o chwilę zabawy, jak o sprawę zbawienia, o cacko jak o skarb, o fantazyę jak o szczęście tych, których kochasz; graj o wszystko — wygrasz wszystko; — a śmierć przyjdzie, kiedy ma przyjść, nie prędzej, nie później; lecz kiedy przyjdzie, ty za nią pójdziesz bogata po bogactwa nowe, lub odarta, znikczemniała, skurczona, stanąć będziesz musiała do nowej pracy, do cięższego zarobku“<sup>1)</sup>.

Ta rada wydawania całej siły swojej przy każdym zajęciu, przy każdej pracy, psychologicznie zrozumieć się daje w ustach kobiety-entuzjastki, widzącej wkoło siebie samą obojętność, apatyę, ubezwładnienie władz ducha zdolnych do zapału i poświęcenia, a zapanowanie tych skłonności, które roślinnej tylko wegetacyi sprzyjają. A gdy te czasy Gabryella porównywała w myśli z owemi pięknemi latami, w których grono ukochanych wspólnie z nią do udoskonalenia dążyło, wyrwał się z jej piersi krzyk oburzenia na to, co miała przed oczyma, oraz tęskne westchnienie za tem, co minęło. Krzyk ten i to westchnienie znalazły artystyczny swój wyraz w utworze, któremu Gabryella dała tytuł: „List nie wiem czyj i nie wiem do kogo.“ List ten napisany był roku 1854 i wysłany do redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“, ale w druku ukazał się dopiero r. 1857 równocześnie z drugim utworem, chłostzczącym samolubstwo i bigoteryę, którego napis: „Adeodat“ (drukowany w „Więńcu“).

Tymczasem, zanim przyszło do druku tych utworów, Żmichowska zraziła się do autorstwa w zakresie artyzmu i długie lata poświęciła przerobieniu rozpoczętej, a tak nie w porę przerwanej „Jeografii.“ Robota szła oporem, w każdym niemal liście z r. 1853—57 czytamy utyskiwania Narcyzy na trudności w prowadzeniu pracy, na brak książek potrzebnych do informowania się o nowych wiadomościach dotyczących

1) Listy Narcyzy Żmichowskiej, t. I, 216.

różnych części świata, na ociążałość myśli, niezdolnej do snucia wątki jednym ciągiem. Czytywała dużo, a zazwyczaj ze szczególnem zamiłowaniem zwracała się do autorów starożytnych, Herodota, Tacyta... Ale czytanie już ją niczego nie uczyło. „Straciłam pamięć — pisała do przyjaciółki — sforsowałam wyobraźnię; jeśli przerzucam drukowane kartki, to dlatego jedynie, by własne myśli zagłuszyć, kiedy są — zastąpić, kiedy ich niema — ot, poprostu pijaństwo umysłowe“<sup>1)</sup>). Naturalnie wyrazów tych dosłownie brać nie można; Gabriella umiała sobie wyrobić doskonały sąd o czytanych dziełach i wyciągnąć z nich odpowiednią dla swego dzieła korzyść; ale dają nam one w każdym razie poznać stan umysłu, w którym niema już tej rzutności i łatwości, jak w wieku młodym, oraz to usposobienie, które pod naciskiem niemiłych wrażeń traci wesołość i chęć do pracy, zmuszając się do niej jedynie przez poczucie obowiązku... Bądźco bądź, wykończyła wreszcie Żmichowska swą „Jeografią“ i odesłała księgarzowi. Z druku wyszła w dwu częściach w roku 1857 i 1858. Najwięcej miejsca poświęciła autorka nader zajmującym szczegółom etnograficznym; po nich fizyczna strona wykładu uwzględnioną została dość obszernie; najmniej rozpisała się o geografii matematycznej. Przy ówczesnym poziomie tej nauki u nas dzieło Żmichowskiej wybitniało dokładną znajomością przedmiotu i powabem wykładu.

W roku 1855 odwiedza Żmichowska Warszawę, w 1857 dla poratowania nadwątlonego cierpieniami wątroby zdrowia, odbywa wycieczkę do Karlsbadu, a za powrotem osiada w stolicy królestwa. Były to już czasy bezporównania lepsze od owych pierwszych lat doby reakcyjnej; ruch żywszy umysłowy dawał się uczuć wszędzie, a przedewszystkiem w Warszawie. Na nowo zagajona kwestya oczynszowania czy uwłaszczenia włościan, świeżo założona Akademia medyko-chirurgi-

<sup>1)</sup> Listy Narezy Żmichowskiej, t. I, str. 333.



czna, popęd do nauki i głębszej rozwagi sprawiają, że rozbawione i wyjałowione w czasach reakcyjnych umysły, zaczynają się poważniej nad sobą i krajem zastanawiać. Gabryella znalazła się we właściwym sobie żywiole i zaraz jej twórczość, tak długo odłogiem leżąca, objawiła się w „Białej Róży“ i utworach pomniejszych. W „Białej Róży“ zobrazowała głęboko a subtelnie charakter kobiety z doby reakcyi: uposażoną we wszystkie talenta i przymioty, świadomą ideałów i środków ich urzeczywistnienia, ale niezdolną do czynu z powodu zaniku woli, z powodu poddania się biernego wpływowi otaczającej dusznej, wonią konwensów przesiąkniętej atmosfery. W utworach pomniejszych roztrząsa Gabryella różne objawy krzywizn moralnych, wynikłych z zaprzeczenia w człowieku swobody i polotu niezależnej myśli i samoistnego uczucia.

Mieszka wtedy (od końca 1858 r.) w domu przy ulicy Miodowej i Senatorskiej, na tak zwanem poufale „Miodogórzu“, otoczona sympatyą dawnych i młodszych przyjaciółek. Zawijaże stosunki z zacną i rozumną młodzieżą, która ją czci i wielbi. Nie wymieniając tu całego szeregu nazwisk, niepodobna przepomnieć Edwarda Jurgensa... Wtedy też powstaje myśl ogłoszenia zbioru pism Gabryelli, myśl niebawem urzeczywistniona; pisma te bowiem wychodzą z początkiem roku 1861 w czterech tomach. Dają one poznać utwory wielkiej poetki szerszemu niż dotychczas ogółowi, bliższym zaś znajomym nastęrczają chęć uczczenia autorki uwielbianej jakąś miłą dla niej pamiątką. Na pergaminie, na którym malarz B. P. myśl grona kobiet chcących uczcić i Gabryellę i Narcyzę w plastycznych kształtach uwydatnił, położyły one swoje podpisy; ze składek zakupiły krzyż srebrny. W wigilią Bożego Narodzenia r. 1861 zebrały się, weszły do pokoju Żmichowskiej na Miodogórzu; zaległa cisza uroczysta, wzruszenie głos im w piersiach zaparło. Wyrazicielką uczuć była najmłodsza z grona; słów niewiele, lecz wiele uroku; lzy rozrzewnienia, lzy Gabryelli i ich własne były najlepszą krasomówską przenośnią, zrozumiano się;

wszystkie poczuły się z sobą zespolone. Gabryella w odpowiedzi rzekła ze zwykłą sobie skromnością: „nagradzacie chęć dobrą, a nie zasługę.“

Pod wpływem tej uroczystej chwili powstaje myśl „pogadank pedagogicznych,“ które z początkiem roku 1862 przy ogólnym już naówczas rwaniu się do nauki, przychodzą do skutku. Z kilkomiesięcznego kursu tych pogadank pozostały notaty, które Żmichowska spisywała przed każdą lekcją dla własnej pamięci; są one interesujące i ważne, ale wedle zapewnienia uczestniczek, nie dają pojęcia o świetnej improwizacyi, jaką Gabryella wypełniała zakreślone ramy. Słuchaczki zachowały urocze wspomnienie zarówno słów Żmichowskiej, jak i własnego podniosłego nastroju.

Pod koniec roku 1862 powołana została Żmichowska do wykładu Geografii w świeżo wtedy utworzonym Instytucie panien. Widząc przed sobą otwierające się pole użytecznej pracy na szerszą skalę, przyjmuje tę posadę, a wykład swój opiera na geografii fizycznej. Rzecz trudna do uwierzenia, że to, co według dzisiejszych pojęć metodycznych uznano by za zaletę kursu, naraziło nauczycielkę na zarzut, że uczy dziewczęta rzeczy niepotrzebnych. Taki zarzut zmusił ją po kwartale nauczania do opuszczenia stanowiska w Instytucie.

W początkach więc r. 1863 opuszcza Warszawę i przenosi się na wieś, gdzie przypatrując się bolesnym wypadkom, naucza małe dzieci do rodziny jej należące. Żmichowska już od r. 1859 chętnie i stanowczo przyłączyła się do grona ludzi, którzy na drodze pracy organicznej szukali polepszenia losów kraju <sup>1)</sup>. Podniesienie rolnictwa, przemysłu i handlu, rozwój oświaty poczynając od klas najniższych i najliczniejszych, uprawa nauki gruntownej, wyrabianie świadomości narodowej, poznanie potrzeb kraju pod każdym względem:

---

<sup>1)</sup> Zob. list z 4-go października 1859 r. do Seweryna Elżanowskiego, Listy, t. II, 23—43.

oto były zadania pracy powolnej, mrówczej, ale nie-odzwonnej.

Takie mając pojęcia o najważniejszych zadaniach naszego społeczeństwa, łatwo się Żmichowska zorientowała, co robić nam wypada, gdy nastąpiła zmiana w stosunkach wieśniaczych, gdy masy powołane zostały do życia obywatelskiego, gdy się zmieniło położenie wielkich posiadaczy ziemskich. Odczuła ona to, co się wówczas w głowach młodzieży niewyraźnie rysowało, i z nadwyzwyczajną w jej wieku i wśród jej płci energią zabrała się do studycwania nauk przyrodniczych. Przez trzy lata, poczynając od 1864, wertowała botaniki, zoologie, mineralogie, astronomie, fizyki i chemie; następnie zapoznała się z dziełami Buckle'a, Darwina i Renana—i znalazła w nich wyjaśnienie niejednej wątpliwości, która jej dawniej spokoju nie dawała, znalazła tyle pokrewnych umysłowi swojemu twierdzeń, że się nimi mogła i umiała nietylko zachwycać, ale i posługiwać w rozumowaniach i wywodach. Z idealistki stała się pozytywistką, sympatyzując z tym ruchem piśmienniczym, jaki powstał w kraju wskutek działalności młodszego pokolenia, w Szkole Głównej wykształconego. Nie utraciła przez to nic ze swojej podniosłości moralnej i z dążności ku urzeczywistnianiu ideałów, tylko znalazła dla nich podkład gruntowniejszy, na twardej rzeczywistości oparty. Powzięła wstręt do wszelkich ogólnikowych zaciekań i filozoficznych systematów; a natomiast nabrała poważania dla faktów. Nie znaczyło to jednak, iżby umysł jej, tak zawsze dążący do syntezy, miał się jej wyrzec; tylko że zamiast snuć pajęczą siatkę z wyobraźni, jak dawniej nieraz bywało, teraz starała się do uogólnień dobrać trwalszego, faktycznego z zewnątrz branego materiału. Z ortodoksyą teologiczną nie pogodziła jej naturalnie teoria Darwina, ale nie zabiła w niej ani zdolności do entuzjazmowania się, ani szlachetnych popędów; a wywody Buckle'a nie zdołały w niej zachwiać wiary w znaczenie woli ludzkiej i w jej wartość i potęgę etyczną. Przekonała się

tylko, że niebezpieczną jest rzeczą przyczepić myśl swoją do jakiejś kombinacji i kręcić nią na wszystkie strony, żeby się w coś do sensu ułożyła, że łatwo się można „przemysleć,” a rzecz to niezdrowa i niepożyteczna, gdyż rozleniwia z natury już skłonne do lenistwa osobistości. Zrozumiała, że trzeba pytać, nadewszystko zaś samemu odpowiedzi szukać, albo też trzeba umieć bez ostatniej się obejść, i dowiedziawszy się, o co głównie chodzi, umieć na tem poprzestać <sup>1)</sup>). Co do miłości, której niegdyś była najradykałniejszą wyznawczynią, nabrała przeświadczenia, że miłość jest zupełnie naddatkową aureolą, losem wygranym na loteryi: kiedy przyjdzie, dzięki Bogu, a cześć jej; lecz kiedy nie przyjdzie, zawsze jednak dalej taczkę pchać trzeba, bo to jest obowiązek, a do pewnego stopnia, w wielu okolicznościach, łatwiejszy do spełnienia, kiedy miłość na scenę nie występuje <sup>2)</sup>).

Mimo atoli w ten sposób zmienionych przekonań, umie ona zrozumieć odmienne i gotowa stanąć w obronie potępianej egzaltacji naturalnie nie jako dawna entuzyastka, ale jako kobieta, pojmująca dobrze procesy psychologiczne. „Dałyśmy sobie narzucić—pisze do przyjaciółki w r. 1871—lekceważenie dla tego wyrazu, a przecież czynmy to lub owo, zawsze się z nim spotkamy, jak z obelgą od głupców, jak z zarzutem od rozsądnych, jak z *gatunkowem oznaczeniem* od sprawiedliwych—i słusznie. Jeśli namiętność jest silną, skoncentrowaną wolą ku zadowoleniu samolubnych żądz skierowaną, to egzaltacja znowu jest słabą i rozproszoną wolą ku najlepszości, ku pięknu, ku Bogu, to jest ku Prawdzie skierowaną. Ta biedna wola łamie się wśród nieprzyjaznych okoliczności, ubezwładnia wśród zawodów, wyczerpuje się nieraz brakiem zdolności, ale jest szczerą, jest pocziwą; co więcej powiem: jest zbawiającą dla przyszłych pokoleń, jest

<sup>1)</sup> Listy Narezy Żmichowskiej, t. II, 553.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 546.



rękojmą nieprzygasłego ostatecznie ogniska, nadzieją, że z tej iskry da się płomień i światłość rozniecić... Czy istotnie można się wyrzec ideałów—pragnień dobrego—miłości niewidzianego jeszcze piękna—tęsknoty za niedoznanem nigdy szczęściem? Nie można—rodzą się takie stworzenia gotowiuteńkie; nikt ich nie uczy tego, nikt w tem nie zachęca; owszem, kto może to odstręcza — te się przecież odstręczyć nie dają i są. Są bardzo nieszczęśliwe, bardzo zbolełe, ale są; kiedy są, toć według Darwina muszą walczyć o prawo do życia i walczą poswojemu: jedne niefortunne, albo też, powiedzmy gorzkim słowem, niepraktycznymi zaczątkami, inne skargą, inne rozsianą wkoło niespokojnością, ale ostatecznie z ich cierpień i błędów wkońcu dla drugich zysk i przybytek. Ileż to emancypantek wysmiano; ile ich samych utopiło się w awanturach, żeby zaczęło się upowszechniać — zaledwie upowszechniać — to proste przekonanie, że trzeba kobietom zdrowej i gruntownej nauki, trzeba wystarczającego na utrzymanie zarobku — a ile to jeszcze ofiar padnie, nim djdą do tego, by uznać prawa człowieczeństwa w kobiecie, chłopie i rzemieślniku, by im odpowiednie wykształcenie i nakoniec swobodne ich przystosowanie przysądzić. Póki tego nie będzie, póty będą dusze egzaltowane, a szczególnie młode dusze egzaltowane“ 1).

W r. 1869 po raz pierwszy zwiedziła Żmichowska Tatry, żałując, że nie mogła tego zrobić wcześniej, gdyż przybyłby może do jej twórczości jeden jeszcze pierwiastek: zdolność odczucia i odtworzenia piękności przyrody. Na szczyty wdzierać się nie pozwoliła jej słabość sił; poznała więc tylko Kościeliską dolinę, była w Pieninach, bawiła w Szczawnicy, a następnie zajrzała do Lwowa, zaznajomiła się osobiście z tamecznymi znakomitościami. Za powrotem zamieszkała

---

1) Listy Narczyży Żmichowskiej, t. II, 501, 502. Cały ten list wart pilnego odczytania.

stale w Dębowej górze i przez lat kilka pędziła całkiem ustronne życie, komunikując się jedynie z najbliższymi znajomymi, czytając i ucząc dzieci. Twórczość, do której ją ze wszech stron wzywano, nie dała się obudzić. Miała wprawdzie Gabryella oddawna już pomysł powieści, w której pragnęła zaznaczyć swoje zmienione pod wpływem realistycznego kierunku poglądy na życie, ale wykonać go w całości nie mogła. „Kasia i Marynka“ nie przybrała form skończonych, pozostając zbiorem fragmentów tylko. W r. 1873 ogłasza nowe wydanie, dawniej już opracowane, części elementarnej „Wykładu nauk.“ Pierwszy raz w życiu podejmuje się przekładu. P. Adolf Pawiński zamierzył być wydać po polsku „Historją Anglii“ Macaulaya i zwrócił się z propozycją do Żmichowskiej, żeby część pracy wzięła na siebie. Jakkolwiek w uzdolnienie swe do tego rodzaju pracy nieufna, postanowiła jednak przemódz się i tłumaczenia dokonać. Z wielkim to przyszło jej trudem, ale z zadania wywiązała się dobrze. W jej przekładzie wyszedł tom VI-ty i IX-ty „Dziejów Anglii“ (w r. 1874).

Honorarium otrzymane za tę pracę ułatwiło jej możliwość przeniesienia się na stałą siedzibę do Warszawy. Jakoż w październiku 1874 roku zamieszkała tu stale i zajęła się gorliwie powierzonym sobie już dawniej wydawnictwem dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Wyszły one nakładem Spółki księgarzy warszawskich w XII tomach w r. 1875—7. Mieści się tu nader ciekawy i pouczający wstęp do dydaktycznych pism Klementyny, oceniający historyczną i społeczną doniosłość jej działalności. Myśl o wykształceniu dorastających pokoleń nieodstępnie towarzyszy ostatnim latom jej życia: „pisze artykuły o języku polskim i o bonach, daje wskazówki pedagogiczne małemu gronku uczennic, sposobiących się do nauczycielstwa elementarnego, informując je, na jakich zasadach opręć mają pracę nad rozwijaniem umysłu dzieci, oraz jak dopełniać niedobory własnego wykształcenia. Słuchaczki zaczęły postępować we wskazanym przez Narcy-

zę kierunku, uczą dziś w ochronkach, szkółkach, na pensjach i w domach prywatnych; same pracują bezustannie nad przyswajaniem sobie dobrych metod nauczania i dzielą się z młodszymi koleżankami nabytym doświadczeniem“<sup>1)</sup>).

Obok tych pedagogicznych zajęć, Żmichowska gromadzi w ostatnich latach swego życia wspomnienia młodości, ażeby na ich tle nakreślić pouczające obrazy dla przyszłych badaczy rozwoju duchowego u nas. W tej myśli pisze opowiadanie o Pawle Edmundzie Strzeleckim i помещa je w świeżo r. 1876 założonym miesięczniku „Ateneum;“ w tej myśli rzuca plan obszernego utworu, który w formie powieściowej miał objąć zarys psychologiczny tych objawów życia, jakie nadały znamienne cechę trzeciemu i czwartemu dziesiątkowi naszego stulecia. Do utworu tego miało wejść dużo materiału autobiograficznego; ale nie miała to być historia młodości Narcyzy; owszem, ze względu na to, ażeby utwór odbijał wiernie charakter czasu, pomijała rozmyślnie niektóre rysy czysto osobiste, jako wyjątkowe. Całość składać się miała z 4-ch części; w pierwszej zamierzała autorka przedstawić lata dziecinne i pensyonarskie bohaterki, Napoleonki Hołosko; w drugiej — lata wstępnej młodości, kiedy bohaterka bawiła w domu ciotki; w trzeciej — lata młodości prawdziwej, kiedy Napoleonka gospodarowała do wspólki z bratem; w czwartej wreszcie — lata młodości ulatującej, od ożenienia się brata do jego śmierci. W zakończeniu miała autorka zebrać snopek wszystkich swoich pragnień, niepewności, omamień, ułożyć bilans strat i nabytków. Żmichowska spisała cały plan dzieła dosyć szczegółowo, tak, że z niego można mieć pojęcie o całym przebiegu przejść wewnętrznych bohaterki i wypadków zewnętrznych, w których brała udział; ale artystycznie wykonała tylko część pierwszą i to nie całkowicie, gdyż doszła zaledwie do lat nauki. Utwór ten nosi napis: „Czy to powieść?“

1) Z rękopiśmiennych notatek pani J. B.

Pomimo cierpień dojmujących, nie traciła Gabryella pogody ducha. Zartobliwie obiecywała sobie żyć lat sto, a jakkolwiek daleko było do tego kresu, dotknęły ją istotnie te ciosy, jakie długowiecznym grożą: ciągle ktoś z najbliższych jej sercu ubywał, to ukochany brat Erazm, to trzy najdawniejsze i najserdeczniejsze przyjaciółki-entuzystki: Kazimiera Ziemięcka, Wincenta Zabłocka, Anna Skimborowiczowa. Przyszła też kolej i na Narcyżę; 25-go grudnia 1876 roku rozstała się z tym światem, ale nie umarła, bo żyje jej słowo, jej dusza, zarówno w sercach i umysłach tych, co jej byli przyjaciółmi lub uczennicami, jak i w pismach Gabryelli, których wpływ nietylko nie maleje, ale się wzmacnia i wzmacniać będzie ciągle wmiarę podnoszenia się poziomu oświaty w naszym kraju. Taka nieśmiertelność, o jakiej ona marzyła, jakiej sobie i najdroższym swoim życzyła, stała się w zupełności jej udziałem. Nie pisała ona nigdy dla efektu, dla poklasku chwili; to też jej znaczenie chwilowem nie było. Dzisiaj więcej naród wie o niej i lepiej ją ocenia, aniżeli za najświetniejszej doby jej twórczości. Jesteśmy przekonani, że przyszłość sąd obecny nie tylko zatwierdzi, ale go jeszcze rozszerzy i pogłębi.

*Piotr Chmielowski.*

---







## Szczeście poety.

---

Ach! być poetą! Czy wiesz, dziewczyno,  
Co to poetą być znaczy?  
To jest mieć wszystkie skarby bogaczy,  
Rządzić cudowną, Boską krainą,  
Jakiej król żaden nie ma na ziemi,  
Którą ze szczęścia, z czystej mądrości,  
Z wielkiego czucia, z nieskończoności  
Stwarza się siły własnymi.

Ach! być poetą, to jest być razem  
Wszystkiem co żyje pod niebem, w niebie,  
Kropelką rosy, iskierką, głazem,  
Świat wielki przedzierzgnąć w siebie;  
Światu wielkiemu dumnie panować  
I gwiazdy nocy, poranku zorze,  
Ciche strumienie, wzburzone morze  
Według swej woli kierować.

Ach! być poetą, to ducha cudem  
Czas niedościgły ująć w swe szpony,  
Powieścią wieków zedrzeć zasłony,  
Hymnem przyszłości nucić przed ludem,

W jednej godzinie przywłaszczyc sobie  
Długiego życia innych wrażenia,  
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia  
I myśl ostatnią starców o grobie!  
Być męczennikiem za świętą wiarę,  
Aniołem stróżem małej kołyski,  
Rycerską dłonią rzucać pociski,  
Albo kapłańską spełniać ofiarę;  
Nie być mężczyzną, nie być kobietą,  
Prawem, co ludzie mylnie nakreślą.  
Lecz być pojęciem, uczuciem, myślą,  
Dziewczyno — to być poetą!

Jeśli ci się ujrzyć zdarzy  
Łzę w mem oku, smutek w twarzy,  
Jeśli w życia podróży  
Mówić ci kiedy będę,  
Że mi się czas już dłuży,  
I zmęczona usiedę  
Na spoczynek przy drodze,  
I żalom puszczę wodze,  
I skarżyć będę okrutności losu,  
Patrząc na współwędrowców, moich towarzyszy,  
Z których żaden nie usłyszysz  
Mojego głosu,  
Ani głosu natury, ani Stwórcy świata,  
Co woła wiekiem nędzy do przyszłego wieku,  
Że dla człowieka w człowieku  
Nie stworzył sługi, lecz brata.....

Jeśli na widok zepsucia,  
Które się szerzy dokoła,  
Szyderstwem stępie uczucia,  
Pogardą nagina czoła,  
Trony myśli, któremi prawda się tak szczyści,  
Że one tylko być mogą  
Czystem zwierciadłem cnocie,  
Aż je zepsucie pochwyści,



Nikczemną zdepce nogą  
 I zanurzy w swoim błocie...  
 Jeśli na obraz nędzy, tęsknoty,  
 Złego nad dobrem przewagi;  
 Niecznej obłudy, grubej ciemnoty,  
 Zbraknie mi w sercu odwagi;  
 Jeśli beczynnje opuszczę ręce  
 I szalem dzikiej rozpaczy  
 Najczystsze szczęście ducha poświęcę  
 Za podłą rozkosz bogaczy —

Wtenczas ty siostrę pociesz, dziewczyno.  
 Orzeźwij, pokrzep na sile;  
 Choć jady złego do serca wpłyną,  
 Bądź ku dobremu podnieta,  
 Wspomnij jej tylko, że przez trzy chwile  
 I ona była poetą.

Tak jest: raz pierwszy gdym poetą była,  
 Dokoła się majowa łąka zieleńiła  
 Jak szmaragdowe jezioro;  
 Na łące kwiateczków sporo:  
 Żłote jaskry i koniczyna różowa;  
 A dalej w cieniu lasku,  
 Modrą wstążką po żółtym piasku  
 Czysta rzeka płynęła  
 I cały obraz ścisnęła,  
 Niby przepaską godową

Ja szczęśliwa, wesoła.  
 Biegałam po łące,  
 Zrywałam dookoła  
 Kwiatki woniejące  
 I pytałam ich ciekawie:  
 Co one mówią do siebie  
 Gdy słońce błysnie na niebie,  
 Lub gdy blada twarz księżycy  
 Cienie nocy im oświeca;

Lub gdy w dzień był upał wielki,  
A niebo rosy kropelki  
Wieczorem sieje po trawie?  
Pytałam — kwiatki wszystkie z kolei  
W cudowne pieśni zagrały  
I w imię szczęścia, w imię nadziei  
Swoją mnie siostrą nazwały.  
I byłam kwiatkiem, co na łące rośnie,  
Wonnem powietrzem łąki oddycha,  
Co się tak wdzięcznie uśmiecha wiosnie,  
Gdy wiosna jemu uśmiecha;  
Promień słońca mnie pieścił,  
Karmił deszczyk perłowy;  
Wietrzyk w listkach szeleścił,  
Rozpędzał czarne chmury,  
Dźwięcznemi gwarzył słowy:  
Coś o cudach natury,  
Coś o świata wielkości,  
O Bogu, o miłości.  
A ja piękniej przystrojona  
Niżli szatą Salomona.  
Co go w dzień chwały okrywa,  
Ja, rosy szczęścia mając dostatek,  
Słuchając pieśni, byłam szczęśliwa,  
Byłam szczęśliwa — jak kwiatek.

Lecz potem obszar łąki zbyt mały  
I w duszy inna myśl błyska;  
U ramion dwoje skrzydeł wytryska,  
Ja, z kwiatka orzeł, lecę nad skały;  
Lecę daleko, lecę wysoko,  
Słońce się z orła śmiać chciało,  
Orzeł mu spojrział dumnie oko w oko,  
Słońce się w obłok schowało.  
Ja dalej lecę — gdzie burz siedlisko,  
Silnemi szpony rwę czarne chmury;  
Zdziwiony piorun, widząc mnie blisko,  
Musiał ustąpić hybkiemi pióry;

Ja wyżej lecę — aż tam, gdzie chciałam,  
Lot mój wstrzymałam.  
Spojrzę nadół, przepaść ciemna,  
Tylko bystre orła oczy  
Widzieć w niej mogą:  
Jak kolistą drogą,  
Brudna, mała i nikczemna  
Ziemia się toczy;  
Ziemia — me dawne mieszkanie!  
Wzrok smutny, lecz hardy,  
Litości i wzgardy,  
Przez gęste chmury  
Rzuciłam ku niej na pożegnanie,  
Potem go wzniosłam dogóry;  
A com widziała wyżej od siebie,  
A ilem szczęścia czuła odrazu,  
Na to pod niebem niema wyrazu.  
To powiem tylko — braciom orłom w niebie!

Potem, raz trzeci zmiana istoty  
Czucie i myśl mą odmienia;  
Kwiatka rozkosze, orła poloty  
Zakułam w łono kamienia.  
„Kamień nie czuje“ — ludzie powiedzą,  
Och! nie wierz ludziom, dziewczyno!  
Żyły kamienia iskrami płyną  
Choć ludzie o tem nie wiedzą.  
Byłam kamieniem — ni mędrca oko,  
Ni wichru szwały, ni burzy wycie  
Nie wysledziły skrytej głęboko  
Jasności ognia w granicie.  
Ja, głaz dla innych, a światło sobie,  
Całej przeszłości zebrałam wątek,  
W grób zakopałam i na tym grobie  
Strzegłam świątyni pamiątek.  
Tam z przeszłych złudzeń wszystko co było  
Uciechą kwiatka, orła wielkością,  
Wszystko pod ziemny pomnik się skryło  
Przed burz północnych wściekłością.

Bo ja z nawałnic, ja z burz się śmieję:  
Czyż mnie to piorun rozkruszy?  
Czyż mi wyszarpią mroźne zawieje  
Tajemnicę świata z duszy?  
Och nie! ja wicher przetrzymam w biegu,  
Twardsze od twardych gromów mam czoło,  
A chociaż śniegi spadną wokoło,  
Pierś mam zimniejszą od śniegu;  
Tylko, że pierś ta innym ukrywa  
Tlejącą iskrę dawnych omamień,  
Więc po raz trzeci jestem szczęśliwa,  
Jestem szczęśliwa — jak kamień.

---



# PRZĄDKI.

POWIEŚĆ

ZE WSPOMNIENIŃ DZIECINNEGO WIEKU.

---

Gdzie jest taka szczęśliwa istota, która pamięta owe błogosławione, czysto chrześcijańskie wieczory przątek? Założę się, że w Polsce niewiele takich się znajduje, lecz przynajmniej ja dość szczęśliwą jestem, by stanąć w ich rzędzie. A niechże Bóg broni, żeby teraz która pani usiadła w izbie czeladnej z wrzecionem, żeby między służebne i wiejskie dziewczuchy posadziła córkę swoją wypieszczoną, wydmuchaną panienkę. Cóżby to było potem za uszanowanie dla pani? Cóżby to być mogło za zgorzenie dla panienki? Oj prawda, prawda, nasłuchałoby się może niewiniątka słów grubych i nieprzyzwoitych żartów, które tylko po francusku czytać można. — Nie myślę ja tego zaprzeczać; według wszelkiego prawdopodobieństwa musiały sprostaczeć obyczaje niższej klasy, od wszelkich towarzyskich stosunków z wyższemi odsuniętej — tylko mi się zdaje, że nie jej w tem wina. Kto ma więcej ukształcenia, powinien się niem z drugimi dzielić, kto ma więcej światła, drugim świecić powinien. „Nie stawiaj świecy pod korcem“ — czytają wszyscy te sło-

wa, a nikt ich czy nie rozumie, czy nie chce rozumieć. Kto ma by na pół łuta więcej od innych oleju w głowie, to się tak dobrze panoszy i odstrychuje od uboższych duchem, jak miałkiego mózgu bogacz od uboższych pieniędzmi. Złe to jest, a może nawet pierwsze od drugiego gorsze. Nie każdemu jest dane, żeby sam z siebie postępował w mądrości ludzkiej. więcej jest takich, którzy potrzebują uczyć się od innych; gdy rozumni od nich się odsuną, cóż mają począć biedni nieświadomi? Oto w głębszej jeszcze pograżą się nieświadomości, żeby w zapomnieniu chęć nawet i owę niepewną tęsknotę ku czemuś jaśniejszemu zatracić. — Co do mnie, ja tak wierzę w wygładzenie obyczajów wieśniaczych, byle się do nich towarzysko z wyższych miejsc przybliżono, jak wierzę.... oto jak wierzę w pamięć świętej kobiety-aniola, której serce moje prawdziwie macierzyńskie zawdzięcza starania. Jej przykład nauczył mnie tej wiary. Jej winnam już tak rzadkie gdzieindziej wspomnienie o wieczorze prządek.

Alboż to ja raz pamiętam, jak ona, len biały rozdzieliwszy, sama siadła przy kominie z dziewczkami, a ja przy niej na ławie, bezczynna, bo jeszcze zadrobne miałam do przędzenia palce. jednak w późną noc czuwająca, tak mi się spać nie chciało. tak zawsze wypraszałam się od łóżka. Cha! trzeba też przyznać, że na dziesięć mil dokoła nigdzie równie pięknych jak u nas nie opowiadano bajek, a nasze prządki chwaliły się też, że i len nigdzie tak biały nie był i że lnu tak cienka nitka nie skręcona; tkacz to samo o naszych talkach powiadał, okoliczne wioski wcale temu nie przeczyły. sława naszych dziewczyn rozchodziła się daleko i raz tylko jeden.... ale właśnie to jest wspomnienie, którebym tu chciała tak wiernie opisać, jak wiernie do dziś dnia w mojej pamięci spoczywa.

Była to sobota — walne zebrało się grono, bo w poniedziałek miał tkacz przyjść po przędziwo, a jeszcze wiele terek do zmotania i do uprzedzenia się zostało. Pani przeznaczyła nagrodę dla najpilniejszej — sliczną czerwoną wstążkę, kwartę orzechów i parę ru-

mianych jabłek. a po wsi kazała ogłosić, żeby wszystkie kobiety, umiejące tylko trzymać wrzeciono i ruszać kołowrotkiem. przyszły do dworu na robotę. Zebrało ich się też niemało; jak komin obsiadły, jak się przy małej świeczce nagromadziły, to aż się ciemno w izbie zrobiło.

Na zwykłym mojem miejscu siedziałam cichuteczko z otwartymi oczyma. bo tylko czekać było trzeba. rychło się zaczęły bajki i powieści. Pozwalała mi ich słuchać moja przybrana matka. Och! wiedziała ona dobrze o tem, że z prostych ust wieśniaczki nie tak drożnego nie wyjdzie, coby skazić duszę, zepsuć serce dziewczęcia mogło. Czuwała ona i nademną i nad niemi.

Owego więc sobotniego wieczora zwykłą koleją zaczęto od pieśni. Była między dziewczuchami Ulina, nie ładna, ale najwięcej umiejąca piosneczek. Ciekawa jestem, jakby mi się teraz jej głos wydał. bo wówczas. to pamiętam. że zawsze z niewymowną słuchałam jej rozkoszą. Ulina też bardzo spiewać lubiła — jakiś nie był to śpiew wesoły, szczęśliwy. śpiew takiej, co to jej w życiu wszystko się uśmiecha. i owszem, Ulina do wesołych nawet wyrazów rzewnej. przeciągłej używała nuty, ale spiewała zawsze. w polu nad sierpem schylona, w oborze przy krów dojeniu. w kosciele nawet, wśród wszystkich głosów piskliwych. niezgodnych czasem, wznosił się jej głos czysty i smutny: widać że śpiew musiał być jej najgorętszą modlitwą. Ulina więc najpierwsza ozwała się znaną dobrze wszystkim piosenką: „Już miesiąc zaszedł. psy się uspiły.“ — Szczęśliwy Karpiński w ustach ludu żyje. — Zaraz kilka innych głosów złączyło się z Uliną, a ja słuchałam z zajęciem, jakby czego nowego, i żałowałam. że nie mogę wyrzekającej Laury o jej przechowanym ostrzedz kochanku. Kiedy skończyły. pani z dobrocią rzekła do Uliny:

— A czy usłyszemy dzisiaj co nowego?

— Oj, i coś zupełnie nowego — odpowiedziała z radością, sama się ciesząc, że jeszcze będzie mogła

śpiewać. bo poczciwa Ulina nigdy się o to długo prosić nie dawała; — była tu wczoraj moja krewniaczka z Krzywicy, nauczyła mnie też ona pięknej, pięknej piosneczki.

Wszyscyśmy uszu nadstawili, ja najwięcej, a na słowo Uliny tak mi się spodobała śpiewka. że później na pamięć nauczyłam się całej. Oto jest:

Jak dzień po dniu w polu świta,  
Tak dzień po dniu raniuteczko,  
Jasio swoją Kasię wita  
Na dzień dobry piosneczką.

„Kasiu moja, Kasiu miła;  
Jutrenkać już zaświeciła.  
A mnie pług czeka z robotą;  
Twoję najpierw zorzę grzędę,  
Dla ciebie pracować będę,  
Oj dla ciebie, to z ochotą!  
Oj dla ciebie, Kasiu droga!  
Choćby mi się całe ciało.  
Krwawym potem oblać miało,  
Będę jeszcze chwalił Boga,  
Będę go chwalił na niebie,  
Że dał pracować dla ciebie.  
Śpij. Kasienko, śpij, kochanie!  
Tobie jeszcze wstawać wcześniej;  
Ja ci śpiewam, by śpiewanie  
Przypomniało Jasia we śnie.  
Śpij spokojnie, jak w niedzielę,  
Matula cię nie wyłaje;  
Jaś za ciebie rano wstaje,  
Jaś za ciebie zagon spieje.  
Nie chcę krówki, nie chcę chaty,  
Oj nie chcę żadnej zapłaty,  
O skarby świata nie stoje,  
Tylko ty, dziewczę, bądź moje!“



Codzień w polu ranek świta,  
Codzień Jasio Kasię wita,  
Codzień Kasia u okienka  
Kiej malina, kiej wisienka.  
Kasiu! Kasiu! jadą swaty.  
Nie od Jasia, od biednego,  
Pan starosta śle bogaty.  
Matula się cieszy z tego.  
Jaś przychodzi raniuteńko:  
Nie otwarło się okienko,  
Jasia piosnka prześpiewana,  
Nie wyjrzała ukochana.

— Matulu, matulu miła,  
Gdzie się Kasienka podziała,  
Cóżes z Kasienką zrobiła?

— Za panam ci ją wydała.

— Za pana? a za jakiego?

— Za starostę warszawskiego.

Ej nie płacz, chłopcze. nie szlochaj,  
Nie masz jednej, druga będzie,  
Ta zdradziła, inną kochaj,  
Ładnych dziewcząt pełno wszędzie.

— Oj nie wszędzie, nie dla Jasia!  
Dla mnie tylko jedna Kasia!  
Mówcie wy sobie, co chcecie,  
Jedna dla mnie Kasia w świecie!

Na zamku starosty święto,  
Starosta sprawia wesele,  
Zjechało się gości wiele  
Pić, tańczyć, hulać zaczęto.  
Kasia na przedzie tańczy,  
Złotą suknią połyskuje,  
Kasia się bawi szczęśliwa —  
A u starosty podwoi,  
Smutny Jasio smutnie stoi,  
Smutny Jasio smutnie śpiewa:

„Kasiu moja, Kasiu miła,  
Jutrzenkać już zaświeciła,  
A mnie pług czeka z robotą;  
Twoją najpierw zorzę grzędę,  
Dla ciebie pracować będę,  
Oj dla ciebie, to z ochotą!  
Oj dla ciebie, Kasiu droga,  
Choćby mi się całe ciało  
Krwawym potem oblać miało;  
Będę jeszcze chwalił Boga,  
Będę go chwalił na niebie,  
Że dał pracować dla ciebie.  
Śpij, Kasiuńko, śpij, kochanie,  
Tobie jeszcze wstawać wcześniej;  
Ja ci śpiewam, by śpiewanie  
Przypomniało Jasia we śnie.  
Śpij spokojnie, jak w niedzielę,  
Matula cię nie wylaże —  
Jaś za ciebie rano wstaje,  
Jaś za ciebie zagon spiele.  
Nie chciałem krówki ni chaty,  
Nie chciałem żadnej zapłaty,  
Ciebie chciałem. Kasiu miła,  
Tyś mną biednym pogardziła!  
Kiedys taka, szydzisz z biedy,  
Bądź-że sobie starościną;  
Powiedzą ci ludzie kiedy,  
Kto mej śmierci był przyczyną.“

Kasia piosnkę usłyszała,  
W rzewne łzy się rozplakała,  
Przez trzy komnaty skoczyła,  
Przez trzy komnaty, trzy progi,  
Na szyję mu się rzuciła:  
— Ty mój Jasiu, ty mój drogi!  
Weź, starosto, szaty złote,  
Odbierz wszystko co twojego.  
Ja mam tylko serce, cnotę,  
Serce, cnota dla biednego,  
Serce, cnota Jasia mego!

Pochwaliły wszystkie prządki piosenkę Uliny, bo prządki nie mają wybrednego gustu. Któraś z nich ozwała się nareszcie, żeby zacząć bajki, ale dziecięcy głosik wniósł inną prośbę:

— Ulinko, a jeszcze nie śpiewałaś o Kalinie —  
zaspiewaj, moja Ulinko!

I przystano na prośby dziecka, któremu ta piosieczka najulubieńszą była:

Siostró moja, Kalino,  
Schowaj się między skały,  
Panicz idzie doliną,  
Panicz piękny, niestały.  
Niech cię ostre gór brzegi,  
Niech potoki i śniegi,  
Niech cię lasy osłonią,  
Przed niestałego dłonią.  
Siostró moja, Kalino,  
Lepiej rosnać na skale,  
Lepiej czekać, aż spłyną  
Mętne potoku fale,  
Lepiej w śniegu zimowym,  
Lepiej w lesie jodłowym,  
I przed słońcem się schować  
W jaknajgłębsze ukrycie,  
Niż potem całe życie  
Niestałego żałować.  
Siostró moja, Kalino,  
Twardszą ma niżli skały,  
Twardszą duszę niestały.  
Siostró moja, Kalino,  
Potok płynie doliną;  
Niżli kropli w potoku,  
Więcej będzie łez w oku.  
Zimne śniegi z lutego,  
Zimniejsze serce jego.  
Choć w lasach ciemno tobie,  
Kalino, ciemniej w grobie!

— Ulinko, a o łowach:— Pojechali na łów, na łów...

— Och! panienska to widzę już żadnej bajki nie chce dzisiaj usłyszeć — odezwała się Petronela kowalka.

I owszem, bardzo bajki lubiłam. tylko kiedy pierwszej zaczęli śpiewać. to mnie tak się i ta i ta piosenka podobała, że radabym była wszystkie odrazu usłyszeć, a nawzajem kiedy opowiadano, to chociażby najweselszy koniec każdej bajki mnie zasmucał. Petroneli zaś bardzo szło o to, żeby prędko przejść do bajek, bo w bajkach nie było nad nią bieglejszej. Pamiętam ją dziś jeszcze — wysoka. silna, przy ciężkiej pracy z najmocniejszymi parobkami szła nieraz w zawody. Miała czarne włosy. czoło w skroniach szerokie, pod dwoma równo zakreślonymi brwiami niebieskie pociągłe oczy, twarz kościstą, okrągłą, dobrze słońcem zrumienioną, a w świeżych jak korale ustach rząd takich równych, takich białych zębów. żeby je niejedna wielka pani. gdyby można było. dukatami odkupiła. Petronela śmiała się też często i mówiła, że nie tylko do swego męża. ale kto wie? może przez zazdrość tak gadały kobiety, bo w całej wsi ona za najpiękniejszą uchodziła. Czemużby między wieśniaczkami lepiej było. niż na wielkim świecie? Och! ja wcale na ich korzystać kłamać nie chcę, ja prawdę zawsze i o wszystkim powiem. a jak nie dadzą prawdy mówić—wielka rzecz—to zamilczę.--Bądźcobądź, kowalka zawsze bardzo moralne opowiadała bajki i najczęściej z nową jaką przyszła na wieczorynkę. Zwykle ustępowała pierwszeństwa mniej wprawnym, dopiero kiedy one wyczerpnęły już zwyczajne powieści o czarownicach. o zaklętych księżniczkach, o sygnetach, o dwóch braciach mądrych a trzecim głupim, który zawsze lepiej niż mądry wychodził— wtenczas odzywała się kowalka i wszyscy jej z największą słuchali uwagą. A kiedy przyszło mówić o strachach. to aż się zimno robiło, jakie to opowiadała cuda. Gdyż trzeba jeszcze dodać, że strachy były jakby osobnym



rozdziałem każdego wieczoru; zaczynało się o nich mówić koło dziewiątej, kiedy łuczywo dogorywało na kominku, a świeczka w drugim kącie izby ostatniemi połyskami świeciła.

Jak mnie też mogli pozwolić takich baśni słuchać! Och! Bóg widzi nie byłam ja pierzchliwem. rozmazgajonem dzieckiem; właśnie wtedy miałam najwięcej odwagi, kiedy jeszcze w najlepsze powieści o strachach słuchałam—a jednak wierzyłam w nie całą wiarą dziecięcia. tylko że wiejskiem powietrzem wykarmione ciało. ciągłym ruchem wzmocnione nerwy nie przepuszczały lęklności do serca. Jeśli kiedy myślałam o słyszanych bajkach, tom zawsze dodawała w duchu: „Ach! gdyby mi się co podobnego zdarzyło!” Teraz już wiele, wiele lat minęło od owych chwil dzieciniego wieku, wiele czasów nad kajetami i książkami przesiedziałam. teraz już nie wierzę w strachy, a nie mam mojej dawnej fizycznej odwagi.

Lecz wracając się do kowalki, ona w pamiętną mi sobotę dwie opowiadała bajki. Naprzód w pierwszej kolei tak mówiła:

„Był to jeden król bardzo bogaty, miał syna, którego z całej duszy kochał. Dał mu połowę swego królestwa. sto prześlicznych koni, złota pełne skrzynie, i kazał mu przywieźć najpiękniejszą księżniczkę za żonę. Ale królewic niczego nie chciał, królewic był błądy, smutny, zawsze chodził zamyślony i martwił tem swego ojca. Aż nakoniec jednego razu nie mogąc wytrzymać, rzucił się do nóg królowi i tak go zaczął prosić:

— Mój ojcze! już mi dałeś wszystko, co mi dać mogłeś, a ja przecie weselszy nie jestem. Oto lepiej odbierz wszystko, a mnie pozwól, niech sobie w świat pójdę. bo mnie tu strasznie ciężko, nudno.

Król, słysząc tę mowę, załamał ręce i byłby płakał może. ale wy wiecie. że Bóg daje królom takie oczy, co nigdy nie płaczą, i takie usta, co się wiecznie śmieją.

— Mój synu — rzekł do królewica — przez Boga namyśl się, co tobie jest w głowie? Tu ci przecież najlepiej, tu wygodnie, tu ciepło, stoły suto zastawne, a dyamentów jak kamieni w polu.

Lecz królewic ciągle odpowiadał:

— Tu mnie strasznie ciężko, nudno! Pozwól, ojczy, niech w świat pójdę, niech zobaczę, jak to może być głodno, kiedy chleba niema. Pozwól, ojczy, może ja też gdzie do piękniejszego trafię królestwa, gdzieby ludzie nie umierali—bo cóż to wszystko znaczy, co my tutaj mamy: przyjdzie śmierć kościana i wszystko jej, nie nasze będzie.

Tak długo, długo prosił królewic, że aż nakoniec musiał mu król pozwolić według tej dziwnej chęci działać. Dał na drogę synowi przepyszny konia, worek pełen dukatów i starego sługę żołnierza, który niegdyś królewskie dziecko na swoich rękach wypia-stował.

Piękna księżniczka stała w oknie a udawała, że niby płacze za wyjeżdżającym kochankiem.

Król najkosztowniej swoje skarby wyniósł przed próg domu, ażeby ich widokiem przywabić oddalającego się syna; nic nie pomogło. Ruszył królewic zprzed ojcowskiego zamku, aż go taki obłok kurzu zasłonił, że w nim tylko niekiedy migwały złote końskie podkowy, a stary żołnierz jak mógł pędził za nim na swoim małym czarnym koniku.

Jechali trzy dni i dwie nocy, a trzeciego wieczora wjechali w ogromną puszcę. — Była to taka ogromna puszcza, że ją ledwo przez dziesięć lat, i to ciągle galopem jadąc, można było wzdłuż przejechać. A dokoła ciemne sosny rosły, a nigdzie ogień choćby w najbiedniejszej chałupie nie zaświecił, a dla koni i drobinki trawy nie było, a wieczór zapadał, noc ciemna się zbliżała. Och! wtedy stary żołnierz okropnie się przeląkł i powiedział do królewica:

— Mój panie, mój panie, wróćmy się do domu.

Lecz królewic mu odpowiedział:

— Wróc się ty sam, mój poczciwy żołnierzu, bo gdybym nawet jutro miał tu umrzeć, to dziś już wtył się nie wrócę, a jednak wiesz dobrze, że ja nie chcę umierać.

Żołnierz smutnie spuścił głowę i jechał dalej za królewicem, bo go nie chciał w takiej złej godzinie opuścić. Już dobrze się w puszcę zagłębili, gdy zmęczony a słaby koń żołnierza stanął. Żołnierz zsiadł z niego i piechotą przy królewicu biegł, istnie jak wierny pies przy swoim panu. Aż dopiero królewic, spostrzegłszy to, sam zsiadł z konia i rzekł znowu do sługi:

— Mój poczciwy żołnierzu, weź ty mego konia i moje złoto, a wracaj sam sobie do ojca króla; naco tobie marnie z mojej przyczyny ginąć?

— Panie, panie — odpowiedział żołnierz na to — gdzieżbym ja śmiał bez ciebie się pokazać twemu ojcu królowi?

A królewic odpowiedział mu:

— Odprowadzisz konia i powiesz, że ja do najśliczniejszego wjechałem kraju i ciebie z tą wiadomością posyłam. — A żołnierz rzekł znowu:

— Panie, panie, jakżeż jabym mógł ciebie samego w tak złej doli zostawić, a toćby mi się chyba serce z żalu za tobą rozpekło. — A królewic, już trochę znieczcierpliwiony, odpowiedział żołnierzowi:

— Wracaj się prędko, żołnierzu, bo ja ci mówię, że zaiste jeden tylko z nas przejść tę puszcę może, a przez wszystkich świętych, ja się już nie cofnę. Wracaj, wracaj, mój wierny żołnierzu, jeśli mnie samego nie chcesz na wielkie wystawić niebezpieczeństwo. Tobie niepodobna i niepotrzebna rzecz ta podróż, a mnie ciągle coś szepce do ucha, żeby iść dalej, a dalej.

Rozplakał się stary żołnierz, królewic mu dał pieniądze i konia, uściskali się potem jak dwaj bracia i żołnierz pojechał tą samą drogą, którą do puszczy przybyli, a królewic naprzód poszedł. Królewicowi było nakoniec i głodno i chłodno, jednak dalej postępował. Szedł, szedł długo — aż wtem spotyka trzech

zbójców. bardzo się z sobą kłócących. Jeden zbójca uchwycił królewica za rękę i okropnym głosem odezwał się do niego:

— Oto widzisz, człowieku, nas tu jest trzech i mamy trzy rzeczy, na których podział zgodzić się nie możemy. Mamy taki koc, że jak się nim kto przykryje, to nikt go z ludzi wtedy nie zobaczy — dla zbrojcy i złodzieja jakież to skarb wielki!

Ale mamy jeszcze takiego konia, co po powietrzu lata i tam każdego niesie, gdzie tylko mu się rozkaże— dla podróżnych i śpieszących się, cóż to za dobro nieocenione!

Ale mamy jeszcze taką złotą gałkę, która, kiedy się nią potoczy, to póty leci, aż tam się zatrzyma, gdzie skarb zakopany leży. Dla wszystkich ludzi na świecie cóż to za pożądana wskazówka!

Otóż powiedz, człowieku, co któremu się należy—bo jak nas dobrze nie rozsądzisz, to pewna śmierć twoja.

Królewic pomyślał trochę i tak rzekł do zbrojców:

— Mnie się zdaje, panowie zbrojcy, że wszyscy do wszystkiego macie równe prawo, ale ponieważ gałka złota, i najwięcej warta i każdemu z was najlepiej się podoba, więc pozwólcie, niech ją ją rzucę, kto najpierwszy dogoni gałkę, to ją sobie weźmie, kto drugi przybiegnie, będzie miał konia, a trzeciemu koc się dostanie. Podobno tak będzie najlepiej, nie mówiąc o tem jeszcze, że się gałka przy zakopanym skarbie zatrzyma i że wam więcej złota do podziału przybędzie.

Zbrojce spojrzeli po sobie i dali znak królewicowi, że im się ten sąd podoba, a królewic, odwróciwszy się ku drodze, którą jego żołnierz odjechał, jak cisnął gałką, to tak, że raz o ćwierć mili za jedną razą odskoczyła; zbrojce dopieroż w pogon za nią, a ona coraz, coraz prędzej biegła, aż przebiegła koło żołnierza, co już był kawał drogi odjechał.

Żołnierz zdziwiony popędził za nią na koniu, zatrzymał się w miejscu gdzie gałka stanęła, chciał ją



podnieść, ale jak gdyby w ziemię wrosła, trzeba ją było siłą wyrwać. Żołnierz wyrwał — a tu pod spodem złoto. Zaczął kopać, znalazł wielkie skarby, wrócił z niemi do króla i powiedział, że to wszystko od syna jego dostał, i król się cieszył, był spokojny — a zbójcy ciągle biegli, ze zmęczenia pomarli a królewic tymczasem odział się w koc i krzyknął:

— Dalej, dalej, koniu! Nieś mnie tam, gdzie nie umierają ludzie, ni zwierzęta.

Koń wszystkiemi czterema kopytami zerwał się z ziemi i leciał po chmurach jak po bitej drodze, a jak z krzemienia od podkowy, tak z obłoków od jego kopyt gwiazdy niby iskry pryskały. I długo, długo lecieli, aż się koń zatrzymał na prześlicznej łące, przed cudownym pałacem, a na tej łące trawa była jedwabna, a na tym pałacu same dyamenty świeciły, a dokoła wysokie drzewa rosły, a na drzewach mnóstwo było najpiękniejszych owoców.

Królewic obszedł pałac dokoła, nigdzie nie mógł drzwi znaleźć, chciał urwać owoców, nie udało mu się, bo to były zaczarowane owoce, które tylko z okien pałacu zbierać się dawały. Puścił konia na łąkę; sam nie wiedząc co robić, zaczął smutnie się przechadzać, aż wtem tak miły, tak piękny śpiew dał się słyszeć, że zdumiony królewic o głodzie i o zmęczeniu zapomniał.

Skoro śpiew ustał, otworzyło się okno i spuściła się z niego na złotym tronie piękna panna, jakiej nigdy ludzkie oczy nie widziały. Była cała biało ubrana, w srebrzystej sukni, a na głowie miała wieniec ze złotych liści.

Nie postrzegła królewica, bo był kocem owinięty, pobiegła na łąkę, zbierała ślicznych kwiatów, w koralowy dzbanek zaczerpnęła wody ze źródła, bo też tam w pobliżu było i źródło jak szkło czyste, a potem znowuż na tronie swoim siadła i wzniosła się do góry, lecz tą razą już nie sama była, usiadł przy niej królewic, a zawsze w swój koc owinięty.

Kiedy się już do pałacu dostali, wyszło sześć jeszcze piękniej ubranych kobiet i odebrało od siostry uzbierane kwiaty i koralowy dzbanek. Wszystkie pokolei z niego piły; zaczęły potem robić z kwiatów równianki i rozmawiać z sobą, a kiedy mówiły, to zawsze takim miłym śpiewem, że królewic dosyć się go nasłuchać nie mógł. A jedna z nich odezwała się do tej, z którą on przybył:

— I cóż, siostrze, tobie tęskno; my wszystkie mamy kochanków, tyś sobie żadnego jeszcze upatrzeć nie mogła.

— O, bo ja czekam na królewica, któryby sam do mnie przyszedł, nie żebym ja sobie po niego chodziła.

— To jeszcze długo będziesz czekała, siostrze. bo jakże tu może przyjechać królewic?

— Niech przyjedzie obłokiem, niech odstąpi skarbów, złota, to mu podam wody z koralowego dzbanka, to go sobie za męża wezmę.

Jak to usłyszał królewic, tak zrzucił z siebie koc, uklęknął przed śliczną panną i odezwał się do niej:

Obłokiem tu przyjechałem  
Po jasnym niebie,  
Złota, skarbów zaniechałem  
By znaleźć ciebie!

I tak jej wszystko w wierszach opowiedział i panna podała mu wody z koralowego dzbanka i rzekła do niego, albo raczej zaśpiewała:

— Jesteś teraz mężem moim w nieumierającym świecie i póty nim będziesz, póki się sam stąd nie wydalisz.

— I koniec już? — zapytała jedna z dziewczyn.

— Właśnie też koniec — odpowiedziała Petronela z przyciskiem — a cóż to, śmierć miała sobie spokojnie po ziemi wędrować, kiedy przed nią jeden człowiek, a do tego królewic uciekł? O bynajmniej! Śmierć nie tak łatwo daje się oszukać; zaczęła po

wszystkie strony wszystkich królestw biegać, szukając ciągle swego królewica, a że nie mogła na ziemi go znaleźć, domyśliła się, że gdzieś w powietrzu być musi, i nad tem już tylko swoje pustą suszyła głowę, żeby go nadół przywabić.

Tymczasem królewic jak żył, tak żył. Owoce zbierał razem z sześcioma mężami sześciu siostr swojej żony, z żoną rwał kwiaty na łące, chodził po wodę zródlaną od najśłodszej słodsza miodu i nie myślał nawet, że czas ciągle ubiega.

Raz jednak zasmucił się i rzekł do swojej kochanki, bo tam kochanka zawsze to samo znaczyła, co żona:

— Słuchaj-no, kochanko moja, chciałbym ja bardzo na ziemię powrócić i zobaczyć, co też się dzieje w królestwie mojem, co w domu ojca mojego?—A żona mu na to:

— Mój śliczny królewicu, dawno już wody przepłynęły nad domem twego ojca, dawno już porobiły się przepaści z najwyższych gór twego królestwa. Nie oddalaj się, mój królewicu, bo nie wrócisz więcej. — Lecz on mówił z wielką pewnością:

— Ej wróć, zobaczysz, że wróć. Nie zsiądę z mego konia i tylko na dawniejszą swoją ziemię z chmury choć raz spojrzę.

— Nic nie zobaczysz, śliczny królewicu, bo tam już jeno wody a przepaści.

— Gdzieby to prawdą być mogło? Przecież zostawiłem śliczne ogrody i żyzne pola w dziedzictwie mojem.

— A jakże ci się zdaje, czy dawno już temu?

— Ot tak, może być ze trzy lata.

— Jest już trzy tysiące lat. Nie jedź, nie jedź, mój królewicu, bo nie wrócisz więcej.

Ale jak on usłyszał, że już trzy tysiące lat minęło, tak go jeszcze większa ciekawość zjęła. Nic nie mówiąc żonie, sam się spuścił na łąkę, odział kocem, dosiadł konia i jak prędko niegdyś z ziemi był przyjechał, tak prędko znowuż ku ziemi się spuszczał.

— Nieś mnie kędy było królestwo moje! — krzyknął królewic koniowi.

A koń niósł go bardzo prędko. a królewic wydziwować się nie mógł, co to przez ten czas z ziemią się zrobiło, jakie pyszne grody się wzniosły. jakie ogromne domy po wodach pływały—coraz coś ciekawszego podsunęło mu się pod oczy, coraz coś piękniejszego nęciło go, żeby się przybliżył. — Ale królewic, pamiętny na to, co żonie przyrzekł, silnie trzymał za cugle, wszelkim pokusom się opierał. Nakoniec i koń się zatrzymał. Spojrzał królewic nadół, aż tu w jego oczach wszystko tak jak dawniej było; więc pomyślał sobie:

— Mój Boże, co mnie też powiedziała moja żona z nieumierającego świata, że dawno wody przepłynęły nad ojcowskim domem i że przepaści porobiły się z najwyższych gór królestwa mojego; przecie tu jest wszystko, jak gdybym ja był wczoraj wyjechał dopiero.

Królewic patrzył nadół z coraz większą ciekawością i cochwilka to bardziej się spuszczał. tak, że nawet mógł wszystko słyszeć, co na ziemi mówiono. Aż tu mu przed oczy wychodzą dworscy i niosą śliczne ubiory, pełne złota skrzynie, i biedują, że niema dobrego, jedyne go tych skarbów dziedzica.

Królewic na swoim koniu kocem odziany cichuteczko siedział.

A tu wychodzi stary żołnierz i zaczyna go chwalić i zaczyna wyrzekać, że już swojego młodego pana nigdy nie obaczy.

Królewic na swoim koniu kocem odziany cichuteczko siedział.

A tu wychodzi stary ojciec król i woła: — „Mój synu! mój synu! gdzież ty jesteś?“

Królewic na swoim koniu kocem odziany cichuteczko siedział.

A tu wychodzi piękna księżniczka dawna jego narzeczona. i jak zacznie śpiewać:— „Dobrze, dobrze, że królewica złe duchy porwały. bo był brzydki, zły



i głupi“ — tak królewic rozgniewany zrzuca koc, puszcza konia i leci prosto na ziemię, wołając całym głosem: — „Niegodziwa!“ — A tu go śmierć coprędeż za rękę porwie.

— Cha, mam cię ptaszku! już przez trzy tysiące lat szukam cię po ziemi, już wszelkimi przywabiam sposobami, a ty zawsze w chmurach się chowałeś — cha! mam cię teraz.

I nie mówiąc wiele, jednym zamachem kosy głowę mu ucięła, a ciało wrzuciła do morza. Bo naprawdę morza i przepaści były na miejscu dawnego królestwa i tylko śmierć zwodnica kłamliwe na nich pokładła obrazy.

— Cóż powiedziała żona z nieumierającego świata, gdy jej mąż nie powrócił? — pytała pani kowalki.

— Cha, moja imościulku, zwyczajnie jak poczciwe kobiecisko, długo była smutną. Inne siostry nieraz jej mówiły:

— Widzisz, czemu to ci się królewica zachciało; było razem z nami pięknego pasterza sobie sprowadzić, nicby nie zostawił na ziemi i za niczemby też nie tęsknił, a tym królewicom to zawsze za królestwem markotno.

Nakoniec biedna wdowa widząc, że tu już pewno mąż nie wróci, tak sobie nieumierający świat sprzykrzyła, że raz, zobaczywszy królewskiego konia, który sam wrócił na łąkę przed pałac, bo mu na niej bardzo trawa smakowała, siadła mu na grzbiet i tam się nieść kazała, gdzie jej mąż umarł, a przyjechawszy nad wielkie wody, zmówiła Ojczy nasz, Zdrowaś Marya, i skoczyła w morze.

Teraz więc w nieumierającym świecie sześć par jest tylko i ja tam mieszkam także, ale że dziś słyszałam, jakoby wiele lnu do uprzedzenia było na poniedziałek, więc konno przyjechałam z chmur.

— Dobrze przynajmniej, że nie na łopacie — odezwiała się Jagusia, wesola, rumiana soltysowa córka.

Śmieli się wszyscy jak z czego dowcipnego, a ztąd o czarownicach mowa, a od czarownic do wil-

kołaków, od wilkołaków do upiorów szło, niby z kłębka wywinał. Ale niemałe wszystkich było podziwienie, gdy za każdą ukończoną powieścią z kąta izby jakiś dziwny, nieznany głos się odzywał: — „I cóż to straszniego?“ — Zrazu nie bardzo uważały na tę przymówkę opowiadające, lecz im okropniejsze przytaczano zdarzenia, z tem większym przyciskiem, z tem większem szyderstwem głos powtarzał swoje — „I cóż to straszniego?“

Spojrzeni wszyscy ku ciemnemu zakątowi izby, gdzie siedziała wymawiająca te wyrazy prządka, i wtenczas spostrzeżono się dopiero, że była nieznaną wszystkim z naszego grona. Zaiste musiał strach jakiś przejąć najciekawsze, kiedy jej się nie śmiały wprost spytać, kto ona i z kąd przyszła?

Nakoniec zwrócili się wszyscy ku Petroneli, żeby ona przecież z tak okropną wystąpiła historią, żeby już owa przybyszowa prządka nie śmiała się zapytać, co w niej jest tak straszniego.

Petronela z pewnym rodzajem zadowolonej próżności, zmieniając swój głos czysty, prędki i wesoły, na smutną pociągłą mowę, taką powieść zaczęła:

— Ubogi starzec miał jedynaczkę córkę, prześliczną dziewczynę. Kochał ją, pieścił, psuł, jakby sobie w chacie królową jaką wychowywał, a nie przyszłą na zgrzybiałe lata wyrękę. Dziewczyna myślała tylko o tańcach i strojach. Czasem po dni kilka pacierza nie mówiła, a jeśli kiedy spojrzała w niebo, to chyba myśląc sobie: „Żebym to ja mieć mogła taką błękitną sukienkę jak niebo, takie srebrne trzewiczki jak chmury, taką złotą koronę jak słońce, tyle dyamentów, ile gwiazd błyska w pogodnej nocy zimowej, i tyle pereł, ile kropel rosy w wieczór letni spada.“

Juścić pewnie ojciec byłby sobie dał krwi utoczyć, żeby dziewczyna te wszystkie zbytki miała, ale biedak przy ciężkiej pracy ledwo się w kilkanaście lat zebrał na kupienie sznura koralu. Dziewczynie też nudno i tęskno było w ojcowskiej chałupie. Aż razu jednego w lecie poszła sobie na pole, habru i innych

kwiatków do przypstrzenia uzbierać. Zbierała długo, długo, fartuch napełniła cały i w obu rękach było jeszcze co trzymać. Wtem, od bitego gościńca zatętniało coś na drodze — ciekawa dziewczyna poleciała coperdziej, ale aż stanęła jak wryta na niespodziewany widok. Była to przepyszna złocista kareta, za nią mnogi orszak konnych rycerzy, a z karety wyglądała głowa mężczyzny, tak pięknego, jak ona była piękną. Gdy się oboje postrzegli, to już nie mogli i nie chcieli patrzeć gdzieindziej. Książę, bo to był bogaty i możny książę ten śliczny chłopiec, kazał stanąć, zawołał dziewczyny i rzekł jej:

Piękna jesteś, dziewczę moje,  
Jako anioł w niebie —  
Pojeźdź ze mną — perły, stroje,  
Wszystko dam za ciebie.

A ona też z radością i bez myśli odpowiedziała mu:

— Och! pojadę, pojadę, mój śliczny panie, i będę twoją!

Książę wyciągnął do niej ręce i posadził obok siebie, a ona, wsiadając, baczyła tylko, żeby pięknych kwiateczków nie uszkodzić sobie. Dopiero, gdy już konie ruszyły: „Stańmy, stańmy! — zawołała — niech ja tylko na chwilę do chaty powrócę.“

Księżciu na myśl przyszło, że piękna dziewczyna ma w chacie ojca i matkę, z któremiby się pożegnać chciała, więc jej obie ręce na szyję zarzuciwszy, mówił:

Wpierw nim wrócisz do twej chaty  
Pojmę cię za żonę,  
Jedwabne ci sprawię szaty  
I złotą koronę

A ona znowu jemu: — Stańmy, stańmy, niech ja tylko na chwilę wrócę, bo zostawiłam w skrzyni mój piękny sznur koralu.

Książę, widząc że ona tylko tego żałuje, śmiać się zaczął i pocieszał ją, że nietylko da jej tyle sznurów koralu, ile sama zechce, lecz tyle dyamentów nawet, ile ma kwiatów ze sobą. Ona też, chcąc się zaraz dowiedzieć, ile to będzie, zaczęła liczyć kwiateczki i przeliczone ciskała po jednym za sobą i liczyła bardzo długo, a konie biegły przez wsie i miasta, przez pola i bory, bo książę był z dalekiego, dalekiego kraju.

Tymczasem biedny ojciec czeka do wieczora, córki niema — przez noc całą chodzi niespokojny, pyta sąsiadów, woła po lesie: córki jak niema, tak niema. Nakoniec dowiaduje się, że ją widzieli, jak w zbożach haber zbierała; idzie kędy go rosło najwięcej, płacze, chodzi na wszystkie strony i spostrzega wreszcie, jak gdyby kto umyślnie drózkę kwiatami wysypał.

— Otóż to — pomyślał sobie — pewnie mi zbójcy moje jedyną córkę uwieźli, a ona dla poznaki te habry po drodze ciskała.

I szedł, szedł za niemi, a ciągle tak płakał, że za każdy wyrzucony kwiatek jemu łza jedna na siwą brodę spadała. Ani gorące słońce południa, ani zimna rosa nocy jego drogi nie wstrzymały. Głód, niewczas, zmęczenie, wszystko znosił, myśląc tylko o córce swojej, a kiedy mu na ślad kwiateczków zabrakło, to pytał ludzi przechodniów:

— Nie widzieliście wy mojej córki, mojej pięknej córki? Biała jak lilija, rumiana jak jagoda, niby krucze pióra czarne są jej włosy, niby szklana wiśnia świeże jój usteczka.

A ludzie mówili mu wtedy, że to zapewne ta dziewczyna, co z bogatym panem w złocistej jechała karecie, i poczciwy staruszek nie wiedział co już myśleć sobie i tylko ciągle, ciągle szedł dalej. Aż jednego wieczora przyszedł on pod jakiś pyszny pałac. Światło błyszczało przez wszystkie okna i muzyka brzmiała ze wszystkich pokoi. Starzec przeziębły, zgłodniały, oparł się o ścianę i płakał. Dochodziły



jego uszu wesołe okrzyki i taneczników skoki; on stał jak głuchy i o córce myślał tylko. Wtem wśród tysiąca głosów jeden głos się śmiechem odezwał — biedny starzec ledwo na ziemię nie upadł: to był głos córki jego. Lecz w tejsze chwili dawne siły odzyskując, pomimo sług, co go wstrzymać chcieli, wbiega do sali, a nie może mówić, tylko:

— Moja córka, moja córka!—i obiedwie ręce wyciągnął do księżnej, a też tę księżną to chyba rodzony tylko ojciec mógł poznać, tak była wystrojona, tak dumną stała się panią z ubożuchnej dziewczyny. Jak tylko zobaczyła starca w łachmanach, ledwo jej krew twarzą nie wytrysła.

— Kto mi tu wpuścił tego żebraka? hej! zaraz go wypędzić!—krzyknęła na służbę i służący, pochwywszy biednego starca, na dwór wyrzucili, ale już wyrzucili trupa tylko, bo jak usłyszał, że go się własne dziecko zaparło, nieszczęśliwy ojciec żyć przestał.

A tymczasem niegodna córka weseliła się w najlepsze i tak jej dobrze było na tym świecie, że ani nawet wspomniała sobie o drugim. Uciechy po uciechach, dnię po dniach jej biegły, aż też przyszedł dzień Zaduszny. Zrana, jakoś kiedy w dzwony uderzono, jej się zimno i przykro na duszy zrobiło — kiedy niekiedy niby jej coś do ucha szeptało: „Idź się modlić, idź się modlić za ojcowską duszę.“ ale ona, nie zważając na to, chciała inaczej smutkowi zaradzić. Poprosiła księcia, który ją zawsze kochał i niczego jej nie odmawiał, żeby sutą wydał ucztę. Tak się też stało, przybyli goście, znowu zabrzmiała muzyka, znowu zaiskrzyło się tysiące świec jarzących, a piękna księżna co najpiękniejsze rzeczy powkładała na siebie. Suknię wzięła błękitną jak niebo, trzewiczki srebrne jak chmury, koronę złotą jak słońce, a na koronie, na sukni i na trzewikach tyle było dyamentów, ile gwiazd świeci w pogodną noc zimową, ile kwiateczków rzuciła za sobą, ile łez wylał jej ojciec, a na rękę i na szyi tyle miała kosztownych pereł, ile kropli rosy w letni wieczór spada, ile kroków zrobił, szukając jej

biedny starzec, ile uśmiechów od jego zgonu po jej twarzy przebiegło. Oj, bawiła się też, tańczyła wesoło, jak gdyby nigdy nic złego na sumieniu jej nie ciążyło. Zegar bił na ścianie godziny—dziesiątą—jedenastą—nikt nie słyszał, nikt nie myślał o czasie, aż nakoniec i dwunastą uderzył. Nagle jak gdyby wszystkich odrazu piorun pozabijał. Krzyknęli i ucichli. Och! bo też było czego z przestrachu oniemieć. Z ostatnim dźwiękiem zegaru same drzwi się otworzyły i wszedł do sali szkielet, na którym kawałki tylko przegniłego ciała wisiały.

— Moja córko! moja córko!—zawołał grobowym głosem i stanął przed księżną.

Księżna zbladła jak trup, chciała coś mówić, głosu jej zabrakło—chciała się cofnąć, wszystkie członki skamieniały.

Wtedy widmo zbliżyło się do niej, a za każdym krokiem kość jego nogi dzwoniła o marmurową posadzkę.

— Zapłać mi łzy moje—rzekło ponuro. W tejże chwili wszystkie dyamenty, z osad wypadłszy, kroplami wody na ziemię się stoczyły, a było ich tyle, ile gwiazd w noc zimową na niebie jaśnieje, ile kwiatków dziewczyna za sobą rzuciła, ile łez wylał jej ojciec.

Potem w milczeniu szkielet wziął długimi pi-szczelami białe ramię księżnej, odpiął perły—i upadła jedna ręka, wziął drugą, odpiął perły i upadła druga ręka. Potem, aż mu coś straszliwie przez otwory oczu zabłyszczało, zgrzytnął zębami, jak do uścisku objął szyję córki, odpiął perły—i spadła piękna głowa niby kawał ołowiu, i tylko złota korona kulnęła się daleko po gładkiej podłodze. Potem wszystkie świece zgasły, ogień zpod ziemi buchnął, a o księżnie, o księciu, o zamku nikt już z żyjących nie słyszał, bo tak zawsze Pan Bóg złe dzieci karze.

— I cóż w tem straszniego!—odezwał się zwykłą zwrotką szyderczy, trochę stłumiony głos nieznanjomej prządki; lecz tym razem, nie czekając aż kto inny mówić zacznie, ponurym jeszcze zapytała tonem:

— Boicie wy się czarta?—Na takie zagadnienie, tak dziwnym zrobione sposobem, mimowoli dreszcz przeszedł najśmielsze; kowalka niby z gniewu, a podobno ze strachu, głośno się przeżegnała.

— Ulino, Ulino—szepnęła Jagusia—a czyś ty widziała, jak ona drgnęła na znak krzyża świętego?

Ulina spuściła głowę, dając do zrozumienia, że potwierdza to spostrzeżenie. Wszystkie wrzeciona wolniej się zaczęły kręcić, tylko nieznajoma, jakgdyby nie zważała na ogólne podziwienie, prędko ruszała palcami, bez przestanku warczało jej wrzeciono, a z piersi jak gdyby z podziemia jakiego wydobywały się słowa następującej powieści:

— Dawniej byłam najpiękniejszą z tej wioski; takie miałam długie włosy, że jak rozpletłam warkocze, to się mogła nimi niby płaszczem osłonić. O moich oczach wszyscy chłopcy mówili, że mi chyba nigdy z nimi zimno być nie może, bo moje oczy błyszczały jaśniej, niż gwiazdy na niebie. Byłam biała i rumiana jak śnieg w pogodny dzień zimowy o zachodzie słońca—a moje nóżka drobne, małe... och! pewno gdybym nie była lekka jak piórko, wysmukła jak trzcina, to bym chodzić na nich nie mogła.

Przy niedzielnych tanach nigdy mi też tancerzy nie brakło. Sam nasz panicz młody nieraz po mnie i do chaty przyszedł, żebym z nim poszła krakowiaka wywinąć, ale ja nie lubiłam tanów, ani tancerzy, ani panicza nawet.

Mówiono o mnie, że posepniejsza byłam wśród innych dziewczyn od czarniejszego świerku wśród innych drzewek majowych, że smutniej wyglądałam, niż płacząca wierzba na cmentarzu. Ja nie wiem tego—i owszem, przypominam sobie, że to był czas najszcześniejszy w całym życiu moim. Prawda jest, nigdy ja się nie śmiałam, ale też nie płakałam nigdy.... nawet w kościele na najrzewniejszym kazaniu naszego plebana, nawet na pogrzebie przy trumnie ojca i matki. Bo czegoż ja miałam płakać? Kiedy ksiądz piękną mówił naukę, to mi się zawsze zdawało, że on powtarza tylko

moje własne myśli, a sierotą będąc po cnotliwych, bogobojnych rodzicach, według mego sądu byłabym zgrzeszyła niepotrzebnym żalem. Miałam ja też inną myśl jeszcze w głębi serca, zapewne przyczynę wszystkich moich nieszczęść, myśl dumną, przeciw której nie dosyć osłoniłam i wzmocniłam duszę moją. Oto zdawało mi się, że koniecznie prosto do nieba pójść muszę, że nie dla mnie czyścić i pośmiertna pokuta. Ach! dumą najsmadniej człowiek upada!

Zrywałam powoli wszystkie moje stosunki z tym światem. Nie miałam ani krewnych, ani przyjaciół, ani znajomych prawie. Najwięcej dni schodziło mi samotnie; przedłłam, śpiewałam nabożne pieśni, albo odwiedzałam cmentarz, w którym ojciec i matka byli pochowani.

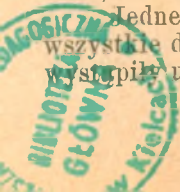
Raz nawet całą noc przy ich grobie spędziłam—ja nigdy nie bałam się grobów—całą noc mówiłam pacierze, a kiedy dzień już poczynało, urwałam dwa kwiaty bielutkiej lilii, która przez moje starania ślicznie się na mogile rodziców przyjęła, na tych kwiatach uroczystą złożyłam przysięgę, że ich się nie tknie ręka śmiertelnika.

Och! co w tem, to dotrzymałam obietnicy.

Gdy zeschły białe lilije, zaszyłam je w czarny szkaplerz i od tego czasu ciągle miałam je na piersiach z małym wizerunkiem Najświętszej Panny, który mi w dzieciństwie jeszcze matka z Częstochowy była przyniosła.

Czasem przychodziła mi wielka ochota, żeby do klasztoru wstąpić; ale już to mi żal było mojego zakątka, już też odstręczały mnie te modlitwy, jakimś dziwnymi odmawiane słowa, a do tego wszystkiego czytać nie umiałam; zostałam więc w ojczyściej zagrodzie, nuciłam z pamięci „Kiedy ranne wstają zorze,“ lub coś podobnego, i czekałam, rychło Pan Bóg śmierć ześle, do nieba mnie weźmie.

Jednego dnia—była to wigilia świętego Jana—wszystkie dziewczyny z naszej wioski w świątecznych wystąpiły ubiorach. Każda niosła wianek czy z bylicy,





czy z ruty, czy z paproci, i biegła do rzeki. bo na rzece chłopcy w czółnach już czekali na płynące równianki.

Z tych chłopców smutno przeszedł jeden pod moim okienkiem.

— Niech będzie Chrystus pochwalony—rzekł do mnie i stanął nieśmiały.

— Po wszystkie wieki wieków—odpowiedziałam, wcale nie zważając na niego.

— Czemu, Maryino, nie wiesz wianeczka?

— Alboż ja taka jak inne ciekawa; one się chcą dowiedzieć, czy w tym roku za mąż pójdą, a ja...

— A ty—przerwał mi biedny chłopiec z żywocią—a ty, Maryino?

— A ja wiem, że nie pójde ani w tym roku, ani w przyszłym, ani nigdy.

— Cha, to już po moim święcie—rzekł ciszej trochę i spuścił głowę, a mnie się zdawało, że dwie łzy po jagodach mu się stoczyły; — czegoż będę szukał wśród wszystkich wianków na Wiśle, kiedyś żadnego swojemi rękoma nie splotła? Żegnaj z Bogiem, Maryino.

I odszedł powoli, kilka razy zwrócił głowę, myślał że go przywołam może, lecz ja patrzyłam na lilije z grobu zerwane i powtarzałam sobie:

— Żaden śmiertelnik tych kwiatów nie ruszy, żadnego kochać nie będę—a te słowa znaczyły wtenczas, że tylko Bogu chciałam się oddać.

Wieczorem tegoż samego dnia, takie było piękne niebo i księżyc taki jasny, że mi się nigdy równie cudownym nie zdawał. nawet teraz, gdy jest rzadkim, upragnionym dla moich oczu widokiem.

Już nie wiem, ile czasu przesiedziałam w okienku, goniąc chmury oczami. licząc gwiazdy złociste, gdy wtem zdawało mi się, jak gdyby cień jakiś między mną a księżycem przeleciał. Odwracam się nagle i—ledwo oczom dowierzać mogę, nieznajomy mężczyzna był przy moim boku, na mojem ramieniu wsparł głowę.

Krzyknęłam z przerażenia, gniewem przejęta. chciałam go daleko od siebie odepchnąć—ale nie było

nikogo — powietrze, samo powietrze, a w niem ten obraz niezmienny.

Poznałam tedy, że to wszystko widzeniem tylko było. Strach mój zupełnie ominął, boć nieraz już w moich zadumach przychodziło mi na myśl, jakbym ja to była szczęśliwa, gdyby mi Pan Bóg na cud jaki patrzeć dozwolił lub żeby mnie anioł z białemi skrzydłami wznosił między modre obłoki. Otóż w tej chwili zdawało mi się, że moje życzenie było spełnione i że którego ze sług Bożych widzę przed sobą. Z całą więc radością serca zawołałam na niego:

— Aniele!

Podniósł czoło, a to czoło było bielsze i piękniejsze niż srebrny księżyc, który mi się przed chwilą tak ślicznym wydawał—tylko oczy jego..... ach! jakże mam blask oczu jego wypowiedzieć, kiedy one były ciemne, a świeciły—istnie jakby dwa czarne płomienie. Znowuż mnie strach ogarnął i drżącym głosem zapytałam się go:

— Czy ty jesteś aniołem?

— Jestem posłannikiem aniołem — pocichu mi odpowiedział, nad mojem uchem schylony — jestem aniołem i kocham ciebie, Maryino, albo raczj Maryjo, bo przecież to jest twoje właściwe imię. Kocham ciebie, Maryjo—dam ci królestwa, światy całe, tylko mnie kochaj wzajemnie.

— Aniele—odrzekłam mu na to z przykrem zdziwieniem—jesteś aniołem, a mówisz do mnie, jak mówi każdy człowiek z tego świata, kiedy chce biedną uwieść dziewczynę. Ja cię już od dawna kocham, aniele, pożycz mi tylko dwóch skrzydeł, polecę z tobą w obłoki.

— Och, nie żądaj odemnie takich niepodobnych rzeczy, Maryjo, bo ja dla ciebie oddałbym wszystko, wszystko, nawet to co było—a gdy nie mogę czego według twej woli uczynić...

— To prosz dobrego Boga. Bóg proszącym daje.

Dziwne zjawisko znowu głowę na moje ramię pochyliło.

— Zostań tu gdzie jesteś, zostań taką jaką jesteś — mówił do mnie pocichu, lecz prędko i z żywością; — jesteś najpiękniejszą wśród wszystkich córek ziemi — och i najczystsza także, bo inaczej nie byłbym nawet pomyślał o tobie — a tym ostatnim słowem tak dziwne towarzyszyło brzmienie, że mimowolnie zadrżałam.

— I czego się lękasz? — rzekł znowu duch niepojęty — jesteś kochana i piękna, czego się lękasz? czego pragniesz jeszcze? Szczęścia czy mądrości? Och, ja wiem wszystko — złe i dobre, śmierć i życie — ja cię nauczę tajemniczych słów zaklęcia, niedościgłych cudów — powiedz? Może chcesz żyć wiecznie, jak Ten co sam jest wiecznym; może chcesz świat mieć w swój dłoni, żebyś się nim bawiła, jak On waszą ziemią?

— Boże! Boże! — zawołałam przełęczniona — jeśli jesteś aniołem, w jakież słowa odzywasz się do mnie biednej dziewczyny? Twój głos powinien być słodkim i łagodnym dla duszy, jak pierwsze dni wiosny dla polnych kwiateczków, a one niepokoją mi serce, jak burza sierpniowa. W imię Boga!...

On znowu głowę spuścił.

— W imię Boga, mów mi o niebie tylko.

— O niebie — zawołał z dziką rozpaczą — niema dla mnie już nieba, tylko w oku twojem.

— Tyś szatanem! — krzyknęłam z przerażeniem i skoczyłam na drugą stronę izby — ale on i tam był przy mnie, z okropnym uśmiechem przemówił do mnie w te słowa, które dziś może lepiej pamiętam, niż je rozumiałam wtedy.

— Szatanem? — nie, jeszcze nie zgadłaś, ja tylko brat duszy szatana, z wieczystej ciemności przybyłem do ciebie. Och! Maryjo, nie chcę ja dłużej ciebie zwodzić — dumny jestem, a większa mi będzie chwała, gdy czarta czartem pokochasz — i słuchaj, Maryjo — powiedziałem sobie, że tak być musi, Maryjo, tak będzie, chociażbym miał zapomnieć, że kiedyś w niebie byłem.

Gdy skończył mówić, uczułam jakby dotknięcie ognia na moich ustach, potem w jednej chwili duch

zniknął i nie zdążyłam nawet wzniesć ręki, żeby go Krzyżem świętym przeżegnać. Jakiś płomień rozdarł ziemię, gęste chmury jasny księżyc ociemniły — ja drżąca, sił pozbawiona, uklęknęłam do modlitwy, chciałam zawołać — „Boże!“ — zawołałam — „Czarcie!“ — i padłam bez przytomności na ziemię.

Już dawno dzień był, kiedym przyszła do siebie; zrazu nie mogłam wszystkich myśli zebrać, ale przyzwyczajona ręka sięgnęła do Najświętszej Panny wizerunku i liści grobowych — zaraz mi cała rzeźkość wróciła, mogłam wstać, wyjść z chaty.

Kiedy niekiedy wielkie krople deszczu z siwego nieba spadały; ślizką gliniastą ścieżką wdrapałam się aż na wierzchołek pagórka, na którym stał nasz kościół. W kościele nikogo nie zastałam, tylko trumna stała w kaplicy Jezusa Nazarańskiego i stary ksiądz mszę odprawiał przed Panny Maryji ołtarzem.

Uklęknęłam naboku i płakałam tak mocno, że aż się ksiądz obrócił i patrzył na mnie zdziwiony, lecz to mu nie przeszkodziło dalej mszy odprawiać, a ja ciągle głowę spuszczałam, żeby białej Hostyi nie skalać oczyma, temi oczyma, które na okropne nocne zjawiska patrzyły — i ciągle moje czoło na zimnych kamieniach kościelnej posadzki leżało.

— Czy myślałaś, Maryjo, że się tutaj przedemną ukryjesz? — odezwał się nagle głos przy moim boku... Ach, to znowu był on!

Bo słuchajcie tylko, moje miłe, łatwo się bronić od upiora szkaplerzem, od złej duszy kropidłem, ale przed czartem niema obrony: wejdzie zawsze i wszędzie — do kościoła i do karczmy, do pałacu i do chałupy. — Przed czartem niema schronienia!

Ach! co mi wtenczas ten zły duch szeptał do ucha, to sama nie wiem, czy w waszych ziemskich słowach potrafię wam to wyrazić.

— Maryjo piękna — mówił do mnie — Maryjo moja, nie Maryino, jak po dziś dzień zwali cię ludzie. Co za chwała, co za szczęście, być z tobą razem przed Jego ołtarzem! Ja Go nienawidzę, a ty Go dla mnie



opuścisz, ty najpiękniejsza ze wszystkich kobiet, które On na wyobrażenie piękności swojej myśli stworzył.

— Zmiłuj się nademną! wołałam ze łzami, żeby głos czarta zagłuszyć, a ksiądz mówił „Christe eleyson“ i nie obejrzał się nawet w moją stronę.

Czart rozśmiał się okropnym, szyderczym śmiechem.

— Maryjo. mniej życia jest w tym starcu, niż w tej umarłej dziewczynie. Spójrzyj-no tylko na trumnę. Dziewczyna bardzo młoda, w twoim wieku—Bóg ją dał najpierw za całe bogactwo ubogim rodzicom, potem matce, chorej wdowie, za jedyną pociechę zostawił. Wczoraj dziewczyna wesoło z innymi nad rzekę pobiegła. Utopiła się — inne wróciły oznajmić biednej matce, że już nie ma dziecięcia, a matka nie umarła. Lecz ty Boga dobrym nazywasz! Dobrym tego Boga, który na was tyle cierpienie zsyła, który nam całą wieczność mąk piekła przekazał. Wszakże gdyby chciał, mógłby cię przedemną obronić, a nie zrobi tego, bo nie chce. Za cóż go kochasz?

Przerażały mnie te bluźnierstwa, ale nie mogłam nic w mojej duszy na odpowiedź znaleźć. Wyciągnęłam tylko ręce ku obrazowi Najświętszej Panny i z całą rozpaczą upadającego serca krzyknęłam:

— Maryjo!

Czart znowu się roześmiał.

— Och! piękne to jest imię, ono mnie także zważyło do ciebie. Maryja Matka Boża, Maryja—czarta oblubienica. Będą dwie Maryje. — Zdaje mi się, jak-gdybym jeszcze więcej kochał cię za to.

Trudno mi teraz jeszcze opowiedzieć, co ja cierpiałam, tych słów słuchając: tarzałam się po ziemi, chciałam sobie głowę rozbić o kamienne stopy świętych figur. Okropność, okropność, co się zemną działo!

Ksiądz nabożeństwo skończył, przeszedł koło mnie z małym chłopczykiem, który mu był do mszy służył, a dziecko ze strachem wskazało na mnie, mówiąc pocichu: „Waryatka“—a ksiądz przełknięty powtórzył nieco głośniej „Waryatka“ i śpiesznie ode-

szli obadwa — może chcieli pomocy wezwać. Nie wiem, ale tak się przestraszyłam, że zerwawszy się, zaczęłam uciekać, biedz jak strzała, i pōty, pōty biegłam, pōki zmęczona, bez tchu nie upadłam w lesie pod spalonym od pioruna dębem.

Och! wtedy zaprawdę byłam waryatką.

Noc nadeszła, a ja nie mogłam sobie przypomnieć, zkąd przyszłam, gdzie iść było trzeba. Wtem spostrzegłam w powietrzu jakby zwolna płynący płomień; jasny był, jednakże nie rozpędzał ciemności. Bez myśli jakoś położyłam rękę na kwiatach grobowych i wizerunku Panny Maryji. Płomień zatrzymał się przy moim boku.

To on był. Jak i pierwszym razem, wziął na siebie postać młodzieńca, objął mnie ramieniem swoim, a na mojem gorącą oparł głowę. Nie odepchnęłam go tym razem. Sama nie wiedząc co czynię, zaczęłam się bawić jego czarnemi włosami i cieszyłam się jak dziecko, że za każdym ich dotknięciem ogniste promienie biegły pod memi palcami. Jakiś czas milczeliśmy oboje, aż nakoniec on pierwszy się odezwał:

— Rzuć to, co masz na piersi—rzekł do mnie—to mnie w skronie rani.

Może z przeczucia wahałam się jeszcze—nie wykonałam rozkazu. Wtenczas czart zerwał mi z szyi czarny skaplerz z białemi lilijami, a ja, naśladowując jego poruszenie, cisnęłam daleko od siebie Najświętszej Panny wizerunek.

A potem okropność, okropność znowu.

Szkielety nas otoczyły piekielnym tańcem, wiatr świszczał przez ich kości i wyschnięte piersi, jak przez żalodne piszczałki organów—każda głowa wyszczerzała na mnie zęby z okropnym śmiechem, aż krew mi się lodem w żyłach ścięła.... Wtem nagle te głowy, te kości, te szkielety wałą się jedne na drugie, tworzą zrazu stos niewyraźny—obrzydliwy—lecz... Ach! drzę jeszcze na samo wspomnienie: dwa kościotrupy w znak krzyża na wierzchu się wznoszą.... O, co za świętokradztwo! toż to wszystko ołtarzem być miało.

Czart z radości straszny zawył głosem.

— Maryjo — rzekł do mnie — po chrześcijańsku za żonę cię pojmem. Mamy ołtarz, będą przysięgi. Ksiądz nawet, jeżeli zechcesz.... ale jaki? Ha, już wiem....

I świsnął przeraźliwie, aż się po boru rozległo, i w tejże chwili wzniosła się przed ołtarzem jakaś biała postać; był to świeży trup — miał oczy nawpół otwarte, twarz siną i nabrzękłą, pierś mocno wzniesioną, a woda mu z włosów strumieniami ściekała.

Czart mnie z sobą pociągnął ku niemu. Zdawało mi się, że za mojem przybliżeniem zbladła twarz trupa — zdawało mi się jeszcze, że ja tę twarz pierwiej gdzieś widziałam, tylko piękniejszą, weselszą... ale gdzie, kiedy, nie mogłam sobie przypomnieć. Byłam zupełnie obłąkaną.

Padłam na kolana i on — on, czart, ukłęknał także przed tym bluźnierczym ołtarzem. Wziął moją rękę, uczułam boleść jak gdyby od sparzenia; lecz trup położył na złączonych dłoniach naszych swoje wilgotne, zlodowaciałe palce — i zadrżałam od zimna.

— Maryjo — czart mówił — jeśli mnie chcesz kochać, musisz się zaprzecć wszystkiego, wszystkiego co ci dotychczas świętem się zdawało — Maryjo, wszystkiego.

Milczałam.

— Maryjo, czy chcesz mnie kochać?

Milczałam jeszcze.

Wtedy on pochylił się ku mnie swoim białem czołem, spojrzał swojemi czarnemi oczyma. Był posepny, lecz piękny jak niebo wśród burzy, i odezwał się znowu takim słodkim głosem. . och! tak słodkim, że nie wiem czemu Pan Bóg dał go kusicielom.

— Maryjo, ja ciebie kocham.

— Ja ciebie kocham — powtórzyłam wtedy.

— A więc zapierasz się Boga Ojca? — zawołał z dziką radością.

— Zapieram się Boga Ojca.

— Zapierasz się ukrzyżowanego Chrystusa?

— Zapieram się ukrzyżowanego Chrystusa.

- I Ducha Świętego?
- I Ducha Świętego.
- I Panny Maryji, patronki twojej?
- I Panny Maryji, patronki mojej.
- I Świętych Pańskich i Aniołów Bożych?
- I Świętych Pańskich i Aniołów Bożych.
- Zapierasz się duszy twego ojca?
- Zapieram się duszy mego ojca.
- Zapierasz się duszy świętej matki twojej?

Och! na te wyrazy głosu mi wpiersiach nie stało, jak nieżywa na ziemię upadłam. Zaraz też kogut zapiał—ołtarz, trup, szkielety, wszystko się czarnym dymem rozwiało—tylko czart został przy mnie, bo czart jeden dziennego światła się nie lęka, chociaż woli czarnej nocy ciemności. Kazał mi zły duch, żebym go odtąd zawsze przy spalonym dębie czekała.

Już słońce wysoko było na niebie, kiedy się rozstał zemną. Zaczęłam biedz ku wsi: mały krzyżyk, co świecił na wieżyczce kościoła, boleśnie jakby ostrzem żelaza oczy moje raził. Odwróciłam się więc w przeciwną stronę i dopiero nad brzegiem rzeki zatrzymałam. Woda w rzece była czysta i błękitna, jak niebo w tym dniu pogodne; ścisnęło się moje serce, gdym patrzyła na jej cichą spokojność; może byłabym zapłakała—to tak miło zapłakać!—ale w tejże chwili głośne łkania zwróciły moją uwagę. O kilka kroków od siebie ujrzałam jakąś dziewczynę, schyloną nad ciałem topielca, którego woda do połowy na brzeg wyrzuciła, a do połowy w zioła rosnące nad brzegiem uwikłała.

Chociaż zapomniałam wielu innych rzeczy, pamięć litości została mi w duszy; pobiegłam do płaczącej dziewczyny.

— Idź precz, nie zbliżaj się do mnie—z największym oburzeniem zawołała.—Mój biedny brat, on z twojej przyczuy umarł, Maryino — bodajby cie wiecznie sumienie dręczyło! Mój biedny brat!—ty nie jesteś Maryji wybraną, nie jesteś Maryiną—tyś mnie pozbawiła brata. O, mój bracie, mój biedny bracie!



Z przerażeniem spojrzałam na trupa. Ach tak, to był ten sam trup nocny—ostatniem wysileniem rozumu wszystko sobie przypominałam—to był trup człowieka, który mnie kochał, który w wigilię świętego Jana przyszedł pod okienko zapytać się mnie: „Czemu, Maryino, nie wiesz wianeczka?“

Na to wspomnienie uczułam w sobie coś dziwnego, jak gdyby mi się z serca ostatni żal dobywał—i potem zapomniałam wszystkiego. Od tego czasu śmiałam się, śpiewałam; dziwne zjawiska snuły mi się przed oczami, a kiedy mówić o nich zaczynałam, każdy się żegnał; chłopięta na mój widok uciekały pierzchliwe, a stare kobiety mówiły pacierze. Jeśli na swojej drodze dwoje nowożeńców spotkałam kiedy, to pan młody bladł z przestachu, panna młoda płakała, bo mówili, że ja złą wróżką jestem; jeśli kiedy matka widziała, że na jej dziecko spoglądam, to drżąca, przerażona, unosiła je coprędzej, a jej przekleństwa goniły za mną, choć już daleko w lasy, w góry uciekałam.

Conoc pod spalonym dębem czekałam na mego kochanka i prędko nauczyłam się rozpoznawać przyćmiony płomień, którym on do mnie się zbliżał, wśród wszystkich błędnych ogniów, co jak pszczoły dokoła nas po powietrzu latały. Mój kochanek lubił, kiedy mu śpiewałam, bo jak często powiadał, śpiew młodej dziewczyny niebo mu przypominał. Mój kochanek miał takie białe czoło, że nieraz pytałam go się: dlaczego mu Pan Bóg tak wiele jeszcze jasności na skroniach zostawił—a on wtedy opowiadał mi, że ze wszystkich czartów ostatni swoje gwieździstą utracił koronę, że był w niebie aniołem miłości.

— Wielbiłem Boga, a kochałem szatana—mówił raz do mnie; — kiedy przyszła godzina powstania, nie walczyłem z drugimi, tylko głowę skrzydłami okrywszy, płakałem ze smutku, nieznanego pierwej uczucia. W myśli mi nie powstało, żebym kiedyś mógł Przedwiecznego opuścić, ale kiedy piorun zemsty, czy sprawiedliwości, w mych braci uderzył, gdy najjaśniejszy wśród wszystkich szatan, brat mojej duszy, strącony

do przepaści został, wtedy ja także cisnęłam mój promienny wieniec i za mną ostatnim niebo się przywarło.

— Ach, od tego czasu! — mówił czart z taką boleścią, że najnieszczęśliwszy człowiek wyobrażenia o niej mieć nie może — ach! od tego czasu wiele ucierpiałem! W piekle nikt nie kocha, a cóż ja bez miłości jestem? Oto jestem, czem będzie ziemia wasza, gdy Bóg słońce nad nią zgasi. Ja nawet nienawidzić zupełnie nie umiem; pogardzają mną inne czarne duchy, bo jeszcze mało złego zrobiłem na świecie.

Wtenczas ja rzekłam do niego, szczęśliwa prawie, że go mojem nieszczęściem będę mogła pocieszyć:

— Zgubiłeś moją duszę, czarcie.

— Tak, Maryjo, przyszedłem, żeby ją zgubić, i pewno ta zdobycz przeszłaby blaskiem swoim wszystkie zdobycze szatana, ale tyś jeszcze niezupełnie mi ślubowała, tyś jeszcze niezupełnie moja.

— Och! ja twoją — mówiłam mu na to — twoją na wieki! Czy chcesz, żebym przeklinała Wszechmocnego Boga za to, że cię potępił, mój piękny z jaśniejącą skronią aniele? Czy chcesz, to będą bluźnić, przeklinać... — Czart nie chciał tego. Ale... Nie lękajcie się wy, co mojej powieści słuchacie.

Na takie ostrzeżenie właśnie wszystkie wrzeciona, wszystkie kołowrotki stanęły, tylko nieznamoma prządka szybko nie swoje kręciła.

— Ale kazał mi przekląć duszę mojej matki.

Przekląć duszę matki, która mnie pocałowała najpierwszym pocałunkiem, uspiła snem najpierwszym, ostatnią pobłogosławiła modlitwą! Och! nie mogłam tego zrobić. Dostrzegłam jego smutek i.... umarłam.

Nastąpiła chwila milczenia; wszystkie kobiety ze strachem spozierały na ową dziwną postać, jakby naprzekór w najciemniejszej stronie izby siedzącą, a wśród wszystkich serc jedno małe serduszek najmocniej biło przerażeniem i nadzieją. Ona zaś tak dalej mówiła:

— Zimna to, zimna noc była! Śnieg przypruszył

moje ciało, a nikt po nie do lasu nie przyszedł. Nie miałam krewnych, przyjaciół, znajomych.....

A moja dusza biegła przestrzenią pod sąd Boga, i widziała wiele rzeczy i zrozumiała wiele cudów, których pierwej nie mogła pojąć. Widziała ducha utopionej córki, jak ze snem pociechy ku ubogiej wdowie dążył. Widziała w promieniach jasności mnóstwo niedgys bladych i znędzniałych twarzy. Widziała nawet błotem od ludzi zarzucone i zmazane krwią niesłusznych wyroków cienie, jak brały jasny męczenników wieniec, i błyskały nim ponad ziemią i wabiły nowych wyznawców, nowych męczenników do nieba. Widziała to wszystko dusza moja, aż na nią groźny głos Pana zawołał:

— Duszo niewierna. zaparłaś się Boga Ojca!

A Chrystus rzekł także:

— Dla twego zbawienia umarłem. Zaparłaś się ukrzyżowanego Chrystusa, niechaj ci się stanie według sprawiedliwości.

A Duch święty — biała, światła gołębicą, rzekł także:

— Rozświetliłem twą duszę darami mojemi—zaparłaś się mnie, niech się stanie Słowo Chrystusa.

A Panna Maryja, patronka moja, rzekła także:

— Zaparłaś się i mnie, ja nie dla ciebie uczynić nie mogę.

A święci Pańscy i aniołowie Boga rzekli także:

— Zaparłaś się nas, biada tobie!

A głos, który wśród tysiąca innych poznałam, rzekł także:

— Zaparłaś się duszy twego ojca... lecz nie miał siły potępieniem tak okropnych wyrazów dokończyć.

Nastąpiła chwila straszliwej cichości. Zdawało się, że Bóg czeka jeszcze, ale żadnej modlitwy nie było słyhać, coby z ziemi za grzeszną duszę prosiła. Już czułam męki wiecznego zatracenia, ogień piekielny powoli mnie ogarniał, gdy wtem — duch jakiś czysty, promienny, opuścił chóry błogosławionych i w pokorze przed tronem Boga klęknął:

— Panie, jesteś sprawiedliwy i miłosierny — zanucił dźwięcznym, cudnym pieniem. — Pani! ona się nie zaparła swej matki! Panie, chwała Tobie!... Panie, litości jej!...

Nadzwyczajnym blaskiem zajaśniało oblicze Boga i twarze świętych aniołów; był to uśmiech Najwyższego, przyjmujący modlitwę świętej matki za grzesznym dziećciem. Ten co sądzi, rzekł do mnie:

— Będiesz zbawioną.

Ustały cierpienia mej duszy i zadrżałam przecuciem wieczystego szczęścia; lecz głos Wszechmocnego rzekł jeszcze:

— Idź, duszo. kędy grzeszną byłaś; gdy robak ziemi poźrze serce twoje, skoro chrześcijańskie ręce pogrzebią twego trupa, wrócisz do nas.

I na te słowa zamknęło się niebo przedemną i wróciłam pokutną duszą pod dąb w lesie od pioruna spalony.

Robak ziemski obwinał się wkoło mego serca, czułam każde jego ukąszenie, jak gdybym żyła jeszcze. Pod śniegowem nakryciem drżał mój trup od zimna. A kiedy letnie słońce roztopiło śniegi, to pod upałem wędnał i syczał z gorąca. Słyszałam nieraz i trąbki myśliwych i rąbiącą siekierę leśników, ale nikt nie przyszedł pod dąb od wszystkich wyklęty!...

Nad zapomnianym moim szkieletem wiele zimnym śniegiem już sypnęło. wiele lat gorącym słońcem zaświeciło. Robak ziemski już pożarł serce moje — czuję to, bo do reszty znikła szalona miłość moja — a jeszcze nikt nie przychodzi.

Och! jakże mi zimno — ten śnieg, na który wy tylko z izby przez okno patrzycie, ja go czuję, jak bryłami za kości moje się wali. — Chrześcijańskie dusze, miejcie litość nad trupem! — Ognia! ognia najpierw! potem piasku garsteczkę — mnie tak zimno w lesie, na śniegu, na słońcu... Ale już czas...

I umilkła, a wielki ścienny zegar w przyległym jadalnym pokoju północ bić zaczął.



Kilka kobiet padło na kolana, pani domu wstała ciekawa. dziecko zaś, które przy niej było, szeptało sobie pocichu: „zobaczę ducha, zobaczę ducha!“

Z ostatniem uderzeniem zegaru prządka nagle się zerwała. rzuciła przęślicę na ziemię, skoczyła do komina i... w głos śmiać się zaczęła.

Najstrachliwsze podniosły nakoniec oczy i najstrachliwsze także śmiać się zaczęły, bo ta co stała przed niemi dziewczyna, i na żdźbło podobieństwa nie miała z trupem. szkieletem. pokutującą duszą. Była rumiana jak wisienka. a chichotała się, jak najszczęśliwsze w świecie stworzenie. Wszyscy dopiero poznali w niej Jadwigę z Krzywicy, krewnę Uliny.

— Ach! zobaczmy teraz—mówiła z dumą i uśmiechem zarazem—zobaczmy teraz, kto weźmie nagrodę. Mam ja sześć nawitych grubych jak butelki wrzecion. Ale ja nietutejsza. moje sliczne prządki, ja z Krzywicy jestem, gdzie to len taki nędzny, żebyście go dotknąć nie chciały. Jużście z nas dosyć naszydziły. teraz nasza kolej. Wszak prawda, imościulku, że ja wszystko zabiorę?

— Jużciż prawda, że tobie się należy — rzekła dobra pani — ale niebardzo jestem ci wdzięczną, żeś mi inne prządki twoją historią zbałamuciła.

— Och! moja kochana imościulku, już ja za to na który inny wieczór przyjdę czas stracony wynagrodzić: ani słowa nie powiem, tylko ciągle będę przędła.

— I owszem. moja Jadwigo, przychodź nam bajki prawić, dzisiejsza nieźle ci się udała, tylko mi więcej nie strasz moich kobiet.

— Już ja też więcej takich nie umiem. Na ten raz tylko przygotowałam się u nas we dworze, a sama panienska ze trzy dni mnie uczyła. gdzie mówić pocichu, gdzie głośno.

— Ocho! jak widzę, to zupełny był spisek—przerwała pani z uśmiechem;—nawet Ulina do tego należała i sprowadziła cię znienacka.

— Zato ją nauczyłam piosenki — odpowiedziała Jadwiga, serdecznie ściskając kolana dobrej pani, która jej oddała wstążkę, jabłka i orzechy.

— Dobranoc wam. moje dzieci — rzekła potem do wszystkich.

— Niech Bóg da jutra szczęśliwie doczekać — odpowiedziały przychylnie i... skończyła się wieczorynka z wielkim moim smutkiem. że prawdziwego ducha nie widziałam.

---

# MAINA I KOŚCIEJ.

---

Są pewne cechy wspólne wszystkim religiom pogańskim: od Indyj aż do brzegów Bałtyckiego morza napotykają się podobne wyobrażenia o Bóstwie i o duszy człowieka. Uczeni wywodzą historycznie te stosunki; chronologicznym porządkiem prowadzą starożytną mitologią z Egiptu do Grecyi, z Grecyi do Rzymu, z Rzymu do Germanii, a ztamtąd znowu do słowiańskich krajów i t. d., i t. d. Mnie się przecież wydaje, że i tenby nie zbłądził, ktoby prosto z kolei koniecznych postępów ludzkości to podobieństwo wyprowadził. Jakoż wistocie: czemużby nad brzegami Gangesu, Tybru lub Wisły z różnorodnych pierwiastków nie rozwijały się duchy ludów? Z klimatem i z geograficznem położeniem krajów zmienia się sposób wyrażania myśli, ale nie myśl sama, i religia Słowian musiała mieć też samo wewnętrzne znaczenie, jakie miała religia najodleglejszych narodów; obrządku jej były wyrażeniem tejże samej myśli, która po wszystkich stronach ziemi wyrabia się i kształci, której treść i istota zawsze jest taż sama, lubo z biegiem postronnych okoliczności formy odmiennej nabiera. Religia Słowian powstała, równie jak inne, z niezaspokojenia

ducha w zmysłowym świecie; jak inne, wysnuła z myśli drugi świat sobie i znalazła w nim Istność wyższą, wszechmocną, nieskończoną, odpowiadającą wszelkim niepewnościom człowieka. Olsniona zrazu tak wielkiem pojęciem, rozdrobniła tę Istność na wszystkie bogi starego świata, potem dopiero wzniosła się do ogólnego pojęcia jedności, a nakoniec znalazł duch ludzki w samym sobie ten ostateczny wyraz, rozwiązujący mu wszelkie zagadnienia — znalazł imię Boga, i na długi czas uspokojony, mógł w Nim odпочąć z ufnością.

Według mego zdania, ten pochod umysłu człowieka tak jest nieodzowny, że gdyby dziś zostawiono nieświadomemu dawnych podań czas i wolność tworzenia sobie religijnych wyobrażeń, ten nieświadomy też samą poszedłby drogą.

Ze słowiańskiej mitologii niewiele nam zostało zabytków, śladów, pamiątek; modrzewiowe kontyny, drewniane bogi prędej uległy zniszczeniu, jak mury rzymskich świątyń, marmur greckich posągów. Po wielu miejscach przewaga zwycięskich Germanów zmieniła język, obyczaje; ledwo gdzieś między ludem, ledwie czasem w nawiasowym wierszu starych kronik znajdzie się pamięć pierwiastkowego obrządku, wspomnienie o słowiańskich bogach. Ciężka ztąd praca dla uczonych, wielkie zmartwienie dla miłośników Słowiańszczyzny, ale co za nieprzebrane źródło bogactw dla poety! Na tych niepewnych podaniach zstąpić w przeszłość naszych dziejów, wstecznym krokiem przebiegnąć skałę duchowych postępów, a wnuknąwszy w istotę myśli i w istotę krajowości, wywieść z tych kilku pamiątek cały obraz zatartego czasu — och! jakieżby to było piękne i godne wprawniejszego pióra dzieło!... Co do mnie, każdy zapewne, czytając ten urywek, pozna z łatwością, że więcej czułam, niż wiedziałam i mogłam. To jednak, co napisałam, przyrzucam jako grosz wdowi do skarbów bogaczy.

Nie mając sposobności przerzucenia wielu dzieł uczonych, które o Słowiańszczyźnie pisano, musiałam



poprzestać na tém, co Naruszewicz i Rakowiecki o niej powiedzieli, i na krótkim w tym przedmiocie pisanii Słotwińskiego, któremu winna jestem myśl o Kościeju.

Wistocie, niedosyć to było jeszcze, żeby się odważyć utworzyć z tego chociaż i tak małą powieść, jaką jest niniejsza; ale sam niedostatek był mi zachętą. Gdzie jest wiedza zupełna, tam już twórczość wyobraźni równie swobodnie działać nie może. Wybrałam z dawnych podań takie, o którym najmniej historycznych czytałam rozpraw.

Słotwiński pisze: „Kościej czyli Koszczej porywał młode dziewice“ — chwyciłam się tych wyrazów. Kościej czyli Koszczej już samem brzmieniem oznacza, że nie musiał być tem samem, co powszechnie znany Upiór, który, mniejwięcej tłusty i wiecznie czerwony, uściskiem zabijał młode dziewczyny. Kościej — kość, szkielet — porywał młode dziewice, ale zapewne nie porywał dlatego, żeby jak Upiór ich życiem swoje potworne przedłużyć życie; była więc między jednym a drugim różnica; lecz porywanie młodych dziewczyn, wspólne obudwom, przekonało mnie, że Kościej równie jak Upiór narodowem wyobrażeniem jest, lub być może; wzięłam więc Kościeja, przeniosłam między bogi zmarłych, dałam mu śpiew na usypianie swych ofiar i pod władzę Bystra przysądziłam.

Bystr wzięty jest z Naruszewicza, a Naruszewicz tak mówi: „Flins, Bóg wskrzeszający umarłych, wyraża pilnego czyli czujnego, który nigdy nie śpi, lecz ustawnie patrzy na umarłych, mając ich wskrzesić. Wyobrażenie jego, niby śmiertelnego udające człeka, umarłych znaczyło, których on był bogiem. Lew stojący na ramieniu oznaczał moc jego, wskrzeszać umarłych jakoby lwim rykiem zdolającą.“ Tak powiada Naruszewicz, lecz nazwisko Flinsa zanadto mi się niemieckie zdawało, tem więcej, że czytając dalej, doczytałam się o drugim bogu, Pistrzycem czyli Bystrzycem zwanym, do gniewu skłonny, a od którego nawet rzeczka Bystrzyca ma mieć swoje nazwisko. Zdaje mi się, że nic zdroźnego nie uczyniłam, łącząc

te dwa bóstwa w jednoż miano. Zapewne bóg umarłych musiał być groźnym i gniewnym w wyobrażeniach mitologicznych, a wiadomo też, że Słowianie najbardziej lubili nad brzegami rzek popioły swoich umarłych zagrzebywać. To pojęcie śmierci w uspieniu, ten stróż bacznym nad zmarłymi, żeby mu się z nich który nie obudził, poprowadziło mnie koniecznym do utworzenia Kościeja, coby śpiewem kołysał jedne, przywabił inne istoty pod moc swego zwierchnika.

Wyliczenie innych bóstw śmierci jest także z Naruszewicza wzięte. Marzana, bogini chorób, moru i śmierci; Nija, o której utrzymywano, że w piekle, to jest zapewne w ziemi rządzi, i do której Słowianie modły zanosili, żeby im tamże dobre gospody obrała. Wszystko to mi pomogło do rozwinięcia niektórych moich domysłów, bo już-to wzywam zawczasu pobłażania i wyrozumienia, ale niemniej jest prawdą, że najwięcej domysłem szłam w mojej powieści. To, co niepewnością zowią w historii, mi w poezji najlepiej się podoba. Z wniosków tylko, prawdopodobieństw i moich własnych wyobrażeń usunęłam te kilka obrazów, polegając na głębokim przeświadczeniu, że brak więcej szczegółowych wiadomości może zastąpić prawdziwe zajęcie uczucia i duchowe zagłębienie się w myśli o przeszłości.

---

Pagórek stał nad rzeką,  
Na pagórku mogiły,  
Promienie księżycy,  
Niepewnie, daleko.  
Na ciemnych falach świeciły,  
A na mogilnym kamieniu  
Siedziała dziewica,  
Biała, w białym odzieniu;  
A nad dziewicą i nad kamieniem,  
Długim z pagórka padając cieniem,  
Czarnej zieloności jodła  
Z Pochwistem ciche rozmowy wiodła <sup>1)</sup>.

Dziewica na grób małemu bratu  
Przyniosła mleka, owocu, kwiatu;  
Potem choć inne odeszły siostry,

Ona została.

Na piersiach obie złożyła dłonie,  
I choć jej powiew wiatru zbyt ostry  
Ciemne uploty przywiał na skronie,

Ona nie czuła — na fale rzeki

Myśli puściła i w kraj daleki,

W kraj nieznany je posłała;

A chciwem uchem słowa chwytiała,

Słowa niepojętej pieśni,

Która jak gdyby odpowiedź marzeniu,

Zabrzniiała dla niej w wieczornem milczeniu,

Cudownym dźwiękiem,

Westchnieniem, jękiem,

Głosem bożka, głosem ducha!

O takiej pieśni ludziom się nie śni,

Takie piosenki dla wybranych ucha,

Takich nie wszystkim słuchać się godziło,

Lecz dziewczica słuchała —

Jej dusza cała

Zawisała w cudownej nucie;

Serce bić mocniej zaczęło,

Oko ku niebu błysnęło

I nowe, święte uczucie

W czystej się piersi zrodziło!

Tymczasem Lussa, matka dziewczicy,

Próżno przybycia jej czeka,

Śpiesznemi kroki idzie, gdzie rzeka

Stopy pagórka podmyła,

Gdzie rok już temu, w dzikiej okolicy

Pod jodłą synka złożyła.

Przychodzi, córkę znajduje,

W białe ją czoło całuje,

Piękną twarz łzami obmywa

I tak się do niej odzywa:

„Maino, Maino! co tobie?”

Czemu siedzisz przy mogile?  
Już długie ubiegły chwile,  
Już siostry twoje wróciły.  
Przygnały bydło z boru  
I ogień wieczoru  
W chacie roznieciły.  
Ty jedna, Maino, przy grobie  
Siedzisz zadumana —  
Maino kochana,  
Powiedz, co tobie?  
Bledsze są twoje lica,  
Niż blada twarz księżycy;  
Ucho twoje po błoni  
Zda się, że piosnkę goni.  
A tu wkoło milczenie;  
Oko patrzy ciekawe,  
Jak na bożka postawę,  
A tu wkoło są cienie.  
Powiedz, Maino droga,  
Czy gniew jakiego boga  
Zaćmił dni twych poranek?  
Czy ci też w duszy łzawo,  
Że poszedł walczyć krwawo  
Młodzieniec, twój kochanek?  
Powiedz, ja długo będę się modliła,  
Liczne ofiary do świątyń nosiła,  
Zyskam bogów przebaczenie.

Powiedz, ja pójdę śmiało,  
Kędy nasze wojownicy  
Dzielnych mężów wiodą szyki,  
Na zwycięstwo lub stracenie;  
Choćby tysiąc strzał świszcząco,  
Choćby ciekły krwi strumienie,  
Ja ci lubego przywiodę —  
Maino, tylko w nagrodę  
Ty bądź szczęśliwa, wesola!“—

Umilkła matka — na twarz dziewicy  
Łza cichego żalu ściekła,



Bo dla niej znowu głucho dokoła,  
Znowu pusto w okolicy.  
Pieśń czy w powietrzne szlaki uciekła,  
Czy też głos Lussy przerwał jej słowa,  
Ale ucichła — jodły rozmowa  
Także skończona; z żalem Maina  
Do matki swojej mówić zaczyna:  
„Naco ten smutek, naco ta trwoga?  
Ni mnie gniew ściga jakiego boga,  
Ni się za lubym dusza stęskniła;  
Lecz prawdę rzekłaś, o matko miła!  
Ja pieśni słucham: jej głos tajemny,  
Jak głos kochanka dźwięczny, przyjemny,  
A nawet słodszy — bo jak twój, matko,  
Gdyś do snu brata mego tuliła,  
A w dzień pogody przed naszą chatką  
Choremusź rzewne piosnki nuciła,  
Tak on mnie nuci cudne wyrazy  
Cudne powieści — a ile razy  
Czyja go mowa zagłuszy,  
Ach! tyle razy, matko jedyna,  
Smutnemi łzami płacze Maina,  
I smutno, łzawo w jej duszy.  
Matko, masz jeszcze dwie inne córy,  
Te ci rozniecą ogień wieczoru,  
Te ci i bydło przypędzą z boru  
I cienkie skręcą przedziwo.  
Mnie pozwól, matko, błąkać się w góry,  
Dumać u brata mogiły,  
Słuchać co będą duchy nuciły  
I być mem szczęściem szczęśliwą!“ —  
Matka słów tych nie pojmuje,  
Z żalem ręce załamuje,  
Że to gusła, że to czary  
W myśli sobie ułożyła,  
I śpiesznie się oddaliła  
Zbierać zioła, nieść ofiary,  
Żeby wielka matka ziemi  
Siwa, względy przychylnemi,

Córki lice rozjaśniła,  
Złe uroki odpędziła.  
A Maina znów samotna,  
Czoło kładzie na kamieniu;  
Rosa chłodna i wilgotna  
Kropli się na jej odzieniu,  
Lecz ona chłodu nie czuje,  
W srebrną rzekę się wpatruje  
I w powietrzu bacznie słucha,  
Czy nie ozwie się pieśń ducha.  
Aż zabrzmiała pieśń tak bliska,  
Jak bliską woń listkom kwiatu,  
Jak Marzana, bliską światu <sup>2)</sup>,  
Strzały sercu, w które biją,  
Ręka ręce, którą ściska,  
Usta czarze, z której piją.

A duch nucił Mainie:

„Jeżeli radość na ziemi gości,  
Och! więcej szczęścia, więcej radości  
Znajdziesz w umarłych krainie!

Piękna córo ziemi.

Zostań z umarłymi,

Ja umarły, kocham ciebie!

Nija nas przyjmie oboje <sup>3)</sup>,

Roztworzy ziemi podwoje,

W cudnej jaskini pogrzebie,

Tylko, Maino, kochaj Kościeja!

Co tam, że słońce nad ziemią świeci,

Częściej też sroga burza przeleci,

Albo śniegowa zawieja.

Piękna Maino, czysta dziewico!

Jeśli ci tego potrzeba,

Ja pogodniejsze stworzę ci nieba,

Światlejsze słońca na nich zaświecą;

A jeśli piękne ludzi marzenie,

Słodka młodości nadzieja,

Ja ci ją w prawdę, w życie zamienię —

Maino, kochaj Kościeja!

Dwie są boginie  
W zmarłych krainie  
Jest Marzana  
Córa choroby,  
Wśród was odziana  
Szatą żałoby,  
A w naszym gronie,  
Piękna dziewica  
Siedzi na tronie,  
Który z mgły wieczora  
Wzniosła dla niej prawica  
Brata Kiki-Mora <sup>4)</sup>.

Jest jeszcze druga, Nija królowa —  
Podziemiem rządzi,  
Was ludzi sądzi  
I urny pogrzebne,  
I riumki płaczalne <sup>5)</sup>  
Podług sądu w swym łonie chowa;  
Dla zbrodni toczy bagnisk topiele,  
A cnotcie łoża wspaniałe ściele.  
Gdzie pod okiem siostry Siwy <sup>6)</sup>,  
Rosną lasy, kwitną niwy.  
Jest i dwóch bogów w umarłych świecie —  
Bystr z bladą twarzą — ja, szkielet ludzi — <sup>7)</sup>,  
Bystr lwa strasznego dźwiga na grzbiecie,  
Lwa, który kiedyś umarłych zbudzi;  
A ja w tej piersi wyschniętej z ciała  
Mam głos do pieśni, pieśń do uspienia,  
Żebym sen, długi jak wieczność cała,  
Zdobiał umarłym w cudne marzenia.  
Ach biedny Kościej! ach i świat biedny!  
Gdybym ja pieśnią zmarłych utrudził,  
I znów do życia, do chwilki jednej  
Chociaż jednego przebudził!  
Lecz nie — śpią wszyscy, aż czas przeminie,  
Taka pieśń moja dźwięczna, wesoła;  
Ach! powiedz, czyli ziemskiej dziecinie  
Na sen tak długi zaśpiewać zdoła

Najtkliwsza matka? — powiedz, Maino,  
Czy waszych dziewic wszystkie piosenki  
I najślawniejsze gęślarzów hymny  
Tak śmiało, zgodnie, tak słodko płyną,  
Jak płyną z piersi Kościeja dźwięki,  
Z piersi Kościeja tak zimnej?  
Maino, córo ziemi,  
Zostań z umarłymi  
Życie wasze jest chwilką  
Zgryzot i cierpienia,  
A śmierć jest tylko  
Snem bez przebudzenia,  
Póki lew nie ryknie.

Maino, zamknij oczy,  
Światło duchów cię otoczy.  
Gdy światło ziemskie zniknie;  
Maino, dla nas Nija  
Skarby swoje rozwija,  
Nieprzeliczone skarby:  
Ogień w ziemi tlejące,  
Dyamentów czyste słońce,  
Rubinów jasne farby.  
Smaragd się tu zieleni  
Na złocistej przestrzeni,  
A w koralowej skale  
Mleczne rosną opale.  
Śpij, Maino! Ja tobie  
W jaskini łożę zrobię,  
Z wonnego kwiatu łożę,  
Na lilijach cię złożę,  
Złoty obłok rozbiję  
I obłokiem nakryję.  
Śpij, śpij, piękna Maino!  
Cóż zostawiasz na ziemi.  
Za czem łzy twoje płyną?  
Płaczesz za siostry swemi?  
Siostry ciebie nie płaczą,  
Kochanków będą miały,



Meżów będą kochały,  
Ciebie prędko zabaczą.  
Śpij, śpij, piękna Maino!  
Czy za matką łzy płyną?  
Matka chce szczęścia twego,  
A ty będziesz szczęśliwa,  
Wierz, piękna, Kościejowi,  
On ci do snu długiego  
Cuda cudów opowie,  
Najtkliwszą pieśń zaśpiewa.  
Śpij, śpij. Maino, śpij, zamknij oczy,  
Bo ile razy w pieśni nadmienię  
Z waszego świata wyraz uroczy,  
    O szczęściu, o radości,  
    O sławie, o miłości,  
        Tyle razy  
        Takież obrazy  
Czuciem do serca, lub w jasne promienie  
    Pod powieki twoje spłyną.  
    Więc śpij, śpij, piękna Maino!  
    Przed światem zamknij powieki;  
    Ja cię ukochałem sobie  
Całą miłością, którą bóstwo Siwa  
    Z życiem, z rozkoszą na świat wasz zlewa,  
    Ja ukochałem w duchów sposobie,  
    Bez miary i na wieki!  
    Maino, bądź wzajemną!  
    Śpij, śpij, córo ziemi,  
    Zostań z umarłymi  
    Zostań, ach zostań zemną!“  
    I usnęła dziewica —  
    A blady Kościej  
    Spuścił się do niej  
Na srebrnym promieniu księżyca;  
    Lecz Marzana  
    Mgłą owiana  
    Nie tknęła się jej lica,  
    Bo nie Marzany siła,  
    Nie choroby ręka,

Piękną Mainę uśpiła,  
Tylko Kościeja piosenka.  
A Bystr milczący, ponury,  
Strząsnął z czoła czarne chmury  
I spokojne wzniosł źrenice  
Na uśpioną dziewicę,  
I niby uśmiech błysnął mu po twarzy;  
Bo nie często stróż grobów pilny  
Widzi, jak ze świata  
Duch młody i silny  
Wśród zmarłych ulata,  
A losom nie skarży.  
Nija dłoń zimną wsparła na jej czole,  
Uśmiechem także Mainę witała,  
Bo jak w czystej krynicy,  
Tak w sercu dziewicy  
Niepokalane myśli czytała  
Iż spełnia bogów wolę.  
A dusze nowo zmarłych, na jodłowym drzewie  
Pozawieszane jakby krople rosy,  
W radosne ozwały się głosy,  
I przemawiały w Kościeja śpiewie.  
I drżały w Pochwista oddechu  
I Mainy imię powtarzały echu.  
Ale nazajutrz — ledwo obłoczek różowy  
Odślonił złote promienie  
Jasnej słońca głowy,  
Ledwo pierwsza ptaszyna pod niebios sklepienie  
Lekkiem skrzydłem się wzbiła  
I pierwszą pieśń zanuciła —  
Już Lussa, matka troskliwa,  
I dwie jej młodsze córki,  
I znajomych drużyna życzliwa,  
I ofiarnik, kapłan stary,  
Śpieszą na grobów pagórki  
Budzić Mainę — złe odpędzać czary.  
Lussa na widok uśpionej córy  
Krzyknęła — na ziemię padła,

Twarz jej bladością śpiącej pobladła,  
Ręce wzniosła dogóry  
I zawołała tym głosem duszy,  
Co nawet dzikie zwierzęta wzruszy,  
Niezrozumiałej boleści świadki,  
Co w każdym jęku, co w każdym słowie  
Wszystkie cierpienia serca opowie  
I los przyszłości wywróży srogi,  
Tym wielkim głosem, co go wlały bogi  
Tylko w piersi kobiety — tylko w piersi matki:  
„Maina już nie żyje! wróćcie mi Mainę!  
To moja córka najpierwsza była,  
Ja, małą dziecinę,  
Najpierwej do łona tuliła,  
Najpierwsze dałam jej pocałowanie,  
Najpierwszą kroplę mleka  
Wsączyłam w usta dziecięce...  
Niklocie. bogów kapłanie,  
Zbudź córkę moją!  
Ja za to z innemi  
Twojej świątyni poświęcę  
Tyle owiec z runami białemi,  
Ile ich codzien córki moje poją;  
I tyle kwiatów na ołtarzu złożę,  
Ile w najpiękniejszej wiośnie  
Na mojem polu ich rośnie;  
I krów ci tyle przywiode,  
Ile ich mam w oborze;  
I tyle gęsi z śnieżnemi pióry,  
Ile ich pluska w moim stawie wodę,  
Albo co lato,  
Nad moją chatą  
Szybuje śmiało dogóry.  
Niklocie, wróc mi Mainę,  
Moję córkę, moje dziecko,  
Moję chlubę, moje życie,  
Moje szczęście jedyne!“  
Przystąpił Niklot — był-to kapłan stary,  
Dawno już bogom oddawał ofiary;

Dawno jego oblicze  
Zmarszczki głębokie okryły  
I dawno jakieś troski tajemnicze  
Głowę szronem ubieliły.

Jeśli najstarszej wieści kto posłucha,  
Z najstarszym nie zmieniał się wiekiem:  
Młodości jego nikt nie zapamięta,  
A między ludem powieść idzie głucha,  
Że ta istota tajemna, czy święta,  
Zapewne nie jest człowiekiem.

Przystąpił Niklot, gdzie spała dziewica,  
I obie swoje wyschnięte dłonie  
Przyłożył na jej serce, na zimne jej skronie;

Wtem jaskrawa błyskawica  
Z zapadłych jego powiek się wydarła  
I krzyk stłumiony z ściśniętego gardła  
Rzucił ku ludziom — potem niewzruszony  
Stał w falach własnej myśli pogrążony.  
I widać było po zmienionej twarzy,  
Że o dalekich, smutnych dziejach marzy,  
A duch, stargawszy chwil obecnych wątek,  
Zatonął gdzieś głęboko w bezdeni pamiętek.

Drużyna cała  
Zdziwiona stała,  
Śledząc dumań przyczyny;  
Dwie siostry Mainy,

Patrząc na starca w milczeniu.  
Zdziwieniem folgę dały cierpieniu;  
Lecz Lussa nie zważa na nic,  
Ból jej bez ulgi i żal bez granic.

Wzywa wszystkie bogi,  
Niklotowi ściska nogi,  
Łzami swemi ziemię rosi,  
O Mainy życie prosi.

Zbudził się Niklot, potrząsnął głową,  
Jakby chciał z czoła myśl ciężką zrzucić,  
Spojrzał na Lussę zimno, surowo,  
I zaczął mówić: „Zkąd te rozpaczę?  
Kto chce z wyrokiem bogów się kłócić?



Ja wam cud nowy tłumaczę:  
Maina żyje...“ — „Żyje Maina!...“

Krzyknęła matka radośnie,  
I krzyk ten daleko, rozgłośnie  
Z ust do ust przechodzić zaczyna.  
Lecz starzec skinął — w milczeniu stają,  
Wszyscy osnowy cudu czekają,  
A Niklot mówi: „Żyje dziewica!

Ni jej choroby cierpienie,  
Ni Marzany uściśnienie  
Nie skaziło krasnego lica.  
Żyje — lecz ludzie, czyż wy to pojmiecie?

Żyje nie na waszym świecie,  
Dla waszej ziemi na długie wieki,  
Senne zamknęła powieki:

Ale snem swoim ona tak szczęśliwa!  
Jej bóg zmarłych, jej Kościej dzwicznym głosem śpiewa,  
Czy wiecie, co to Kościeja śpiew?

On w umarłych światy  
Najczystsze przynosi kwiaty,  
Najpiękniejsze z waszych dzieł!  
Bo łatwo dziecię

Rzuca powicie,  
Które tak słabo z ziemią go łączy,  
Bo łatwo starzec idzie w mogiłę,  
Gdy całe szczęście, całą swą siłę  
Stargał i zerwał ziemskie ogniwa;  
A sława hojnie krew młodych sący,  
Každy pobiegnie gdzie walka wzywa.  
A grot najtwardsze piersi przeszywa.  
A kiel wilczycy, uścisk niedźwiedzi  
Często najśmielszych łowców uprzędzi.

Lecz dziewica spokojna,  
Nie dla niej łowy, nie dla niej wojna;  
W cieniu ojczystej zagrody  
Bezpiecznie spędza wiek młody,  
Całemi usty wdzięk życia pije,  
Całemi siły na świecie żyje —

Ach! jakże dziewicę oderwać od świata,  
Dziewicę, siostrę Siwy i Łady?  
Słuchajcie, ludzie — wtedy Bystr błady  
Wzywa Kościeja — Kościej ulata  
Wkoło wybranej ofiary,  
Cudnemi pieśni, dziwnemi czary  
W wszystkie jej chwile się wplata;  
Aż zachwycona,  
Tuli do łona  
Boskiego posłannika,  
Dla świata całego  
Piękne oczy zamyka.  
Jednakże ludzie — jeżeli chcecie,  
Uspioną zbudzić możecie.  
Niech jej który z was zanuci  
Czy jakie zaklęcia słowo,  
Czy radość wielką, nową  
I szczęścia obietnicę,  
O jakiej Kościej nie śpiewa,  
A zbudzicie dziewicę.  
Świat duchów porzuci,  
Może być szczęśliwa!  
Lecz biada temu, och! stokroć biada.  
Kto kłamstwem ze snu ją zbudzi:  
Bystr śmiercią ludzi władą,  
A jeśli zbudzona dziewica,  
Zpod straży jego wzięta,  
Kościeja oblubienica  
Pieśni kochanka spamięta  
I uniesie to wspomnienie wśród ludzi,  
I nie będzie się waszą radować radością,  
I nie będzie już mogła pokochać miłością,  
Zimną miłością tej ziemi,  
A w sercu na wieczny smutek zachowa  
Za ziemią słyszane słowa.  
I tęsknić będzie za umarłymi...  
Ach biada, raz jeszcze biada,  
Temu co ją przebudzi!

Bo śmiercią ludzi  
Bóg zmarych włada.  
A czy myślicie,  
Że jego życie  
Przyjmie on chętnie w zamianę  
Za sny dziewicy przerwane?  
Och! nie -- zemsta boga  
Trwa dłużej, bardziej jest sroga.  
On śmierć jemu usunie w tak dalekie lata,  
Aż póki z rodziny,  
Przyjaciół, drużyny,  
Ostatni, na ostatnim nie zapłacze grobie,  
Lub jak ja, dziwowisko świata,  
Sam nie zostanie na ziemi,  
Obcy między obcymi,  
Obojętny dla wszystkich, sprzykrzony sam sobie.“  
Umilkł Niklot i w ręce obie  
Zorane wiekiem pochylił czoło,  
A słuchaczy rozprzęgło się koło,  
Każdego dziwna bojaźń przejmuje,  
Chociaż nie każdy groźbę pojmuje  
I żaden nie wie co znaczy  
W słowach starca dźwięk rozpaczy.  
Lussa tylko ciągle klęczy,  
Ciągle płacze, ciągle jęczy,  
Bo Lussa dawno żyje na świecie;  
Lussa wie, że jej dziecię  
Długo spać będzie,  
Bo na świecie smutek wszędzie;  
Lussa nie zna zaklęcia, nie zna obietnicy  
Coby nie kłamała  
I bezkarnie sen przerwała  
Kościeja oblubienicy.  
Dwie młodsze córki Lussy stanęły naboku  
Smutne—lecz Krassa się śmieje.  
Krassa najmłodsza jest z Lussy dzieci,  
A w młodym sercu i młodym oku  
Przyszłość najjaśniej świeci,  
Najprędsze budzą się nadzieje.

W Krassy spojrzenia błękiecie  
Takie niebo, pokój taki!  
Łatwo zgadnąć, że przez całe życie  
Stopą ziemi nie dotknęła  
I w powietrzu przypłynęła,  
Jak powietrzne płyną ptaki.  
Ona dotychczas tylko z Pochwistu oddechy  
Biegała w śmiałe zawody,  
Albo niewinne dzieliła uciechy  
Bogunek, które srebrnej pilnowały wody.  
Ona szczęśliwa, bo wesola jeszcze,  
Pierwszą łzę w życiu nad siostrą wylała.  
Boleść dziecinnej myśli z serca nie wyssała  
A doświadczenie w zimne nie ujęło kleszcze.  
„Matko! woła, w dłoń uderzy,  
Matko, nie płacz, ja zanucę,  
Siostrę do życia powrócę,  
Siostra mej pieśni uwierzy.

Wy wszyscy czemu płaczecie?  
Alboż to niema szczęścia na świecie?  
Jest przecie kwiatów dostatek,  
A każdy kwiatek  
W tak śliczne sukienki  
Od słońca ubrany!  
A mówią kapłany  
Za Kupały bóstwo <sup>8)</sup>  
Piękniejszych kwiatów mnóstwo  
Kiedyś jeszcze z hojnej ręki  
Po ziemi rozsiejel!  
Bierzcie do serca nadzieje,  
Łzy otrzyjcie! — Za dni parę  
Bogini Łady święto <sup>9)</sup>.  
Tu przyjdziem spełniać ofiary,  
Tu z pieśniami, tu z wieńcami,  
Tu dziewice z młodzieńcami,  
Tu ja wesolo zanucę,  
Przebudzę, ocucę.  
Mainę w sen zaklętą!“ —



Tak mówi Krassa, a na jagody,  
Jak kryształowa kropla wody,  
Po chwilowej nawałnicy  
Słońcem na listku trawy świecąca,  
Tak łza spłynęła, ostatnia, lśniąca  
Uśmiechem młodej dziewczycy.

Patrzac na nią w tej chwili,  
Každy bada swe sumienie,  
Czy go nie myli  
Tak prędkie o szczęściu zwątpienie?  
I každy z Krassy ufne go oblicza  
Czerpie wiarę przyszłości  
I ludzkie radości  
Na jej uśmiechy przelicza.  
Lussa nawet płakać przestała:  
Jej córy ufna prostota  
We wszystkie piersi otuchę wlała,  
Tylko nie w piersi Niklota!  
I odszedł každy w cichości z nadzieją,  
A wkoło śpiącej Mainy  
Znowu pieśń Kościeja dźwięczy,  
Duchy powietrzne się śmieją.  
A obłok letniej tkaniny,  
Zdobny kolorami tęczy,  
Spuszcza się i w jego łonie  
Dziewica — pagórek tonie.

Lecz już przeszło święto Łady,  
Młodzian i dziewic gromady  
Śpieszą na miejsce, gdzie Mainy ciało  
Pod zasłoną obłoku  
Słodko spoczywało.  
Przez chwilę stoją zdumieni,  
Zkąd, namiot, co się w ich oku  
W rozliczne farby mieni,  
Piękniejszy niż wszystkie wience,  
Co z najpiękniejszych kwiatów uplotły ich ręce?  
Krassa się tylko nie dziwi,

Krassa nadziei nie traci;  
Woła na siostry i braci,  
Którzy się z nią połączyli,  
Ażeby dzień jeden byli  
Równie jak ona szczęśliwi.  
Na głos i przykład młodej dziewczyny  
Pobiegli wszyscy — oltarz z darniny  
Wzniósł się wysoki, dumny,  
Wsparły go kwiatów kolumny,  
A na jego szczycie  
Złożono obficie  
Przyszłych owoców zawiązki,  
Młodych drzew pierwsze gałązki,  
Młodych roślin pierwsze kwiaty,  
Młodych matek ślubne szaty.—  
Potem wszystkie dziewice i wszyscy młodzieńce  
Razem się wzięli za ręce;  
Krassa na stos ofiarnych darów  
Podrzuciła świętych żarów,  
I ponad szaty, kwiaty, owoce  
Płomienny ogień w iskry migoce,  
Dym biały kłębuje —  
A młodzież wesola,  
Płasa dokoła  
I płasom przyspiewuje.  
A jak u spodu wzgórza ta młodzież szczęśliwa,  
Tak za obłokiem Kościej dla Mainy śpiewa.

### R a z e m w s z y s c y .

Zdaleka smutni, zdaleka starzy!  
My tu nie chcemy ponurej twarzy!  
Łada bóstwem piękności,  
Łada bóstwem młodości,  
Łada! wielka Łada!

Dalej! dalej! myśmy młodzi,  
Nam się cieszyć, płaszać godzi.

Dalej! dalej! wokoło!  
 Szczęśliwy, kto żyje,  
 Komu serce bije,  
 Kwiaty wieńczą czoło!  
 Łada! wielka Łada!

### K o ś c i e j.

Słuchaj. Maino! przyszli bracia twoi  
 O szczęściu śpiewać ci tylko,  
 Lecz ich szczęście nikłą jest chwilką,  
 Jest krótkim wypoczynkiem wśród trudów i znoj;  
 Nie wierz ich pieśni, Maino!  
 Ja zwołam duchów, duchy przyplyną  
 Na skrzydłach Pochwista. na słońca promieniach,  
 Lub w świetle jutrzeńki, lub w Noceny cieniach <sup>10)</sup>;  
 Duchy o boskich tajemnicach wiedzą,  
 Duchy, Maino, prawdę ci powiedzą.

### G ł o s k o b i e c y.

Pogoda błękitna po polach biegła <sup>11)</sup>,  
 W leciutkie skrzydełka nad ziemią trzepała,  
 A strzegła od zimna, broniła od szkody  
 Kwiateczki. owoce, plód Kupała młody.  
 Myśmy je zerwały na twoje ołtarze,  
 Łado piękna, młoda, przyniesłyśmy w darze,  
 Bo tobie należą, póki ich nie zmieni  
 Sroga burza lata—mroźny wiatr jesieni.  
 Łada! wielka Łada!

### D u c h z i e m i.

Jest światów mnóstwo, lecz na moim świecie  
 Radość i szczęście, jak w szaleju kwiecie  
 Miód i trucizna. Tylko bracia twci  
 Więcej z trucizny wypili napoi,  
 Bo miodu mało i nie każdy zdoła  
 Tak go wydzielić, jak skrzydlata pszczoła.

Na moim świecie mało jest wesela  
I mało światła; ledwo czasem kiedy  
Z grubej ciemnoty i wieczystej biedy,  
Ku innym światom mój padół odstrzela  
Weselszym wzrokiem, światlejszym promieniem,  
Nadzieją, lub zapomnieniem!

### Głos męski.

Łada wesola, to bóstwo nasze!  
Dajcie tu czasę—ja wielką czasę  
Duszką wychylę—śmiało tylko łać!  
    Niech miód złocisty,  
    Wonny i czysty,  
    W rogowie naczynie  
    Strumieniem płynie,  
Póki miodu na ziemi stać!  
    Miód napój boski,  
    Rzeźwi i krzepi,  
    Rozpędza troski.  
    Rozkosze szczepi,  
    Bo kto miód pije,  
    Z bogami żyje!  
    Lejcie miód w czary!  
    A z pełnym rogiem <sup>12)</sup>,  
Młodym będzie stary,  
Młody będzie bogiem!

### Duch powietrza.

    Miód piją ludzie,  
Żeby o troskach, żeby o trudzie  
    Myśl pozbyć z głowy.  
My chociaż trudu, troski nie znamy,  
Jednak na wiecznej uczcie spijamy,  
    Wieczny napój, deszcz perłowy.

Listek różany jest moją czasą,  
Obłok poranny jest moją flaszą,



A pieśnią moją, gdy się zapije,  
Wszystko co żyje,  
Głos całej natury!  
Czasem Perkun do mnie się odzywa  
I czarnemi chmury  
W pioruny mi przygrywa;  
Czasem Pochwista schwytam za ręce,  
Gdy nad twoją ziemią biegnie.  
I tak z nim lecę, tak się z nim kręcę  
Po wszystkie świata strony,  
Aż w całej przestrzeni  
Tysiąc gwiazd bieg zmieni,  
Aż sam Pochwist, zmęczony,  
W głębi morza przylegnie.

### **Głos kobiecy. Młoda dziewczyna.**

Bodaj to żyć na ziemi,  
Być piękną i młodą,  
Świecić nad innemi  
Cudniejszą urodą!  
Do mych rodziców chaty,  
Już od święta Koledy <sup>13)</sup>,  
Trzech młodziń słało swaty,  
Siedmiu było na zwiedy.  
Lecz póki dla którego  
Serce mi nie zabije,  
Łzami nie błysną oczy,  
Rumieniec nie wyskoczy  
I lica nie okryje —  
Dopóty dla każdego,  
I w każdej wiosnie,  
I w każde lato,  
Przed naszą chatą  
Groch wysoko rośnie <sup>14)</sup>.

Mnie tak dobrze u matki,  
Jak mi nigdzie nie będzie:

Cały dzień zbieram kwiatki,  
A matka na sukienki  
Taki biały i cienki  
    Len dla mnie przedzie!

Ja ledwo czasem, czasem  
Pędzę bydelko lasem,  
I niekiedy o świcie  
Doję krówki w oborze;  
Częściej wianeczki plotę,  
Lub w przejrzystym jeziorze  
Wyścigam rybki złote,  
Lub z innemi dziewczyny  
Spiewam bogom pochwały—  
Mnie zabawką godziny,  
Mnie weselem dzień cały,  
Mnie szczęściem całe życie.  
    Łada! wielka Łada!

### Duch gwiazdy.

Jest bóg wielki nad ludźmi—bóg wielki nad nami,  
Na cztery strony świata czterema twarzami  
Pilnie patrzy, a każde spojrzenie jaśnieje;  
    Światłem sobie samo świeci  
    I światłem sieje  
Słońcu, gwiazdom, księżycowi.  
    Z ziemskich dzieci,

Żadne dość chwały jego nie wypowie;  
Światowidem go zowią, lecz w naszej dziedzinie <sup>15)</sup>  
Z czystschem imieniem bóstwa pieśń pochwalna  
    [płynie.

Dawniej byłam ciemna bryła—  
Jeden promień jego oka  
Padł na mnie z wysoka  
    I gwiazda zaświeciła!  
Dawniej byłam głucha, pusta—  
Jedno słowo rzekły usta,  
    I odtąd przez noc całą

Brzmie jego chwałą!  
Dawniej błędnie biegałam,  
    Celu drogi nie miałam;  
On skinął—jedno skinienie  
Dało gwiazdzie przeznaczenie.  
Równe przeznaczeniu słońca.  
    Teraz pewno i śmiało  
Idę, gdzie mi wskazało,  
    Ku szczęściu bez końca!

### Głos męski.

Młodość jest szczęściem, bo młodość siłą;  
Ja młody jestem, silny i śmiały!  
Pięć turów ramię moje zważyło,  
A choć pierś naga, bosą mam nogę,  
Pierś się nie boi wrogowej strzały,  
I smoka, kiedy ludzką krew chlepcę,  
    Nogą zadepce!  
Ja młody jestem, silny i śmiały!  
    Mnie każda dziewa  
    Miłośnie śpiewa,  
Ale ta, która z ich grona  
Moja będzie ulubiona.  
Ta nad wszystkie pełna chwały,  
Tej całe życie szczęśliwe!  
Ni jej dosięże oko złośliwe,  
Ni w plon ją pojmie German zuchwały,  
Bom ja jest silny, młody i śmiały!  
    Łada! wielka Łada!

### Duch morza.

Nędzny człowieku, nie śpiewaj tyle  
O twojej mocy, o twojej sile,  
    Słabym ten śpiew się nie godzi.  
    Ja przez litość jedynie  
Cierpię, że po mej głębinie  
    W wątej wędrujesz łodzi.

Bo ja tylko—ja sam  
Moc, siłę mam!  
Cała ziemia zwyciężona  
Upadła w moje ramiona  
I wyrwać się z nich nie może.  
W tak silne kręgi,  
W tak ciasne wstęgi,  
Oplotło ją powoli  
Posłuszne mej woli  
Bezdenne morze!  
Kiedy kraj który  
Upodobam sobie,  
Rozrywam góry.  
Przepaść z nich robię;  
A młodą wyspę, kochankę moją,  
Na wieczne rozkosze,  
Tak daleko unoszę.  
Ze nawet Lewiatany płynąć się tam boją!

### **Głos kobiecy. Młoda matka.**

Dzień ślubu, dzień wesela,  
Dniem twoim, Łado, bywa!  
Nad wszystkie kwiaty, nad wszystkie ziele  
Chwali cię para szczęśliwa!  
Dwie ręce złączone,  
Dwa serca spojone  
Uściskiem miłości!  
Z kochanków pieśszczoty,  
Dla trzeciej istoty  
Odnowa przyszłości!  
Niech cię pieśń nasza chwali,  
Łado, niech tobie w jasne płomienie  
Pierwszych rozkoszy wspomnienie  
Na ołtarzu się pali!  
Łado! wielka Łado!



## Duch ognia.

Światowid mnie rozświetlił jasności promieniem  
I wlał wieczyste ciepło wiecznie ciepłem tchnie-  
[niem;

Ja jestem połyskiem,  
Pieszczotą, uściskiem,  
Wiecznym uściskiem Siwy i Kupała.  
Z którego ziemia powstała  
I codzień jeszcze nowe bierze życie.  
Ja jestem duchem, który rozwija  
Wszystko, co podziemna Nija  
Z łona wyrzuca obficie;  
Ja jestem ten, którego Siwa,  
Ku prawdziwej odnowie świata,  
W każdą poczętą istotę wplata  
I w każdym porodzie wzywa.  
Ja ogień jestem, świecę i grzeję;  
Bez mego ciepła,  
Ziemiaby krzepła,  
Jak tam gdzie mnie niema.  
Przy krańcach świata, wieczysta zima  
Wiecznie martwieje!

## Głos męski.

Młodość jest siłą, a siła sławą,  
A sława życiem wieczności!  
Niech róg zatrąbi na walkę krwawą,  
Albo na myśliwskie łowy,  
Ja zawsze biegnąć gotowy;  
Czy wśród lasu, czy wśród pola  
Świecić będą moje kości,  
Niech się spełni bogów wola,  
Mniejsza o to! Młódź nie zważa  
Na niewczasy i na biedy,  
I na śmierć i na znoje;  
Znojów, śmierci się nie boje

Byle potem, byle kiedy  
Odżyć w pieśni gęślarza! <sup>16)</sup>  
Łada! wielka Łada!

### Duch czasu.

Człowiek dumą grzeszy:  
Przyszłością się cieszy,  
Jakby swoją prawą dziedziną:  
A w sercu i w myśli  
Bez pożytku kreśli  
Lata, które za nim upłyną.  
Przyszłość — gęślarza słowa,  
Czcza igraszka chwilowa!  
Ja przejdę i bez śladu zatrę każde imię,  
Bo sławy człowieka,  
Droga niedaleka,  
A niepamięć w mojem łonie drzymie.  
Jest jednak przyszłość, ale tej przyszłości  
Nie każde dojrzy oko:  
Ze szczęścia i mądrości  
Stworzyły ją bóstwa dłonie,  
I ta przyszłość na wieczności łonie  
Spi jeszcze głęboko;  
A ludzie jej nie wierzą,  
Swojem życiem mój chód mierzą,  
Idą, gdzie ja nie chodzę,  
Błądzą po mylnej drodze.

### K r a s s a.

Maino, siostró, czy słyszysz te pienia?  
Wszystkie się wzniosły głosem dziękczynienia,  
Bo tu nam wszystkim wesoło na świecie.  
Maino, zbudź się! siostró, zbudź się przecie!  
Na naszych łąkach trawką zieloną  
Ciemna się ziemia okrywa,  
Jak dziewica wstydliva  
Swoją ślubną zasłoną.

Na łące kwiatków tyle.  
Więcej nad łąką lata,  
Bo powietrza kwiatkami  
Są leciuchne motyle;  
Tak jaśnieją farbami,  
Taka strojna ich szata!

Maino, zbudź się! ach, zbudź się, Maino!  
Z białych lilij sukienkę ci zrobię,  
Różami wkoło ozdobię.

A do korony na głowę ci wplotę  
Jaskry złote

I haber z koraliną.

Maino, zbudź się! czy chcesz zabawy?  
Masz ptaszki, kwiaty, rzeczutki, stawy:  
Ptaszki dla ciebie w powietrzu dzwonią.  
Kwiaty dla ciebie tchną lubą wonią,  
Rzeczki dla ciebie po piasku płyną,  
Stawy dla ciebie mają tak siną,  
Tak czystą wodę, jak kolor nieba.

Maino, czegoż więcej ci trzeba?

Maino, zbudź się! Chcesz być kochana?

Wśród naszej młodzi poznasz młodziana,  
Będiesz mu jedną piękną dziewczyną,  
Jedną dnia myślą, oczu żrenicą,  
Przyszłości gwiazdą, sławy zachętą,  
Domowej strzechy kapłanką świętą,

Męstwa, prawości czystem natchnieniem.

Najmilszem w każdej pieśni imieniem!

Będiesz kochaną! Zbudź się, Maino!

Czy ty chcesz kochać? Młoda dziewczyno,

Prędko pokochasz. Są tu na ziemi

Dzielni młodzieńcy z sercy tkliwemi;

Ich dusza harda,

Ich ręka twarda,

Na śmierć uderza,

Dzikiego zwierza;

Lecz jakże słodko pokochać męża.

Co dumny, wielki, wszystko zwycięża,

A potem słaby i zwyciężony,

Sławę, łup składa przy nogach żony!  
Och! jakże słodko w pierwszej pieśzcocie  
Całe swe życie oddać istocie,  
Która wzajemnie swoje mu dała!  
Och! co za rozkosz, och! co za chwała  
Rycerskie czoło całunkiem chłodzić,  
Myśliwskie trudy wzrokiem nagrodzić,  
Albo mieć prawo, albo być zdolną  
Wesprzeć Sudawy pracę mozolną! <sup>17)</sup>  
A cóż gdy jeszcze, jak bóstwo Łada,  
Co w jedną miłość dwa czucia składa,  
Tak bóstwo Siwa z życia dwojga ludzi  
Nowe jestestwo obudzi?  
Być matką! Siostró, natura dokoła,  
W wieczystej pieśni na kobietę woła:  
Być matką! Pytaj—matki ci powiedzą,  
Co przy kolebkach śpiących dzieciak siedzą,  
Jaka to rozkosz kochać swoje dziecko,  
Jego uśmiechem, życiem żyć na świecie,  
Widzieć jak łączy tajemną osnową  
Połowę twej przeszłości z przyszłości połową;  
Mieć w niem całą nadzieję i wszystkie wspomnienia,  
Widzieć jak ono słabe, i wątłe i biedne:  
Nigdzie nie ma przytułku, nigdzie pożywienia,  
Jak jedno łono matki, piersi matki jedne.  
Ach! to najczystsze szczęście, to rozkosz pra-  
[wdziwa,  
I to szczęście, ta rozkosz do życia cię wzywał  
Maino, zbudź się! zbudź się! nie czas tobie  
Rzucać Ładę i Siwę, w zimnym usnąć grobie.  
Maino! w imię uciech niewinnych młodości,  
Które nam czystym strumieniem płyną:  
Po raz pierwszy cię wołam, obudź się, Maino!

### K o ś c i e j.

O luba moja! ziemia wraz z niebiosy  
Tajemniczemi ozwała się głosy,  
Żeby tobie, córce ziemi,



Jedną chwilę snu umilić,  
A gdy gardzi braćmi twemi.  
Przed tobą czoła nachylić.

Szczęśliwy ten, kto uśnie snem twoim, o miła!  
On i w duchów krainy jasnym patrzy okiem,  
I po morzach, obłokach, pewnym stąpa krokiem,  
Bo mu je poddała jednej myśli siła,  
Urok snu jednego!

I ty, Maino, jesteś szczęśliwa...  
Głosem ducha każdego,  
Twój Kościej ci śpiewa.

Śpij, śpij, Maino! Na co tobie stroję  
Bielsze jest od lilij białe ciało twoje,  
A najpiękniejsza korona  
Z twych czarnych włosów spleciona!  
Śpij, śpij, Maino! baw się z Pogodą.  
Jak ty piękną i młodą—  
Pogoda czysta niebianka,  
Niepokalana Pochwista kochanka.  
Pogoda siostra twej duszy!  
Kołyście się razem na kwiatku w ogrodzie,  
Albo na morskiej piance,  
Gdy płynąc ku kochance,  
Pochwist ją tchnieniem poruszy.  
Śpij, śpij, Maino! Ja cię wybrałem  
Nad wszystkie twe rówiennice,  
Bo w tobie jednej widziałem  
Pieśni, snów moich dziewicę.  
Ja ciebie kocham, ja, bóg nie człowiek,  
Miłość moja nie ulega zmianie;  
Ta, którą kocham, na wieki zostanie  
Światłą zrenicą tych oczu bez powiek.  
Ja ciebie kocham—ty jedna, Maino,  
Jesteś dość czysta, dość święta, dość tkliwa,  
Miłości bóstwa - i tobie jedyną  
Piosnkę miłości pierś moja wyśpiewa.

Śpij, śpij, Maino! ja kocham ciebie,

Jabym nie chciał wieczności,  
Gdyby mnie z tobą rozłączyć miała.

Ja bez twojej miłości  
Nie chciałbym żyć w niebie,  
Gdzieby mnie Łada kochała!

Śpij, śpij, Maino, śpij, luba, droga!  
Ty szczęście moje, ty bóstwo boga!  
Śpij, śpij, Maino! Słodkie kochanie,  
Gdy idzie z nami w śmierci mieszkanie.

Gdy go brud ziemski nie plami.  
Tutaj my żyjemy, tutaj my sami,  
Z czystą myślą i czystym pragnieniem,  
Związani wiecznem duszy uściśnieniem,  
Pójdziem oboje, bo tu nikt nie szydzi,  
Własne też serce myślą utajoną w głębi  
Objawów czucia nie ziębi.  
Rumieńcem czoła nie wstydzi.

Śpij śpij, Maino! Sen twój, dziecię twoje:  
Tyś go zrodziła smutkiem i tęsknotą,  
On wyszał wszystkie życia twego zdroje,  
On twoją żyje istotą.

Śpij, śpij, Maino! on z tobą  
W najdalszą wieczność uleci.  
W najdalszą przyszłość zaświeci;  
On ci będzie  
Zawsze i wszędzie

Wspomnieniem, nadzieją, sławą i ozdobą!

Śpij, śpij, Maino! sen twój, twoje dziecię:  
Wykołysałaś je przecie

Najczystszą myślą twego rozumu,  
W najświętszem czuciu serca twojego!

Śpij, śpij, Maino! wśród ludzi tłumu  
Nie słuchaj głosu żadnego;

Tłum ludzi prawdy ci nie powie—

On sen twój, Maino,  
Twoją rozkosz jedyną  
Śmiercią—chorobą zowie!

**K r a s s a.**

Maino! w imię niezmiennej miłości,  
Której godzina chwały godziną,  
A która ciebie czeka—  
W sercu męża, wielkiego na ziemi człowieka,  
Po raz drugi cię wołam: obudź się, Maino!

**Inne głosy męskie i kobiece.**

Prędko, prędko, póki ogień ołtarzy,  
Jeszcze światło, jeszcze jaśnie  
Na ołtarzach się żarzy,  
Dalej, dalej, póki nie zgaśnie!

**K r a s s a.**

Maino! w imię tej miłości duszy,  
Którą ty kochać będziesz, która kiedyś wzruszy  
Wszystkie pragnienia, żądze, myśli twej istoty,  
Która z pieśczętą męża, z uściskiem dziecięcia  
Świat cały rzuci w twoje objęcia,  
Świat szczęśliwy, świat złoty!  
Ach, w imię tej miłości, w której serca skarby,  
Jak w kroplach deszczu wszystkie tęczy farby,  
Tak jasno, czysto, cudnie się rozwiną—  
Po raz trzeci cię wołam: obudź się, Maino!...

Zamilkła Krassa, nadstawia ucha,  
Lecz śpi Maina, nie jej pieśni słucha;  
Dokoła głucho milczenie,  
Tylko ofiarne płomienie  
W ostatnim blasku syknęły,  
W ostatnie iskry prysnęły  
I zponad zgliszczów szczątka  
Wije się w górę dym szary,  
Jak szczęścia zponad serca wzlatuje pamiątka,  
Gdy się serce bez czucia rozsypie popiołem.

Wśród dymu jakiś człowiek pochylony, stary,  
Zabielił w siwe włosy uwieńczonem czołem,  
I gdy smutek ochmurzył wszystkie młode lica.  
Jego poźółkłe lice zabłysło weselem,  
Jego dawną radością zabłysła żrenica  
I usta się witały z dawnym przyjacielem  
Uśmiechem, od którego przykre, gorzkie chwile  
Rozdzieliły go dawniej—srogo, na lat tyle.

Od głośnego święta Łady,  
Już pięć razy księżyc bladey  
Osrebrzył Mainy oku  
Barwne ściany obłoku,  
A nikt z śmiertelnych grona  
Nie przyszedł, gdzie spała ona,  
Ze snu twardego ją cucić,  
Od Kościeja śmielej, śpieszniej  
Głośniejsze, lub miłsze pieśni,  
Na zakłęcie jej nucić.

Już Riuień drugi miesiąc jesieni  
Wyplakał mnogo dżdżystych strumieni,  
Ale lez jego słońce nie ściera,  
Tylko je ziemia na łono zbiera,  
Jak dobra matka dziecięce płacze.  
Trawa poźółkła, uwiedły zioła,  
Lasy zczerniały, smutno dokoła.  
Siekiera w suche drzewa kołacze,  
A każde przejście nogi człowieka  
Chrząst spadłych liści głośi zdaleka.  
I któż to jeszcze, któż dość jest śmiały.  
Żeby do wzgórza śpiącej Mainy  
W czas tak posepny wiódł krok zuchwały,  
Przez nowe pieśni, zakłęcia nowe  
Zrywał zakłęcia, pieśni grobowe,  
Długi sen młodej dziewczyny?

To druga siostra, starsza od Krassy;  
Boguty imię Lussa jej dała,  
Boguta między świętymi lasy  
Na służbie bogów młodość spędzała

A objawiało jej wzniosłe oblicze  
Więcej mękości, niż w najśmielszym mężu,  
Co całe życie ważył na orężu,  
I więcej wdzięków, i więcej cudności,  
Niż Łada, bóstwo promiennej miłości,  
Na wszystkie twarze rozlała dziewicze.  
Jak Nija, kiedy na swym tronie stoi  
I sądzi ludzi, bezstronnie, ponuro,  
Tak ona, dumna z ludzkich niepokoi,  
Wzbiegła wyższem przeznaczeniem,  
Sama stanęła na stronie  
I świat zmierzyła Prowego spojrzeniem <sup>16)</sup>,  
I tylko śnieżne jej skronie  
Ocieęzały ku ziemi wielkiej myśli chmurą.  
Gdy przy pagórku stanęła Boguta,  
Na chwilę w ręce obie  
Schyliła głowę, jakby chciała sobie  
Przypomnieć wszystkie wyrazy święte,  
Którymi pieśni Kościeja zakłęte  
Zgłuszyćby mogła — potem wzniosła czoło,  
I pełnym dźwiękiem, ale niewesoło,  
Taka w powietrzu ozwała się nuta:

Wstań, siostró, wstań! Naszych braci modła  
Do ciebie mnie przywiodła,  
Ja pieśniami radości nie chcę ciebie zwodzić:  
Maino, smutno na świecie,  
I lepiej może, gdyby żadne dziecię  
Mogło się nigdy nie rodzić!  
Lecz kiedy raz już dusza z Siwy łona  
W człowiecze ciało wszczepiona  
I w objęg wieczysty świata,  
Wolą Światowida pchnięta,  
Po nieznanych drogach lata,  
Sobie, światu niepojęta —  
Natenczas, siostró, już niema prawa  
Cofnąć biegu, zmienić drogi:  
Tak kazały wyższe bogi,  
Wyższa ustawa!



Prowe, bóg wielki, czuwa nad nami,  
 On niezmiennemi słowami  
 Wsparł nędzę rodu ludzkiego;  
 On wszystkie wytknął manowce,  
 I my, życia biedni wędrowce,  
 Jego drogą iść musimy.  
 On wie, choć my nie wiemy,  
 Dokąd i dlaczego.  
 Wstań, siostró, wstań! Wrogowe strzały  
 Rodziną naszą ziemię zorały,  
 I rzeki nasze płyną szeroko  
 Bratnią wezbrane posoką.  
 Nad chatami twego sioła  
 Krwawa łuna dziko świeci,  
 Puhacz zmarłych woła,  
 Kruk z sępem na biesiadę leci,  
 Dokoła zniszczenie!  
 Trupów niespalonych cienie  
 Żalną prośbą jęczą,  
 A obce plemię  
 Najżyźniejszą zaległo nam ziemię.  
 Rycerzy naszych ciężkim trudem męczą,  
 I do cudzego przykuto ich pługa,  
 Gdy własne pola leżą odłogiem!  
 Złe, złe losy nam padły!  
 Złych losów doba tak długa!  
 Za naszym wrogiem  
 Walczył Gorynia zajadły <sup>19)</sup>,  
 Ciskał góry i skały,  
 A chociaż Rygwit z siedmiu twarzami <sup>20)</sup>  
 W siedm mieczów bronił się z nami,  
 Chociaż bitwa trwała dzień cały  
 I dnia drugiego połowę,  
 Choć naszej młodzi bój nie ustrasza —  
 Jednak musiała dzielna młódź nasza  
 Pod miecz zwycięski dać głowę,  
 Lub w sromotne pójść kajdany.  
 A kogo ominął zgon,  
 A kto nie poszedł w plon,

Dziś gorzkim płaczem ciężkie jątrzy rany,  
Bo wielkie były mordy i okrutne ciosy!

Kiedys może w gęślarza pieśni  
Powieść o nich z grobowej otrząśnie się pleśni,  
I w późne wieki, ku nauce ludzi,  
Smutnemi głosy

Wstręt do mordów wzbudzi!

Wstań, siostró, wstań! tutaj rąk braknie,  
Tutaj trzeba drew na stopy zbierać,  
Z rannych piersi krew ocierać.

Karmić tego, co łaknie,  
Poić tego, co spragniony,  
Cieszyć tego, co strapiony,  
Nieść wsparcie chętnej ręki  
I serca współczucie.

Wstań, siostró, wstań! smutne piosenki  
W smutnej śpiewam ci nucie;  
Lecz obowiązek, to święte słowo!

Bogi każdemu stworzeniu  
Skreśliły go w przeznaczeniu,  
A najpierw nad człowieka wymówiły głową,  
Łańcuchem nieskończoności.

Wspólnej pomocy i wspólnej miłości.  
I ty, siostró, snem pieśni uśpiona,  
Z każdym cierpiącym bratem jesteś połączona.

Ach! biada temu i zemsta straszliwa,  
Kto chce zuchwale potargać ogniwa  
Tak świętego, tak wielkiego związku!  
Zbudź się, Maino! wołam raz ostatni  
Przez ten ludzi związek bratni,  
Wołam w imię...

„Nie kończ słowa!“

Głos się ozwał niespodzianie,  
I umilkło śpiewanie,  
A Niklota postać grobowa  
Przy Bogucie stanęła,  
Jak czasem obok drzewiny,  
Która śmiało ku słońcu się wspięła,  
Stanie odłamek ruiny.

„Nie kończ słowa, niebaczna, mówił starzec drżący:  
Patrz, już owa jasna korona,  
Na szczyt pagórka rzucona,  
Już ów obłok lśniący  
W szarej mgle jesieni,  
Rozwiewa się i mieni.  
Boguto! głos twój na chwilę  
Wzniósł się nad głos Kościeja dźwięczący tak mile.  
Siostra twoja Maina  
Budzić się zaczyna.  
Boguto, źleś zrobiła!  
Chciałaś w świata tego trudy,  
Chciałaś w życia tego brudy  
Jedną jeszcze istotę pogrzyźć,  
A ta na innym świecie już żyła,  
Jej myśl po innych drogach już przywykła krążyć.  
Boguto! wielkiem słowem obowiązku słowo;  
Widziałaś sama, jak na nie  
Cichło snów cudnych śpiewanie  
I Maina była gotową  
Do smutnego wrócić życia.  
Lecz nie wiesz, młoda dziewico,  
Że ludziom od powicia  
Przeznaczeń gwiazdy świecą,  
I może równo z bohaterów czyny,  
Światowid, co światem rządzi,  
Prowe, co żyjących sądzi,  
Równo może zważyli jeden sen Mainy!  
Niech śpi, Boguto, to sen błogi, boski!  
Kto ma siłę i mądrość, niech idzie wśród ludzi  
Leczyć rany głębokie, koić długie troski;  
Bo ten wśród błota, wśród znoju  
Nie zmęczy ręki, duszy nie zbrudzi;  
Lecz kto ma serce tylko do czucia, do pieśni,  
Ten niech całe życie prześni,  
Tego zostaw w pokoju.  
Wierz mi, Boguto, przez długie cierpienie  
Kupiłem to doświadczenie!

Przestań mówić“ — Posłuszna Niklotowej woli.  
Boguta w milczeniu czoło nachyliła,  
Bo w nim starca i kapłana czciła,  
Potem odeszła powoli.  
A gdy w wieczornych już zniknęła cieniach,  
Marzana łono rozdarła obłoku  
I starca oku  
Zabłysła nagle w swej chwały promieniach,  
W swojej szacie godowej;  
Złotem berłem dotknęła siwej jego głowy  
I uśmiechnął się Niklot, a po tym uśmiechu  
Zbrakło mu w sercu siły i w piersiach oddechu;  
A kiedy nazajutrz zrana,  
Lud znalazł ciało kapłana,  
Lud pojąć nie mógł, dlaczego po zgonie  
Taką radością świeciły mu skronie,  
Takim uśmiechem twarz się uśmiechała,  
Jakiego w życiu nie znała!

---

## PRZYPISKI.

---

1) „Z Pochwistem tajne rozmowy wiodła.“

Pochwist bożek wiatrów, dotychczas w ustach ludu wspomniany.  
*Naruszewicz.*

2) „Jak Marzana blizką światu.“

Marzana bogini chorób, moru i śmierci. W środopostną niedzielę topili posąg Marzany.  
*Naruszewicz.*

Z dawnych czasów zostały ślady obchodzonego święta za umarłych, pospólstwo dnia 1-go marca wychodziło z pochodniami na kładowiska i przynosiło ofiary dla umarłych. W Czechach dzieci, ciągnąc słomianego bałwana, wyobrażającego śmierć, śpiewały:

Już niesiem śmierć ze wsi,  
Nowe lato do wsi,  
Witaj lato ulubione,  
Witaj zbózko zielone.

*Rakowiecki, Prawda ruska.*

3) „Nija nas przyjmie oboje.“

Już wspomniałam o Nii, tu dodam tylko, że jeśli to bóstwo tak podobne do Minosa starożytnych, nie trzeba tego brać za służebnicze naśladownictwo. Myśl człowieka musiała za granicami tego świata szukać upojenia, przeciw zdarzającym się tak często niesprawiedliwościom losu. Myśl Greków stworzyła Minosa, myśl Słowian Niję; tylko zdaje się, że słowiańskie bóstwo coś lepszego i przychylniejszego ku ludziom znaczyło. Są ślady, że ją za polską Cererę uważano; i bardzo to być może, bo czemużby płody z ziemi wychodzące nie były uważane za dar tego, co podziemiem rządzi?



4) „*Wzniosta dla niej prawica  
Brata Kiki-Mora.*“

Kiki-Mor, bożek snów.

*Słowiański.*

Mogłam Kiki-Mora bratem Marzany mianować, kiedy według tego, co Naruszewicz o Flinsie powiada, jawnie się okazuje, że Słowianie między snem a śmiercią podobieństwo i stosunek upatrywali.

5) „*I urny pogrzebne,  
I riumki płaczebne.*“

Wiadomo już jest wszystkim, że ciała umarłych po całej Słowiańszczyźnie palono na stosach i popioły w glinianych urnach przechowywano; ale były jeszcze inne naczynia pogrzebowe, o których Rakowiecki tak wspomina: „Niektóre kobiety, odprowadzając umarłego w białem odzieniu, ronity łzy w małe naczynia płaczebne“ — a dalej, wyliczając nazwiska słowiańskich miesięcy, tenże pisarz mówi: „Riueń (na początek jesieni przypadający), u Słowian iliryskich Rujan, zwany płaczący; być może, iż naczynia płaczebne Słowian nazywały się Riumkami; dotąd w języku rosyjskim riumka znaczy kieliszek.“

6) „*Gdzie pod okiem siostry Siwy  
Rosną lasy, kwitną niwy.*“

Jeżeli Nija wyrzucała z łona swego płody ziemskie, to Siwa rozwijała je ożywcem technieniem swoim. Naruszewicz tak o niej pisze: „Siwa czyli Żywie, miłość rodzicielska wszystkiego i świat nowym zawsze płodem odżywiająca. Kobieta naga między kwiatami, mająca lilią przy ustach.“

7) „*Bystr z bladą twarzą.*“

Już w przedmowie powiedziałam, z jakich wniosków wyprowadziłam Bystra nazwisko i pomysł Kościeja.

8) „*A mówią kapłany,  
że Kupaty bóstwo.*“

W wigilię 24-go czerwca obchodzono tak zwane Sobótki, na cześć Kupaty, cały dzień też zbierano zioła lekarskie: łopian, bylicę etc. Wszystko przekonywa, że przez to rozumieli słońce dobroczynne dla ziół i ziemi.

*Rakowiecki.*

9) „*..... za dni parę  
Bogini Łady święto.*“

Święto Łady obchodzono od 25-go maja do 25-go czerwca, ojcowie i mężowie w gościńcach, a żony, córki i młodzież na ulicach i po gajach.

*Rakowiecki.*

Łada była bóstwem piękności i młodzieży, z kąd w kilku słowiańskich dyalektach dotychczas jeszcze został wyraz ładny, ładna. Kraso-pani, która toż samo znaczyła co Łada, miała według Naruszewicza największą cześć odbierać w Morawii, gdzie była jej najbogatsza świątynia i najpiękniejszy posąg, piękniejszy zaiste od posągów greckiej Wenery, bo kiedy tamci piękność jedynie w cudnych kształtach ciała wyrażali, Słowianie serca nie zapomnieli i na znak jego czystości, przezroczystrą pierś swemu bożyszczowi robili.

10) „*I w świetle jutrzeńki i w Noceny cieniach.*“

Stredowski w historyi kościelnej Nocenę do bóstw słowiańskich liczy. Z nazwiska znać, że była nocny boginią.

*Naruszewicz.*

11) „*Pogoda błękitna po polach biegata.*“

Rolnicy lud Słowian do zmian powietrza wiele przywiązywał znaczenia, dlatego też Pogoda bóstwem była u niego. Wyobrażał ją sobie w postaci młodej bardzo dziewicy, ze skrzydłami u ramion, błękitno ubraną.

12) „*A z pełnym rogiem.*“

Rogi były pierwszym naczyniem do picia, bawole lub wołowe, w złoto lub w srebro oprawne, kunsztownie wyrabiane.

*Rakowiecki.*

Według mego zdania, czasze musiały być współczesne rogom, tak się nazywały dlatego zapewne, że z czaszek zwierzęcych wyrabiane, a może też jeszcze dawnym scytyjskim zwyczajem z czaszek zabitych w bitwie nieprzyjaciół.

13) „*Już do święta Ko-ledy.*“

W grudniu obchodzono święto Ko-ledy.

Koliada miało znaczyć odpoczynek.

*Rakowiecki.*

*Słowiański.*

14) „*Groch wysoko rośnie.*“

Dotychczas jeszcze w przysłowiach został ślad tego zwyczaju, że na odmowną odpowiedź dziewczęta chłopcom dawały wieniec z grochu uwite. „Dostać grochowy wieniec“ znaczyło to samo, co, jak na Wołyniu mówią: „dostać arbuza“ — albo jeszcze, co niedawno u nas wyszło z użycia, „zjeść czarną polewkę — gęś z czarnym sosem.“

15) „*Światowidem go zowią.*“

Światowid na wyspie Rugii w Arkonie miał świątynię. Posąg jego, w większej nad ludzką wysokości, wyrobionym był

z drzewa twardego, o czterech głowach. Głowy te były bez brody, ostrzyżone. Sam posąg, ubrany w kosztowne odzienie, trzymał w lewej ręce róg, a w prawej puhar winem napełniony. Przy boku posągu zawieszony był munsztuk, siodło i miecz ze srebrną rękocięcią i w srebrnych pochwach.

*Rakowiecki.*

Światowid był najwięcej czczonym ze wszystkich słowiańskich bogów. Z dalekich stron przybywano do jego świątyni, znosząc liczne i kosztowne dary. To połączenie w wyobrażeniu jego posągu wszystkich oznak rolniczego i wojennego życia: wina z mieczem, rogu z siodłem, słowem wszystkiego, co ówczesnym ludom mogło się potrzebne, wielkie i święte wydawać, przekonywać powinno, że w pojęciu Światowida już przeczuwali Słowianie pojęcie tej ogólnej jedności, którą ich później Chrystyanizm obdarzył.

16) „*Odżyć w pieśni gęślarza.*“

Gęśla, prawdziwie słowiański instrument, niedawno w Polsce zarzucony. Lud, ujęty graniem gęślarzy, moc cudowną im przyznawał. Ztąd gęślarzy guślarzami, czyli czarownikami zwać zaczęto — ztąd gusta i t. d.

*Rakowiecki.*

W narodzie, w którym muzyka tak dobrze była rozumiana i słuchana z takim uczuciem, że ją czasem czarami zwano, mogłam śmiało umieścić Kościeja pomysły, który śpiewem dziewice przynęca, a nawzajem sen Mainy mogłam często czarami nazywać.

17) „*Wesprzeć Sudawy pracą mozolną.*“

Wedle tłumaczenia Konstantyna Perfirogenity, powiaty słowiańskie krain zwwały się Żupaństwami, a rządów ich Żupany, Starsi nazywano. Słowo Żupa znaczyło wieś. Głównym obowiązkiem tych urzędników było wymierzanie sprawiedliwości. W Saksonii i Austrii dotąd wieśniacy tak nazywają swoich sędziów, lecz w średnich wiekach godność Żupanów wyżej nad godność książęcą uważaną była. W roztrząsaniu spraw spornych dopomagali im Sudawy, czyli sędziowie wydziałowi.

*Rakowiecki.*

18) „*I świat zmierzyla Prowego spojrzeniem.*“

Bóg sprawiedliwości wyobrażał starca, w odzieniu mającym wiele fałdów, na piersiach miał łańcuch zwieszony i w rękę trzymał nóż. Świątynią jego były najstarsze dęby, otoczone parkanem z dwoma bramami; tam mieszkał wielki kapłan i odprawiał ofiary, tam rozszadzano sprawy narodu, tam zagrożeni śmiercią znajdowali dla siebie schronienie i bezpieczeństwo.

19) *Za naszym wrogiem  
Walczył Goryniu zajadły.*“

Bóg ciskający góry na nieprzyjaciela.

*Słowiański.*

20) „*A chociaż Rygwit z siedmiu twarzami.*“

Rygwit, ustrojony w oponę szkarłatną, mający siedm głów na jednym karku i pod jedną czaszką. Był olbrzymiej wielkości, a przecie z jednego tylko pnia dębowego wyciosany. Biskup Absalon ledwo mógł pastorałem do brody dosięgnąć. Koło pasa wisiało siedm mieczów.

*Słotwiński.*

---

# DAŃKO Z JAWURU.

*Powieść na tle historycznem osnowana*

DLA MAŁEGO SIOSTRZENCA.

---

## I.

### G ł ó d.

Roku pańskiego 1325 w Jawurze, sandomierskiej włości, w pysznym zamku, którego dziś i śladu nie widać, w zamku z modrzewia na wysokiej górze, zamkniętym zwodzonemi mosty, bronionym przez grube z czerwonej cegły mury, mieszkał pan możny i bogaty, Kaszubskim lub Kaszubą zwany. Jego pradziad niegdys z gdańskiej przybył okolicy, sąsiednich Krzyżaków zwyczajnie razem z zakupioną w małopolsce włością potomkom swoim przekazał. Pan Kaszuba miał kosztowne rynsztunki i zbroje na ścianach sypialni. dziarskie bieguny w stajniach, żonę piękną ze znacznego domu, która przed nim jak gołębica przed jastrzębiem drżała, syna zepsutego i zuchwałego chłopaka, miał jeszcze córkę zupełnie do matki podobną, o którą nie dbał wcale, miał mnogich poddanych w obszernych dziedzinach i dlatego pan Kaszubski herbu Kaszuba hardo głowę podnosił, z sąsiadami nie-



raz zadzierał, a ubogich włóścian swoich bezkarnie nędził i ciemiężył.

We wsi jego żył z całą rodziną w ubogiej i niskiej lepiance Piotr, którego inni chłopci Sępem przewali, bo zawsze miał sępiate i chmurne oblicze, zawsze był ponury, milczący, a jeśli kiedy przemówił, to słowa jego były skargą, klątwą lub złą wróżbą. Jakże inaczej być mogło? Piotr jeszcze pięćdziesiątego nie domierzał roku, żona jego i czterdziestu lat nie miała, a już oboje pochyleni i starzy, z trudnością na opłacenie się panu i wyżywienie trojga dzieci zapracować mogli, bo ubóstwo, niewygoda, brak i ciężkie trudy prędko pod człowiekiem dół grobowy kopią. Piotrowi czas najsposobniejszy do pracy schodził zawsze na pańskiej robocie, co mu zaś wydało źle uprawne pole, na wyżywienie przez dziedzica pożyczone, to wybrał dwór podatkami, daremszczyznami, to poszło na podwody, na utrzymanie licznej czeladzi przyjeżdżających w odwiedziny do pana, a przy tem wszystkim zdarzały się jeszcze bardzo częste nieurodzaje, tatarskich koni kopyta lub ogień litewskiej dziczy niszczyły dokoła w powtarzanych napadach biedne wieśniakow osady.

Oj! bo też to złe i smutne były te dawne czasy! Kto się nieco głębiej wczytał w historią, nietylko zdarzeń, ale obyczajów i praw ówczesnych, ten zapewne dziwić się musi, jakim sposobem żyły chłopki nasze w tak wielkim ucisku, w tak niesłychanej nędzy. Zapewne z tamtych wieków dojść musiało przysłowie: — „być jak ptaszek na gałęzi“ — boć istotnie jak ptaszki na gałęzi żyły te biedne stworzenia, któremi lada wietrzyk mógł powionąć, których lada niełaska pańska życia pozbawić, lada rok jeden suszy lub słoty zbytecznej głodem pomorzyć mogły. Czuł to Piotr dobrze i z zakrwawionem sercem patrzył na dziatki swoje, obdarte zawsze, zgłodniałe często, i nie mógł przewidzieć żeby im kiedy lepsza dola zabłysła. On jak roślina przyrósł do ziemi, na której się zrodził, a dzieci i wnuki jego odstać od niej nie mogły. Jemu

też to i w głowie nie powstało nigdy: w zwyczaju poddaństwa wychowany, o zmianie stanu nie myślał, tylko zazdrościł losu innych chłopów, którzy, przez lepszych rządzeni panów, spokojniejsze pędzili życie. Piotr nie mógł tą nadzieją się cieszyć. Jak najstarsi z całego koła pamiętali, tak pan nieboszczyk ani troszkę od jego pana litościwszym nie był, a młode paniątko, co im się na dziedzica w pysznym zamku chowało, nie pomysłniejsze od ojców swoich czyniło spodziewanie. Dlatego też biedny Piotr często przeklinał siebie i świat cały, był smutny, gniewliwy, niechętny. Ów chłopiek znękany pracą i nędzą, ów Sęp najsmutniejszy wśród drugich chłopków, którzy sami do wesołości nie mieli przyczyny, czasem uśmiechał się i całej boleści z duszy swojej zbywał. Dańko, najstarszy z jego dzieci, już piętnaście lat skończył, a takim synem nie każdy mógł się poszczycić. Od najmłodszych lat umiał on bydła doglądać, matce pomagać, młodszego rodzeństwa pilnować, nawet od roku często się u ojca dopraszał, żeby pług zdał na niego i pozwolił się czasem w dworskiej robociznie wyręczyć. Żartował ojciec z tej wielkiej chłopięcia ochoty i zdala go od ciężkiej pracy trzymał, by sił i chęci jego na dalsze lata oszczędzić, lecz kiedy w ziemie zastał niespodzianie trochę wymłóconego ziarna, lub w lecie spielony żagon w ogrodzie i ranniejszego od siebie chłopaka przy robocie, wtedy kładł na głowie jego kościstą rękę swoją i mówił ze łzami w oczach: — „Pocziwą a pilną dziatwę Pan Bóg błogosławi“ — i gdyby kto był widział wtedy twarz Piotra, zapewne nie byłby odgadł, że to jest ten sam, którego wszyscy Sępem zowią.

Jednak z kilkunastu lat gospodarstwa i biedy, żaden rok nie był tak okropny, jak ten, który się na początku tej powieści wspomniało. Zima przeszła jako tako z wzajemną sąsiadów pomocą, lecz nadszedł i przednówek. A co to jest przednówek? To jest dla kniotków czas nędzy, czas głodu. W głodzie ludzie ludzi na okrętach pożerają, u nas biedny wieśniak idzie

do lasu, zbiera korzonki, trawę, grzyby najczęściej szkodliwe i śmiało powiedzieć można, że się trucizną karmi. Głód! okropne to jest słowo, zawiera w sobie najdotkliwsze męki, śmierć najboleśniejszą. Są tacy, którzy nie wierząc, aby u nas, wśród tak żyznej ziemi, z głodu umierać można, zasłaniają się starą przypowieścią, że „kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył“ — a jednak zdarza się słyszeć inne osoby tak dokładnie opisujące śmierć głodową, twarz opuchłą, krwią zabiegłe oczy, niemoc konającego, iż zapewne musiały same na to patrzeć — dlaczego? jak? kiedy? mniejsza o to, nie chcemy tu wspominać bliższych nas lub terażniejszych czasów, ale dowiedzioną przynajmniej historycznie pewnością jest, że w pierwszej połowie XIV wieku kilkakrotnie Polska tym srogim gościem nawiedzoną była.

Otóż jednego dnia Piotr rzekł do żony:

— Kobieto, wczoraj dworscy wybrali u mnie ostatnią garstkę żyta, król ma pono przejeżdżać, pan zapasy zbiera, a nam bydło wypadło, już nic nie mam na wyżywienie wasze.

Salomea zbladła okropnie i wskazała ciemny kąt izby, gdzie na barłogu leżał mały chłopczyca, najmłodsze z jej dzieci.

— Och! mój Boże — smutnie rzekła do męża — a on chory, nic nie jadł od wczorajszego wieczora.

— Idźże dla niego tylko u sąsiady kawałek chleba pożyczyć.

— Sąsiada dziś właśnie skarżyła się przedemną, że ma tylko jeden bochenek chleba i dla swojej dziatwy go chowa.

— No, kobieto, klękniemyż tedy i prośmy Boga, żeby nam wszystkim wieczny odpoczynek dać raczył.

Salomea fartuchem oczy zasłoniła i cicho lecz rzewliwie płakała. Piotr rzucił się na ławę, siedział ponury, zamysłony, czasem ściśniętą pięścią w czoło uderzał, jak gdyby sobie chciał głowę roztrzaskać — mała dziewczeczka wcisnęła się w sam kąt oddawna wygasłego ogniska, a Dańko siedział na ziemi przy ko-

lanach ojca i jakoś myślał głęboko. Nakoniec wszystko w swojej głowie ułożywszy:

— Tatulu — rzekł do Piotra — nie bądźcie takiej myśli. jeszczeć nam głodną śmiercią nie przyszło umierać, i wy. złota matuleńko, nie płaczcie. bierzcie do serca otuchę — znam się lepiej na betkach, niż którykolwiek z jawurskich chłopaków. to dla nas będzie jedzenie. i dla Bartusia choćbym do jutra miał przy zamku wartować, muszę panią albo panienkę samą zdybać. poproszę ich, to mi pewno nie odrzekną trochę posilniejszej strawy.

-- Niechże cię Bóg strzeże od zamkowej drogi, kiedy tam z próżną ręką masz iść, chłopaku—rzekła przestraszona Piotrowa — jeszczeby cię psami jak złe zwierzę zaszczuto.

— Nie chodź tam, nie chodź, Dańku — odezwał się Sęp ponuro — nie w zamku dla nas wsparcie i ratunek. Na pańskiej-ci to pracy grzbiet mi się pochylił, zesłały ręce—i wyciągnął obiedwie. a były czarne, chude, kościste — orałem. żałłem, zbierałem dla panów. teraz ku waszemu pożywieniu wydołać nie mogę. Niech ich wszystkie Boginki skarżą\*), niech Marzana ściga wszędy, niech im Bóg zamknie drzwi królestwa swego.

— Nie przeklinajcie tak wszytkich, tatulu — pani nasza odwiedzała w chorobie i żonę Wawra i ojca Mardysowego, a panienka, istnie jakby aniołek, do nas biednych uśmiecha się, gdyby do równych sobie. One się pewno ulitują naszej wielkiej biedzie, tylko nie bądźcie złej myśli. Pójdę z Magdeczką, we dwoje więcej uzbieramy betków i kwaśnej trawy, a jeśli tylko będę się mógł przed pani oblicze dostać, to już miejmy ufność w Bogu, że nas zechce pewnie pocieszyć.

Salomea przystała na słowa Dańka, Piotr mil-

---

\*) Aż po Kazimierza W-go panowanie trwało między ludem wiele zabytków pogańs wa, szczególnie w gniewie i przekleństwach dawne wspomniano bożyszcza. — Boginki, złe duchy żeńskie; Marzana, władająca śmiercią i chorobami.



czał. więc też dzieci. wzięwszy z sobą podartą płachtę na zbieranie leśnej żywności, wyszły z chaty pełne nadziei. Dzieciom tak łatwo jest w lepszą przyszłość uwierzyć!

Dańko i Magdeczka prawie wesoło pobiegli ku zamkowej górze, ale na podwórzu, na drodze pełno ludzi w zbrojach i szkarłacie uwijało się to w tę, to w ową stronę; zaiste, wielkiem jest niepodobieństwem, żeby pani lub panienka przystęp im dały do siebie. Chłopiec patrzył ciekawie na przystrojone konie, na sfory psów gonczych, a dziewczyna chowała się za niego cała drżąc z przestachu i co chwilę ciągnęła go za rękaw, żeby już odeszli.

— Dańku, Dańku! Bóg widzi, my tu nic nie wystoimy. pójdźmy, bo ja się boję.

— Jeszczeby chwilę zaczekać. Magdeczko, może też pani wyjrzy oknem, może panienka nas zoczy. Panienka mnie zna dobrze, łońskiego lata dwóch małych przyniosłem jej zajączków.

— Byleć nas tylko bracie paniczátka nie dostrzegło.

— Och nie, patrz, Magdeczko, dobra nadzieja, otworzyło się okno od imościnej komnaty.

Jakoż istotnie, w czarnej framudze, jakby w ramach ciemnych obraz cherubina, zabłysła jasna główka trzynastoletniej dziewczynki.

Dzieci wieśniaka patrzyły się ku córce możnego pana, jak się chorzy ku cudownemu obrazowi patrzą, kiedy silna wiara w sercu im mówi, że on ich uzdrowić może, ale... dzieci patrzyły daremnie. Trzeba tylko było jednego spojrzenia, jednego znaku, panienka miała tak dobre serce, jej matka tak chętnie wspomagała ubogich, cóż, kiedy oczy proszących nie spotkały się z dobroczynnej dziewczynki wejrzeniem. Wzrok jej biegł za hasającymi końmi, za zręcznymi jeźdźcami, a tymczasem też stanął przed zamkiem silny, barczysty mężczyzna, z czarnymi ogromnemi wąsami, które mu się groźnie po obu stronach twarzy strzępiły.



— Pan! Pan! — krzyknęły przelęknione dzieci i uciekać zaczęły, i biegły prędko. długo, póki ich zakręt drogi przed zamkowymi ludźmi nie ukrył, bo tak zawsze wszystkie z Jawuru dzieci przed okrutnym Kaszubskim Kaszubą uciekały.

---

## II.

### Panicz, poddany i sędzia.

Nakoniec Dańko i Magdeczka przybyli na smug rozległy, od południa lasem objęty, i pilnie zaczęli upatrywać to listków szczawiu, to między bliżej rosnąciami sosnami mleczaków i innych grzybów. Już blisko pół godziny zajęła im ta robota i z pełną płachtą właśnie mieli powracać do domu, gdy niespodzianie ogromny pies obces ku nim się rzucił. Magdeczka krzyknęła przeraźliwie, bo poznała dworskiego brytana. Zaczęła z całych sił ku wsi uciekać, ale wieś była daleko, a pies mógł w dwóch skokach dziewczynkę pochwycić. Wtedy Dańko, niewiele myśląc, rzucił płachtę na ziemię, sam bez kawałka kija w ręku, bezbronny i z obnażoną piersią, cisnął się między psa a siostrę i pochwycił brytana za gardło. W tej też chwili spostrzegł, że pies nie sam przybył, tylko na kilka kroków pana swego poprzedzał.

Był to syn Kaszubskiego, dziewięcioletni Borysław.

— Paniątko! — krzyknął Dańko. — Paniątko, miejcie litość, odwołajcie waszego brytana! — a pies tymczasem mocował się z dzielnym chłopakiem tak, że się oba na trawę powalili, a Magdeczka uciekała ciągle, a z Dańkowego ramienia krople krwi ściekały.

— Dobrze, Tatar! dobrze, Tatar! — mówiło paniątko — zobaczymy, kto mocniejszy, chłop, czy ty.

— Paniczu mój!—wołał ciągle Dańko—odwołajcie psa tego, bo to jakoś nieszczęśliwie się skończy. —Lecz Borysław stał zdaleka i patrzył ciekawie, a na psa wołał tylko: — Dobrze bierz Tatar! dobrze bierz Tatar!

Brytan też w tę i owę rzucał się stronę, ciął zębem to w piersi, to w ramiona, gdzie mógł tylko związionym pyskiem ciała zachwycić, ale mocne ręce na wodzy go trzymały. Dańko pracą całego życia zahartowane miał siły i bronił się odważnie zacieklemu zwierzęciu. Nakoniec widząc, że znikąd pomocy dla niego niema, słysząc ciągle nieludzki śmiech złego dziecka pańskiego, i w nim serce jakimś nadzwyczajnym gniewem, niezwykłym oburzeniem zawrzało. Zebrał naraz całą moc swoją, przygniótł kolanami do ziemi brytana, w oba ramiona gardło mu ścisnął, czuł, że go także ostre zęby schwytały, ale pierwej, nim tchu mu zabrakło, ściągnął konwulsyjnie ręce, pies jęknął, a potem oba legli na murawie, tylko że Tatar nie miał więcej z niej powstać.

Wtedy dopiero Borysław zbliżył się ku zapaśnikom, serce mocno mu biło w piersiach, bo chociaż to zły i źle wychowany był chłopiec, przecież i jemu dał Bóg na stróża anioła, sędzie, którego ludzie sumieniem zowią. Przeleknął się okropnie, widząc dwa ciała, jedno na drugim, bez ruchu leżące. Zawołał Tatara — milczenie mu odpowiedziało; zawołał na chłopca — milczenie znowu; chciał uciekać, ale mu strach było samemu do domu wracać przez wieś, gdzie także psy trzymano. Stał parę chwil sam, nie wiedząc co począć, gdzie się schować. Chociaż żadnego nie było niebezpieczeństwa, drżał jak listek, bo domyślał się więcej sercem, niż rozumem, że to co uczynił godnem kary było. Patrzył przed siebie zdumiony, aż zdało mu się, że wiejski chłopiec zrobił lekkie poruszenie. Borysław znowu chciał uciekać, lecz znowu odwagi i sił mu nie stało, a wistocie przez tę parę chwil Dańko przyszedł do siebie, z trudnością splecione ręce rozerwał, podniósł się, i błady, chwieją-

cy, krwią zbryzgany, stanął nad cielskiem zaduszonego brytana.

— Żle paniątko zrobiło—rzekł słabym głosem—  
źle bardzo, że rozjadłego psiska do nogi nie chciało przywołać. Teraz może mi przyjdzie kilka dni poleżeć, a to nędzne zwierzę nie powstanie więcej.

Na te słowa cała bojaźń Borysława minęła, w miejsce jej gniew go straszny ogarnął, jak to zwykle bywa z niegodziwymi dziećmi, w których, po najzabawienniejszem wrazeniu, najgorsze budzą się namiętności. A jeszcze też trzeba powiedzieć, że ów niezwywy Tatar był mu najulubieńszym ze wszystkich psów ojcowskich. Rosły, silny, zły taki, że go wszyscy domownicy niecierpieli, jakąś dziwną wiernością do Borysława przysłał. Ledwie panicz chodzić się nauczył, już mu na grzbiet, jako na konia, siadał. a brytan, co nawzajem nikogo, nawet Haliny, starszej siostry Borysława, cierpieć nie mógł. co na każdego warczał i szczeakał, z nim ciągle w wielkiej zostawał zażyłości, znać dlatego, że go podobnym sobie być przeczuwał.

Gdy więc Borysław ujrzał swego Tatara bez życia, a przy nim tego, co mu je odebrał, zapomniał i chwilowego strachu i głosu anioła, który na niego przestroga sumienia wołał. Rzucił się najpierw na cielsko psa, jak gdyby chciał się przekonać, czy doprawdy już nie żyje, potem zaś zupełną mając o tem pewność, skoczył ku Dańkowi, który drżącą ręką do zbierania rozsypanych grzybów i swego szczawiu przybierał się właśnie.

— Ty chłopie! ty bydle!—krzyknął na niego—  
kto ci pozwolił mego psa mordować? Mego Tatara tyś zabił, otóż teraz ja ciebie zabiję!

A łącząc uczynek z groźbą, schwycił za włosy biednego chłopaka i z całej siły jął go razami okładać. Dańko nie krzyczał, nie bronił się, z całą okropnością ta uwaga stanęła mu w myśli, że jak pan Kaszubski o wszystkim się dowie. to sroga zemsta nietylko na

niego spadnie, ale i ojca, i matki i całej nawet dosięże rodziny.

Borysław bił ciągle, a Dańko tylko przerywane-mi słowy mówił do niego:

— Paniątko moje, ulitujcie się nademną! Już ja pokąsany i zraniony jestem, lecz kiedy taka wasza wola, to bijcie, to zabijajcie, a nie skarżcie przed ojcem. a niech moi rodzice za to nieszczęście nie płaczą.

Lecz zapamiętały malec niczego słuchać nie chciał i Bóg wie do czego byłoby przyszło. gdyby w tejże chwili trzecia osoba między nimi nie stanęła. a wzięwszy w poły Kaszubczyka, nie cisnęła nim jak młodym kotem o ziemię.

Tą osobą był cudnej urody młodzieniec. od piętnastu do szesnastu lat mieć mogący; wyjechał on niepostrzeżony z lasu wtedy właśnie, kiedy Borysław na Dańka się cisnął. Zrazu ciekawie tylko przypatrywać się zdawał zapasom chłopaków. lecz widząc, jak się rzeczy mają. że tylko jeden bije, a drugi się prosi, lekko zeskoczył z konia. samopas w łąkę go puścił. na palec lewej ręki przelożył sobie zakapturzonego sokoła, prawą zaś. jak to już powiedziano, silnie Borysława powalił.

Młodzieniec miał cienkie i kosztowne szaty. wierzchnią odzież szkarłatem podbitą, złoty łańcuch na piersiach.

— A to co znaczy? — rzekł do Dańka, podając mu rękę, aby z ziemi powstał—toć ty, chłopcze, i większy jesteś i na silniejszego wyglądasz. a takiemu pacholęciu zmocować się i pobić dałeś?

— Dobry i miłosierny panie—odrzekł Dańko—to syn naszego pana, mnie go uderzyć niewolno.

— Niewolno? a on ciebie bije.

— Zkąd tobie mieszać się w sprawy moje — krzyknął Borysław, który już powstał i z pierwszego odurzenia ochłonął—to chłop mój; chociażbym go zabił, mój ojciec ma dosyć grzywien i groszy, żeby stajemu podobnych zapłacić, nieraz to od niego sły-szałem.



— A mój ojciec ma turmę dosyć obszerną—odpowiedział młodzieniec—żeby twego ojca i stu jemu podobnych w niej zamknąć. Wstydz się, niegodziwy chłopcze, który bijesz tam, gdzie wiesz, że ci oddać nie mogą. pójdź oto zemną się spróbuj, a mam nadzieję, że na długi czas litości cię nauczę.

Borysław cofnął się o kilka kroków wtył na takie wyzwanie, lecz wnet powstydział się swej bojaźni i zuchwale przed młodzieńcem stanął.

— Nie zlekne ja się ciebie, ty sędzio, co nie wiem z kąd się wziąłeś, ale ci powiem najpierw, że złej chwyciłeś się sprawy. Jeśli karałem tego nędznego chłopca, to za to, że mi psa najlepszego i najwierniejszego towarzysza udusił. Zdaje mi się więc, że nic tak osobliwie nielitościwego nie popełniłem.

Nieznajomy zwrócił się ku Dańkowi z powątpiewającą, lecz surową twarzą, a ten, pokazując krew i rany swoje, wszystko wiernie opowiedział. Młodzieniec wtedy oddał mu swego sokoła, sam wyciągnął z za pasa w kunsztowną rękojeść oprawny rzemyczek, którego na konia używał, i schwyciwszy za ramiona Borysława, zaczął mu odliczać wszystkie razy, któremi on pierwiej tak niemiłosiernie Dańka okładał. Chłopiec rzucał się, wrzeszczał, odgrażał ojcem i śmiercią. Nieznajomy nic nie zważał na to, dopiero kiedy mu się zdawało, że już dostateczna będzie kara, puścił go wolno i do domu iść kazał.

Lecz Dańko rzucił się do nóg jego, prosząc dalszej opieki.

— To nic—rzekł mu ze łzami—żeście mnie od tego bólu wybawili, ręka dziecięca jest jakby pogłaskaniem na wieśniaczej skórze, ale teraz będzie daleko gorzej, jeśli przed ojcem syn się poskarży, bo gdy wam nic nie będzie, chociażście go własną skarcili ręką. mnie, że to z mojej przyczyny się stało daleko większe wypadnie nieszczęście. I gdyby to mnie tylko—mówił z rzewniejszym jeszcze płaczem—tobym Panu Bogu dziękował, że mi chociaż na chwilę takiego jak wy zesłał obrońcę, lecz ja mam ojca, matkę, ro-



dzeństwo; jeśli nad nimi pan Kaszuba zacznie się srożyć, to już chyba tego z żalu nie przeżyję.

— Bądź spokojne, poczciwe chłopię — odrzekł wzruszony młodzieniec — już to możesz mieć we wszelkiej u siebie pewności, że ja cię nie opuszczę i pamiętać będę o tobie.

Wtem dał się słyszeć róg myśliwski w oddaleniu.

— Mnie to zapewne szukają — mówił dalej młodzieniec, i przyłożywszy do ust srebrną piszczałkę, trzykrotnym odezwał się dźwiękiem; głosy psów doszczekujących, stąpania kutyh koni, aczkolwiek dalekie, przecież rozpoznać można było, że się ku stronie rozmawiających zbliżały.

Borysław, który dotychczas połykał łzy swoje i pienił się ze złości, a czekał ciągle, czy kto z dworu ojcowskiego nie nadciągnie z pomocą i zemstą gotową, widząc, że tu jeszcze coś gorszego przytrafić mu się może, krzyknął na przeciwników swoich raz jeszcze jakimś zelżywym i brzydkim wyrazem, a potem tą samą drogą co Magdeczka uciekać zaczął, przekonany, że straszliwą gromadę zbójców zostawia za sobą.

Uśmiechnął się młodzieniec na ten przestrach niekarnego dziecięcia, a potem znowu do Dańka się zwracając:

— Już moi wiedzą, gdzie mnie szukać mają — rzekł mu łagodnie — dłużej trwożyć się nie powinni. Ty, chłopaku, wyprowadź mnie ku wsi, żebym mógł mlekiem, a przynajmniej wodą orzeźwić się nieco. Bardzo dawno pragnienie czuję, ta ostatnia zaś wyprawa, choć dosyć zabawna, nie uśmierzyła go wcale.

To mówiąc, ujął za cugle pasącego się konia i wiódł go za sobą, a Dańko szedł w milczeniu naprzód o parę kroków, niosąc w płachcie krwią zbrzyzganej całą nadzieję jednodniowego pożywienia. Niezbyt daleko uszli, kiedy im zabiegła drogę Magdeczka i Sęp niespokojny tak długą Dańka nieobecnością.

Na widok pięknie wystrojonego pana, cofnęła się dziewczeczka, ale ojcowskie oko najpierw rany syna

spostrzegło, na nic nie zważając. Piotr ukochane dziecko do łona przytulił, ustami spiekłą krew ściągał, to mu włosy rozgarniał na czole. to długo w oczy mu patrzył, a czasem tylko z piersi stłumione wyrwało się słowo.

— Ciebie zranili, Dańku... ciebie zaszczuli... przekleci!...

Magdeczka ośmielona zbliżyła się także, odebrała bratu płachtę i jak mogła pieściła, jak mogła połączoną koszulką rany obcierała, a nieznajomy patrzył na te tkliwe dowody szczerego przywiązania i łzy mu się w oczach kręciły.

— No, dajcież temu pokój — rzekł wreszcie Dańko do ojca i siostry — patrzcie, oto idzie zemną pan możny i dobry, który mi dał wsparcie, a przyobiegał opiekę; dziękujcież mu za mnie i za siebie, bo on może nas wszystkich z okropnej biedy naszej wyciągnąć.

Wtedy Sęp i Magdeczka, już niewstydzająca się obcego pana, zaczęli ręce i nogi jego całować, a młodzieniec musiał im kilka razy przypomnieć, że zmęczony i łaknący, nim w dalszą puscili się drogę.

Dopiero to było dla całej wsi podziwienie niemałe, gdy przed domem Sępa, pomiędzy dziećmi, ujrzano ślicznego panicza i ślicznego konia, obu strojnie, kosztownie ubranych.

Salomea ledwo w głowę nie zaszła, że niczem gościa przyjąć nie mogła; do nóg mu się chyląc, mało po tysiąc razy przepraszała za swoją biedę, lecz cudny młodzian, uśmiechając się, mówił ciągle:

— Dajcie mi tylko kubek zimnej, świeżej wody. pocziwi ludziska, ja wam go zachowam w pamięci, jako najsutszą biesiadę, a Pan Bóg wynagrodzi może, jako najchętniejszej gościnności uczynek.

Pobiegła Salomea do źródła, zwinnie, skrętnie usłużyła obrońcy swego syna i ze zwyczaju kręciła się po chacie, jak gdyby miała co lepszego do wyniesienia jeszcze.

Sęp powtórnie uścisnął kolana nieznajomego, spojrział ku niebu, wzywając Bożego błogosławieństwa

nad tym co się prześladowania jego dziecięcia ulitował, ale potem daleko więcej już cierpiącym Dankiem niż bogatem panięciem był zajęty.

Młodzieńca zaś otoczyła zrazu nieśmiała, potem coraz rozmowniejsza gromadka wieśniaków. Każdy jakąś dziwną przejęty ufnością, ośmielony łagodnym słuchającego obliczem, odpowiedział mu swoje nędzę, nieszczęścia swoje, skarżył się przed nim tak śmieie, jak to pierwaj zaledwie uczynić się odważył w cichym pacierzu do Boga mówionym, a ów nieznamy, jeszcze tak bardzo wiekiem do dzieciństwa zbliżony, z uwagą i współczuciem słuchał biednych chłopków, przemawiał do nich wyrazami zachęty i pociechy. Nakoniec, gdy już zupełnie odpoczął i orzeźwił się kryniczną wodą, wstał z ławy, na której przed domem siedział, rzucił do garnka, z którego pił, dwa złote od swego łańcucha ogniwa, i czyniąc wszystkim wdzięczne pożegnanie:

— Nie traćcie serca, dobrzy ludzie — rzekł do nich — pamiętajcie o Kazimierzu, on też przy pomocy Bożej będzie o was zawsze dobrze pamiętał.

Potem lekko skoczył na konia, spiął go żelaznemi kolcami i zniknął w tumanie kurzu, tylko Magdeczka, która, by patrzeć za nim, aż na koniec wsi wybiegła, widziała jak na polu grono pieszych i konnych go otoczyło i jak potem wszyscy razem ku zamkowi się zwrócili.

### III.

#### Wieczera zamkowa.

W zamkowej sali niktby się nie domyślił, że głód i nędza dokoła. Od jadła i napojów gną się sute stoły, a biesiadnicy rozmawiają wesoło, choć widać, że jakaś bojaźń czy poszanowanie jakieś w karności trzyma języki. Pau Kaszubski nawet nie zasiadł wraz z gośćmi

przy stole, tylko wśród nich krąży ciągle i temu pieczeń łosiową, temu z krupami i baraniną misę przysunie, temu pucharu doleje, a zawsze gdy koło jednego miejsca przechodzi, on, tak dumny, głowy uchyla i przez chwilę w milczeniu stoi, niby rozkazów czekając—bo też to miejsce wyniesione nad wszystkie inne, ma po obu stronach kawały pustego stołu, zastawione jest wielkiem krzesłem, w którym siedzi bardzo małego wzrostu człowieczek... lecz temu człowiekowi na chrzcie świętym rodzice dali imię Władysław, potem ludzie dorzucili Łokietek, a on sam sobie wśród różnych kolei przydał nakoniec „Król Polski..“

Po prawej stronie Władysława Łokietka, ale niżej i nieco opodal, siadł syn jego w szesnastej wiosnie swego życia, Kazimierz. Na młodej twarzy męskie jakieś widać zamyslenie; obojętnie usuwa srebrne z najlepszymi przysmakami misy i roztruhan jego, złotym płynem południowej latorośli napełniony, jeszcze nie-  
tknięty od początku stoi.

Kaszuba skłonił się aż do ziemi prawie przed sędziwym królem.

— Najmiłościwszy Panie—rzekł do niego—wnoszę skargi przeciw synowi twemu, który jadłem i napojem gardzi w domu wiernego sługi.

— Ocho! zły znak—odezwał się zartobliwie monarcha;—kto w szesnastym roku po jednodziennych łowach nie ma do jedzenia ochoty, ten w trzydziestym już niezawodnie i polować nie będzie.

— Przepraszam was, ojcze, i was, panie Kaszubo, lecz już się nasyciłem dowoli w chacie pewnego wieśniaka, którego Sępem zowią, a moją wdzięczność za to wam przekazuję, miły gospodarzu — i młody książę utkwiał w niego długie, badawcze spojrzenie.

Kaszuba zekręcił węża, trochę się więcej rozczewienił i pomyślał w duchu:

„No proszę; to bydlę zawsze ryczy, że mu głód i bieda, a jeszcze miał czem przyjąć królewskiego syna!“—Jednak skinieniem głowy i uśmiechem pokrył na zewnątrz myśl swoją.



— To mi przypomina — odezwał się znowu Łokietek — że jak żyję, jak mi najsutsze uczytystawiają, tak nigdy nic mi więcej nie smakowało od pewnego kubka mleka. Czy pamiętasz, Janie z Pienin? — przydał, zwracając mowę do siedzącego naprzeciw staruszka.

Zagadniony uśmiechnął się radośnie.

— A ja — rzekł — nie zapomnę jak żyję, by kiedy równym cudem krople nabrały w krople szczęścia się zmieniły.

— Proszę wyobrazić sobie — mówił król dalej, jakby nie zwracając uwagi na tę odpowiedź — proszę wyobrazić sobie waszego Łokietka. gdy po hulankach, po zbyt kownem życiu, sam jeden ucieka w franciszkańskiej sukni, a tu na niego Czesi robią zasadzki, a tu zmienni Krakowianie czatują, a tu ów, lub tamten zniemczyły Polak goni. Ja szedłem dzień i noc ciągle, przeklinając nieprzyjaciół, czasem tylko o popełnionych myśląc błędach, a najczęściej sycząc na złe drogi, po których mi sandały do reszty się zdarły i krew z nóg nieraz ciekła. Upał, znużenie i niebezpieczeństwo; gdybym mógł się gdzie zatrzymać, ale Wacław na wszystkie strony ludzi porozsyłał, mnicha czy nie mnicha, każdy mnie pozna po zdrobniałem ciele. Nakoniec przyszła chwila rozpacz; w samo południe tak mi raz pragnienie dokuczyło, że język do podniebienia przysychał. Było to w Pieninach właśnie, trochę dalej spiska ziemia z bezpieczeństwem mnie czekała, ale ja rzekłem sam w sobie: Czy mam panować, czy ginąć, pewno to jest w Bożych księgach zapisane, więc chociaż jeszcze mnóstwo czeskich drabów się uwija, muszę w tej mieścinie spoczynek znaleźć — i zastukałem do pierwszego domu, co stał po mojej drodze. Jakiś ogromny wąsal mi otworzył i cofnął się, a mnie już trochę żalność przystępowała do serca, żem tak wielką popełnił nieroztropność. On nie wiem jak długo patrzył mi w oczy, aż nakoniec kornie się skłonił i rzekł poważnym głosem:



— Błogosławieństwo progom, w które taki podróżny zawita!

— Błogosławieństwo, mówi Chrystus, temu, co spragnionego napoi—odrzekłem prędko, bo mi już wtedy nie o to chodziło, czy poznanym, czy wziętym będę, tylko czy mi cokolwiek napoju podadzą. Gospodarz wyszedł prędko i wniósł zaraz kubek mleka na glinianej misie i przyklęknął nawet, do rąk mi go podając. Niedosć na tem, znalazłem u niego nocleg, wodę do obmycia zranionych nóg, a co najwięcej znaczyło, konia na dalszą podróż i wierne serce na dalsze życie moje. Czembys ty, Kazimierzu, odpłacił takie przyjęcie?

— Przyjaźnią—odpowiedział krótko młody król Lewicz.

— On mój syn, mój prawy syn—powtórzył z niepojętem weselem Łokietek; — dobre słowo znalazłeś, chłopcze, ale przyjaciel, który mleka podał wygnańcowi, jest dziś przyjacielem i podczaszym monarchy. Wszak sprawiedliwa zamiana?

Jan z Pienin opuścił swoje miejsce, zbliżył się do króla i w milczeniu rękę ku niemu wyciągnął, a Władysław ujął ją przychylnie, lekko po kilka razy wstrząsnął i znowu powtórzył: „przyjaciel.“

Tymczasem czoło Kazimierza wypogodziło się, choć jeszcze głębsze zamyslenie w oczach wybijało.

— Ojcie—rzekł nakoniec—a gdybyście, znużeni i łaknący, trafili po drodze na dobry uczynek do spełnienia i na błogosławieństwo ubogich kmiotków, a ci kmiotkowie, zgłodniiali sami, niczem was przyjąć nie mogli, tylko świeżą ze źródła wodą? Czembyscie, ojcie, ich przyjęcie wynagrodzili?

— Hojnem wsparciem.

— Zamało.

— Uwolnieniem od poddaństwa.

— Cha! ja wiedziałem, że ojciec nie da mi długo na ten wyraz mego serca czekać—zawołał Kazimierz i radośnie w dłonie klasnął.

— Teraz powiedz mi, chłopcze — rzekł z uśmiechem Łokietek—jakie z niego zrobisz przystosowanie?

Kazimierz powstał i wolno, z nadprzyrodzoną wiekowi swemu godnością, mówić zaczął:

— Panie Kaszubo, wasi włościanie jęczą w ucisku i niedostatku, wasz syn na chłopskiej skórze psy swoje zaprawia, wasi dworscy bez litości wynoszą z chałup, co im się tylko podobne do użytku zdaje. Czy wiecie o tem. czy nie wiecie. ja pytać nie będę, bo ni mój wiek, ni moja głowa w sprawy takie wglądać, ale co jest słów prośby w mowie ludzkiej, te ja do was zanoszę. byście nam odstąpili Jawuru, byście przynajmniej Sępa z całą jego rodziną na wolność wykupić dali.

Kaszubski pokraśniał jak mak polny, zaiskrzyły mu się oczy. nastrzępiły mu się wąsy — lecz król ojciec, chcąc gospodarzowi osłodzić gorzkie syna wyrazi:

— Ach! prawda — rzekł — knieje w tych stronach pełne zwierzyny, gdybyście mi ich ustąpili, toby mi jeszcze przyjemniej było was na łowy do siebie zaprosić, niż być od was dziesięć razy zapraszany.

— Niech się stanie według życzeń miłościwie panującego nam! — odpowiedział ponuro Kaszubski. — Za dni pięć w niedzielę już wszystko będzie skończone.

Wtem otworzyły się od przyległej komnaty podwoje i weszła do sali jeszcze niewidziana pani domu z obojgiem dzieci przy boku; jej ukazanie się było znakiem, że myśliwych uczta skończona i że każdemu jego sypialnie wskazane być mają. Stary król z rycerską dwornością powstał na przyjęcie białogłowy.

— Szczęśliwa matka takich pięknych dzieci — rzekł jej uprzejmie, kładąc rękę na jasnych Halinki włosach, lecz nim do Borysława się zwrócił, wzrok chłopca już dostrzegł między gośćmi swego przeciwnika. Zbladł okropnie syn Kaszubskiego i ciągnąc matkę za suknię:

— Kto to? kto to? — zapytał z przestrawieniem.

— O kim mówisz, Borysie? — odszepnęła mu zcicha.

— O tym młodym, najmłodszym ze wszystkich.

— To królewicz Kazimierz.

A Kazimierz domyślił się po spojrze niach, że o nim rozmowa, i z uśmiechem przystąpił do Kaszubczyka.

— Między nami już dawna znajomość—rzekł mu wesoło.

Ale Borysław nic mu nie odpowiedział, wyrwał się tylko z rąk matki i uciekł tak śpiesznie, że go żaden z wysłanych sług dogonić nie mógł, i schował się tak głęboko, że go do późna daremnie szukano—a tymczasem matka za dzikość syna przepraszała, a goście się śmieli, zwyczajnie jak z dziecka, a Kaszuba Kaszubski sam tylko pojąć nie mógł, co się stało jego ulubionemu dziecięciu, bo on przecież wiedział najlepiej, że to już nie jest tak niesmiałe i trwożliwe pachole.

---

#### IV.

### Kto się mści, a kto przebacza.

Z nadeszłą nocą, syn przy ojca boku, jak zwykle spoczywający, wszystko mu opowiedział skargą i żaleniem, a Kaszuba opowiadanie gniewem i zemstą zrozumiał.

— Ojcuniu mój, mnie sen uciska, kiedy sobie wspomnę, że może tam ów chłop niegodziwy śmieje się ze mnie teraz.

— Tyś krew moja—odrzekł ojciec—ale śpij, dziecię, spokojnie, ja nie popróżnuję w tej sprawie.

— Cóż z tego, kiedy mówi służba, że włos już sprzedana.

— Dopiero nią będzie, dopiero nią będzie, mój synku, a ja ci mówię, że kiedy twą obelgę i krzywdę do własnego serca wzięłam, to ty możesz bezpiecznie głowę na sen złożyć.

— Cha! dostanie się Dańkowi! — wykrzyknął zły chłopiec.

— Dostanie w dwójnasób, tylko się dwór oddali.

— A zresztą niech i Sęp weźmie, mnie to wszystko jedno — dorzucił po chwili Borysław i zasnął na tej przeklętej myśli tak cicho, jakby tylko po modlitwie dobry człowiek zasypiać powinien. Lecz któż kiedy sny niesprawiedliwych odgadnie?

Trzeciego dnia szczęśliwie obfite ukończywszy łowy, król Władysław Łokietek z synem i całym orszakiem swoim jawurskie włości opuścił.

— Czemu ty dziś taki wesół? — spytała brata Halinka, widząc jak rozhukanie po wszystkich biegł komnatach, jak tłukł pięściami po wszystkich stołach i ławach.

— A wyrzyj-no panna za okno — odpowiedział jej zuchwale.

Halinka wychyliła się, lecz po chwili znów rzekła:

— Doprawdy, nic nie widać, braciszku, ino dwóch ludzi przez dziedziniec idzie.

— A ci ludzie czy próżne mają ręce?

— Tylko jakieś powrozy niosą.

— Otóż moja panno, ja z tych powrozów tak wielce się raduję, bo kiedy one spadną komu na grzbiet, to, jakbym widział, piekielnie się skrzywi.

— Co tobie, bracie? — śpiesznie przerwała dziewczeczka, a przerażenie w całej znać było twarzyczce — co tobie, Borysławie? Więc to kogo wybija. a ty się z tego tak mocno weselisz?

— Juścić że z tego — bezczelnie chłopak jej cisnął — bo ten przeklęty syn chłopski śmiał na mnie i na ojca mego przed królewiczem skarżyć.

— Kłamiesz, Borysławie — z żywością zawołała Halinka — dzięki Bogu, żeśmy obie z matką szczerzej dowiedziały się prawdy; ni on się na ciebie, ni na ojca skarżył, tylko ty złym brytanem poszczułeś biednego i książątka na obronę mu przyszło.

— Tak, czy owak, ktoś tam w skórę weźmie za to, że dziecko Kaszuby sponiewierano.



Halinka z płaczem do matki pobiegła.

— Och! złota mameczko moja — wśród łkania mówiła — ty znasz całą biednego Dańka sprawę, bo sama na ran zawiązanie ziół i tłustości matce jego dawałaś. Ulitujże się teraz, ich tam bić poszli.

— A to za co? kto taki? — spytała drżąca i blada Kaszubina.

— Musiał Borysław przed ojcem naskarżyć.

Matka wydała rozkaz służebnej, by jej syna przyprowadzono.

Wszedł wkrótce z zadartą głową, z dumnym czołem, jak gdyby co najlepszego zrobił. Westchnęła na jego widok smutna pani i lżą jej zaszło macierzyńskie oko.

— Borysławie — rzekła pełnym łagodności głosem — domyślasz się zapewne, czemu cię wołać kazałam. Powiedz mi tylko, czy pamiętasz swój pacierz? czyś nauk moich zapomniał?

— Ja pamiętam tylko. co ojciec mówił do mnie, żeby nigdy nie zaspać wyrządzonej sobie krzywdy.

Kaszubina zmieszała się trochę, bo ciężko żonie męża przed własnymi potępiać dziećmi, ale po chwili znów rzekła z dobrocią:

— Słuszność miał ojciec, ale ty, Borysiu, musisz pierwiej dobrze zrozumieć, co to jest krzywda.

— Nie coć innego, tylko to, co mnie gniewa.

— Och! mylisz się bardzo - gniew jest grzechem głównym, a krzywda jest niezasłużoną boleścią; taką krzywdę może ci tylko silniejszy i większy od ciebie wyrządzić. Więc jej nie zasypiaj, bo widać, że ów człowiek ma w ręku możność, a w sercu niesprawiedliwość, jako tobie zaszkodził, będzie szkodził innym; więc jeżeli odważnym jesteś, mierz się z takim człowiekiem, a błogosławieństwo Boże i wdzięczność ludzka twoje męstwo nagrodzi. Jeśli od równego sobie doznasz jakiej zniewagi, to jeszcze ci jest wolno za samym sobą się ująć, choćby nierównie było piękniej, z nauką Chrystusa zgodniej. wtedy właśnie przebaczyć, ale od niższego i słabszego, mój synu, cóż za



krzywda spotkać cię może? W twoich rękach los jego — on przygnębiony, ma tylko skargę pociechą. Czyż to szlachetnie, czyż to uczciwie nad nim właśnie się pastwić? Nie śmiałeś wyzwąć do walki Kazimierza, który cię wybił, a tak okrutny jesteś chłopkowi, którego sam wybiłeś. Och! Borysławie, mnie się czasem zdaje, że nie moich piersi mleko ssałeś.

— Jednak ojciec... — pomruknął chłopiec na pół wzruszony tą mową, która jedynie na jego pojęcie obliczoną była.

— Jednak matka, Borysiu, matka jest przy tobie i z trwogą a nadzieją patrzy w twe serce, czy w niem wspanialszego nie dostrzeże poruszenia.

Borysław może nie byłby usłuchał, gdyby mu kto jaknajjaśniej tłumaczył, że pan bezkarnie chłopów ciemiężyć nie powinien, ale w tej zepsutej naturze jedno złe drugiemu ustąpiło — po gniewie i zawziętości próżność się zbudziła, więc też z najpyszniejszą postawą rzekł do matki:

— Kiedy tak chcecie, matko, pójdę im przebaczyć.

Tymczasem dwa draby z powrozami w rękę przeszli sioło i przed Sępa chałupą stanęli.

— Mój Boże, kogo też bić będą? — szeptali między sobą strwożeni wieśniacy. — Piękne paniątko obiecało, że nam nikt więcej krzywdy nie uczyni, ale widać złość pana od jego dobroci silniejsza.

Draby weszli do Piotrowej chaty, a wszystkie twarze na ich przybycie zbladły.

— Na kogoście tu przyszli? — Sęp spytał się wreszcie.

— Na twego syna, chudzino — daj go nam tutaj pod pięćdziesiąt razy, to i ćwierci godziny nie potrwa.

Sęp do ust palec przyłożył i wskazał ku alkie-rzowi.

— Spodziewałem się tego — rzekł stłumionym głosem — lecz wiedzieć przecież musicie, drabowie, że

mi od trzech dni w gorączce leży biedactwo; gdybyście go położyli, toby nie wstał więcej.

— No, ojcze, ja ci poradzę — ozwał się jeden z oprawców — mamy i dla ciebie równą prawie ilość, a panicz nam wspominał, że kto weźmie, to weźmie, byle wszystko wziął

Sęp się uśmiechnął szydersko.

— Dobre dziecko, więc pozwoliło na to — i owszem, ja przyjmę wszystko, coście przynieśli gościńcem. tylkoż wyjdźmy ztąd, żeby mi się w komorze chłopak nie obudził.

— Właśnie też, a sąsiady zlecą się jak kawki — odpowiedział pański sługa — i może znowu ztąd lub zowąd człowiekowi guz na głowie wyskoczy. Nie głupisiny, mój ojcze — dalej, prędko do pracy!

I pochwycili oba nieszczęśliwego Piotra, związali mu ręce, a potem jak długiego rozciągnęli na ławie.

— Cicho, cicho, dziatwa — rzekł Sęp do płaczących — obudzicie mi Dańka; ot, lepiejbyś zrobiła, kobieto, gdybyś mi kawał jakiego szmata między zęby dała.

Salomea przyniosła mu starego płótna odrywkę, a draby czynność swą haniebną zaczęli. Jednostajnym ruchem wznosił się i opadał ogromny powróż, a ślad swój znaczył na grzbiecie chłopca ciemno krwią nabiegłą pręgą. W chacie głęboka cichość panowała; Salomea, Magdeczka, Bartuś w słomę posłania głowy utulili, żeby nie patrzeć, żeby ciszej płakać. Sęp zaś nie jęknął, nie syknął nawet, jak gdyby z drewna lub kamienia miał ciało. Jednak ta cichość właśnie i to jednostajne świstanie powróżów przerwały sen Dańka; zwłókł się powoli z nędznego łoża i blade, wychudły, z roziskrzonymi od gorączki oczyma, stanął we drzwiach komory.

— Przekleństwo okrutnym! — jęknął boleśnie.

— Milcz — odezwał się Sęp wtedy — milcz i wynos się ztąd.

Dańko, wedle rozkazu, umilkł, ale nie wyszedł, tylko obie ręce do piersi przycisnął, wzrok obłąkany

wlepił w bijących i za każdym uderzeniem czerwone plamy występowały mu na twarz.

Nagle jednak odchyliły się drzwi znadworza, a między niemi ujrzano rozweseloną twarz Borysława:

— Dajcie już pokój—zawołał—matka prosiła, ja przebaczam — i zniknął. Na widok Kaszubczyka, na widok tego, co ojca bić kazał—Dańko, nie słysząc, nie rozumiejąc, z wściekłością poskoczył z miejsca, ściśnięte pięście wyciągnął, lecz nim do środka izby zaszedł, sił mu zbrakło i padł bez przytomności na ziemię. Draby zaś jaknajspokojniej zwijali swoje narzędzia, a gdy już wyjść mieli, starszy z nich w progę się zatrzymał i rzekł jeszcze:

— Cha! poczciwi ludziska, zabaczyłem wam powiedzieć, że o tem, co dziś się stało, mówić komu wara. Ani Bogu, ani królowi, bo Bóg wysoko, księżę daleko, a pan Kaszuba blisko, za złe słowo, za złą myśl—wyrwie język, zetnie głowę. Pamiętajcie! coćkolwiek zajdzie potem, pamiętajcie! — i odeszli.

Teraz Sęp i wszyscy w chacie Dańkiem tylko byli zajęci; rozcierano mu skronie zimną wodą, chłodzono ręce i piersi, aż nakoniec krew mocno się nosem rzuciła i to go uratowało; wkrótce przyszedł do siebie, a nawet z wielką rodziców pociechą od tej chwili znacznie mu być lepiej zaczęło.

Lecz w niedzielę to, w niedzielę prawdziwe czekało ich szczęście. Dziesiątnikom wydano rozkazy i cała gromada stawiała się na nabożeństwo. Sęp nawet wziął Dańka z sobą, bo chłopiec już widocznie do pierwszego wracał zdrowia. Tym silnym, niespaczo-nym organizmom wieśniaków czasem tak mało do uleczenia potrzeba.

W kościele osobną ławę zasiadł pan Kaszubski z całą rodziną swoją na lewej stronie, gdyż prawa była przez jakiegoś nieznajomego w barwach królewskich zajęta. Przy tym nieznajomym kilku ludzi stało, jak widać z jego orszaku. Sęp z Dańkiem usunęli się o ile tylko mogli od pańskiego oka, i zdarzyło się, że chłopiec uklęknął właśnie przed patronem swego ojca,

przed świętym Piotrem w okowach, któremu jasny anioł drzwi więzienne otwierał. Była to dla wszystkich chwila jakiejś niespokojności i przykrego oczekiwania, choć im zapowiedziano nadzwyczajność, i choć z tego samego słowa mogli już lepszej spodziewać się doli, oni w smutku zrodzeni, jeszcze się czegoś bali. Tylko Dańka serce silniej nadzieją niż trwogą biło, bo Dańko w tej chwili tak szczerze się modlił i miał tak dobrej wróżby obraz przed oczyma. Ksiądz nakoniec wszedł powtórnie na kazalnicę—podano mu kartę pergaminową z rąk obecnego pana, zaczął czytać i stopniowo za każdym wyrazem jak gdyby jasności dziennej przybywało, tak pogodniały twarze wiejskich słuchaczy. Ksiądz oznajmiał, że Jawur przechodzi na własność Władysława I-go, króla polskiego, księcia kujawskiego, sieradzkiego, pomorskiego i t. d. — że takie a takie nadużycia się znoszą, takie a takie ciężary ustają, nakoniec: że kmieć Piotr Sępem zwany, z całą rodziną swoją, wolnością i tym gruntem, który niegdyś dla pana swego uprawiał, hojnie obdarzony być ma. Jeszcze nie doczytano słów ostatnich, a już po ściśniętym tłumie jak głos jednej piersi przebiegło ciche najpierw, potem coraz wyraźniejsze dziękczynne do Boga wołanie. Kaszuba trochę zczerwieniał i trochę brwi zmarszczył, ale nie spojrział nawet ku wołającym, tylko wzięwszy za rękę syna, poszedł naprzeciw kapłana opuszczającego kazalnicę. Stanęli razem przed ołtarzem, wysłaniec królewski zbliżył się do nich i wzięwszy odczytane pismo, dziedzicowi je podał. Dumny pan w milczeniu nakreślił znak krzyża u spodu, przycisnął pierścień do wiszącej na sznurze pieczęci i wolnym krokiem się oddalił; nim przestąpił próg kruchty, już mógł słyszeć, jak tłumiony okrzyk wydarł się z serc wieśniaczych nakoniec i zęgnął go po latach tylu wspólnego życia, niewzajemnej pracy, zęgnął go tylko radością rozstania!

Powoli, powoli wypróżniał się dom Pański; każdy śpieszył z dobrą wieścią do chaty, do pozostałych dzieci, kobiet, starców, którzy obrzędowi przytomni być



nie mogli. Świece zgaszono i tylko w dworskiej ławie klęczała blada pani, z młodą przy nogach swoich dziewczynką, a przed obrazem Piotra w okowach stał Piotr Sęp zamysłony i ukochany jego Dańko modlił się jeszcze wdzięcznością i szczęściem.

Cisza głęboka rozlała się wokoło, a zapewne tej chwili czekająca pani wzięła za rękę swą córkę, żeby wyjść spokojnie, samotnie, kiedy nie dojdzie jej ucha żadne słowo skarżące mężowi, kiedy nie padnie na dziewczynkę żadne niechętne za ojca spojrzenie. Szły obie cicho i prędko, nagle biedna matka zatrzymała się, przez czas jednej myśli stanęła trwożna, czy niepewna, lecz zaraz odzyskując przytomność, spuściła głowę i śpieszniejszym jeszcze krokiem do drzwi wychodnych dążyć zaczęła.

We drzwiach samych musiała się odwrócić, bo ktoś ujął kraj jej szaty i całował go w milczeniu.

— Ach! to wy, Sępie?— rzekła z widocznem pomieszaniem.

— Ja, moja dobra pani, i przychodzę pytać was w pokorze, czemu oblicze tej, co była miłosierną, odwraca się od tych, co tak bardzo nieszczęśliwymi byli? Znać gorzkim żalem serce wasze jest przejęte, kiedy nawet ręki umoczyć nie chcecie w święconej wodzie na ostatnie pożegnanie, dlatego jedynie, bo ta woda stoi przy stronie, gdzie my się Bogu modlimy dziękowaniem, a może i prosbą za was.

— Niech pociechą do życia wrócą wam te słowa, pocziwy człowieku — rzekła na to z westchnieniem pani Kaszubina — miejcie jednak za prawdę sobie, że ja nie z rozżalenia lub przykrej niechęci pominąć was chciałam, tylko wszystkich świadoma okoliczności, bałam się, żebyście wy do mnie odrazy nie czuli.

— Złemu odraza — ze zwykłą sobie pochmurnością Sęp odpowiedział — ale dobremu wdzięczna pamięć. Wy, najśłodsza pani, musicie mieć przecież w świadectwie waszego sumienia, żeście dobrą byli dla jawurskich kmiotków.



— Nagradzacie chęci moje, grzechem niemożności nie stanowiąc; błogosławieństwo z wami, dobry Sępie.

— Kiedy błogosławicie, to nie mijajcież wdzięcznych ludzi i wody święconej—rzekł Piotr z zupełnie już rozsepioną twarzą.

— Pójdźmy razem do niej — a łagodny uśmiech przebiegł także smutne pani lica.

We wklęsłości dużego kamienia, przy świętego Piotra obrazie, stała do użytku wiernych czysta woda święcona. Zbliżyła się do niej i żona możnego Kaszuby, i ubogi Sęp. kmiotek, i piękna jak aniołki Boże Halinka i bladej jeszcze świeżemi ranami Dańko. Wszyscy czworo stali w milczeniu, w jakimś zebraniu ducha, jakby do modlitwy, choć żadne z nich nie mówiło pacierza. Nakoniec rumieniec wybił na bladej pani obliczu, zdało się, że słucha jakiegoś głosu, tak wzniosła dogóry czoło, tak niezwykłym wyrazem twarz jej zajaśniała.

— Oto syn mój— rzekła powoli, uroczyscie— syn mój, którego wypiastowałam na chwałę Bogu, na szczęście ludziom, na pociechę dla siebie. dziś zgrzeszył przeciw Stwórcy, skrzywdził bliźniego, zasmucił serce matki. Lecz on dzieckiem jeszcze, a jako prawdą jest, że codziennie się modłę o jego poprawę, jako chcę, byście mi uwierzyli, iż dla was cierpiących zawsze litość czułam. dla was prześladowanych lepszej doli pragnęłam, tak teraz duszy waszej zapomnienie uraz polecam, od dobroci waszej przebaczenia wzywam. aby za tymi, którzy wam źle czynili. skargą do Boga słowo żadne nie pobiegło, bo skarga uciemienionych straszliwem z nieba przekleństwem powraca — a wy nie chcecie zemsty nad moimi!...

Po tych wyrazach nastąpiła chwila ciężkiego milczenia. Piotr stanął zupełnie do przewiska swego podobny, Dańko zbladł i usta mu drżały, Kaszubina z niespokojnością to na jednego, to na drugiego spoglądała, a Halinka w pół z prośbą, w pół z przerażeniem rączki jak do modlitwy złożyła.

— A czy wiecie, cudna pani—odezwał się nakoniec Dańko — czy wiecie, że mnie syn wasz jak dzikie zwierzę chciał zaszczuć swoim brytanem?

-- Wiem—cichym głosem odrzekła biedna matka.

— A czy wiecie, co to my znieśli biedy, uciemień i zdzierstwa od pana naszego?—mówił dalej coraz surowiej.

— Wiem—ciszej jeszcze powtórzyła nieszczęśliwa żona.

— A czy wiecie — i dźwięk najżywszej boleści w każdym słowie z piersi mu jęczał — czy wiecie, że za moją krzywdę, za moje rany, przyszli potem oprawcy i starego ojca mi zbili?..

Kaszubina milczała.

— Cha, czy wiecie jeszcze—i wszystkie muskuły się w twarzy mówiącego ściągnęły — ale nie, wy nie wiecie jeszcze, co mi wtedy na myśl przyszło? Oto, że chłop ma zbitą skórę, ale silniejsze ręce. że pod strzałami łowców pada często zwierzyna, ale czasem wilk się odwróci, niedźwiedź na łapy wespnie i najsmielszego łowca uprzedzi—a kiedy matka ogień roznieciła, to sobie wielki pożar wielkiego zamku wystawiałem, i tak przez dni kilka było mi w oczach czerwono jak po krwi, płomiennie jak od łuny... Zlituj się, Boże, nade mną, bo to grzech.

— Dańku! Dańku!—z ciężkością wymówiła drżąca jak listek osiny Kaszubskiego żona.

— Pokój z sercem i myślą waszą niech będzie, dobra pani!—rzekł już spokojnie i łagodnie syn Piotra.—Ubożuchny chłopiek wiele wycierpiał, ale mu łatwiej złego zapomnieć, niż o dobrem nie pamiętać. Jako wy byliście pocieszycielką naszą, tak niech pierwsza prośba wasza stanie się dla nas świętem przykazaniem. Ojczy!—przydał, do Sępa się zwracając—ojczy, niech mi na tamtym świecie oddane będzie to złe, które jabym chęcią lub uczynkiem przeciw rodzinie dawnego pana wymierzył.

— Amen — odpowiedział stary Piotr uroczyście i wyciągnął ku ołtarzowi spracowaną rękę, potem ja-

koś łą mu oko zaszło, dał znak milczenia synowi, który coś mówić zaczynał. wznosił oczy dogóry, umaczał w świętej wodzie końce wychudłych palców swoich, zbliżył się do Halinki, rozgarnął jasne włosy na jej czole, i znak krzyża ś-go czyniąc:

-- W Imię Ojca—rzekł—i Syna i Ducha Ś., ja, kmiotek, błogosławię ciebie. córkę wielkiego pana, ja ubogi, daję tobie i matce dla wszystkich twoich z głębi serca win odpuszczenie. a niech mi tak święci Boga w dzieciach moich darzą, jako ja ci, dziecinko, błógiego losu życzę. w pacierzu wspomnienie i w potrzebie usługę przyrzekam. No, cudna pani, czyż przypuścicie teraz. że ten. co waszą córkę przed ołtarzem dobrem słowem żegnał, może dla męża i syna waszego niechęć w sercu zatrzymać jeszcze?

— Nie, Piotrze Sępie — ze wzruszeniem odrzekła—nie, już tego nigdy nie przypuszczę, tylko jako wierzyłam pierwej, że przed obliczem Boga kmięć w siermiedze i pan w złotolitej szacie są zawsze według duszy swojej uważani... chciałabym krwią serca własnego dać wam na pamiątkę te wyrazy moje, ale przyjmijcie je chociaż szczerem cierpiącej duszy błogosławieństwem. Jak w matce Zbawiciela, siedm mieczów boleści tkwi ciągle w piersi mojej. toć też nie wątpię, że tam w niebie wyraźniej słychać me prośby, chociaż... za drugich. Przez tę wiarę. Dańku, chodź, klęknij przy mych kolanach; w zamianę tego, co twój ojciec dał dziecięciu memu, ja tobie, młody chłopcze. oddaję.—I kiedy kornie przed nią Dańko się uchylił, ona, jako Sęp, w święconej wodzie rękę umoczyła, przeżegnała nią czoło i barki wieśniaka, a potem dała tylko:—rośnij w cnotę. zdrowie i siłę. na pociechę rodzicom, na pomoc bliźnim twoim. Teraz — rzekła, znowu odwracając się do Piotra — pobłogosławiliśmy nawzajem dzieci nasze. to się możemy rozstać, a przyjazne uczucie do grobu w sercach naszych nie zgaśnie. Dajcie mi dłoń waszą, Sępie, daj mi twoją także, Dańku, ostatnią z Jawuru pamiątkę; będzie mi to chętne dobrych ludzi pożegnanie.—Mówiąc te słowa, sama ku

wieśniakom obie wyciągnęła ręce i każdy z nich jedną ujął i ścisnął szczerze, bratersko.

— Mateczko, a ja także ich pożegnam — ozwał się czysty głosik Halinki.

— Pożegnaj, dziecko moje — odrzekła Kaszubina i lekko białe czoło dziewczynki nachyliła do ust staro-  
rego Piotra.

Dańko, nieśmiały, ucałował tylko drobniutki rączki pięknego aniołka i rozstała się można pani z dawnymi poddanymi, jako siostra z rodzonymi braćmi.

Tymczasem wieść pomyślna całą wieś obiegła. Przed Sępową chatą obsiadła Salomeę niemała gromadka i rozmawiali o nowo zaszłych wypadkach, o młodym dobroczyńcy, księżęcym synu, który tak umiał danego dotrzymywać słowa, który jawurskich nie zapomniał chłopków, i przyszło wreszcie do dawnych wspomnień...

— Oduść nam, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom — odezwał się zboku poważny głos Sępa, i do tych słów świętych przydał wiele z własnego serca czerpanych wyrazów, a że mówił o przebaczeniu, o Bogu, o cnocie, łatwo mowa trafiła do duszy polskich kmieci, i od tego czasu nikt już we wsi skarżącem wspomnieniem Kaszuby Kaszubskiego nie wspomniał.

Tak jakiś czas upłynęło — nieznana pierwszej błogość zawitała do Sępa chałupy, jedno ogniwo z Kazimierzowego łańcucha wymieniono na potrzebne do zagospodarowania się sprzęty, drugie, w dzień Trzech Króli święcone, wisiało z wielkanocną palmą na ścianie, a kiedy słońce zachodu nań padło, to świeciło tak jasno, jak błogosławieństwo Boże po dniu użytecznie spędzonym. I wszystko dobrze się wiodło. Dańko już na młodzieńca rosnącego wyglądał, przy lepszej wygodzie, Bartuś zdrowo się chował, a Magdeczka skrzętnie w domowej pracy matkę wyręczała. Sęp, jako przyrzekł, cowieczór z rodziną swoją pacierz odmawiając, zawsze temi kończył go słowy: „Kazimierzowi, dobroczyńcy naszemu, daj Panie długie życie i wielką



możność na ziemi, a nad Kaszubskich rodziną niech będzie miłosierna ręka Twa, o Boże!”

I tak dzień po dniu schodził im wesoło, przy korzystnej pracy, przy spokojnem sumieniu, a jednak przyszłość ciężkie gotowała próby; życie ludzkie snuje się dziwną zmianą pociech i boleści — kto wszystkie zmiany przetrwa, z okiem zawsze ku niebu, z sercem zawsze ku dobremu zwróconem, tego dopiero na wieczność szczęścia Bóg na łono swoje przyjmuje.

## V.

### Najazd litewski.

Biada cichym, włościańskim zagrodom! Wieść smutna, wieść przerażająca rozchodzi się wkoło, że Litwa daleko w kraj rozpuszcza zagony. Napad dziki, niespodziany, zwyczajnie jako litewski. Kto widział łunę spalonych wiosek, słyszał krzyki przerażenia z dzikimi pomieszane wrzaski, ten nie pytał: co to ma znaczyć? tylko Bogu duszę polecał i uchodził coperędzej w te strony, gdzie jeszcze ognia, gdzie mordów nie było. Jedni cały z sobą zabierali dobytek, drudzy z życiem i wolnością uciekali tylko, inni o rozpacznej obronie myśleli. Piotr Sęp do tych ostatnich należał. Skoro go doszły pierwsze o najściu posłuchy, kazał Dańkowi przekuć żelazne kosy i lemiesz, schować w fałdy siermięgi złote z łańcucha ogniwo; sam wziął wierną siekierę do ręki, noże za pas, zwołał swoje kobiety, polecając im, żeby także cośkolwiek z domowego żelaztwa zabrały, i potem wszyscy razem schronili się do lasu. A był to las ciemny, gęsty, rozległy, aż w Kozienickiej tonący puszczy. Pierwszy dzień zszedł spokojnie i cicho, na drugi Dańko z wysokiej sosny widział, jak wiatr kłębamii dymu nad Jawurem przeganiał, dnia trzeciego już było słychać krzyki i dzikie



lukania po lesie; wróg coraz bardziej się zbliżał, lecz w tych miejscach niknęła jego przewaga. Sam rozpierzchnięty wśród kniei, pojedynczo tylko z pojedynczymi ludźmi mógł się spotykać—a kto będzie silniejszy? to Bóg wie—a czy tymczasem wojewoda na odpór zebranych hufców nie przystawi? tego Litwini nie wiedzą.

Salomea z Magdeczką w zarośle tak się ukryły, że o nich nawet dzień biały nic nie wie. Bartuś, jak dzięcioł, przyległ między gałęzie wielkiego dębu, Sęp i Dańko czuwają na straży. Wieczór się zbliżył, niebezpieczeństwo krąży dokoła, lecz jeszcze Sępa rodzinę omija. W nocy, niby gwiazdki między drzewami, rozpalone litewskie migają ogniska; jedno z nich nawet tak blizkie, że można liczyć żywsze połyski płomienia, a gdy wiatr z tamtej strony zawieje, można głośniejszych dosłyszeć krzyków; lecz przez większą część czasu głucho na ziemi i ciemno na niebie. Wtem zdało się Dańkowi, że jakiś szelest słyszy; przyłożył ucho do ziemi i wyraźnie przyspieszone rozpoznał kroki.

— Baczność, ojczel!—rzekł tylko i stary siekiere, młody swą kosę silniej w rękę ścisnęli. Pacierza jednego nie wyszło, gdy jakieś dwie postaci zaciemniały wśród krzaków.

— To są tylko uciekające kobiety—rzekł znowu Dańko—trzeba im dać pomoc jaką—i naprzeciw biegnących postąpił, ale jego zjawienie silniejszym strachem i tak już okropnie strwożone przejęło niewiasty. Jedna z nich bezsilnie na ziemię upadła, druga, klękawszy, obie wyciągnęła ręce.

— Nie bójcie się, to swój — poszepnął Dańko—chodźcie do nas, w potrzebie bronieć was będziemy, a ostrożnie, a cicho!

— Matka moja iść dalej nie może — z rozpaczą tłumionym głosem odrzekła klęcząca. Dańko w milczeniu podniósł z ziemi upadłą i wziął na ręce, jak dziecko małeńkie.

— Pójdź za mną—rzekł do drugiej.

— Nas ścigają, nas szukają, czy słyszycie? już blisko.

— Pójdź za mną, prędko, prędko—odpowiedział jej tylko, bo wistocie sam dosłyszał chrzęstu litewskiej zbroi.

— Moje dzieci, moje dzieci!—powtarzała niesiona kobieta—gdzie mój syn, gdzie moja Halinka?

— Córka jest z wami, syna nie widziałem — nad jej uchem schylony odpowiedział Dańko.

— Wzięto mi syna, dom spalono, mąż daleko, a znikąd opieki!

— Syn wróci, dom się odbuduje, opiekę znajdziecie przy poczciwych ludziach, spokojnie tylko i odwaznie z nami! Ojciez—rzekł, obranego dobiegłszy stanowiska — te kobiety są same i ścigane, brońmy ich, bo wrogi się zbliżają.

— Brońmy — Sęp powtórzył zcicha — jakbyśmy chcieli, żeby kto matki twojej i Magdeczki brocił.

— Zostawcie mnie tutaj — rzekła wtedy na ziemi złożona niewiasta—ja słaba, zawadzać wam będę; Halinkę tylko moję, moję córkę uprowadźcie z sobą.

— Niech będzie imię pańskie pochwalone. a toć ja dawnej pani mojej głos usłyszałem! — zawołał Piotr w najżywszem wzruszeniu.

— Kaszubską jestem, a wy kim? — zapytała go drżąca.

— Tym, który waszë córkę pobłogosławił, któremuście rękę podali w kościele...

— A ja tym—przerwał Dańko—który Bogu dziękować będzie. jeśli mu dobroć Jego pozwoli, kosztem własnego życia lub wolności, przed wszelkiem złem was obronić.

A łatwem było przyrzeczenia dotrzymanie, bo ledwo słów tych domówił. zaiskrzyły zpoza drzew rozpalone główne i przy dzikim ich blasku trzech silnych Litwinów odznaczyły się postaci.

— To ci sami, ci sami. matko, co nas szukają—z przerażeniem młoda wyjęła dziewczyna.

— Cicho, cicho — rzekł Sęp — przylegnijcie do ziemi jak kamienie, a gdy bójka zawre, pełzajcie węzłem przed siebie. — I żeby im czas potrzebny do schowania się zostawić, ojciec z synem pierwsi ku nadchodzącym poskoczyli nieprzyjaciółom.

Machnął Dańko żelaztłem i spadła jedna brodata głowa, rzucił toporem Piotr i ramię jedno bezsilnie obwisło; ale trzeci wróg oburącz ujął ciężki miecz żelazny i gdy go spuścił, kawał drewna tylko pozostał w dłoni Sępa, który siekierą straszemu ciosowi się zastawił. Przechodziło szczęście na stronę Litwina, twardy miecz, twarda zbroja przeciw gołej ręce starca i wątlej chłopskiej kosie, a dotego jeszcze był towarzysz, choć ranny, lecz wściekły, z żelazem u boku. Dańko rzucił się przed ojca i nim po drugi raz wznieiony miecz litewski opadł, on takie koło w powietrzu zaświsnął, że pewnie ostrze zbyt blisko musiało oczom najezdznika zaświecić, bo się cofnął o kilka kroków i schowany za drzewo, niby ku odwrotowi mieć się zaczął.

Sęp tymczasem trupowi miecz i całe uzbrojenie zabierał, a Dańko pochylił się nieco, nóż wyciągnął i choć cały zajęty jednym przeciwnikiem się zdawał, ku drugiemu i ku ojcu baczenie spod oka spozierał.

— Cha, zdrajco! — krzyknął wreszcie — masz tobie! — i cały nóż po rękojeść w boku rannego litwina utonął, bo właśnie gdy sam Dańko miał od czynionej przeciw sobie zasadzki się chronić, postrzegł, jak nad zgiętym ku ziemi Sępem ogromna maczuga w lewej ręce nieprzyjaciela się wzniosła, lecz tejże chwili coś go silnie trąciło, i nim dzielny chłopak zdołał nóż zupadającego na ziemię wyciągnąć, prawa strona piersi rozcieplila się gęstymi krwi kroplami. Dańko jęknął mimowolnie. Sępowi oczy tylko jak dwie iskry mignęły; gdyby nie noc, przez rozwarte usta można byłoby wszystkie ściśnięte zęby jego policzyć, z kawałem ręki odciął miecz poległego i szalony, zapamiętały, rzucił się ku temu, co mu jego Dańka, jego syna, zranił tak srodze. Starli się nawzajem, miecz o miecz zadźwie-

czał, pierś o pierś uderzyła i tak ze dwie minuty pasowali się równi mocą, równi wściekłością, a końca walki niktby przewidzieć nie mógł. Lecz nagle z przeciwnej strony jakiś odgłos przestraszu się rozległ.

— Ojczel!—zawołał orzeźwiony nim Dańko—bijcie! zabijcie! tam Litwini między nasze kobiety wpadli.

— Cha. to pomoc—wybełkotał spieniony przeciwnik i jak mógł najsilniej obiema rękoma ujął Sępa przez pól w pasie, by go o ziemię powalić. a Sęp rozszerzył ramiona, dał się w żelazne ścisnąć kręgi i upadł; lecz w upadku przygniótł własnym ciężarem splecione nieprzyjaciela palce, a z wolności swoich rąk korzystając, wydarł jedną strzałę Litwinowi i co mu tylko rozpacz siły zostawiła, pchnął ją przez usta aż w gardło zapaśnika. Litwin jęknął, czarną krwią splunął i legł na boku, jak przyjaciel uściskiem tuląc do siebie zmęczonego Sępa. Krzyki, płacze, wołania coraz głośniej, coraz bliżej słyhać było. Sęp wydarł się z objęć trupa i pokrzepiony odniesionem zwycięstwem, ku nowej podążył bitwie. Dańko już go tam uprzedził, świeżą ziemią, liśćmi, udartą z koszuli przewiązką zatamował krew, z którą mu mocy i życia ciągle ubywało. a ojciec zastał go już, gdy na porywającego Halinę śmiertelnym godził ciosem. Lecz teraz cała postać bójki się zmieniła. Litwinów było więcej, do sześciu lub siedmiu może, a oni, Sęp z Dańkiem. poprzednią osłabieni walką. i tylko jeszcze kilka kobiet z nimi; z jednakże kto to zgadnie, do czego w chwili niebezpieczeństwa kobieta w obronie ukochanych, kobieta dla ocalenia swych dzieci jest zdolną? Owa, przed chwilą tak słaba. tak wątła. tak drżąca pani Kaszubska, teraz o drzewo wsparta, jedną ręką przyciska do siebie Halinę, którą zarosły Litwin próżno wydrzeć jej się kusi, w drugiej płomienną trzymając głównię, takie nią szybkie zakreśla półkole, że zdala przysiadzby można, iż ją ognista jakaś tęcza przed napaścią broni. A Salomea? o, Salomea, to wytrwała, zahartowana w trudach i pracy wieśniaczka. Ramię o ramię z Magdeczką się wsparła i obie zastawiają się żelaznemi



widłami, a Bartuś, choć na drzewie siedzi, ma pełno kamieni w połach swojej sukmanki: od czasu do czasu ciśnie z nich którym i zawsze tak szczęśliwie, że trafi albo w to oko, albo w tę rękę, co na matki i siostry zgubę mierzyć chciały.

Jednak Litwini żwawo nacierają: jeden z nich na koniu, jakby przywódca, pewnoby więcej od wszystkich dokazywał, gdyby wśród tych zarosli wolniej rumakiem kierować można, lecz on, choć nawpół bezczynny, znakami i głosem kieruje swych towarzyszków obroty, kilka razy nawet łuk swój dociągał, ale zawsze niewidomą ręką ciśnięty kamień potężnie palce mu skrzesał. Więc też nie próbuje sam szczęścia, tylko przyczaił się w cichości, czasem tego, lub owego ze swoich przestrzeże, a dla siebie do działania lepszej pory czeka. Szczęk broni przyciągnął niejednego wroga: ale też usłyszany został i przez niejednego z takich, co jak Piotr Sęp. na obronę wybrali się ucieczkę, obustronnie więc przybyło walczących. Straszna to rzeź była, wśród nocy, wśród przekleństw! Kosy, topory, noże, widły odbijały się od żelaznych tarcz i mieczów; ale częściej jeszcze od kości lub głów nieprzyjacielskich. Napastnicy przygotowali się tylko do zbierania jeńców i łupów: tak długa potyczkawcale ich zamiarom nie sprzyjała. Świsnął z konia dowódca, w mgnieniu oka wszyscy na wszystkie rozpierschli się strony i znikli jako ómy nocne; lecz w pierwszym nieładzie podziwienia zamieszanie się wkradło i między zwyciężkich Lachów. Halina puściła rękę swej matki, czy chciała iść z podzięką do Sępa, czy ku ranemu Dańkowi, to jednak pewna, że przez chwilę sama jakoś została. Nagle z za drzewa pochwyciły ją dwie silne dłonie, nim krzyknąć mogła, zarzucono jej burkę na głowę i uczuła, że ziemi pod stopami jej brakło, że szybkim pędem koń ją daleko unosił.

— Zdrada! — krzyknął na drzewie siedzący Bartuś, który właśnie dlatego mógł wszystko lepiej uważać — zdrada, Litwin branke uwozi!

— Moją Halinę! — jęknęła Kaszubska, macierzyńskiem oświecona przecuciem, dopiero później spojrzawszy wokoło, widząc kogo braknie, mogła okropnej nabyć pewności.

Kilku wieśniaków rzuciło się w pogoń; Salomea próżno chciała Dańka zatrzymać: choć ranny i zmęczony, najpierwszych wkrótce prześcignął. Tentent kopyt końskich wiódł ich wśród ciemności niemyłną wskazówką, lecz nagle ustał, a gdy go znowu dosłyszeli, wyraźnie ku nim się zbliżał i zbliżał coraz bardziej, aż wreszcie między goniących wpadł dzielny rumak z rozwianą grzywą, cały zapieniony, tylko już na nim Litwina ani branki nie było. Smutnie wszyscy spojrzeli po sobie — nocą gonić zbiegłego niepodobna, można wpaść w jaką zasadzkę, można trafić na litewskie czaty — cóż było robić, powrót uradzili. Lecz Dańko smutnie wstrząsnął głową — nie, on bez Haliny przed panią Kaszubską nie stanie. Umówił się tylko ze swoimi o hasło jakie im da, gdy będzie możność i potrzeba ratunku, potem śmiało naprzód ruszył.

Biedny Sęp, biedna Salomea! czy go zobaczą kiedy? — Dańka w plon wzięli poganie.

---

## VI.

### N i e w o l a .

Właśnie też Litwini dosyć już prawie mieli zdobyczy, a ponieważ na zwiady wysłani donieśli im, że Polacy ciągną ze zbroją odsieczą, jak nagle wpadli, tak i uciekli prędko, pędząc przed sobą kupy wziętych jeńców i branek, po różnych szlakach, różnemi oddziałami, niby rozpierchłe a w ładzie, istnie jak mrówki, co wszystkie i zewsząd u jednego nakoniec zejdą się mrowiska. Mrowiskiem Litwinów było wznoszące się

naówczas Wilno. Zaśniło się ono Gedyminowi, najpierwszemu z książąt, żelaznym wilkiem na lesistem wzgórzu, powstało zaś kamieniem i cegłą czerwoną, z porady najpierwszego kapłana Krewe-Krewejty. Tam pod świątynią Peruna złożono łupy i spędzono niewolników. Książęta i kapłani, wajdelotami zowiący się, przewodniczyli rozdzieleniu grabieży. Co kosztowniejsze sprzęty poszły na ozdobę świątyń, co silniejsi jeńcy na daninę księciu, a co piękniejsze Łaszki na służebność dzikim swoim porywcom.

Dańko dostał się między tych, którzy z Prus i Polski napędzeni, w pocie czoła musieli codzien nowe wznosić mury i gmachy. Próżno i wczasie pochodu, i w miejscu stanąwszy, o Halinie Kaszubczance lub jej bracie przynajmniej od współ-jeńców dowiedzieć się starał szlachetny syn Sępa; jak z początku samego rozdzieliły się ich drogi, tak nadziei nawet niema, by się zbiegły kiedy. bo Litwa duża, nieprzebyta, nieprzejrzana — bo w niej puszcze takie ogromne, że sokół jednej w dwa dni nie przeleci... Wśród towarzyszków Dańka, niejeden jak on młodzieńcem z kraju rodzinnego wzięty, dziś osiwiałą potrzasał głową i nie zapłakał nawet, gdy mu nowo-przybyły o lepszym na kiedys wspomniał losie. Dańkowi serce w piersiach wysychało tęsknotą; jemu nie widzieć ojca, matki, siostry, brata i słomą pokrytej lepianki, i złotą pszenicą pokrytych zagonów swoich — to już lepiej oczu nie mieć. Gdyby chociaż stać się pociechą nieszczęśliwego paniątka, które z nim razem w ciężką poszło niewolę; gdyby wiedzieć, że się ją czasem słowem uspokoi, dłonią wyręczy, własną piersią w przygodzie osłoni — toby więcej odwagi do duszy wstąpiło — lecz tak samemu wśród obcych, biedny Dańko!... A przecież jest dla niego wielka tych wszystkich smutków osłoda. W składach sukmany uniósł on ogniwo z Kazimierzowego łańcucha, bo przy ubogim kmiotku nie szukali złota poganie. Kiedy przyszła chwila, że czuł jakgdyby mu krwi w sercu, a łez w oczu zabraknąć już miało, to się krył pilnie, dobywał zzanadrza tego kawałka kru-

szcu, i gdy mu jasną zaświeciło obrączką, on sobie wszystko przypominał, od ukąszenia Tatarą, aż po błogosławieństwo pani Kaszubinej — od anioła co na błoniu ulitował się kmiotkowi, aż po anioła, co w obrazie otwierał drzwi świętemu — i... i niewolnik znowu na anioła czekał. Dni po dniach przeminęły, zima do końca się zsunęła, Dańkowi przypadła raz jakaś pospieszna praca koło książęcego zamku—właśnie z roztopem śniegów zepsuła się ogromna psiarnia, szło więc o to, żeby wznieść nową z kamienia i cegły, przeciw słońcu wytrwałą, bo tam przecież nie ludzie, tylko co najpiękniejsze książęce psy mieszkać miały. Między dozorcami rozeszła się wieść o przybyć mającem poselstwie, o pysznych łowach, do których wszystko sposobią, dlatego też zapewne w dwójnasób pilną robotę, a robotnikom, choć wiatr mroźny, choć ziemia pstra jeszcze śniegu kawałami, nie kostnieją ręce, tylko aż krople potu występują na czoło.

Psiarnia nakoniec stanęła. Przyszedł łowczy i kazał w obecności swojej całą w niej psiarnię umieścić. Dańko został, żeby się przypatrzeć pięknym chartom, ogarom, wyżłom, jamnikom, brytanom. Uwiłajały się między psami małe pacholeta do posługi i żywienia, wielkie draby do zaprawiania i dozoru. Wkońcu wyszło jakieś małe, chude i wynędznione chłopię, z trudnością wielki kosz ze szczeniętami niosące.

— Och! mój Boże! toć to dawne paniątko nasze!—krzyknął mimowolnie Dańko całym głosem swych piersi.

Chudy chłopiec obejrzał się, zadrżał, zmieszał i kosz cały na ziemię upuścił. Kilkoro ślepych szczeniątek wypadło z niego, skamłąc boleśnie, a nawet jedno zraniło się o grudę i pokrwawiło trochę.

— Cha! na Peruna! — krzyknął łowczy— to Łaszę najpiękniejszy z całej psiarni rozbiło nam pomiot.

Jeden z dozorców na te słowa przystąpił i milcząco, ale groźnie spojrział w oczy winowajcy. Borysław, owo niegdyś tak dzikie, harde, niekarne dziecko, teraz pod tym wzrokiem bezwładnie opuścił ręce, bla-



dość okropna lice mu pokryła i schylił głowę, jakgdyby już w jarzmo dobrowolnie ją poddawał.

Tak wielka pokora nie wzruszyła dozorcę—przeliczył szybkim wzrokiem poszkodowane zwierzątka, odpiął swój pas skórzany, lecz nim wzniesiona do bicia ręka na obnażone prawie plecy nieszczęśliwego chłopca opadła, ktoś do kolan jego się rzucił.

— Ulitujcie się nad nim! — zawołał Dańko — wszak widzicie, że to jest wątłej siły, do pracy nienawykłe pacholę.

— A tobie co w te sprawy się mieszać? — groźnie ofuknął poganin i odepchnąwszy go zprzed siebie, tem silniejszy raz odmierzył. Borysław jęknął tylko, usunęła mu się noga i przyklęknął jednym kolaniem na ziemi — to go zgubiło właśnie, bo węzeł rzeźmienny, drugim poświstem wracając, trafił go w skroń tak silnie, że biednemu chłopcu świat cały w oczach pociemniał — nie krzyknął, nie jęknął, lecz westchnął jakos głęboko i padł na twarz bez czucia, bez ruchu, nieledwie że bez życia.

Litwin czy nie spostrzegł tego, czy z nawyknienia lekceważył sobie, jeszcze trzeci raz uderzył, ale to uderzenie przyjął już na własne barki poczciwy Dańko, który między zagniewanego dozorcę i Borysława się wcisnął.

— Dajcie mu pokój — krzyknął — on nie żyje, wyście go zabili!

Zmarszczył brwi Litwin i pochylił się nad ciałem małego jeńca, przez kilka chwil jak gdyby ucha nadstawiał, potem wziął głowę, w twarz popatrzył, w nozdrze dmuchnął.

— Nic mu nie będzie — rzekł, wzruszając ramionami — to śmieszny, śmieszny ten lachowski syn, żeby też ani ośmiu szczeniąt nie unieść, ani dwóch plag nie wytrzymać. Jeśli okupu nie przysłą za niego, niech już lepiej nie wstanie ztąd więcej.

— A jeśli ma wstać — odezwał się drugi, który był właśnie zwierzchnikiem Dańka — to niech go sobie

Kremata <sup>1)</sup> podejmuje i dogląda, nie ty, mój ptaszku, coś jeszcze zwykłej miary w robocie nie wypełnił.

— Dajcie mi teraz spoczynek, Ryslindzie—odpowiedział mu błagającym głosem—ja przecież nie mogę odstąpić tego chłopięcia, bo to same i nieszczęśliwe, bo to z mego kraju, z mego sioła, bo jego matka była mi kiedyś litościwą i dobrą.

— Co mi tam śpiewasz? — niechętnie odrzekł zwierzchnik kamiennego serca — nam trzeba jeszcze tamten kawał obmurowania na kilka mieczy krzyżackich przedłużyć, a na jeden litewski oszczep wznieść; czas krótki, a twoja ręka pilna — próżno się ociągasz, pójdź, pójdź z nami, Lachu.

— Nie, ja pani Kaszubiny syna nie odstąpię — z siłą i godnością niezwykłą Dańko przemówił, widząc zaś gniew iskrzący się w czarnych oczach Ryslinda — nie odstąpię! — powtórzył raz jeszcze — ale wam na Boga mego przysięgam, że wszystko, co mi do czynienia zostawicie, w nocy dzisiejszej wykończę, tylko darujcie mi obecną chwilę — przez pamięć na dzieci wasze, jeśli jesteście ojcem, przez miłość waszej matki, jeśli byliście dobrym synem. Przecież widzicie, że to dziecko — przecież wam powiadam, że ono matkę ma, co tam w kraju daleko smutnie płacze za niem.

Głos Dańka coraz więcej wzruszony był i drżący — znać nawet dzikie serce do głębi przeniknął, bo Ryslind ino coś głową pokiwał, ino coś mruknął, jakby przyzwolenie między zębami, a potem dał znak i wszyscy jeńcy robotnicy odeszli z nim ku stronie, gdzie dalsza czekała ich praca. Dańko sam prawie został z zemdlonym Borysławem, gdyż łowczy i czereda jego pierwszej jeszcze się oddalili, a kilku uwijających się posługaczy ani żadnego nie dawali na nich baczenia, ani też dać żadnej nie myśleli pomocy.

Komuby też wtedy nie było przyszło do serca uznanie tej dziwnej sprawiedliwości Bożej, która nie-

---

<sup>1)</sup> Bóstwo litewskie opiekujące się trzodą chlewną.

pojętym odwetem psów użyła na skarcenie tego, co psami niegdyś sam ludziom dokuczył? Ktoby się nad zbiegiem okoliczności nie zadumał, kto nie ucieszył? Dańko — on myślą i zajęciem ma tylko ratunek i orzeźwienie chorego — rozciera mu dłonie, skroń uzbieranym śniegiem chłodzi, u łona swego zdrewniałe ciało rozgrzewa, aż nareszcie dosłyszał lekkiego westchnienia: Borysław z trudnością rozwarł powieki, spojrzął na swego wybawcę, ale martwym, kołowatym wzrokiem, i znów przymknął oczy, jak gdyby go światło dzienne raziło. Dańko utulił go w zdjętą z siebie sukmanę, wziął na ręce, przycisnął do piersi, ale prócz tego macierzyńskiego prawie objęcia, gdzież innej szukać ochrony? Nędzne mieszkanie Dańka bardzo daleko; w psiarni, gdzie syn Kaszubskiego zwykle teraz przebywa, od wycia i hałasów niema cichego zakątka, niema szczególniejszego oka, coby go chętnie dojrzało, ręki, coby mu litośnie choć kubek wody podała. Dańko zwłaszcza nad tem przemyślał, żeby mógł w nocy nawet Borysława mieć blisko siebie, udał się więc z prośbą do jednego z przechodzących Litwinów, żeby mu dla chorego dziecka w swej chacie, jeśli ją ma blisko, na noc tylko miejsca kawałek wypożyczył — ale biedny Litwin, sam posługacz i bez schronienia, czepiał się zmiennym przypadkiem to murów książęcego zamku, to proggu litościwszego bojara, o ile mu co i kiedy wypadło; dobrą jednakże radą wsparł przynajmniej zakłopotanego Dańka.

— Jest tam — rzekł mu — niedaleko od nowego muru na wpół zapadła jama. w której kiedyś wajdeloci tutejsi przechowywali święte węże i ropuchy, dziś już pusta, bo przeniesiono wszystko w poblizę świątyni Peruna; mogę wam to zaręczyć. Przeszłego lata nieraz służyła mi za nocleg. a nigdy nic mnie w niej nie zbudziło...

— Ależ tam zimno, wilgotno...

— Cha! mój pieszczony Laszku, zawsze lepiej niż pod gołem niebem, zawsze suszej niż na śniegu i błocie — a ruszywszy ramionami, w swoje poszedł stronę.

Dańko sam nie wiedział, co czynić; Borysław skłonił mu głowę na piersi, oddychał słabo, wolno, a z całej jego postawy poznać można było, że nic nie wie, nic nie rozumie z tego, co się wkoło niego dzieje.

— Cha! już wolę do psiarni go zanieść — rzekł nakoniec głośno sam sobie Dańko.

Te wyrazy ocuciły prawie Kaszubczyka; podniósł się trochę, oczy mu aż zwiększały przerażeniem, a z ust padły przejęte słowa:

— Do psiarni... och! nie, nie... ludzie źli biją... psy złe kasaają... och! nie—i drżącemi rękami pochwycił odzież Dańka. jakgdyby chciał przyrość do niego.

Litość rzewna przejęła kmieca serce nad pańskim dziecięciem; utulał je, pocieszał najłagodniejszym głosem, najkliwszemi słowami.

— No dobrze, dobrze, ja was tam nie odniosę. moje paniątko, ja ciągle przy was zostanę; czy się nie boicie tej piwnicy, o której Litwin wspominał? To gdzieś w bliskości mojej roboty, będą do was przychodził.

Borysław głową tylko przyzwalający znak uczynił i znowu bez czucia, bez myśli, bez ruchu na ręku mu zawisł.

Dańko lekko złożył swój ciężar i poskoczył za odeszłym Litwinem, żeby od niego lepszej wiadomości o wskazanem miejscu zasięgnąć. Chętnie wyświadczył mu tę przysługę sam biedny, a więc skorszy do pomocy dla biednych człowiek. Nawet w przeniesieniu Borysława dołożył swej ręki, ale kiedy mu już pod sklepieniem ze mchu i zgniłych liści zrobili posłanie, kiedy go jak mogli najlepiej w Dańkową uwinęli sukmanę, Litwin jakoś niespokojnie w twarz chorego patrząc:

— Tu z nim źle będzie — rzekł półgłosem — już na niejednym podobny skutek widziałem; jeśli mu owa biała twarz mocnym pokraśnieje rumieńcem, niewielka zostanie nadzieja. Radziłbym ci, Lachu, jakich leków użyć.

— Zkądże mnie leki, towarzyszu miły, toć ja



nie znam ani ziół, ani słów żadnych, co uzdrowienia moc mają.

— Ale wśród nas są takie niewiasty, którym jedno i drugie nie obce; ja sam o takiej zasłyszałem.

— Wskażcież mi ją, dobry człowieku; natychmiast pobiegnę.

— Daleko ztąd, mój bratku, a jeszcze też z próznemi nie pokazuj się rękoma.

— Zkądże ja biedny jeniec na jaką zapłatę się wzmogę? — rzekł Dańko, załamując ręce.

— Kiedy który z nas tak położyć się musi — odpowiedział posługacz bardzo obojętnie — to drugi, jeśli ma nad nim zmiłowanie, podsuwa się pod bojarską komorę, albo z książęcej trzody co uniesie; Werszeda wszystko przyjmuje.

Dańkowi krew oburzeniem do twarzy się rzuciła.

— Nie, ja kraść nie chcę... pójdę... prosić będę, ona się przecież zlituje.

— A jak nie zlituje? — zapytał nawpół zdziwiony, nawpół szydzący poganin.

— To się zlituje Bóg nasz, Ojciec z nieba — cichszym, spokojnym głosem odpowiedział mu Dańko — ja przykazań Jego nie przełamie, kraść nie będę.

— Niechże twój Auschweites <sup>1)</sup> zlituje się odrazu, bo stara Werszeda nigdy jeszcze nad nikim nie pokazała miłosierdzia.

— Rozpowiedz mi tylko, gdzie znaleźć ją można — przerwał mu z niecierpliwością Dańko, i Litwin zaczął rozpowiadać, a rozpowiadał długo, bo Werszeda mieszkała daleko, za polem, przez kładkę, za rzeką wśród lasu — ścieżki kręte, drzewa stare, chata ledwo widna.

---

1) Bożek wszelkich leków.

## VII.

## P a m i ą t k a.

Borysław zasnął snem osłabienia. Litwin przyrzekł czuwać nad nim trochę, a Dańko wskazaną sobie drogą podążył. Zmrok już zapadał na polach, wśród lasu wszystko ciemnieć poczynąło, kiedy nakoniec znużony stanął przed chatą Werszedy; chata niska, ciemna i w tak dzikiem stawiona miejscu, jak gdyby umyślnie tam od ludzkiej pogoni zbiegła, tam od ludzkiego ukryła się wzroku. Mimowoli zadrżał Dańko, próg jej przestępując, odchylił drzwi cichuteczko i najpierw blask roznieconego ogniska zalsnił go niespodzianie; lecz gdy mógł już wśród tej jasności wszystkie rozróżnić przedmioty, niemniej wrażenia na jego duszy zrobiło i to, co ujrział przed sobą.

Tuż przy drzwiach stało kilka niekształtnych posążków. ściany pstrzyły się to rozpiętymi skórami dzikich zwierząt, to ozdobami różnobarwnych piór ptasich, to nawet połyskiem świecących owadów, które niby klejnoty gęsto wśród tego wszystkiego ponabijane były — lecz co przychodzącemu najpierw w oczy padało, to trzy potwory zaraz naprzeciw wejścia stawione: niedźwiedź kudłaty, rys z wyciągniętymi pazurami i dzik białe kły wyszczerzający. Dańko obejrzał się raz jeszcze. U wielkiego komina siedziała bardzo stara kobieta. ręki ziół leżały na jej kolanach, przy jej nogach, wszędzie dokoła... Ona jedne z nich w ogień rzucała, inne w wielkie do ognia przystawione naczynie, czasem też z pomiędzy liści uwiedłych wyciągnęła albo nieżywego nietoperza, albo głowę sowa, albo łapę wilczą, albo inne jeszcze dziwo. Opodal nieco za tą kobietą stała jakaś młoda dziewczyna; gdy Dańko pierwszy raz spojrział na nią, była zlekka nad ziemię schylona, koło spuszczonej ręki owijał się jej

w ciemne pierścienie duży wąż, święty zapewne mieszkania Giwojtos <sup>1)</sup>, a ona uśmiechem i cichą nutą piosenki przynęcać go się zdawała; obok zaraz leżało wrzeczono i prześlica z kądzielą, znać porzuconą niedawno.

Werszeda przenikliwem okiem mignęła na nowoprzybyłego, żadnem go jednak nie ośmielając powitania słowem; przez chwilę głuche panowało milczenie. ale drzwi rozwarłe same z siebie skrzypnęły. przymykając się za wpuszczonym gościem. Na to skrzypnięcie młoda dziewczyna podniosła głowę i spojrzała. Ze spojrzeniem krzyk tylko wydarł się z jej piersi; wstała drżąca i blada, wyciągnęła obie ręce, które wąż jakby symbolem więzienia w giętkie swych kręgów zaplątał ogniwa, chciała krok naprzód postąpić. lecz Dańko już był przy niej, on, poznany — poznał nawzajem Halinę.

Dopiero wtedy między nich. a tę pierwszą radości, pierwszą powitania się w obcej ziemi chwilę Werszeda cierpkie swoje rzuciła wyrazy:

— Jakiż to cię Kabalis <sup>2)</sup> przywiódł, lacki synu? Czego tu chcesz? już późno, wracaj swoją drogą, a bodajby ci ją wilki przestąpiły...

Dańkowi gniew starej Litwinki przypomniał całą okropność sprowadzającej go przyczyny; żal mu się, żal Haliny zrobiło, i na pytanie Werszedy młodej dziewczynie odpowiedział tylko:

— Wasz brat chory, bardzo chory, w prędkim ratunku nadzieja jedyna. Proście jej ze mną o pomoc, a nie trwożcie się zbytecznie, bo dla jeńców i dla sierot jest przecież jeszcze Opatrzność Boża.

Pomimo zastrzeżenia i dodanej otuchy, biedna Kaszubczanka zbladła więcej jeszcze, usta jej posiniały, spojrzała ku Werszedzie i rzekła:

— Czyście słyszeli? czy wiecie?

---

<sup>1)</sup> Litwini tak zwali pobożne, w domach przechowywane węże.

<sup>2)</sup> Złe duchy, do powszednich spraw się mieszające.

— Wiem, wiem, zrozumiałam wszystko — przerwała staruszka i umilkła znowu, jak gdyby to nic do niej nie należało.

— Ale mój brat chory — łkającym głosem, choć bez płaczu, odezwała się Halina — miejcie litość, poradzcie, wysłuchajcie.

Werszeda odwróciła się do Dańka i rzekła mu jak najobojętniej:

— Coś przyniósł?...

— Pytacie jeńca, niewolnika, co mógł wam przynieść, kobieto?—a toć ja przyniosłem wszystko, co mi ludzie zostawili—prośbę i łzę moją.

Rozśmiała się zapadłemi usty lekarka.

— Ocho! za takie dary, to ja nic nie kupię i nic nie sprzedam.

— Zlitujcie się, to mój brat!—powtarzała Halina.

— Już dosyć i z tobą mam biedy, co mi tam jeszcze twego brata sobie na kark sprowadzać. Gdyby nie syn mój... gdyby nie Giwojtos, ty wiesz najlepiej, coby cię spotkało.

Halina z rozpaczą załamała dłonie.

— Dańku, ja przynajmniej pójdę do niego, przypomnę sobie, jak to matka leczyła... powiedz tylko, co mu jest, ja pójdę.

— Nie pójdiesz—zimno rzuciła jej Litwinka.

— Ach! to jest nikczemnem okrucieństwem—zawołał uniesiony Dańko—dlatego że kto biedny, śmierć jego lekceważyć. dlatego że kto niewolnik, brata mu nie dać widzieć rodzonego!...

— Jaki ty mądry w języku—szyderczo przerwała Werszeda — a czemu to i w ręku tego rozumu nie było? Znam biedniejszych od ciebie, ptaszku. co jednak bez pomocy z tych progów nie wyszli...

Halina spojrzała ku Dańkowi.

— Co znaczą jej słowa? Może ona chce wystugi jakiej?—z niespokojnością rzekła.

— Nie, ona chce, żeby ubogi kradzieżą jej wynagrodził—smutnie odpowiedział Dańko.



Biedna dziewczyna pojęła, o co rzecz idzie, dwie łzy spływały na twarz, jednak stałym odezwała się głosem:

— To być nie może pójdę; z tobą, niech o reszcie Bóg radzi.

— Nie pójdiesz—znowu twarde jak kamień padło Werszedy słowo.

— A to czemu? lękacie się może, bym nie uciekła, nie zginęła wam w tych lasach przeklętych? Wszakże ja muszę wracać, ja wrócę, prędko nawet, wierzcie mi, prędko wrócę.

— Synowi przyrzekłam, że mu ciebie za żonę wychowam, na swoją córkę prawie, a jabym tak pod noc ciemną daleko córki nigdy nie puściła, więc i ty zostaniesz, moja Laszko.

Halina z usposobienia lękliwą i nieśmiałą była, jak jej matka, lecz też jak matka w stanowczych chwilach nabierała jakiejś niepojętej odwagi. Teraz, kiedy szło o życie brata, ona drobna, wątła, czternastoletnia dziewczeczka, nagle w silnej woli dziewczęcę urosła. Powoli rozwinęła ciągle do jej rąk przyczepionego węża i niby na zwykłe posłanie, między kudły wypchanego niedźwiedzia złożyła, dostała potem z zakomórka jakiejś przyodziewki i tak, gotowa na drogę, przy wejściu śmiało stanęła. Werszedzie zaiskrzyły się tylko oczy, kocim rzutem zerwała się z miejsca i pochwyciła jej ramię, jak w krogulcze szpony, w swoje chude, cienkie, a twardsze od żelaza palce: Halina krzyknęła, na jej krzyk odpowiedziało przeciągłe syknięcie i z końca izby przypełzły wąż domowy wspiął się na ogonie między Litwinką a jej biedną niewolnicą. Stara kobieta zatrzęsała się, jak spróchniała wierzba.

— On jej broni, on jej zawsze broni! — mruknęła sama do siebie—ale i on nie pomoże na ten raz, choćby jakie nieszczęście spaść miało.

Wczynie tej rozterki, Dańko stał naprzemian smutny lub gniewny, niespokojny lub oburzony; nagle myśl jakaś dziwną radością zaświeciła mu w obliczu—była to jak gdyby wielka radość i wielka boleść.

— Och! moja dobra panienko — rzekł, złożywszy niby do modlitwy ręce—toć ja mam czem płacić, tylko tak odrazu w głowie nie powstało, bo to pamiątka, zda się przyrosła do serca.

— Och! ja wiedziałam, że mnie każdy musi mieć czem zapłacić—odezwała się Werszeda — pokaż-no swoją pamiątkę!

Dańko wydobył złote ogniwo.

— Ach! to doprawdy złoto! — radośnie wykrzyknęła stara—daj, chłopcze, i mów tymczasem, na co jej brat chory?

Halina ze zdziwieniem patrzyła w oczy Dańka, słów jego ani uczynku wytłumaczyć sobie jeszcze nie mogła. On jej wzrokowi odpowiedział najpierw.

— To jest połowa zkrólewskiego upominku, kiedy wstąpił na chwilę do chaty wieśniaka, a zostawił w niej po sobie na cały wiek szczęścia.

— I wy dla Borysława pozbawiacie się tak drogiej wam rzeczy?—ze czcią prawie wymówiła Halina, której wtedy wszystko na pamięci stało. Dańko westchnął mimowolnie, lecz:

— Wasz brat bardzo chory — było jedyną jego odpowiedzią, potem do Litwinki zwróciwszy się, już tylko o szczegółach zaszłego zdarzenia wspominał. Nieraz przy jego powieści łza do oka wpłynęła, a krew z lica zbiegła Halinie. Werszeda słuchała bardzo spokojnie, prawie nieuważnie, obracając bez przestanku złociste kółko i świecąc niem pod wszystkie światła migotliwego na kominie płomienia. Gdy skończył, zabrała się nakoniec do pewnych przyborów, ułała z naczynia trochę wywarzonego soku, wyjęła jakiś kubek z tłustością, jakieś szmaty, i znak dała do wyjścia. Halina bez pytania szła za nią; gdy próg przestępowała, znowu się dało słyszeć syknięcie i Giwojtos wzdłuż przed nią się rozciągnął. Pogłaskała go łagodnie Halina i usunęła zlekka, lecz wąż zatoczył kołem i wrócił na miejsce, jak gdyby chciał koniecznie od wyjścia zastąpić.

— Co to jest?—spytała niespokojnie Litwinka.

— On mnie żegna i żałuje—odpowiedziała Halina, a pogłaskawszy raz jeszcze, przeskoczyła zręcznie na drugą stronę, drzwi przywarła i rozstała się z najlepszym swoim, między obcymi ludźmi, przyjacielem... z płazem.

Przez drogę Dańko musiał raz jeszcze swoje opowiadanie powtórzyć Halinie, lecz je zaczął od chwili jej porwania i przydał do niego smutną osnowę wszystkich dni długiej tęsknoty.

— Teraz nam lepiej będzie—rzekł wkońcu—bo ja znalazłem was przecie, a wy znaleźliście, panienko, chętną rękę i wierne w dawnym kmiotku serce; panicz wyzdrowieje... kto wie? może kiedyś i do kraju wrócimy. Och! mnie z niejednej biedy Opatrzność wydzwignęła, niejednego anioła miałem objawienie...

— Dlatego też im więcej rozważam, jakie dla mego brata zrobiłeś poświęcenie, dobry Dańku, tem większą mi wiarą w duszy, że Bóg musi mieć dla takich czynów i tu na ziemi odpłatę.

— Ja mam ją, bo ja taki szczęśliwy, gdy wspomnę, że się wam na coś przydać mogłem, choć biedny. Wtedy, w kościele, panienka pamięta? zdawało mi się, że nigdy do tego nie przyjdzie.—I zaczęli dawne przywodzić wspomnienia, aż się też Dańko spytał, co od czasu zniknięcia i ona robiła.

— Ten sam Litwin, który mnie porwał— rzekła w ojczystym języku swoim, więc pewna, iż Werszeda niewiele co z jej mowy zrozumie—ten sam Litwin jest synem tej starej i prosto do niej mnie przywiózł, w głąb lasu, jako widzisz, w dom dziki i przeklęty, jako sam poznałeś. Co za wrażenie zrobiły na mnie udane potwory, łatwo zgadnąć można, a ta Werszeda, która ciągle czary odprawia, a te ściany osobliwe... jednak ze wszystkiego do dwóch istot największy wstręt czułam: najpierw do Litwina, co mnie wziął w niewolę—zdawał się tu już u siebie dosyć łagodny i dobry, a jednak za każdy raz, co spojrzałam na niego, wracało mi uczucie tej chwili, kiedy bezbronną zniemacka porywał, kiedy mi za matką i za moimi w przytłumionym

jęku serce się rozdarło; bladłam jak trup. Litwin się śmiał, aż nakoniec gdzieś na ruską pojechał wyprawę i tylko odjeżdżając zlecił swej matce, żeby mnie na żonę jego przez ten czas dobrze chowała, a mnie koralami i pięknych nowogrodzkich jedwabów przywieźć obiecał—szczęściem, nie wrócił dotąd. Po Litwinie najprzykrzejszym dla mnie był ów Giwojtos, z którym dzisiaj mogłeś wielkiej mojej zażyłości dostrzedz. Kiedy pierwszy raz usnęłam pod dachem mojego wroga, splakanej i zmęczonej Bóg dał na pociechę stron rodzinnych widzenie. Zdawało mi się, że w jawurskim zamku z podróży matka mnie wita, zarzuciła jedno ramię na szyję moją, ale to ramię było tak zimne, wilgotne, że krzyknęłam i przebudziłam się. Jawurski zamek, dobra matka, wszelkie pociechy z tem przebudzeniem zniknęły, tylko ów uścisk zimny pozostał. Czułam go, jak w martwy pierścień gardło mi objał, i daremnie oczy przecierałam, daremnie nawet z postanienia uciekałam, on ciągle był ze mną. Krzyczeć nie mogłam, ale w ostatniej trwodze, cudem prawie na drzwi komory trafiwszy, wpadłam do izby, gdzie, jakoś widział, Werszeda swoje leki gotuje. Dniem i nocą, latem i zimą w niej ognisko zawsze rozniecone. Przy świetle poznałam dopiero, że tym uściskiem, co go aż tam z sobą przyniosłam, owinął mnie czarny, duży wąż; nie wiem, co potem stało się ze mną, tylko pamiętam, że mi wszystko pociemniało w oczach, a kiedy znów się rozjaśniać zaczęło, leżałam na ławie, stara Litwinka jakies mi ziela tęgie przy skroniach trzymała, jej syn stał u komina i ztamtąd baczenie się wszystkiemu przypatrywał. Werszeda, spostrzegłszy nareszcie, że już zupełnie do siebie przysłam, zaczęła mnie uspokajać; a jej głos, nie wiem, czy po tak wielkim strachu mi się wydał, czy też istotnie był daleko łagodniejszy, niż od pierwszego słowa powitania do ciemnej nocy słyszałam go w dniu tym nieszczęśliwym.

— Czemu się ty przelekłaś?—mówiła do mnie.— Czyż wy, Laszki, nie słyszałyście nigdy, że u nas w domostwach święte chowamy węże? One się nami opieku-



ją, szczęście niosą w zagrodę, od wpływu nieprzyjaciół i złych duchów strzegą. Ty właśnie dziś najspokojniejszym snem zasnąć możesz, kiedy Giwojtos na piersiach ci spoczął. Znać milem twoje było mu przybycie i dla nas wszystkich jego dotknięciem poświęconą zostałaś. Idź, wróc do łóżka, pokój z tobą, Laszko mała.

Z jej mowy najlepiej zrozumiałam, że mogę wrócić do komory, i wróciłam co prędzej, bo Werszeda, stojąc przy mnie, trzymała właśnie na ręku ów gad obrzydliwy, całego przerażenia jedyną przyczynę. Zostawiłam ich więc razem, a drzwi, czem się dało z mojej strony, tem założyłam, by sobie tak nieznośnych oszczędzić odwiedzin: lecz mój sen, mój piękny sen uciekł niepowrotnie—budziłam się co chwila, zrywałam jak w gorączce, bo ciągle mi się zdawało, że czuję na piersiach i na szyi zimne płazu dotknięcie. Aż też i ranek przyszedł; wstałam, ciesząc się nieledwie tym początkiem dnia, co jednak miał być także dniem niewoli! Wychodzę—przed progiem ten wąż leży; zbierało mi się na krzyk przeraźliwy, ale sama przed sobą zawstydziłam się takiej bojaźni; „te Litwiny z Laszki śmiać się będą,“ pomyślałam w duchu; jeszcze tak od pierwszego razu, w nocy i nieświadomej, to ujdzie, lecz teraz lękać się znowu, gdy oni wszyscy na to są spokojni, lękać przy świetle słońca, przy namyśle rozumu, nie, nietrzeba—postanowiłam sobie, i całą zebrawszy odwagę, przeszłam, nawet dość wolno, koło poczwary. Tymczasem Werszeda zastawiła śniadanie, mleko na misce, krupy, chleb; gdym się do jedzenia wzięła, stara niby lekko, a jednak dość gniewnie mnie usunęła nabok i przez zęby dziwne wydała świsnięcie. Świsnięciu odpowiedziało zwinne przyczółganie się węża, który aż na stół zapełznął i prosto w miskę z nabiąłem do połowy głowę zanurzył. Pił, ile sam chciałem tylko, dopiero po jego odejściu Litwinka znak dała, że na mnie kolej użycia pokarmu. Byłabym wolała głodem skonać odrazu, niż tak zabrzydzonej dotknąć się strawy, a jednak cokolwiek przez dzień cały podano, wszystkiego najpierwej Giwojtos musiał skosztować.

Trzy dni chodziłam czcza zupełnie, bo nic pożywnego w usta nie wzięłam; syn i matka śmieli się ze mnie, aż ten pierwszy dnia czwartego na łowy pojechał. Zostałam sama ze starą. Ta stara dotychczas mnie nienawidzi, ani pojąć mogę dlaczego, lecz wtedy jeszcze gorzej było: wyznaczyła mi tak wiele do zmotowania i uprzedzenia, że przy mojem osłabieniu nie wydażyłam z robotą; kiedy chwila jej odbioru nadeszła, serce mi biło ze strachu, jednak w litości tej kobiety miałam jakąś nadzieję; ona wreszcie lekarka, powinna wiedzieć sama, że mi sił nie staje. Ale znać biada temu, co od Werszedy zmiłowania czeka! Kiedy przekonała się, ile w wyznaczonej robocie zaległam, straszna złość wstąpiła w jej serce: zaczęła mnie lżyć srodze, nawet rękę podniosła do bicia, gdy nagle wąż świsnął, do pół wzniesiony przed nią stanął i całe żądło, jakby ku mojej obronie, pokazał. Na ten widok Werszeda zadrzała, spuściła rękę i tylko sama do siebie szepnęła to, co dziś także słyszałeś: „On jej broni! on jej broni!“ Wtedy pojęłam dopiero całe znaczenie w pierwszej nocy usłyszanych wyrazów. Zabobonna Litwinka w tych dwóch zdarzeniach widziała jakąś szczególną swego bóstwa opiekę i bała się mnie pokrzywdzić wyraźnie. Ja zaś cichą modlitwą tylko do naszego Boga się wzniosłam, gdyż Jego to wszechmocy przysądziłam ów cud niepojęty, który z okropnego gadu wyciągnął właśnie dla mnie na pociechę i wsparcie. Przyszedł mi na myśl sen mój przerwany—kto wie, czy mi Opatrzność tym sposobem wskazać nie chciała, że w miejsce macierzyńskiego uścisku, Ona wśród złych ludzi dobre przynajmniej zwierzę mi zsyła, abym o Jej opiece nie zwątpiła nigdy. Pod wpływem takiego wrażenia, z mniejszym wstrętem zaczęłam na Giwojtosą patrzeć, i to prawda, że on wyraźnie upodobał mnie sobie. Ile razy Werszeda głośniej krzyknie, ile razy gniewaćby się chciała, on tuż przy mnie, nawet za chatą jako pies mnie się trzyma, a ja mu wzajemnie dogadzać umiem; spostrzegłam, że bardzo śpiew lubi; czasem, jak zaczęę śpiewać, jeszcze nasze śliczne krajowe piosenki, to

waż słuca, słuca, a mnie lzy płyną. płyną ku ojczy-  
stej stronie, i nam zawsze obojgu najlepiej być z sobą.

Domawiając tych słów, Halina musiała oczy obe-  
trzeć, bo tak łez były pełne, jak przy śpiewie tych pio-  
snek, o których wspominała.

## VIII.

### P o c i e c h a.

Kiedy nakoniec Halina, Werszeda i Dańko przy-  
szli do piwnicy, w której złożony był Borysław. już  
Litwina nie zastali przy nim. Chłopiec sam leżał,  
oczy miał rozwarte, i o ile widzieć można było przy  
wniesionem przez Werszedę światełku, spieczone usta,  
rozpalone policzki. Z przytłumionem łkaniem rzuciła  
się ku niemu siostra.

— Borysiu, czy ty mnie poznajesz? — pytała go  
z cicha — bracie, to ja. Halinka, to ja, siostra twoja.

Chory powtórzył, jakby echem: „Siostra,“ ale nie  
poznał nikogo: biedna dziewczynka załamała z rozpa-  
czą ręce i rzekła, jakby na próbę ostatnią:

— A dom nasz, ojca, matkę, czy pamiętasz, Bo-  
rysiu?

— Matka nie kazała bić chłopca — poszepnął z tru-  
dnością, i na wszelkie słowa, któremi się do niego od-  
zywała, już nie dał innej odpowiedzi.

Werszeda zgromiła Halinę, że jej zawadza tylko,  
odepchnęła ją nabok, a sama do chorego przystąpiła.  
Obejrzała go, jak rzecz martwą, tłuszczem natarła mu  
głowę i całe boki, wlała do ust przyniesionego wywa-  
ru, potem resztę, co zostało w kubkach, oddała Dań-  
kowi.

— Używaj tego, jak ci pokazałam — rzekła; — jeśli  
dzieciak w nocy od zimna nie zmarznie, to mu jutro le-  
piej być powinno, a ty nie już nie pomożesz — przydała,

zwracając się do Haliny—widziałas go, to dosyć, teraz dalej zemną.

— Ja tak brata nie mogę opuścić — błagalnym głosem odpowiedziała jej biedna.— Jesliście kiedy w życiu cokolwiek kochali, zlitujcie się, zostawcie mnie, ja wrócę, wrócę niezawodnie!

— Ocho! piękna Laszko, tu nie masz świętego węża, coby cię bronił — z okropnie radosnym śmiechem zawołała stara—dalej, dalej ze mną!

— Słuchajcie, kobieto — odezwał się Dańko — nczyńcie zadość prośbie waszej branki, a jakiej tylko żądać będziecie wysługi, do takiej jeszcze ja sobie czas znajdę i będę bardziej waszym, niż książęcym niewolnikiem.

— Gdybyś ty mi dał trzy razy więcej złota, niż dałeś, jabym nie przystała na to — odrzekła szyderczo—a trzeba ci wiedzieć, że ja wolę złoto, niż człowieka.

— Więc już nie żądam, byście mnie tu zostawili—zawołała Kaszubczanka do ostateczności przywiedziona, bo dawno znającej Werszedę odrazu w myśli stanęła cała przewaga jej położenia, całe niepodobieństwo nadziei najmniejszej. — Nie żądam niczego, pójdę z wami, tylko mi dajcie jeszcze pieśń pobożną do mego Boga zaśpiewać, niech on wasze pogańskie leki oczyści i pobłogosławi.

— Myślisz może, słowiczku, że tu sobie Giwojto-sa na obronę przywabisz? Cha! śpiewaj, psuj gardło, zobaczymy, co na tem zyskasz. — I tak Werszeda przystała dość obojętnie, więcej z szydzącą myślą, na odprawienie chrześcijańskiej modlitwy, bo już wówczas na Litwie partej z trzech stron od Rusi, Polski i zakonu, światłością lepszej wiary nieznacznie słabiało pogaństwo. Zabobony, przesady jeszcze silnie wszystkich głów się trzymały, ale cześć bogów z wielu serc odpadła i temu lub tamtemu się kłaniać niedziwnem już było w zaniemeńskich krainach. Sam Gedymin potęgą narodów potęgę ich Boga mierząc, zaczął już przemyślać, czyby nie lepiej było w takich jak Po-



lacy kościołach. albo w takich jak Rusini cerkwiach się modlić? Lecz złość mieczowego zakonu zniechęciła go do świętego wiary naszej znaku; on, Litwin zawzięty, woli ze swoim Perunem walczyć, choćby i zginąć nawet, niż pod godłem krzyża, co na płaszczu niemieckim czernieje, światu całemu panować. Ile sił jeszcze było w litewskim pogaństwie, tyle ich z głębi narodu wywołał i stawiał murem obronnym; powiodło się księciu, bo Krzyżacy zadrżeli. Polak rękę do zgody wyciągnął; wielkie miasta ruskie jego lenników za kniaziów pobrały—lecz było to już ostatnie wysilenie. Litwa się wzmogła, wiara litewska osłabła. a że naród bez wiary jako dach bez podwalin, to też nowej było trzeba religii—i przyniosła ją piękna, biała niewieścia ręka... ale później... później... wy wiecie kiedy.

Teraz przy chorym Borysławie stoi Werszeda, stara litewska guślarka, i bez oburzenia na chrześcijańskie modły przyzwala, bo sama pewną nie jest, czy Auschweites. czy Chrystus więcej siły doda jej lekom.

Dańko smutnie patrzył na ziemiankę swoją, niegdys ukochaną, wypieszczoną córkę tkliwej matki, dziś biedną branke, pod rozkazy nienawistnej, bez serca kobiety oddaną.

— Czyż to zawsze tak będzie?—rzekł z boleścią sam do siebie, niby kończąc tem gorzkim zapytaniem długi szereg w głębi ducha wzniesionych skarg i żaleń.

— Zawsze! — z przygnębieniem rozpaczy odpowiedziała Halina—zawsze, chociażby okup przyszedł; oni nie przyjmą okupu.

— Ach, dobra panienko, nam jeszcze modlitwa została! — dziwnem ożywiony natchnieniem zawołał Dańko.

— Więc módlmy się. módlmy, o zdrowie dla niego, o pociechę dla nas — rzekła pełna wiary, choć pełna zwątpienia.

I ukłękli oboje i modlili się niebu jedną prośbą, jednemiż słowy. jako prawdziwe po duszy i nieszczęściu rodzeństwo. Przy końcu pacierza, młoda dziew-

czyna zanuciła owę cudną pieśń „Boga-Rodzica.“ Głos jej dźwięczny, czysty jak głos anioła, odbijał się od ciemnych sklepień i rzewnem echem aż daleko między bezlistne ulatał drzewa. Stara Werszeda słuchała go z lubą jakąś tęsknotą, z mimowolnem zamysleniem, i nie przerywała śpiewu niewolnicy.

Nagle u wejścia zaczerniła się postać kobiety — zrazu niedostrzeżona, cała naprzód podana, w milczeniu dźwięk po dźwięku wyteżonem chwytiała uchem, jakgdyby wszystkie brzmienia do pamięci i do serca zebrać pragnęła. Gdy się jej oczy z oczami guślarki spotkały, nakazującym tylko wzrokiem i przyciśniętym do ust palcem zapytanie i okrzyk w jej piersiach wstrzymała. Dopiero z ostatniem słowem Haliny, z pierwszą cichości chwilą, zupełnie przeszła pod niskim zrębem piwnicy i przy zdziwionych niespodzianie stanęła — a była to piękna obliczem, jaśniejąca przepychem bogatej szaty dziewica.

— Cóż ty jesteś za istota? — rzekła do klęczącej jeszcze Laszki — ty, co nieznanemi słowy zdajesz się witać z ciemną Breksztą <sup>1)</sup>, jako z siostrą twą? Możeś ty Austcheją <sup>2)</sup>, co uczy drobne ptaszki, wychowawce swoje, żeby piękniej coraz na chwałę bogów i na rozweselenie serc ludzkich śpiewały? Może do mnie umyślnie pieśń swoją przysłałaś, bo ci nietajnem, że cierpię i płaczę...

Halinie na widok nieznanomej pierwszą myślą było wezwanie pomocy, na jej słowa pierwszym uczuciem — nadzieja.

— Pani, pani! — zawołała ciągle na klęczkach, ciągle złożone trzymając ręce — ja nie wiem o co pytasz... ja branka, ja nieszczęśliwa! Jeśli masz litość w sercu, a władzę jaką w ręku swych, weź nas w opiekę, żeby cię kiedyś ojcowie i matki nasze błogosławili!

---

<sup>1)</sup> Brekszta, bóstwo cieniów nocnych.

<sup>2)</sup> Austcheja, opiekująca się ptaszkami.

— Któż wy jesteście? cóż ty więc śpiewałaś? — pytała jeszcze dziewczica.

— My jeńcy z polskiej ziemi wzięci; ja modlitwę do Boga chrześcian śpiewałam.

— Polska ziemia! Bóg chrześcian! — powtórzyła dziewczica. i czy dziwnym odblaskiem padło na nią światło trzymanego przez Werszedę kagańca, czy te wyrazy tak wielkie na niej uczyniły wrażenie, ale zdało się, że pod spojrzeniem zmieniają się jej rysy i czoło chmurą zachodzi. — To widocznem jest przeznaczeniem—mówiła dalej, a słowa przerywane, ucięte, jak-gdyby jej mimowolnie z myśli uciekały.— Gdzie stąpię, o cobądź wróżby zapytam, wszystko woła — Polska ziemia! Bóg chrześcian! — więc trzeba Litwę porzucić!

Halina niespokojnie patrzyła w oblicze mówiącej; z tego co słyszała próżno siliła się na wywiedzenie jakiej nowej nadziei, aż piękna Litwinka sama przypomniała sobie, że to głos wołający litości rzucił jej pełnemi dla niej znaczenia wyrazami.

— Nie zawiodłaś się, wdzięczna śpiewaczko — rzekła do Haliny — mam w ręku możność, a w sercu chęć szczerą ku wybawieniu cię ze wszelkiej złej doli, powiedz mi tylko, czego żądasz odemnie.

— Tego, czego jej nikt dać nie może—odezwiała się Werszeda i wsparła na ramieniu Kaszubczanki dłoń swoją tak silnie, że biedna dziewczyna ugięła się prawie ku ziemi pod jej naciśnięciem.—To mego syna branka; on z wojny nie przywiózł ani pańskich jedwabów, ani kościelnych sreber, on ją tylko przywiózł sobie i nikt mu jej nie wydrze teraz.

— Teraz odbierze mu ją wielki kniaź Gedymin—spokojnie lecz dumnie odparła nieznanajoma — bo teraz córka jego Aldona <sup>1)</sup> nie da już dłużej czekać posłom

---

<sup>1)</sup> Aldona, ze chrztu Anna Gedyminówna, jako świadczą kroniki, namiętnie muzykę lubiła i w Polsce nawet musiała mieć wkoło siebie lirników i śpiewaków, co się wielu wtedy jeszcze za-bytkiem pogaństwa zdawało.

lackiego króla i na prośby ich przyzwalającą poniesie odpowiedź. A jutro—ze smętnym uśmiechem ku Dańkowi i Halinie się zwróciła — jutro przez całą Litwę radosny pójdzie okrzyk. że jeńcy w Polsce zabrani wiano młodej królewiczowej opłaca.

— Boże! Boże! — zawołał Dańko— Boże, daj mi się nie omylić, co znaczą te słowa.

— Wysłuchał cię Bóg twój, chrześcianinie, one znaczą. że będziesz wolnym!...—Dańkowi przypomniał się anioł z jego przeszłości i anioł co w obrazie Piotra więzienie otwierał.

Księżniczka wzięła w opieką Borysława. Halinę i Dańka. Borysław przy wygodach odzyskał siły i zdrowie—Halina, długie godziny w komnatach Aldony spędzając, pieśnią i łzą słodziła jej rozstania tęsknotę. Dańko opowiedział wszystkie życia swojego zdarzenia, a młoda córka Gedymina zaufała dobrej przyszłości i odkupiła u Werszedy złote z Kazimierzowego łańcucha ogniwo, na pierwszą świętej miłości pamiątkę. Wrócili wszyscy nakoniec do polskiej ziemi z piękną królewicza oblubienicą. Był to dzień jasny w życiu Dańka, kiedy on, w niewoli obrońca, w trudnej drodze opiekun. przywiódł do Kaszubskiego zamku tak dawno stracone. tak ciągle opłakiwane dzieci. Pani Kaszubska, ledwo podobna do siebie, przyjęła ich łzami rzewnymi, jakgdyby wszelkiej innej zapomniała mowy, uściskiem namiętnym. jak gdyby lękała się jeszcze, czy jej znowu ich nie wydrą.

Sam pan Kaszubski się wzruszył. a gdy wszystko potem od syna i córki usłyszał:

— Powiedz nam, czego żądasz?—ze słodyczą prawie rzekł do kmiotka Dańka; — poświęciłeś swą wolność dla ocalenia Haliny, uratowałeś mego Borysława—powiedz, co ci dać możemy? Najpiękniejsze z gruntów naszych pole, najdzielniejszego ze stajni mojej rumaka. najkosztowniejszy ze skarbcza mego klejnot — bierz wszystko, pocziwy Dańku.

— Ja chcę tylko, żeby wasza ręka. dobra pani, tak mnie przeżegnała. jak wtedy błogosławieństwem—



i schylił się Dańko przed Kaszubiną, a ona szczęśliwa, drżąca, z okiem ku niebu wzniesionem, z sercem wdzięcznością przejętem, znacząc czoło i barki młodzieńcze:

— Ja ci błogosławię — rzekła; — byłeś szlachetnym, wspaniałym. dobre za złe oddawałeś, szczęściem za niedolę płaciłeś — ja, matka, błogosławię tobie za dzieci moje. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen.

I nie wziął Dańko innej za czyny swoje z pysznego zamku nagrody, ale nagroda prawdziwa czekała go w chacie rodzicielskiej i w najchlubniejszym własnego sumienia świadectwie.

---

# TRZY PIEŚNI GĘSLARZA.

## PIERWSZA PIEŚŃ.

Chcecie mieć powieść o córach Łady?—  
Czy wy myślicie, że gęslarz stary  
Dawnej młodości przypomni czary,  
Dawnemi będzie opiewał słowy  
Ślicznego ciała powabne składy,  
I włosów miękkich jasne pierścienie  
I wielkich oczu słodkie spojrzenie.  
I ust różanych dźwięk mowy?  
Czy wy myślicie, że ja, przechodzień  
Z was tu najstarszy po ziemi,  
Ja, który czuję pod stopy memi  
Jak gruntu braknie mi codzien —  
Ja, co niedługo świat ten porzucę,  
Światem i sobą znużony—  
Czy wy myślicie, że ja zanucę  
Pieśń, którą dawniej nuciłem,  
Kiedy jak zorze wiosny poranka  
Swieciła w duszy jedna kochanka;  
Kiedy z ust owej dziewczycy,  
Kochanki, oblubienicy,  
Oblubienicy i żony  
Pierwszą, najczystszą roskosz ja piłem?

Och! nie — ja tego nie będę nucił,  
Bo jak mnie wszystkie szczęścia rzuciły  
Nad brzegiem smutnej mogiły.

Tak jam je wszystkie porzucił! —  
Widziałem starość wielu piękności,  
Widziałem zmianę wielu miłości  
I liść opadły z niejednej róży.

Już mnie nie zwiodą dawne nadzieje,  
Raz tylko w życiu człowiek szaleje;  
A chociaż szal ten błogo jaśnieje

W najdalsze życie człowieka,  
Ja przecież piękność mijam zdaleka  
I w życia mego długiej podróży,  
Patrzę z litości na dawne ślady,  
Gdzie to mnie one zawiodły,

Liczę pamięcią cierni jak wiele  
W tę pierś wędrowca ubodły.

I wam już dzisiaj, wam, przyjaciele,  
Nie będę nucił o córach Łady! —

Ale wy chcecie o nich powieści —

W młodzieńców i dziewic tłumie,  
Niechęci starca nikt nie rozumie,  
Niewiara śmiechem szeleści.

Och! bo wy tylko potoście przyszli,

Żebym ja mej gęśli strony,

Na waszych chęci, na waszych myśli

Naciągnął brzmienie, i żeby potem,

Kiedy piosenka pochlebi duszy,

Kiedy wypowie, kiedy poruszy

Wszystkich serc waszych dźwięki i tony,

Kiedy nie moją, lecz waszą będzie,

Gęslarza w pierwszym posadzić rzędzie,

Okryć poklaskiem, zasypać złotem...

Ale ja nie chcę złota, poklasku.

Jak gęśl jest moją, tak i pieśń moją!

Chciwość lub próżność głos piewców głośzy,

Lecz ci co nie chcą podłego blasku

I czczego dymu — co z własnej duszy,

Dla własnej duszy śpiewać umieją  
Nutą wieczności, prawdy nadzieją,  
    Ci o was ludzie nie stoją!  
Och! jak gęśl moją, tak i pieśń moją!  
Ja kiedy śpiewam, śpiewam dla siebie,  
Albo z przeszłością toczę rozmowy;  
Nucę o bogach, o jasnym niebie,  
Ze sławy przodków układam dzieje,  
A przyszłość do mnie wdzięcznie się śmieje,  
    Bo ja przyszłości początek,  
Bo ja na dalszy powieści wątek  
    Dam najpiękniejszej osnowy.  
Och! lud dzisiejszy nigdy nie pojmie  
Mojego hymnu, mojej powieści;  
Śpiew starca zawsze smuci lub nudzi,  
Ludowi trzeba śpiewać o wojnie  
I o piękności, co oczy pieści;  
    Ja nie chcę śpiewać dla ludzi!  
Przedemną niebo — zamną mogiła —  
Co wam żyjącym do mego pienia?  
    Coście wy w grobie złożyli?  
Co wam ubiegło w dawne wspomnienia?  
Coście w nadziejach niebu rzucili?  
Och! nie — wam przeszłość nigdy się nie śniła,  
    Wam przyszłość jeszcze się nie śni.  
Idźcie — nie dla was układam pieśni!  
    Gdybym ja mej gęśli sztuką  
Ozwał się do was wieszczbą i nauką,  
Którą mi dają i zmarli i bogi,  
    To pewnoby wasze czoła  
    Pobladły z trwogi;  
    Lub na gęślarza pienie,  
    Szemranoby dokcła,  
    Że śpiące budzi sumienie.  
dźcie więc sobie, niech żaden nie słuca:  
    Gęślarz najlepiej śpiewa.  
    Gdy się duch jego odzywa  
Tylko do nieskończoności ducha!

---



## DRUGA PIEŚŃ.

Kniaziu mój <sup>1)</sup> dumny! kniaziu mój groźny!  
Naprawdę gniewem zbladły twe lica,  
Naprawdę ogniem błysła źrenica,  
A brwi szerokie, w skrzydła sokoła  
Po zmarszczkach twego zbiegły się czoła;  
A uśmiech dziki, szyderczy, mroźny,  
Jak mróz, co ścina lody zimowe,  
W zsiniałych ustach ściał mowę.  
Naprawdę, kniaziu! Och! gęślarz stary,  
Jak stary łabędź, co go wysoko  
Nie dojdzie strzała, nie dojrzy oko,  
Nie znęca siędel złoconych dary;  
Jak stary łabędź, który bez trwogi  
Ostatnim lotem ziemię porzucił,  
Ostatnim hymnem bogom zanucił,  
Na szlakach nieba — ostatniej drogi,  
I ciebie już się, kniaziu, nie złęknie.  
Kniaziu mój pyszny! krogulcze młody!  
Choćbyś chciał nawet krzywemi szpony  
Z głębi mej piersi wyszarpać tony,  
Dla twej zabawy lub chwały —  
Och! nie, na siwy włos mojej brody,  
Och! na gęśl moją — niech i gęśl pęknie,  
Nim się w niej jedna struna poruszy  
Odmiennym dźwiękiem, odmiennem pieniem,

---

<sup>1)</sup> Słowo kniaź zaledwo czyli nie od konia pochodzi; lubo wielu uczonych wyprowadza go od wschodniego słowa Kahn. W krajach słowiańskich konie były kosztowną własnością. U Pomorzanów 13 koni stanowiło ogromne bogactwo i każdy właściciel konia nazywał się kniaź. W Łuzacyi każdego przez uszanowanie nazywają kniazem, gospodynię kniaziną, a księdza kniazem duchownym.

Jak tem, co mi bogi wlały  
Niepojętem natchnieniem,  
Lub co ja sam dla siebie z własnej ciągnę duszy.  
Kniaziu mój dumny, kniaziu bogaty!

Masz zdobne namiotów ściany  
W łosiowe skóry, w drogie makaty;  
Gdzie rzucisz okiem, szerokie łany,  
A po nich twoje konie hasają;  
Masz i służebne wzorem Germana,  
Których kark miękki, schylona głowa,  
Które na twoje słowa,  
Na jedno skinienie pana,  
W drżącej pokorze rozkazów czekają;  
Masz piękne branki, masz lśniące zbroje;  
Masz wszystko, kniaziu, wszystko jest twoje,  
Tylko ta gęśla jest moją...  
Tu ciebie, kniaziu, wszyscy się boją.  
Tylko ja jeden nie boję!

Ja biedny jestem, nie mam rodziny,  
Z przeszłości droga moja daleka,  
A jak Połabii idą równiny,  
Tak nigdzie żadna chata  
Z wypoczynkiem mnie nie czeka.  
A jak ludzi jest wiele, tak wśród ludzi wielu  
Nikt mi nie powie: „witaj, przyjacielu“ —  
Nikt nie uściśnie jak brata!  
Ale mam jeszcze w piersi głos silny  
By śpiewać bogów wyrok niemylny  
I przeszłości wspomnienia.  
Mam gęślę w rękę, gęślę jedyną,  
Z której tak rzewne dźwięki mi płyną,  
Tak zgodne do mego pienia...  
Kniaziu, mam więcej od ciebie!

W proch się rozsypią mnogie dostatki,  
Zniszczą głązy, twej wielkości świadki;  
Sługa najemny w riumce zagrzebie  
Trochę łez zakupionych i pamięć imienia.  
A jak dzwońce padają pod dziobem sokoła,

Tak i pod zębem czasu padną twoje dzieci;  
Jednak wszystko masz, kniaziu, wszystko masz  
[dokoła,  
Tylko tam się nie przedrzesz. gdzie ma pieśń  
[przeleci—

Za krainę zapomnienia!

Masz, kniaziu, całe dzisiaj, lecz jutro jest moje;  
Kiedy powieść ułożę i gęślę nastroje  
I kiedy gmin powtórzy, w pamięci zachowa  
I nutę gęśli i powieści słowa,  
Och! kniaziu, wtenczas o ciebie nie stoje —  
Nie ty mną wtedy, ja tobą rządząc:  
Mój dumny kniaziu, według mej chęci  
Wieczystej sławie, lub niepamięci  
Ja twoje imię przysądzę!

---

### TRZECIA PIEŚŃ.

Gdzie moja matka? — Ach! matka syna  
Nim przyjdzie na świat kochać zaczyna,  
I w życiu całym, po wszystkie drogi  
Gdzie on się zbłąka — tkliwa pośpieszy  
Z otwartem sercem, z dobrem życzeniem;  
W szczęściu go sławi, w smutku go cieszy;  
O swego syna, o swoje dziecię  
Codzienną bogów modlitwą wzywa;  
A modłę matki przyjmują bogi —  
A modła matki skuteczną bywa  
Wśród wszelkich modlitw na świecie.

Ach! matka pierwszej uczy piosenki,  
Pierwszym uściskiem ona nas darzy.  
Miłość w jej oku, dobroć w jej twarzy.  
Jak życie z łona, tak pomoc z ręki  
Wszędzie i zawsze — a w każdej chwili  
Choć bogi zmylą, ona nie zmyli.

Gdzie moja matka? — Jest słup z kamienia  
Przy drodze z sioła, tam urna mała,  
Od deszczu, słoty całkiem zczerniała.  
A w urnie tylko garstka popiołu,  
Bożek drewniany, co pożywienia  
U gościnnego użycza stołu,  
Bożek Kadogost z riunką małą,  
A łzami memi tak przepelnioną —  
Bo tam jest matka — ach! tam złożono  
Wszystko, co po niej zostało!

Gdzie jest mój ojciec? — Ojciec synowi  
Chwałę pradziadów w czynach opowie —  
Ojciec nauczy łowieckiej sztuki:  
Jak ciskać oszczep, naciągać łuki,  
Jak to zatrute wypuszczać strzały,  
By zawsze w serce wrogów trafiały.

Gdzie jest mój ojciec? — Ach! w mojej myśli  
Jeden mi tylko obraz zostawił —  
Jak blade, drżący, na moje skronie  
Szttywne i zimne położył dłonie,  
Czy chciał się wesprzeć, czy błogosławił,  
Ja nie wiem — potem sąsiedzi przyszli,  
Bo już najstarszy z naszego sioła  
Czarną buławę przesłał dokoła,  
Czarny znak zejścia z żyjących świata,  
Wspólnej rodziny, wspólnego brata.  
Sąsiedzi, milcząc, wszyscy pospołu  
Wynieśli z chaty ojcowskie ciało,  
Nieśli daleko na kładowisko,  
Rzucili konia, zbroję w ognisko,  
I potem wszystko razem zgorzało —  
Została tylko — garstka popiołu!

Gdzie mój brat starszy? — Brat kocha brata,  
Jedne im łoże, jedna im chata,  
Brat ciężką pracą z bratem się dzieli;



Lżej się miecz dźwiga, głębiej się orze,  
Kiedy braterska ręka pomoże.—  
Gdzie mój brat starszy? — Duńczycy wzięli,  
Ach, w ciężką wzięli niewolę brata!  
Za cztery rzeki, za piąte morze  
Uprowadzili, on zginął może,  
Czy w gorzkiej wodzie, czy w cudzej ziemi,  
On pewnie zginął między obcemi!  
A dusza jego po drzewach lata,  
Bo nikt nie spalił zwłok niewolnika —  
A moje serce boleść przenika,  
Bo ile razy w nocy usłyszę  
Jak wiatr liśćmi dębów kołysze,  
To zawsze myślę, że to głos ducha  
Braterskie skargi śle mi do ucha!  
Ach, my żyć z bratem mieli pospołu.  
A nie mam po nim — garstki popiołu!

Gdzie moja żona? żona-kochanka,  
Pieszczota życia, sławy nagroda,  
W pierwszej młodości szczęścia posłanka,  
A w późną starość trosków osłoda!  
Gdzie moja żona? Piękna dziewica  
Przed oblubieńcem wstydliwie stroni <sup>1)</sup>,  
Ale ją prędko młodzian dogoni,  
Dogoni, porwie, z kraśnego lica  
Pierwszej miłości całunek zbierze,  
Ona nieśmieie — a potem szczerze  
Odda go jemu — pójdą oboje  
Gdzie w modrzewiowej, pysznej świątyni,  
Młodzieź pod Ładą ofiary czyni,  
A Siwie składa przysięgi swoje.

---

<sup>1)</sup> Przy weselnych obrządkach, pan młody zawsze niby porywał oblubienicę. W świątyni czynili sobie wzajemną przysięgę.  
*Rakowiecki.*

Gdzie moja żona? — Korowaj spory <sup>1)</sup>  
U nowożeńców na stole leży,  
Krewnych, znajomych drużyna bieży,  
A każdy dobre życzenie niesie:  
„Niechaj wam będą pełne obory;  
„Niech żyto rośnie, jak sosny w lesie —  
„Niech złotym miodem płynie pasieka;  
„Niech często w chacie zmęczeni drogą  
„Podróżni spocząć za stołem mogą;  
„Niech was Marzanna mija zdaleka;  
„Niech Siwa płodem darzy obficie,  
„Żebyście społem, jak buk z jedliną,  
„W liczne konary rozrośli kiedy,  
„Bo niema smutku, bo niema biedy,  
„Gdy bogi liczną cieszą rodziną,  
„A człowiek w dziatkach ponawia życie.“ —  
Tak życzą szczęścia mężowi, żonie...  
Życzenie ludzi, jak wiatr co wieje. —

Gdzie moja żona? — gdzie się podziała?  
Ach! była kiedyś przy mojem łonie,  
Wszystkie wspomnienia, wszystkie nadzieje,  
Radość i smutek mieliśmy społem —  
Jedna pamiątka po niej została,  
I ta pamiątka — popiołem!

Gdzie mój syn młody? — Ach! ojcu z syna  
Wsparcie, obrona, radość jedyna;  
Choć oczy gasną, choć włos bieleje,  
Dusza nie tęskni po młodym wieku,  
Bo w oczach syna wzrok jej jaśnieje,  
Bo mnóstwem długich, miękkich pierścieni  
Nad jego czołem włos mu się cieni;

---

<sup>1)</sup> Korowaj, chleb nakształt kołacza, powinien być tak wielki, żeby dla wszystkich zaproszonych na obchód weselny mógł wystarczyć.

Bo co nam ginie, jemu przybywa;  
Bo odżywamy w nowym człowieku,  
W silnej istocie, co się do świata  
Jak ptak do słońca gwałtem wrywa,  
I szybko dąży, i bystrem okiem,  
I śmiałem sercem i pewnym krokiem  
Jak orzeł w chmury ulata.

Gdzie mój syn młody? — Syn dumny, hardy,  
Rodzinnej chaty on bezpieczeństwem,  
Silne ma ramię, a kark tak twardy.  
Że żadne jarzmo zgiąć go nie zdoła,  
I jeśli kiedy klęknie w pokorze,  
To przed bóstwami w świątyni może,  
Albo przed ojca błogosławieństwem.  
Gdzie mój syn młody? — Możecie, wrogi,  
Do reszty zniszczyć szalas ubogi,  
Nikt was nie skarci. Wilcy, możecie  
Ostatnią owcę porwać z mej trzody,  
Nikt mnie od waszej nie broni szkody —  
Już niema syna na świecie!  
Już on nie będzie z mieczem do boju,  
Na łowy z lotnym jeździł sokołem;  
Dziś syn mój młody śpi już w pokoju.  
Dziś mój syn młody — popiołem!

Gdzie wszyscy moi? — Wszyscy już w ziemi,  
Ja tylko jeden płacę za niemi  
I czekam, kiedy w szczęścia godzinie  
Za memi łzami dusza wypłynie!  
Wy, co słuchacie, wy nie pojmiecie,  
Czemu mi gęśla najmilszą w świecie;  
Ona mi tylko, ona wspomina  
Rodziców, brata, żonę i syna;  
Ona mi jedna, gdy ją poruszę,  
Wiernie wypowie stęskniałą duszę;  
Ona tak jedna przyzwyczajoną  
Dźwięczyć o moich zmarłych, o grobie,

Smucić się ze mną w gorzkie wspomnienia,  
Że nawet gdy ją trąci zniechcenia  
Oddech Pochwista — to ona w sobie  
Pewno żalną ozwie się stroną.

## CZEMU MI SMUTNO?

Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni  
Lasy i pola już odarł z zieleni  
I tam, wysoko, po niebie nademną  
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,  
I w uszach skargą jękliwą przewiewa  
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,  
Jakby liść każdy był duszą człowieka,  
Co wirem szału i losu porwana,  
Po szlakach drogi nieznannej, daleka  
Leci, aż padnie smutna i nieznaną  
Gdy wiatr ucichnie, lub jej zbraknie siły  
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły?..

Czemu mi smutno? Czy że tu wokół  
Żadne przyjaźnią nie promieni czoło,  
Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita,  
Żaden głos chętny co słyhać? nie pyta;  
I że tak wszyscy w różne chodzą strony  
Każdy ku swojej gwiazdzie obrócony,  
Każdy niedbały co na drodze jego,  
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego,  
Czołga się podle, lub zuchwale leci,  
Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,  
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,  
A w oczach Bożych garść łez, krwi i błota.



Czemu mi smutno? Czy to, że widziadło  
Mądrości świata na duszę mi padło  
I tak głębokie zapuściło szpony,  
Że już nie pomnę, że już mi się nie śni  
Ani o cichej modlitwie zmówionej  
Na łonie świętej, dobrej mojej matki,  
Ani o szczęściu naszej biednej chatki,  
Ani o starej ojców naszych pieśni,  
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo starej,  
Pono na nutę nadziei i wiary.

Czemu mi smutno? Czy że moi wszyscy  
Duszą jednacy, serca sercem blizcy,  
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli,  
Już sobie dawno po trudach wytchnęli;  
A ja samotna, jak ptaszyna biedna,  
Co z swego rodu zostanie się jedna,  
Gdy inne w kraje szczęśliwsze ulecą,  
Sama zostałam — i gdy gwiazdą świecą,  
To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie  
Błada gwiazdeczka, lecz z którejby właśnie  
Duchy mojego życia promień zwiędły,  
Jak mi to niańka mówiła, uprzedły?  
Och! bo mi głucho i pusto na ziemi,  
Och! bo mi tęskno, tęskno za mojemu,  
Co się w dębowej trumnie położyli,  
Co poszli sobie jakąś ciemną drogą,  
Lecz poszli razem, a mnie zostawili  
Tak samą, że już nie mam kochać kogo!...

Więc smutna jestem — smutna, bo wiatr wieje,  
Bo między złymi ludźmi sama chodzę,  
Bo mi nauka zabiła nadzieje,  
Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze  
Wszystkich kochanych... Och! tak nie jest przecie!

Mężniejsza na te ciosy dusza młoda.  
Wiem, że nie zawsze na niebie pogoda

Wiem, że niezawsze cnota jest na świecie;  
Zdawnam przywykła w jesienne zawieje  
Czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje,  
A złością ludzką dobrego nie mierzyć,  
Boć cnota ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,  
Wierzyć bezwzględnie, bez warunków, szczerze,  
Jak w przyszłość, w mądrość, w litość Bożą wierzę.  
Och nie! mnie nigdy ksiąg uczonych karty  
Świętego słowa w sercu nie zaćmiły.  
A Bóg, to wyraz niczem niezatarty,  
Co jak go wieki w naturze skreśliły,  
Tak znowu wieki z wieków się wypręda  
I zawsze wkońcu: Bóg—Bóg! — czytać będą.  
Po wszystkie strony był lot myśli mojej,  
Wszystkich ustami zaczerpnęłam zdroi  
I próbowałam pomysłu każdego,  
A tłem wszech rzeczy było imię Jego.

Więc też spokojna na Boga się zdałam  
I nie tak gorzko umarłych płakałam.  
Ja co mam umrzeć — och! ja nie na groby  
Tyle wylałam cierpienia, żaloby,  
Ale mi smutno — bo dziś jako cnotę  
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę  
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną;  
A chyba w sądu godzinę okrutną  
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną,  
Bo ludziom mówić nie wolno!

## Na nagrobku w Bąkowej.

---

Ty wszystko jeszcze miałaś na świecie,  
Miałaś marzenia, szczęście, urodę,  
Kochanie w sercu i lata młode,  
Matkę sędziwą i dziecię.

Co najświętszego z ludzkiej przeszłości,  
I co najwabniej w przyszłość się śmieje,  
Tyś wszystko miała — pamięć, nadzieje,  
Matki i dziecka miłości.

Och! tyś szczęśliwa jak anioł w niebie,  
Młoda w spokojnej mogile ległaś,  
Ty od wszystkiego sama odbiegłaś,  
Nic nie odbiegło od ciebie.

Śpij tam snem długim, bo tu wśród ludzi  
Zanadto jeszcze trosk i cierpienia,  
Bo tu od walki, od zniechęcenia  
Prędko się serce utrudzi.

Tu wszystko smutne i w każdej dobie  
Kto obojętny, to cię zasmuci,  
Kto ukochany, to cię porzuci,  
A kto cię kocha, to legnie w grobie.

Tu cierpieć trzeba każdym sposobem,  
Tu ledwo pewność śmierci pokrzepi;  
Och! lepiej tobie umarłej, lepiej,  
Lepiej w grobie, niż nad grobem!

---

## FANTAZJA.

Tysiąc wieków mijalo, jak człowieka plemię  
Codzien świeżemi trupy zasilało ziemię,  
A ziemia, ich żyznemi sokami karmiona,  
Codzien też więcej bogactw wyrzucała z łona.  
Kędy dziś błotne bagna, zdradne trzęsawiska,  
Zgubnych wyziewów matki i gadów siedliska,  
Tam łąki wypłynęły, w nowe strojne szaty,  
I drzewa niebotyczne i barwiste kwiaty;  
A co tylko jest kruszców, lub drogich kamieni,  
To wszystko w cudnych kształtach na ziemskiej  
[przeestrzeni  
Tysiącem ogniów błysło od promieni słońca;  
A morza, zwyciężone od końca do końca,  
Cofnęły się przelekłe przed ładem, swym panem —  
I ład nad niezmiernym zawisł oceanem,  
I był piękny, zielony, rozległy, szeroki,  
I dokoła go srebrne owiały obłoki;  
I zdawało się wtedy, że natura cała,  
Rzeźka, silna, z przeszłości swojej tak powstała,  
Jak młodzian, co z dzieciństwa do życia się budzi.  
Gdzie była starość świata? — starość — w sercach  
[ludzi,  
Człowiek sam jeden dźwigał ciężkie wieków brzemię,  
Dawnemi cierpieniami młodą smucił ziemię,  
I sam tylko był stary, zgrzybiały starością,  
Która śmieje się z czucia, pogardza młodością,  
Która w duszy polotach i serca słodczy  
Widzi grobu igraszkę, kruszcowy zysk liczy;  
Która wszystko, co tylko jest pięknością, cnotą,  
Przekuwa zimnym mózgiem na kłamstwo, lub złoto.



I człowiek był tak stary! — od kolebki dziecka  
Mowę jego kształciła obłuda zdradziecka;  
A jak dziś w wyobraźni pobożnego ducha  
Anioł dziecięcia strzeże, i słów jego słucha  
I przemawia do niego snem lub matki pieśnią,  
Tak wtedy myśl, ziejąca zgubną grobu pleśnią  
I chciwą żądzą złota, przy kolebce stała,  
Falszem, albo rachunkiem dziecię kołysała.  
Kiedy z chłopca mąż wyrósł, z dziewczynki dziewczica,  
Pierwej nim wiek. namiętność zorały im lica,  
Wpierw nim lat późnych troski, zwątpienie i chciwość  
Przywiały im na czoło zbeszczeszczoną siwość —  
Żaden już głos na ziemi, z uczuciem wesela,  
Nie wyrzekł imion brata, ziomka, przyjaciela!  
Každy był groźnym wrogiem, lub wroga ofiarą;  
Przyjaźń zwano oszustwem, miłość śmieszoną marą,  
Sławę echem próżności, szczęście złem zuchwałem,  
Poezyę próżniactwem, poświęcenie szalem.  
I tak bez wiary, czucia, smutne było życie,  
Choć natura swe dary rozlała obficie,  
Choć cała kula ziemską i niebios osłona  
Na wspólne szczęście wszystkich była urządzona.  
Raz tylko — w długiej wieków ludzkości kolei,  
Raz błysła odrodzeniem iskierka nadziei —  
Zjawił się człowiek nowy z młodzieńczym zapałem,  
Wzniósł się myślą szlachetną i sercem wspaniałem;  
A jak nad duchem ciemnic postać archanioła,  
Tak on, gdy inni w ziemię pospuszczali czoła,  
Szukając reszty złota dla duszy pogrzebu,  
Śmiało stanął nad nimi, wzniósł oczy ku niebu,  
I wzięwszy dzielną ręką wieszczęj lutni tony,  
Zabrzmiął hymnem proroka wśród tłuszczy  
[zdziwionej

„Ludzie, słuchajcie pieśni! Ludzie, bracia moi!  
Czy który z was wysoko włada i panuje,  
Czy nisko pochylony wśród trudów i znoi,  
Czy schodzi z tego świata, czy na świat wstępuje,

Czy złotem z ziemią matką skuty, czy żelazem,  
Kocha czy nienawidzi, złe czy dobre działa,  
Wy wszyscy moi bracia — moja wszystkich razem  
Jedną, wielką miłością dusza ukochała!

Bracia, słuchajcie pieśni! — pieśń. to anioł Boga!  
Pieśń, to nauka wieków, przyszłości przestroga;  
To silny głos zwiastuna, co na puszczy woła.  
Jasny promień nad głową prawdy apostoła!

Bracia, słuchajcie pieśni! — Jak anioł odleci,  
Zginą wieków pamiątki, przyszłość zaciemnieje —  
Głos zwiastuna o twarde serca skamienieje,  
A jasny promień zgaśnie. — Kto z was go roznieci?  
Gdy wszystko będzie zimne, i martwe i głuche,  
Kto wywoła na ziemię silnemi piersiami  
Z grobów życie, z wspomnienia przyszłości naukę?  
Kto was w niebo powiedzie jasności szlakami,  
Jeśli pieśń wieszczów zmilknie? O ziemscy

[mieszkańce!

Póki Bóg jeszcze do was pieśnią się odzywa,  
Póki w dusze wybranych hymn natchnienia wlewa,  
Jako wonną oliwę w świątyni kagańce,  
Słuchajcie Jego głosu! Ludzie, bracia moi!  
W pokorze przed Nim wasze nachylajcie czoła,  
Otrzyjcie serce z pyłu ziemskich niepokoi;  
Dziś Bóg pieśnią — lecz kiedyś piorunem zawoła!

Ludzie, słuchajcie pieśni! Ja słowo pociechy,  
Ja, ludzie, niosę słowo przyszłego zbawienia,  
Ono wasze i dawne ojców waszych grzechy  
Zmyje wodą zapomnienia!

Ludzie, słuchajcie Słowa! w niem świat, przyszłość  
[cała,  
W niem Bóg! słuchajcie, ludzie! w niem szczęście  
[i siła,  
W niem się najpierwej ziemia nasza odezwała,  
Wieczność dobrego zrodziła!

Ludzie, słuchajcie Słowa! Jego-to zgłoskami  
Świat ku doskonałości toczy swoje kręgi  
I o nieskończoności pisze niebios księgi,  
I Stwórcą łączy się z nami.—

Ludzie, słuchajcie Słowa! Miłość, miłość wieczna,  
Czasem nieokreślona, w istnieniu konieczna,  
Niechaj z pochwalną pieśnią brzmi w nieskończo-  
[ności.

Bóg Słowa! Słowo miłości!

O ludzie, ja was kocham! Ja tak ukochałem,  
Ze gdyby mi na barki ciężki krzyż przykuli.  
I biczem katowali, i na twarz mi pluli,  
I na skronie cierniową włożyli koronę  
I żółcią napawali me usta spragnione:  
Ludzie, jabym nie płakał. — A wtenczas płakałem,  
Kiedym patrzył na ród wasz niedolą znękany,  
Na ducha obłąkanie i serc ciężkie rany;  
I gdym pierwszy raz wołał, a wyście nie przyszli  
Słuchać pieśni o Bogu, świętej uczuć myśli.

Ludzie, ludzie! gdzie wy dążycie  
Przez łzy i zbrodnie?  
Stójcie, chwilowi przechodnie,  
Och! stójcie, bo zgasicie  
W kałuży krwi i błota  
Promienną iskrę żywota!

Ludzie, nie idźcie w te strony,  
Gdzie na trupach ludów  
Wznoszą się trony  
Z podłości brudów,  
Gdzie w dyamentowej koronie  
Kat siadł na tronie  
I każdemu, co karku w poddaństwo nie zgina,  
Żelaznem berłem wolną głowę ścina!

Ludzie, nie idźcie, gdzie bogacze świata  
Purpurą, złotem, zbytkami  
Urągają nędzy brata,  
Żywiąc się jego ciałem, pojąc jego łzami!

Ludzie, nie idźcie, gdzie głosem szyderca  
Duch piekieł kłamie Bogu i bluźni nauką,  
Żeby stokroć przekłętą sztuką  
Resztki nadziei wyszarpać wam z serca,  
I ciężej niżli ciała, w żelazne łańcuchy,  
W przewrotne fałszywe okuć wasze duchy!

Och! nie idźcie tam, ludzie! Ludzie, bracia moi!  
Do mnie, do mnie! ja wszystkich przytulę.  
Moja pieśń ukoj  
Wszystkie troski, wszystkie bóle.  
Moje ramię obejmie jednym uściśnieniem  
Wszystkie ludy. — O bracia! pójdę mojem pieniem  
Budzić uśpione w obojętnej nocy,  
Z południa ku północy,  
Z zachodu ku wschodowi.  
Głos mój wypowie,  
Pieśń moja wyśpiewa  
Rozkaz Boga — cel ludzkości,  
Słowo braterskiej miłości,  
Ziemia będzie szczęśliwa! —“

Umilkł wieszcz — a w długim milczeniu  
Zdały się tłumy ludu dziwić jego pieniu;  
On drżący, jako jeszcze drżące lutni tony,  
Patrzył okiem w ich duszę, śledził bieg ich myśli,  
Aż głos jakiś zpośrodku zawołał „Szalony!“  
I ludzie powtórzyli — i poszli jak przyszli —  
I on sam został tylko, głowę schylił smutnie,  
O sterczące skał brzegi rozbił swoją lutnię,  
I znowu spojrzął w niebo ostatniem spojrzeniem,  
Ostatnią łzę uronił nad bratniem cierpieniem  
I skonał. A ród ludzki szedł dalej bez celu,  
Ginał, niszczał — na ziemi zostało niewiele.



Potem dwóch tylko ludzi — dzieci matki jednej,  
Ale dalsi od siebie, niż ziemia od słońca,  
Niżli niebo od piekła: bogaty i biedny.  
I biedny sięgnął ręką po brata dostatki,  
Z głodu zgrzytnął zębami. Własności obrońca,  
Bogacz, szkielet bez serca, zdobył sił ostatki,  
Całym skarbów ciężarem cisnął w piersi brata,  
Aż nędzarz padł pod ciosem. — Sam bogacz wśród  
[świata

Dumnie powiódł oczyma i cieszył się z tego —  
Och! cieszył się samolub, że niema drugiego,  
Że jest sam.— Ale chmura płynęła po niebie  
Ostatnia, grom ostatni wyrzuciła z siebie  
I ostatniego w świecie zabiła człowieka —  
I wtedy pieśń harmonii zabrzmiała zdaleka,  
I drzewa się w miłosne posplatały wianki,  
I ziemia drżała szczęściem, jak łono kochanki,  
I w piękniejszej naturze wszystko piękniej żyło,  
I wszystko było dobrze — bo ludzi nie było!

---

# PRZEKLENSTWO.

WSTĘP

DO POEMATU „LILIA.“

---

Kręta ścieżka z góry płynie,  
Wążka jako ślad węża wśród drzew i paproci;  
I płynie coraz niżej, aż w samej dolinie  
Żółciejszym piaskiem niż swoją pozłoci,  
I potem znowu dalej, śmieiej, szerzej,  
Aż do jeziora zabieży!

Po ścieżce ktoś zstępuje; źle wybrana pora,  
Chociaż do sierpniowego daleko wieczora:  
Nad ziemią całe niebo tak ciemne, ponure,  
Jak gdyby w jeden obłok wszystkie łzy się zlały,  
Jak gdyby wszystkie zbrodnie i wszystkie cierpienia  
Wzbiły się w jedną wielką nad krajobraz chmurę,  
I groźny Pan przyrodzenia  
Chciał piorunem tej góry zdruzgotać świat cały.  
Jeszcze nie rykła burza nawalnicą,  
Ale już na wszystkie strony  
Ciemne jodeł korony  
Jasnością błyskawic świecą;  
Ale już słyhać zdala

Jak o skał rozłomy  
Echem biją odległe gromy  
I szumi jeziorna fala.  
Po swych kryjówkach strwożone zwierzęta  
Umilkły w całym lesie,  
I ledwie czasem wicher zkąd przyniesie  
Jakiego wilka zbłąkanego wycie,  
I ledwie czasem sowa gdzieś odęta  
Złowieszczym krzykiem przestrachu zahuka,  
Lub nagle w bory pierzchnie wron gromada,  
Lub jeszcze orzeł na opoki szczycie  
Skrwawionym dziobem o granit zastuka.  
Lecz zwolna wszystko w milczenie zapada,  
Przed głosem burzy kryje się, ucieka.  
Na ścieżce tylko słychać krok człowieka,  
Wolny, spokojny, jakby chmur nawaly  
Na jego głowę pioruna nie miały,  
Jakby całej ziemskości wspólna śmierci trwoga  
W jego piersi jedynie zgasła myśli siła,  
I tak zgasła, że chociaż niebo zaświeciło  
W wężykowate błyskawic postrzały,  
On wgórze spojrział zuchwały  
I nie zląkł się, nawet Boga!...  
Dumny przed Jego groźbą, syn pieśni i czarów,  
Zstąpił nad brzegi jeziora,  
Siadł pod drzewem, co liście schylonych konarów  
W spienionej wodzie kapało,  
I lutnię do rąk wzięwszy, patrzył w niebo śmiało,  
Czy strasznych zaklęć już nadeszła pora?  
Aż wreszcie chmurne obłoki  
Rozdarły się i w deszczu lunęły potoki;  
Zawył huragan, lasy, góry, skały  
Rykiem grzmotu zaryczały.  
On się tylko uśmiechnął i wyższy nad burze,  
Taką pieśń czarnoksięską zanucił naturze:  
„Chmur ciemnością, gromów blaskiem,  
Połamanych jodeł trzaskiem,  
Szaloną burzą, która dziś na niebie

Jakby zgłoski ognistemi  
Pisze wyrok zagłady przełęcznionej ziemi  
I nuci Jej pogrobnym hymnem zawieruchy —  
Ja wołam ciebie, ja witam ciebie!

Ty, najpierwszy między duchy,  
Choć ostatni w czas rzucony,  
Ty, co walczysz niezwalczony,  
Po Bogu, panie stworzenia,  
Duchu—zniszczenia!

Witam ciebie — po tej strunie  
Mojej lutni spłyn w piorunie,  
Spłyn i wymów owe słowa,  
Co je wieczność w łonie chowa  
Do lat wielu — czasów wielu  
Na zagładę świata.

Spłyn, spłyn, duchu niszczycielu,  
Tu — do piersi brata,  
Tu do piersi i do ręki!

Och! ja potężny — ja mej lutni dźwięki  
Już zakląłem w wszystkie głosy,  
W jakie ziemia i niebiosy  
Kiedykolwiek przemawiały,  
Bo ja dawniej żywot cały,  
Całą duszę w słuch przelałem,  
I sam jeden dosłyszałem  
W uroczystej myśli ciszy.

Czego już żaden człowiek nie dosłyszysz —  
Ja dosłyszałem światel niebieskich obrotu,  
Gwiazd migotania, dzikich komet lotu,  
Dosłyszałem tajemnic głosu.  
Któremu z milczenia chaosu  
Na wieczność całą  
Szczęściem i chwałą

Kazał Bóg śpiewać na niebie,  
Dla mnie tylko i dla Siebie.

Dosłyszałem spadania zachodowych cieni,  
Cichego szmeru podziemnych strumieni,  
Cichego dźwięku drogich kruszców w górach,  
Cichego lotu jaskółki po chmurach,



Cichego rosy nad łąkami drzenia  
I najcichszego z głosów — ludzkiego sumienia.  
Ja dosłyszałem... Potem wzięłem żyły  
Z człowieczej piersi żywcem wyciągnięte,  
W krwi słowika je maczałem  
I na lutnię nawiązałem,  
I to lutni struny były,  
Lutni struny w pieśń zakłęte.

Dzisiaj każdym pokolei  
Tonem szczęścia lub cierpienia,  
Tonem skargi lub nadziei,  
Tonem cudu lub zwątpienia,  
Chwały albo niepamięci,  
Zmartwiałości albo ruchu,  
Moja lutnia doskonała  
Dźwięczy zawsze po mej chęci;  
Lecz chcę jeszcze, by zabrzmiała  
Twoim tonem, wielki duchu.

Chcę, przybywaj!... — Wzniósł ramiona

I wzrok taki w niebo cisnął,

Że lecący grom zawisnął,

Niby wstęgą przerzucona,

Między czarnym burz obłokiem,

A czarniejszem jego okiem!

I długo, długo ten piorun na niebie,

I ten człowiek na ziemi tak patrzyli w siebie,

I tylko jedna, tylko nowa struna

Drżała od blasku pioruna,

Jak serce ludzkie drży trwogą.

Lecz on nie drżał — wtem gniewem i bladeścią srogą

Całe się jego oblicze powlekło,

Całe mu w oczach zatliło się piekło:

Grom upadł — strzaskał lutnię i z lutnią dłoń jego!..

Upadł, bo właśnie w tej chwili,

Kiedy oboje na siebie patrzyli,

Kiedy już słowem zakłęcia straszego

Miał się żyjący piorun w martwą strunę przelać,

I kiedyś brzmieniem struny w serca ludzi

[strzelać,

Z przeciwległego brzegu okrzyk przerażenia  
Rozpaczą jakieś piersi śmiertelnie natężył,  
Rozdarł powietrze, zniszczył urok zachwycenia  
I grom człowieka zwyciężył.

Czarnoksiężnik stał niemy — siły do oddechu  
I do ruchu mu zbrakło, jakby jednym razem  
Wszystkie mięśnie ostrem przecięto żelazem.  
Po chwili, drżące usta wykrzywił do śmiechu,  
Nogą potracił lutni strzaskanej ostatki  
I zamyślił się znowu, ścisnął obie dłonie,  
Aż krew z rany trysnęła—a na drugiej stronie  
Ciągłe krzyk słyhać było: to krzyk trwożnej

[matki,

Bo woda małe czółno porwała od brzegu,  
I niesie je daleko w podrzucanym biegu,  
A jej dziecię w tem czółnie—jej dziecię utonie!..  
Czarnoksiężnik raz spojrział, jedynem spojrzeniem  
Wszystko pojął, zrozumiał, i pędzi od wzroku  
Jakaś myśl zemsty w serce bije mu natchnieniem,  
I niby ostrzem miecza połyskuje w oku.  
Rzuca się nagle wśród zburzonej fali:  
Jak przed królem dworzan orszak mnogi,  
Tak przed nim szumiące wały  
Kornie ustępują z drogi,  
A on potężny, zuchwały,  
Ciągłe, ciągłe płynie dalej..  
Ach! czyż on dziecię ocali?..

Płynie prosto do czółna — matka zapłakana.

W nadbrzeżnym zwirze pada na kolana  
I oczy do nieba wznosi,  
I o pomoc dla zbawcy swego dziecka prosi,  
A on ciągłe płynie dalej;  
Ach! czyż on dziecię ocali?..

Już dopłynął — już ujął małeńkie czółenko  
Zranioną piorunem ręką,

I chwilę jako orzeł na łup swój spoziera —  
A głos matki boleśnie powietrze rozdziera;  
Choć w głosie już słyhać nadzieję,  
On tylko szyderczo i gorzko się śmieje,

Bez ruchu zawisnął na fali...  
Ach! czyż on dziecię ocali?...  
Patrzy nań zimnem okiem—to dziewczynka mała,  
Jak niewinność spokojna, a jak anioł biała,  
Spi — choć woda mętną pianą  
O kołyskę jej drewnianą  
W szum kroplisty, chłodny pryska;  
Spi — choć czółno jej, kołyska,  
Może ją na wieczną ciszę  
Bez zbudzenia ukołysze.  
Patrzy matka, tchu nie staje,  
Znak podzięki ręką daje;  
Ile życia, ile siły  
Nieba w łonie roznieciły,  
Ile czucia w piersiach miała,  
Tyle w oko przywołała,  
I tem okiem — aż ku niemu,  
Ku wybawcy nieznanemu,  
Przez jeziorną toń leciała.  
A on blady, jak śmierć blada,  
Obok dziecka w czółnie siada  
I rozkazał: po głębinie  
Za rozkazem czółno płynie,  
Jak gdyby je rybki skrzele  
Unosiło przez topiele.  
A nad czółnem szalone wicherzą huragany,  
A pod czółnem się woda gotuje w bałwany,  
A dokoła drży natura,  
Jęczy ziemia, ryczy chmura  
I niebo całe w pioruny się pali —  
Ach! czyż on dziecię ocali?...  
Ocalił! ocalił! do brzegu przybywa,  
I matka dziecięcia  
Z radością je porywa  
Z jego objęcia,  
I pieści, całuje, ściska,  
I sercem serca blizka  
Słucha, czy to serce bije,  
Czy naprawdę jej córka żyje?..

Ach, żyje!... a więc ona we łzach, drżąca, blada,  
Przed obcym człowiekiem na kolana pada

I błogosławi jemu

Tym skarbem błogosławieństw, który niebo dało  
Z obietnicą ziszczenia i z niedolą całą,

Jak muszli perłę — biednemu!

„Och! dobry panie—mówi w przerywane słowa—  
Niech cię Bóg na wiek wieków od strapień

[zachowa,

Niech ci każdy rok życia jedną będzie wiosną,

Każdy dzień roku jedną godziną radosną!

Jeśliś jest ojcem, niechaj twoje dziecię

Jak ty będzie szczęśliwe i możne na świecie,

A kiedy ludzkim ciałom umrzeć będzie trzeba,

Niech was razem anioły poniosą do nieba!...“

Brwi zmarszczył czarnoksiężnik. — „Za co mi dzięku-  
[jesz?

Ja nie chcę... zakazuję... nie dziękuj, kobieto,  
Pilność większą jest matce niż wdzięczność zaletą —  
A ty, czemu tak dziecka swego źle pilnujesz?...“

— „Ja źle pilnuję? dobrotliwy Boże,  
Robię, co tylko człowiek robić może,

Ale my biedni rybacy,

My biedni i nędzni tacy,

Że nam na kawałek chleba

Dzień po dniu pracować trzeba.

I dziś musiałam w daleką nieść drogę

Ryby na sprzedaż — ja tak zawsze chodzę,

Lilii nigdy wziąć z sobą nie mogę,

Bo i kurzawa i upał w tej drodze,

Więc ją zostawiam, jak dziś zostawiłam,

Na mojem czólnie.— Och! przypatrz się, panie,

Jak je w paproci liście umiałam,

Jak miękkie ze mchu zrobiłam posłanie.

A też to czólno — to powiedziec muszę —

Stary przyjaciel, nie mamy innego;

Ojciec w niem Bogu świętą oddał duszę,

Ja na niem wzrosłam — mój i męża mego

Cały dostatek, wyżywienie całe,

To jedno czółenko małe.

Jemu też pod straż dałam największy skarb

[w świecie,

Moje ciche, prześliczne, moje biedne dziecko.

Kiedy na niebie pogoda,

A zrana właśnie tak pięknie jaśniała,

To czółenką i Lilcią lekko chwieje woda

I Lilcia śpi spokojnie, jak gdyby wiedziała

Że spać trzeba, że matka nie może przyjść do niej.

Mój Boże! przecież ledwie pierwsze wiatru

[tchnienie

Silniej dmuchnęło po kwiatkach na błoni,

Ja wszystko rzucam, biegnę jak szalona,

Ach! okropne przerażenie!

Burza szybsze skrzydła miała,

Prędzej niż ja doleciała,

I pędem wody niesiona

Moja Lilcia, dziecko moje,

Ach! ja powtórzyć się boję...

Lecz ty wiesz już wszystko, panie,

Tyś usłyszał me wołanie..."

— „Tak, słyszałem twoje krzyki...

I znów uśmiech srogi, dziki,

Jak piorunu błyskawica,

Wypadł z chmury jego czoła

I zmienione przebiegł lica; —

Tak, słyszałem — tobie przecie

Dobrze, miło na tym świecie,

Tyś szczęśliwa, tyś wesoła,

Tkliwa matka, więc żal tobie,

Żeby twa Lilia mała

Już tak prędko w chłodnym grobie

Na wiek wieków zasnąć miała.

Dnia jednego, chwili jednej

Nie chcesz stracić z jej przyszłości,

Z jej przyszłości takiej biednej,

Żebyś właśnie Opatrzności



Korne dzięki nieść powinna,  
Gdyby cicha i niewinna  
Córka twoja tak po ziemi,  
Jak po niebie gwiazdka złota  
Przeleciała i zniknęła —  
Gdyby nigdy usty swemi  
Z tych zatrutych czar żywota,  
Z których każda łzami poi,  
Ona innej nie dotknęła,  
Oprócz jednej piersi twojej!  
Już się stało — niech więc żyje,  
Niechaj teraz każdą pije,  
Pije do dna. Daj, na ręce  
Ja ją wezmę i poświęcę  
W tak dalekie, długie lata,  
W jak odległe czasy, strony  
Miały brzmieć mej lutni tony,  
Najsławniejszą pieśnią świata!  
I chce brać dziecię — matka przestraszona,  
Chociaż mowy nie pojmuje,  
Sercem nieszczęście zgaduje  
I mocniej Lilię przyciska do łona.  
On spojrział na nią — rozkaz był w spojrzeniu,  
Ale się matka nie lęka:  
W oczy jego patrzy pilnie,  
Córkę swoją trzyma silnie  
W namiętne uściśnieniu,  
Więc człowiek czarów cisnął jej uśmiechem,  
Zwodnym uśmiechem szatana...  
I matka przed nim klęka,  
Drżąca, blada, pomieszana,  
Sama dziecię mu podaje,  
Tylko łza oka, piersi westchnienie,  
Jak do Boga o zbawienie,  
Do niego modlić się zdaje.  
On dziecię porwał z pośpiechem  
I chwilę je trzymał na ręku zdaleka  
Od piersi wyciągnięte,  
Jak czasem, gdy się zdarzy

Nowo na świat przyszłego człowieka

U Pańskich ołtarzy

Chrzcić w imię Boga święte.

Ach! bo on także na głowę dziecięcia

Czarów i zaklęcia

Zlewał chrzest straszliwy;

Tylko zamiast w kościele święconej oliwy,

Spłynęła błyskawica z promieni ognistych,

A zamiast odkupienia kropli wody czystych,

On krople krwi swej własnej ze zranionej dłoni

W znak tajemniczy dziecku pomazał na skroni

I mówił dzikim głosem słowa tajemnicze:

„Przez wszystkie ziemi gorycze,

Przez nienawiść, przez zemstę, przez cud mój zniszczony,

Przez wieczność, którą miały przebrzmieć lutni tony,

Przez niepamięć, w której się me imię zagrzebie.

Ja — dziecię-kobieto — ja przeklinam ciebie —

Żyj — żyj — żyj wiek po wieku,

A choćby śmierć blada,

Co nawet odemnie silniej ziemią włada,

Zmogła zaklęcia siłę,

Ty, dziecię-kobieto, ty, duchu-człowieku,

Porzucaj cichą mogiłę

I z wieczystego spoczynku ukrycia

Budź się do cierpień, budź się do życia,

Póki nie zwalczysz cierpienia,

Póki tej krwi namaszczenia,

Krwi, co każdy głąz grobowy

Znakiem przekleństwa rozbije,

Bóg, albo człowiek z twej głowy

Cudem, albo krwią nie zmyje.“

Rzekł i dziecko matce cisnął,

Skoczył w czołno, sam. bez wiosła,

Bystra woda go uniosła,

Grom piorunnym ogniem błysnął,

Grom ostatni — i w tęż chwilę

Wiatr oniemiał, znikły chmury,

Słońce złota i purpury

Po niebie rozlało tyle

Ile w pierwszym dniu stworzenia.

Wszystkie twory przyrodzenia

Znów ożyły, ptak zanucił,

Kwiat zawoniał, lasy, skały

Blaskiem słońca zajaśniały,

Cały spokój ziemi wrócił.

Tylko nad brzegiem schyłona,

Rybaczka z dzieckiem u łona

Już spokojną być nie może

Dawniejszej nędzy swobodą.

Dużo macza chust w jeziorze,

Skronie dziecka myje wodą,

A krew zawsze jest na skroni...

Za czólenkiem wzrok jej goni,

Długo, długo wieści czeka...

A na szklistym wód przestworze

Ni czólenka — ni człowieka.

---

## LILIA.

### FRAGMENT Z POWIEŚCI.

---

Nad brzegiem wody nędzna chata stała,

Z sitowia lepione ściany,

Dach rozrzucony słomiany

I w ziemię wpadłe okienka miała.

Przez tych okienek nierówne szyby

Z rozpalonego ogniska

Czerwony płomień połyska.

I te okienka świecą się, niby

Dzikiego zwierza jaskrawe oczy,

A kiedy ogień w górę poskoczy

I słupem iskier nad dach wyleci,

Widać przed ogniem rozwieszone sieci,

Widać przy ogniu postać gospodyni,  
Jak skrzący zachód do wieczerzy czyni,  
I najlepiej z wszystkiego oświetloną głowę  
Rybaka, co w milczeniu sieci wiąże nowe.  
On jakby niespokojny, jakby niecierpliwy,  
Czasem ręce opuści, popatrzy, posłucha,  
Znać jednak że daremnie, bo żaden głos żywy  
Nateżonego nie doleci ucha

I żaden obraz przed okiem nie błysnie,  
Chyba nad wodą wiatr jękliwy świśnie,  
Albo po niebie chmurki się przegonią.  
Nareszcie w sercu kryte niepokoje  
Przerwały tamę milczenia  
I popłynęły w słowa zażalenia,  
Jak słotą wezbrane zdroje:

— „A też to wiecznie, wiecznie kłopot o nią!  
Powiadam ci, kobieto, że mnie ta dziewczyna  
Przestaje trwożyć, a gniewać zaczyna.  
Już tak późno i chociaż niby letnia pora,  
Dobrze chłód się czuć daje nad brzegiem jeziora.  
Jej nie ma — ani szukać, ani wiedzieć komu,  
Jak tę zbiegłą ptaszynę przywołać do domu.  
Ja ci mówię, że kiedyś — rybak złożył dłonie—  
Och! strzeż Boże! — kiedyś nam w jeziorze utonie,  
Albo jeszcze ją samą błędzącą po lesie  
Wilki zgłodniały uniesie.“

Kobieta w znak przeczenia głową poruszyła.

— „Bądźcie weselszej myśli, czyliż nie pomnicie,  
Ile już razy jej życie  
Nieznana moc ocaliła?  
Jak w świętych Pańskich, ja w nią teraz wierzę:  
Jej anioł ciągle pilnuje i strzeże;

Onaby mogła chodzić po powierzchni wody  
I z wiatrem na wierzchołkach lasów iść w zawody;  
Ona tak od kolebki z cudów w cuda żyła,  
Różna i obca innym dzieciom ziemi,  
Że gdybym jej w łonie mojem nie nosiła  
I nie karmiła piersiami mojemu,  
Tobym dziś wierzyć nie mogła, nie śmiała,

Że ta jak kryniczne zdroje,  
Że ta jak Boża rodzica  
Czysta i piękna dziewica,  
Jest moja Lilijka mała,  
Jest jedyne dziecko moje!“

— „Wyście ją też, wy, matko, zepsuli pieśczętą,  
I teraz, biedny ojciec, niechaj co chcę robię,  
Ani wiem jak począć sobie  
Z tą nadzwyczajną istotą.  
Ot, nie dalej jak wczora,  
Przyszła nad brzeg jeziora,  
Kiedy ja właśnie sieci zakładałem.  
Skinęła ręką — podpłynąć musiałem  
I wziąć ją z sobą — lecz mnie, co nie wierzę  
W siłę jej cudów, ino kocham szczerze  
Jak ojciec córkę — Boże! cóż mi było,  
Ile się razy czołno przechyliło?  
Aż zimno wspomnieć. Ona cichuteńko  
W przeciwnym końcu na słomie siadła,  
Głowę podparła ręką,  
Rękę czołna krawędzią, i ponad zwierciadła  
Przejrzystej wody tak się wychyliła,  
Że gdyby czołnem choć rybka trąciła,  
Jużbyśmy na dnie spali oboje.  
Chciałem powiedzieć, czego się boję,  
Przestrzedz — nie dała, na znak milczenia  
Do ust palce przyłożyła  
I tak błagalnem spojrzeniem patrzyła,  
Że cóż? wy najlepiej wiecie,  
Ja ojciec, nie kamień przeciel  
Na prośbę tego spojrzenia  
Sambym się do wody cisnął,  
Więc też zamilkłem — a ona  
Znow się wsparła pochylona  
I wzrok jej nad wodą zawisnął.  
Potem zaczęła coś sama do siebie  
Dziwnemi gadać słowami —



Że my płyniem obłokami  
Po złote słońce na niebie;  
Że dna jeziora, to światy inne,  
Że tam są lasy, góry, doliny,  
Że rybki zwinne  
Są lotne ptaki  
Owej nieznannej krainy,  
A drobne muszelki  
To zwierząt rodzaj wszelki,  
A ludźmi tam są — ślimaki.  
I tak się w różne, w różne rozgadała czary,  
Że ja oto, ja stary,  
Słuchałem jej, jak dziecko, które niańka pieści.  
O zaklętych księżniczkach nieznannej powieści  
Słucha okiem i uchem. Ale niedość na tem:  
Wyciągam nakoniec sieci,  
Patrzę, ryb dużo; w odzieniu bogatem  
Karp złotą łuską świeci,  
I król szczupak sążnisty, ciemno centkowany,  
I lin w tęczową sukienkę ubrany,  
I srebrnych płotek i okoni roje —  
Aż w ręcem klasnął, wszystko było mojej  
Więc składał na brzeg — ta pusta dziewczyna  
Wysiada z czołna i zostaje z niemi;  
Ja odpłynąłem — nie wyszła godzina,  
Znowu przybijam z drugimi.  
Gdzie pierwsze były? pierwszych tylko ślady  
Zielsko i wilgoć na ziemi,  
Bo zresztą z całej gromady  
Nawet i płoteczka mała  
Ani jedna nie została.  
Żal serce ścisnął — pytam się, co znowu  
Zrobiła z mego połowu?  
A ona ręce obiedwie składa  
I tym głosem odpowiada,  
Co tak dźwiękiem w sercu płynie,  
Jak szmer wody po dolinie,  
Jak śpiew ptasząt w chłodnym gaju,  
Jak pieśń duchów w jasnym raju:

— „Przebacz, przebacz, ojczy miły,  
Wszystkie rybki tak tęskniły  
Że mnie litość zdjęła rzewna;  
Och! tak tęskni, jestem pewna,  
Za rosą kwiatek, za piosnką echo,  
Smutny za jednej łezki pociechą,  
Starzec za niebem za szczęściem młody,  
A świat cały za nadzieją.

Och! przebacz, ojczy, ja też koleją,  
Wszystkie rzuciłam do wody!“  
Cóż było mówić? — może o głodzie,  
O nędzy naszej, o marnym zysku?  
Lecz ryby dawno po szklanej wodzie  
Pluskały sobie wesoło,  
A to zepsute dziecko swe czoło  
Do ust mi niosło w uścisku.  
Nic też nie rzekłem — tylko jak zawsze,  
Jak ciągle myślę, tak wtedy  
Myślałem także strapiony,  
Czy będzie kiedyś wśród naszej biedy  
Ów anioł z nieba rzucony  
Miał od nas losy łaskawsze?“

I zamilkł ojciec — matka westchnęła  
Gorzkiem, stłumionem westchnieniem,  
I wywołana trwogą, czy wspomnieniem,  
Łza po jej twarzy spłynęła.

„O szczęście—rzecze—trudno na tym świecie  
Każdemu z ludzi, jednak nasze dziecię —  
Wszak prawda, mężu? — córka nasza droga  
Tak piękna, dobra i tak kocha Boga,  
Że choćby nawet... choćby nad jej głową  
Przekleństwa słowo

Groźbą ciężyło straszliwą...

Ona musi być szczęśliwą!“

I zwrócona ku stronie, kędy malowany  
Wizerunek Maryi w paciorki przybrany  
Złotą suknią z małego promienia ołtarza,  
Jakby w odpowiedź na myśl swą lękliwą

Jeszcze raz biedna rybaczka powtarza,  
„Ona musi być szczęśliwą!“  
Wtem lekko drzwi skrzypnęły i młoda dziewczica  
Powoli weszła do chaty,  
Takie kształty powiewne, takie cudne lica  
I takie woniejące w rękę niosła kwiaty,  
I była w taką białą szatę przyodziana,  
I tak się w izbie od niej stało piękniej, jaśniej.  
Ze tylko przed nią jej rodzice własni  
Mogli nie paść na kolana.  
— „Dawno cię już czekamy—rzekł ojciec łagodnie—  
Choć noc piękna. wiatr wieje, zziębłaś niezawodnie.  
Pójdź do ognia, Liliol!“ — i powstał z siedzenia,  
Które sam przy kominie z robotą zajmował,  
Lekko ją w białe czoło pocałował  
I patrzył okiem pełnem zachwycenia.  
Kiedy ona w pokorze na tkliwą podziękę  
Do ust kościstą jego przyciskała rękę;  
Matka tymczasem skromną wieczerzę zastawia,  
Ale śliczna Lilia obojgu odmawia.

— „Ni mnie zimno, ni ja głodna,  
Matko moja, ojczy mój,  
Twarz księżycy tak pogodna,  
W górach taki czysty źródło,  
Ze mi ciepło od promieni,  
Ze mi rzeźwo od strumieni,  
Od strumieni przejrzystych,  
Od promieni srebrzystych.  
Niech nie smuci ojca, matki,  
Ze dziś wracam do ich chatki  
W tak spóźnionej porze,  
Bo to jutro Ciało Boże,  
A ja do kościoła  
Najwonnejsze rwałam zioła,  
Najbarwniejsze kwiatki.“

To rzekłszy, przy Maryi ołtarzu klęknęła  
I piękne równianki układać zaczęła.

I z każdym kwiateczkiem coś mówi koleją,  
A ojciec i matka na ławie dębowej  
W milczeniu tej dziwnej słuchają rozmowy  
I nawet pytaniem przerwać jej nie śmieją.

— „Moje kwiateczki! moje kochane!  
Jakie wy lica macie powabne!  
Jakie pięknie malowane  
Sukienki jedwabne!

„Och ja z wami — jak z siostrami  
Kocham się i znam,  
Ja zwyczaje i wspomnienia,  
Ja rozkosze i cierpienia  
Opowiedzieć mogę wam.

„Ot, ten haber, to przez pola  
Biegł anioł uroczy,  
A gdzie spojrział, kwitła rola  
Kwiatkami ślicznymi;  
Prześlicznymi, bo modremi  
Jak anioła oczy.

„Ta przyłaszczka drobna, biała,  
Znam ją dobrze, ona spała  
Lekkim śniegu płateczkiem,  
Aż do zimy spała końca.  
Dopiero ją promień słońca  
Obudził kwiateczkiem.

„Lecz już czasu nie starczyło,  
By ją słońce zrumieniło:  
Zawsze taka wybladła,  
Zawsze w cieniu tak drzymie,  
Jako dawniej, gdy w zimie,  
Martwym szronem upadła.

„Nieśmiertelnik mój złoty!  
Wiem ja także, dlaczego

Przejdą burze i słoty,  
Przejdą wichry jesieni,  
Mrozy, lody, a jego  
Nic listeczków nie zmieni.

„Bo to dawno już było;  
Tyle gwiazd raz świeciło,  
Że gdy między niemi  
Wionął wietrzyk skrzydlaty,  
Jako strząsa drzew kwiaty,  
Tak ich strząsnął promyki  
I rozsiał po ziemi.

„Z rozsianych każdą wiosną  
Złote kwiateczki rosną,  
Złote nieśmiertelniki!  
W nich trwałości zjawisko,  
Bo jakże zwiędnąć mają  
One, co pamiętają,  
Że były Boga blisko!...“

Tutaj na chwilę zamilkła dziewica;  
Jak słońce srebrną chmurą, smutkiem zaszyły lica,  
Wzięła do ręki jakieś ziele nowe,  
Długo je, długo trzymała,  
I długo, długo dumiała,  
Niby tajemną listków rozważając mowę—  
Nakoniec rzekła:  
„Och! to dziwne ziele!  
Na pustkowiach wśród cmentarzy  
Rośnie go bardzo wiele,  
I nieraz mi się zdarzy  
Zerwać je do równianki, albo wpleść do wianka.  
Lecz zaraz wtedy cięży na piersiach równianka,  
Zaraz pod wieńcem każda myśl wesola,  
Jak ptak spłoszony, ucieka mi z czoła.  
To dziwne ziele, gorzkie i w wiecznej żałobie,  
Na każdym miejscu się rodzi,



Ale gdzie tęskno, głucho, samotnie,

Tam ono stokrotnie

Bujniej i żyźniej wschodzi,

A najbujniej, najżyźniej—na człowieka grobie.

To dziwne ziele! pieśń jego słyszałam,

I chociaż wszystkie słowa spamiętałam,

Ja nie wiem co ta pieśń znaczy:

„Od ufności ku rozpacz

„Życie ludzkie płynie —

„Od piękności ku zniszczeniu,

„Idzie wszystko w przyrodzeniu,

„A potem jedynie

„Na zwaliskach i na grobie

„Ja piołun rosę sobie.

„Bo mnie tak posiał anioł żaloby

„Między zwaliska i między groby,

„Ach! gorzkim posiał nasieniem:

„Garścią popiołu. co się została

„Z ludzkiego serca, z ludzkiego ciała,

„Gdy się to serce, gdy się to ciało

„Długą tęsknotą, długim cierpieniem

„W proch rozsypało.“

Och nie — ja słów tych wcale nie pojmuję,

Tylko w głębi duszy czuję

Coś, jakgdybym rodziców przy sobie nie miała,

Coś, jakgdybym nad sobą Nieba nie widziała.

To takie smutne, takie brzydkie ziele!

A jednak nie chcę go rzucić;

Razem z innemi w kościele

Na Pańskie ołtarze

Złożę je w darze;

Jemu tam lepiej będzie,

Bo choć smutek gorzki wszędzie,

Słodko to czasem przed Bogiem się smucić!

„A teraz pójdz dla ciemnych myśli rozjaśnienia,

Pójdz tutaj, biały kwiecie mojego imienia

I ty z nim, równie biała.

Moja konwalio mała.

Wolę dźwięk waszej pieśni, wolę barwę szaty  
Nad krasnej róży wdzięki,  
Nad wszystkie w świecie dźwięki,  
Chociaż i wy żaloby i wy śmierci kwiaty.  
Lecz cóż to za różnica!  
Gdy umiera dziewica.  
Dziewica siostra anioła —  
Jak gromnice przy pogrzebie,  
Złote gwiazdy na niebie,  
Świecą jej dokoła,  
A nad szklistym strumieniem  
Lilija biało ubrana,  
Lilija niepokalana  
Kapłanka rodzinnych błoni,  
Modli się za nią żałobnem pieniem,  
A konwalia modlitwie dzwoni  
W swoje wonne i czyste  
Dzwoneczki srebrzyste!...

Ach, gdyby to już dla mnie lilija nuciła!  
Ach, gdyby konwalia już dla mnie dzwoniła!..  
To musi być tak miło, tak błogo, radośnie,  
Umrzec w samej życia wiosnie!  
Wszak prawda, matko?“

I podniósłszy czoło,  
W oczy swej matce spojrziała wesoło.  
Biedna rybaczka! łza jej na twarz ściekła,  
Nim drżącym głosem Lilii odrzekła:  
„Być może — nie wiem — nie wiem, moje dziecię;  
Ja dawno już żyję przecie,  
A czy zła, czy dobra dola,  
Nie sędzę duchem uboga,  
Tylko się modłę do Boga,  
Niechaj będzie Jego wola.  
I ty, Lilijo módl się, módl szczerze.  
Oto właśnie w tej godzinie  
W samą północ księżyc płynie  
Czas na wieczorne pacierze.“  
Lilija wstała i bliżej okienka  
Cicho, pokornie klęknęła,

Głośno „Ojcze nasz“ mówić zaczęła,  
A jej biała sukienka  
Księżycem świeci, jak duchów szaty,  
A wkoło przy niej rozsiane kwiaty,  
Jak przed Maryi obrazem.  
Ojciec i matka klęczą z nią razem,  
Z nią razem mówią pacierze,  
„Zdrowaś Marya“ i „Wierzę,“  
Ale już oni dawno skończyli,  
Boga westchnieniem,  
Ją uściśnieniem  
Ostatniem pobłogosławili,  
A ona ciągle klęczy przy okienku:  
Głowę na białem oparła rękę,  
Oczy w niebie utopiła  
I długo jeszcze, długo się modliła  
Swoją modlitwą — swej duszy pieniem,  
Poezyą i zachwyceniem!

---

## NIEPEWNOŚĆ.

---

Powiedz, dziewczę, co przyczyną,  
Że łzy z oczu twoich płyną?  
Gdy skowronki w chmurach dzwonią,  
Gdy oddychasz kwiatów wonią,  
Gdy pogodę masz na niebie  
A kochanka obok ciebie?  
Powiedz, dziewczę, co przyczyną  
Że łzy z oczu twoich płyną?  
„Ach ja płacę, bom widziała,  
Że niech tylko zima biała  
Dmuchnie szronem na dni lata,  
Skowroneczek wnet odlata.

Ach! ja płaczę, bom widziała,  
Ilem razy kwiatki rwała,  
Że kwiat każdy w mojej dłoni  
Wiął bez barwy i bez woni.  
Ach! ja płaczę, bom widziała,  
Gdy się zorza uśmiechała  
Dnia pogody obietnicą,  
To zaświsnął wiatr ponury,  
Przywiał zdała ciemne chmury  
I pioruny z nawałnicą! —  
Czyż tak będzie wiek radosny  
I me szczęście i kochanek,  
Jak skowronki. jak kwiat wiosny  
Jak pięknego dnia poranek?

---

## P E W N O Ś Ć.

---

Ludzie, ludzie, wy nie wiecie,  
Że jest szczęście na tym świecie:  
Patrzeć w niebo, gonić okiem  
Za gwiazdeczką, za obłokiem,  
Słuchać pieśni, którą śpiewa  
Naszej duszy duch przyrody,  
W głosie ptasząt, w dźwięku wody,  
W szeleszczących listkach drzewa;  
I nawzajem wysnuć z siebie  
Pieśń piękniejszą, pieśń marzenia,  
O aniołach i o niebie.  
I w szlachetne uderzenia  
Wybić wszystkie serca bicia,  
I żyć pełnią swego życia,  
Mieć za sobą lat niewiele,  
Mieć przed sobą szczęścia wieki,

W sobie duszę, która śmieie  
Dąży w przyszłość, w kraj daleki,  
W kraj z pięknnością i swobodą —  
Snem miłości, czucia, wiary  
Kochać, wierzyć, czuć bez miary,  
Być kochaną, umrzeć młodą...  
Ludzie, ludzie, czyż nie wiecie,  
Że to szczęściem jest na świecie?

---

## ZNUDZONY.

---

Ach! oddam ucztę szaloną,  
Gdzie mnie wśród pienia wesela  
Towarzyszy liczne grono,  
Zwie imieniem przyjaciela;  
Oddam szacunek i względy  
Tych, co piastują urzędy,  
Mędrców których dusze stałe  
Strzegą prawdy bez bojaźni,  
I artystów których cenię  
Życie ze mną poufałe.  
I przyjaźń samą wymienię  
Za pierwszą myśl o przyjaźni!

Ach! oddam Emmy pieśszczoty,  
Z włosów Hanny pierścień złoty,  
Dumnej Celiny spojrzenie,  
Żywą Heleny rozmowę,  
Nawet Anieli westchnienie,  
Gdy nieśmiała, kryjąc głowę,  
Drżąca ścisła moje ręce...  
Tysiąca kobiet grzeczności,  
Ach, miłość samą poświęcę  
Za pierwszą myśl o miłości.



Oddam moje dobre czyny,  
Z wielkich bogactw zysk jedyny,  
Łzy które pocierałem,  
Ubogich, co powspierałem,  
Cichą modlitwę nędzarza  
W której me imię powtarza,  
I dla dobra innych ludzi  
Z hojnością rzucać krocie;  
Oddam wszystko — niech się zbudzi  
Moja pierwsza myśl o cnocie!

Oddam zamek mój bogaty,  
Haftami ozdobne szaty,  
Od złota szklnięce pokoje.  
Srebra, lustra, lampy moje,  
Których pierś alabastrowa  
Woniejący ogień chowa,  
I sług mnogich pełne sienie,  
I z atłasu miękkie łoże  
Na którym spocząć tak mile...  
Wszystko oddam, wszystko złożę  
Za pierwszą młodości chwilę.

---

## ZAGADNIENIE.

---

Przy świetle lampy siedziała zamysłona, piękna, zaledwie dwadzieścia lat mogąca mieć osoba. Czy to nierówne połyski jasności, czy odbicia wewnętrznej walki przebiegały jej lica, lecz chociaż bez ruchu, ze złożonemi jak do modlitwy rękoma, z wzrokiem w ziemię utkwionym, więcej ona była do posągu, niż do żyjącej podobna istoty, przecież i najslawniejszy malarz nie byłby się w tej chwili odważył na martwe płótno jej zmieniającego się ciągle przenieść oblicza. To jakaś dziwna surowość przedwczesnej starości zachmurzała biały marmur jej czoła, to znów cała twarz promieniała anielskim dziecinnej radości wyrazem; to blada i obojętna, uśmiechała się dumnym, szyderyczym uśmiechem, a chociaż nie podnosiła głowy, znać było, że wysoką myślą sięga, że jednym objawem marzenia świat sobie cały rzuciła pod nogi: to znów pierś jej mimowolne rozdzierało westchnienie, a źrenica lżą kryształila, jak dyament promieniem słońca. Nakoniec prędkim ruchem powstała z kanapy, odsunęła stolik i krok jeden ku tej stronie zrobiła, gdzie na mahoniowym biurku welinowy, biały półarkuszek papieru przy dwóch zapalonych świecach ją czekał—ale potem

stała znowu i znowu myślała... aż wyciągnęła rękę przed siebie, a przed nią na stoliku dwa listy leżały, jak widać było, niedawno przeczytane, jak widać było, główne przyczyny tej niepewności, tych długich rozmyślań. Losowi się powierzając, wzięła jeden z nich, na dawne miejsce wróciła i piękne jej czarne oczy po następujących wyrazach biegły blaskami i szybkością błyskawicy:

„Nim ten list odważyłam się napisać, Ludwino, poszedłem na grób mojej matki i modliłem się do jej ducha, żeby, jak mi raz jedyny nad grobem błogosławiła, tak teraz zpoza grobu jedyne szczęście wyżebrała od Boga dla niemowlęciem opuszczonego syna. Ludwino, ja cię kocham! — już nie pierwszy raz te słowa z mego serca ku twej duszy idą; masz je we wszystkich wspomnieniach tak niedawnej przeszłości, a jeśli ich świat nie zgłuszył, odezwą się one echem na każdą myśl twoją biegnącą w przyszłość za miłości marzeniem — Ludwino! jednakże ja przychodzę raz jeszcze powtórzyć je tobie, powtórzyć głosem młodzieńca, z mężką pewnością, te prawie dziecinnymi usty wyjąkane słowa: „Kocham cię!“ — Och! nim wypowiem ile nadziei, ile długich lat szczęścia, ile mojej najczystszej istności w nich zamknąłem, pozwól, pozwól, moja Ludwino, niech się popieszczę najpierw każdym wspomnieniem, każdą pamiątką ubiegłego czasu. Przyszłość ty masz w swoim ręku, ale to co było, jest we mnie, w moim sercu, tego mi nikt nie wydrze. Ludwino! ty sama nie odważyłabyś się powiedzieć mi: „Zapomnij!“ — Ludwino! i ty nie zapomnisz, nie zapomnisz, żeś była aniołem światłości, czystą gwiazdą na zachmurzonym niebie ubogiego sieroty! Nie zapomnisz, jak dobra, dobrocią siostry pierwsza zbliżyłaś się do mnie i w wesołe igraszki szczęśliwszych dzieci wciągnęła — jak potem stałaś się moją opiekunką, nauczycielką prawie, bo od ciebie tylko przyjmowałem rady, twojej tylko ja, niekarny chłopiec, bałem się nagany. Czy pamiętasz, Ludwino, kiedy inni szydzieli z mojej posępności, jak ty jedna ujmo-

wałaś się za smutnym Henrykiem? a później, jeśliśmy sami zostali, mawiałaś tym dźwięcznym, słodkim głosem, który dotąd najczystsza muzyką gra we wszystkich łagodnych i wzniosłych duszy mojej wzruszeniach: „Bądź wesołym, Henryku, wkoło ciebie wszyscy są szczęśliwi, czemu zawsze samolubną troską od ich radości odbijać? Bądź wesołym przez dobroć serca, przez szlachetność, żebyś przyjaciół swoich nie zasmucał” — i wtenczas dłoń twoja, w mojej dłoni ujęta, spoczywała z ufnością, i wtenczas ja płakałam, a łez moich za najweselsze śmiechy wszystkich szczęśliwych nie byłbym pomieniał. Ludwino, czy pamiętasz te białe konwalii równianki, których woń tak lubiłaś? Codzień przed wschodem słońca chodziłem daleko, żeby ci ich własną ręką zbierać. Czasem jaka wiejska dziewczyna spotkała mnie w drodze, a niosąc także bukiety na sprzedaż, prosiła, żeby jeden z nich nabyć — ja dawałem pieniądze, ale nie brałem bukietu, bo ja byłem zazdrosny, gdy cudzą ręką uszczknięty kwiatek na piersi twojej spoczywał. Raz pamiętam, Helena, owa towarzyszka twych nauk i zabaw, której z duszy nie cierpiałem, bo najczęściej między nas czy żart obojętny, czy szydercze słowo rzuciła. Helena koniecznie się napała twego bukietu konwalii, a ty, nieumiejąca wtedy żadnej prośbie odmówić, dałaś jej go nakoniec. Cały dzień byłem smutny; łzy, które gwałtem wstrzymywałem, żeby zpod czoła na twarz mi nie wypłynęły, gorzkimi kroplami spadały mi do serca, bo ja, tego dnia właśnie najwięcej mając do czynienia, obudziłem się raniej od pierwszego brzasku zorzy, a chociaż byłaś ostatnim snem moim, chociaż nad zaspanemi oczami w złote trzepotałaś skrzydełka i białemi rączkami od ust mi słałaś całunki, które ja na moich wargach jak gorące ozułem iskry — wyrwałem się przecież nawet temu złudzeniu, żeby codziennej nie uchybić dani-ny. Kiedym już zrobił równiankę z najczystszych, niepokalanych kwiateczków, przyszła mi myśl szalona, by każdy z nich ucałować, a że pierwej zraniłem rękę, czepiając się drzewa świętego nad brzegiem strumie-



nia, przy którym rosła konwalia, wysączyłem wszystką krew z rany do środka i pełną tajemnic połem się rozkoszą. że te kwiatki, te całunki, że krew ta przy twojem sercu spoczna na dzień cały. A tu właśnie ten bukiet dostał się Helenie! Ty, Ludwino, o żadnej prawdzie nie wiedząc, jakbyś pojmowała jednak całą rozciągłość mego nieszczęścia, byłaś dla mnie jeszcze uprzejmiejszą, jeszcze lepszą niż codzien — przecież i ty sama wtedy nie mogłaś mnie pocieszyć. Cierpiałem, jakby przecuciem, że mnie, podobnie do mego bukietu, obojętne względy z twojem sercem rozłączają. Nareszcie jakąś anielską myślą niebo cię natchnęło. Kiedy wszyscy chodziliśmy po ogrodzie, zerwałaś ciemny kwiatek skabiozy i zaczęłaś się nim bawić nieznacznie, i do ust go zbliżyłaś, i choć nikt nie widział, ja widziałem, żeś go pocałowała długim, rzewnym pocałunkiem — „To smutny kwiatek — rzekłaś potem — ja smutku nie lubię“ -- i z uśmiechem ku mnie go rzuciłaś, Ludwino! Już sześć lat od tej chwili minęło, a do dzisiaj zwiędły kwiatek skabiozy na mojem sercu leży i codzien moje usta witają go wspomnieniem, żegnają nadzieją! Och! to niedość jeszcze -- ja mam większy jeszcze twej przychylności zakład. Czy pamiętasz ów dzień rozstania, kiedyśmy się przed kaplicą Maryi żegnali w ogrodzie? Był to dzień pogodny, jasny, a zimny luty porozwieszał na bezlistnych drzew gałązkach srebrne koronki skryształonego szronu. Miałem się oddalić bez wsparcia, bez chętnej opieki, sam jeden z odwagą w duszy, z myślą o tobie w sercu. Jużeśmy się pożegnali w przytomności twego ojca, twoich braci, co mi przez lat tyle współuczniami byli. Odjechałem — lecz na skrawku ogrodu mignęła mi czerwonym dachem mała kapliczka Najświętszej Panny, przy której tak często w lecie niepostrzeżony patrzyłem na ciebie klęczącą i do ciebie modlącą się najgorętszą moją odmawiałem modlitwę. W jednej chwili byłem przy niej, klęknąłem na śniegu i łzy moje obficie na ten martwy spłynęły kobierzec. Zapewne był jakiś mistyczny, niepojęty związek między duszami na-



szemi, gdyż w chwil parę i ty przybiegłaś tam. śliczna, płonąca mroźnem powietrzem, jasna przejrzystymi dyamentami, co ci z oczu mimo wiedzy na lica się toczyły. Nie zdziwiłaś się nawet, widząc mnie jeszcze przed sobą — nie, ty wiedziałaś że ja tam muszę na ciebie czekać, że mi jeszcze jedno twoje słowo na długie lata rozstania do męztwa potrzebne. Żadna myśl rozwagi, żaden wyraz pytający nie skrępował, nie ściał lodem pierwszej chwili uniesienia. Obie ręce mnie klęczącemu zarzuciłaś na szyję. „Henryku— wołałaś — żegnaj, mój Henryku!“ — a potem, rozgarniając włosy, które mi na czoło spadały: „Żegnaj, bądź szczęśliwym!“ — do dałaś, i pochylając się nademną, pierwszy, jedyny mi na skroni złożyłaś całunek. Ten całunek, Ludwino, ja go noszę na czole. Sześć lat minęło, ja z chłopca na młodzieńca wzrosłem; wielkich miast zepsucie i przykład towarzyszy nęciły moje niedoświadczenie ku nowym wrażeniom, ku nieznanemu szczęściu, a jednak, Ludwino, ja ci na pamięć mojej matki przysięgam -- żadnej kobiety usta nie starły tego świętego pierwszej miłości chryzmatu. Tylko teraz niedawno, gdym ukończył ostatnie nauki, zrobił wszystkie na podróż dalszego życia przybory, poszedłem ostatnią dzięki uczcić mistrza, który mi słowem swoim ducha w poznaniu prawdy kierował. Kiedym przyszedł do niego, przyjął mnie obojętnie, choć się dowiedział, że to ma być ostatnie nasze widzenie, spokojnie mówił ze mną o ludziach i świecie; dawał nawiasowe rady względem powołania, któremu się chciałem poświęcić, rozbierał moje zdolności, mój charakter, moje popędy i uczucia, jak wprawny anatom trupa rozbiera, i zdawało się, że to czyni nie z zajęcia się moim losem, nie z serca, lecz jedynie przez zwyczaj, lub dla zaspokojenia własnego sumienia—jednakże, gdy ostatnim pokłonem schyliłem się przed nim, blade, wychudłe oblicze mistrza zaświeciło jakąś niezwykłą tkliwością, w obie swoje kościste ręce ujął moją głowę i przeciągłe we mnie zatapiając spojrzenie: „jest przyszłość, jest przyszłość w tem czole!“ — rzekł nakoniec— a potem, jak ty niegdyś, Lu-

dwino, pochylił się nademną i drżące jego usta ojcowskim uściskiem obdarzyły sierotę. Na całe życie moje mam tylko te dwa pocałowania — te dwa wspomnienia. Czysta dziewica, która mi promieniami anioła rajski świat czucia rozświetliła — i ów starzec, który śladami swemi w krainę ducha mnie powiódł.

Ludwino! powiedz czy się ziści starca prorocstwo? czy jest przyszłość dla mnie? Biedne dziecię, kochając mnie dawniej, może nie pomyślałaś nawet, że na wieki wieków duszę moją do twej duszy przykuwasz. Tobie, szczęśliwej, może tylko byłem jednym szczęściem więcej w wesołym życiu i rzucałaś mi anielskie uśmiechy, boskie spojrzenia, słowa upajające szaleństwem, nie troszcząc się nawet, w co się one obróćą — a one wszystkie, Ludwino, padły mi w serce, jak ziarno ewangeliczne w grunt żyzny, dziewiczy, i wzrosły bujnym drzewem, na którego gałęziach ptacy niebiescy gniazda sobie ścielą, a mnie dalekiemu od ciebie miarą światowego towarzystwa, mnie, ciągle o niepodobnych śpiewają nadziejach. Ludwino, straciłem tak wczesnie rodziców, że nawet nie pamiętam ostatniego mojej matki uścisku, i czczę ją raczej, jako wyraz tłumaczący najwznioślejsze powołanie tej płci, do której ty należysz, niż jako ludzką, żyjącą niegdyś istotę. Prócz ciebie więc jednej nie kochałem nigdy nikogo: ani siostry, ani przyjaciela. Ty mi jesteś wszystkim co było, wszystkim co będzie. Ludwino, ja też przychodzę do ciebie z ufnością, z prostotą dziecięcia. Ludwino, powiedz, co zrobisz z przyszłością moją? Tak długi przeciąg czasu nas rozdzielił, tak mało cię widziałem od powtórnego spotkania, a tak mi cudnie z tkliwej dziewczynki w pełną powagi zmieniłaś się dziewicę, że ledwo śmiem odwołać się do moich pamiętek, kiedy cię mam o los reszty mego życia zapytać. Słyszałem mówiących o tobie, żeś dumna i pogardliwa, że wielu starało się o twoją rękę, a ty wielu odrzuciłaś, nie mogąc znaleźć godnego siebie urodzeniem, stopniem, majątkiem — jednakże ja szalony, Ludwino, ja szalony, uradowałem się na te wieści

i tajemniczego ich znaczenia we własnem sercu szukałem. Ja nic nie mam, tylko myśl w głowie, ręce chętne do pracy i odwagę w duszy, a ja ci powiem, Ludwino, bądź żoną moją! — odstąp braciom twojego posagu. nie chcę pieniędzy, nie chcę, żebyś na wieki ze mną złączona, miała jaką wygodę, jaką przyjemność, któraby nie odemnie pochodziła — bo zazdrościłbym, jak dawniej zazdrościłem, gdy obcą ręką zerwany kwiatek do sukienki przypięłaś. Ludwino, bądź żoną moją! Ludzie mówią, że bóstwo tylko szczęściem rozrządzać może, ty mnie uczyn szczęśliwym! Ty bądź bóstwem mojem! Nie mam tytułów, bogactw, wielkości światowych, żeby w nie tę modlitwę miłości oprawić, ale mam nieskończone, bezmierne jak wieczność w sercu mojem uczucie, mam zeschnięty kwiatek skabiozy, mam na czole twoje pocałowanie, Ludwino, i dlatego raz jeszcze wołam do ciebie z bojaźnią, lecz i z nadzieją także: Bądź żoną moją! Bądź żoną

*Henryka.*“

Już od chwil kilku na ostatniem słowie zawisły czytającej oczy, a jeszcze nie wypuściła z rąk szeleszczącego jej mimowolnem drżeniem papieru — na drugiej dłoni oparła ciężkie myslami czoło, i dopiero kiedy alabastrowy zegar zponad komina dziesiątą odezwał się godziną, jakby zbudzona jego dźwiękiem, wolno złożyła przed sobą przeczytane pismo i wolniej jeszcze po drugi list sięgnęła.

Była to mała, uwoniona, ślniąca złotem i gotyckimi ozdobami karteczka, a na niej śmiała, pewna samej siebie ręka mężczyzny następujące skreśliła wyrazy:

„Ojciec pani już nieraz nazwał mnie słodkiem syna swego imieniem i bracia jej. wiem oddawna, że mnie z radością za trzeciego przyjąliby w rodzinne grono, lecz nie chcę ani posłuszeństwu córki, ani uczuciom siostry szczęścia swego zawdzięczać. W jej własne ręce los mój składam i o wyrok proszę. Do-

tychczas ja przez kobiety. ty, pani, przez mężczyzn byliśmy oboje zarówno zepsuci. Łatwość naszych powodzeń zachowała nas może i zbliżyła jedno do drugiego. Niech się pani nie zdaje, żebym ja oddawna nie rozumiał trwającej między nami walki. Znam siebie, więc i panią znam doskonale. Były to dwie próżności biorące się w zapasy, dwie towarzyskie potęgi, z których jedna musiała koniecznie drugiej ustąpić. Przyznaj pani sama, że odważnie dotrzymałem kroku w każdym spotkaniu, a jeśli teraz broń składam i za zwyciężonego się uznaję, to zaiste nie z braku męstwa lub sił do dalszego boju, lecz jako starszy wiekiem, jako mężczyzna, pierwszy na rozsądkowej szali zważyłem czczość takiego postępowania. I na cóż się przyda najpiękniejszy czas życia marnować na dziecinne przebiegi, by światu pokazać, że jedno z nas mniej ma w sercu czułości? Przyznaję pani wygraną: nie kochasz mnie jeszcze, a ja kocham ją szczerze, prawdziwie, jak już nie myślałem, że będę mógł kochać kiedy. Wprawdzie gdybym chciał, możebym na długo potrafił ukryć tę tajemnicę, a panią i patrzących w niepewności bez końca utrzymywać, ale czemuż dobrowolnie ten czas przyszedłemu kraść szczęściu? Wszelkie towarzyskie stosunki łączą nas z sobą; jeśli czem nawet hojniej los mnie obdarzył, to z tem większą radością w ofierze jej składam. Pani, jam ci nawet próżność moją poświęcił. Ile jest szczęścia rojonego w kobiecych głowach, ile fantazyi w najdziwaczniejszych wyobrażeniach, tylebym ich chciał widzieć w życzeniach twoich, pani, żebym mógł wszystkie odrazu, choćby z narażeniem życia mojego, spełnić. Niech cię widzę królową paryskich salonów, niech duma twoja ściera dumę albiońskich wyspiarek, niech cię pieści słodkie Włoch powietrze, niech Wschód wszystkimi wymysłami zbytku swego otoczy — ja będę, pani, sługą twoim, będę szedł przed tobą, żebym ci wszystkie zaczarowane otwierał pałace, żebym kwiatami słał wszystkie ścieżki twego życia. Pani, rzeknij słowo: czy chcesz



być takim szczęściem szczęśliwą — czy przyjmiesz imię i serce

*Augusta.*“

Na pieczętce była hrabiowska korona.

Ludwina odwróciła list i chwil parę patrzyła na nią, potem, jak gdyby już sama z sobą ostateczne wzięła postanowienie, zgasiła lampę. żeby na leżące listy żadnego nie rzuciła światła, pewnym krokiem poszła do stolika, na którym ją ów biały papier i dwie zapalone świece czekały — siadła — a co na obadwa listy odpisała... zgadnijcie.

Czyż nie dosyć danych jest wyrazów: dwudziestoletnia piękna kobieta, jej dawny z całą świętością pierwotnych uczuć wybrany kochanek, lecz dziś ubogi, poczynający swój zawód młodzian, i hrabia bogaty, zwyciężony zalotnością, współzawodnik towarzyskich tryumfów? Pierwszy prosi o szczęście — drugi je obiecuje. Czyż to nie dosyć? Zgadujcie.

Według własnego usposobienia, według własnych wyobrażeń o sercu kobiety, niech każdy kończy tę powieść, ja do wszystkich mówię: Zgadujcie.

A czemu sama nie skończyłam? Czy mi wyobraźni na rozgmatwanie usnutego wątku zabrakło, czy znalazłam tę powieść w jakiej starej książce, z której resztę kart wydarto, czy ją przez perspektywę przyjaźni w sercu jakiej znajomej czytałam, gdy nagle szkiełka z obu stron się zaciemniły — czy przez nią dla kogo rady proszę? Zgadnijcie.

Ja się z podpisanego tytułu wywiązałam.



## CAPRICCIO.

Kiedym w Warszawie była, zdarzyło się, że jeden uczony, bardzo szanowny i bardzo szanowany przezemnie człowiek, nadzwyczaj dziwne przełożył mi żądanie. Skarżył on się na zbytek poważnych we wszystkich pismach rozpraw i prosił mię, ale to wyraźnie prosił, żebym coś mniej rozumnego napisała. W przełocie pustej wesołości, taką prośbą zbudzonej, przyrzekłam święcie, że woli jego zadosyć uczynię, bo cóż łatwiejszego napozór, jak nierozumne pisać rzeczy — ale potem z dotrzymaniem słowa w niemałym byłam kłopotcie. Umyślnie wybrać nierozum trudniejsze to, niż się zdaje. Co jest rozumem? co nierozumem? albow o tem z pewnością najwięksi mędracy wiedzą? A jeszcze jak brać te określniki, światowo, czy ewangelicznie, według opinii, czy według własnego przekonania? — kształtem żartu, czy smutną prawdą? W podobnych namysłach czas mi schodził, schodził, biegł — i nareszcie tak zapomniano o mojem przyrzeczeniu, jak ja o niem zapomniałam, kiedy niedawno, wśród kilku dobrych znajomych, jakoś z rozmowy wspomnieć mi o tem wypadło. Przyznałam się ze szczerością do długich wahań i nieumiejętności wyboru, a tu śmiechy

dokoła — to że mi już w XIX-ym wieku o niedorzeczności trudno, to że przy błogosławionem urządzeniu społeczeństwa głupstw mi jest zamało pewnie. to że ja chciałam nowy ich rodzaj, oryginalny i świeży jak dziennik mód paryskich wymyśleć. to już nie wiem ile tam nie nakrzyżowało się sarkastycznych i wesołych wyrazów, a nikt w myśl moję wejść nie chciał — nakoniec w pół gniewna, w pół rozśmieszona tak się do nich odezwałam:

— A więc. o moje drogie. kiedy wam się to здаje takie łatwe, największą wyświadczycie mi przysługę, powiedźcie mi tylko co nierozumnego. ale to zupełnie, prawdziwie bardzo nierozumnego.

— Ja ci powiem coś o panu Alfonsie — zawołała najpierw Bronisława. złośliwa czasem, wesoła często, dobra zawsze, nieodrodne krakowskiej ziemi dziecię.

— Na nic mi się nie przyda — odpowiedziałam. — Pan Alfons jest tylko tak nierozumny, jak wielu innych: odzywa się najczęściej złą francuzczyzną, udaje pana, gra w karty. możnaby go chemicznie rozłożyć na frak modny, lakierowane buty, wiedeński koczyk i paryskie rękawiczki, a po tem rozłożeniu otrzymać doskonałą próżnię. Och! nie, moja Bronisiu, on nawet w nierozumie najwyższego nie ma stopnia i ostatecznej jest pozbawiony konsekwencyi. On się nawet nie zda na temat do jednoaktowej komedyjki.

— No, kiedy chcesz tematów, to ja ci mogę filozoficzną rozprawą służyć — rzekła wtedy Józia, słiczna blondynka, co najpiękniej długi warkocz spleta, najfantastyczniej ciasną przepaskę w staniku upina i najzgrabniej mazurka tańczy.

— Ty, Józiu? cha! słucham niecierpliwie i przyznam ci się, że mam wielką nadzieję usłyszeć pożądane... ach, przepraszam! pożadaną niedorzeczność.

— Nazwij to sobie jak ci się podoba. ja widzę, że w świecie o rozstrzygnięcie ważnej wątpliwości chodzi: co jest bezwzględną treścią obiadu.

— Obiadu?...

— Tak jest, obiadu— powtórzyła z godnością. — Najpierw ludzie odbywali tę czynność, nie zastanawiając się nad nią filozoficznie. Potem przyszli empirycy i powiedzieli, że obiadem jest: rosół, sztuka mięsa itd., słowem, zastawa stołu o pewnej dnia godzinie. Tak zuchwałe twierdzenie oburzyło wielu, zaczęli rozmyślać, rozumować i zapomocą czystej logiki doszli narreszcie, że bezwzględną treścią obiadu jest chęć jedzenia, czyli głód. Bo — mówili oni — odbierzcie tylko człowiekowi tę podmiotowość, a cały obiad rozpadnie się na drobnostkowe szczegóły zawisłe od czasu i jakości — będzie zupa, jarzyna, pieczystem, południem, popołudniem, ale nie będzie ob-jadem. Żeby był obiadem, trzeba go jeść; żeby go jeść, trzeba być głodnym; głód zatem jest bezwzględną treścią obiadu. Łatwo pojmujecie, że tak czysty idealizm nie wszystkim do smaku przypadł; nowi powstałi mędracy, którzy odkryli nakoniec, iż jedność głodu i zastawy jest obiadem. Po tak olbrzymim kroku, z trudnością na wieków kolei zdobyta.. jakże się to nazywa? syn... syn... synteza, rozpadła się znowu na dwoiste systema: co będzie jednością głodu i zastawy— czy gryzienie, czy połykanie? Najpewniej późny czas dopiero coś stanowczego w tym względzie wyrzeczce.

— Lecz jakież twoje własne jest zdanie. Józiczko?

— Ja?—i przyłożywszy palec do czoła, po chwili uroczystego namysłu rzekła: — ja tego jestem zdania, żeby najpierw wszyscy obiadować mogli. Czy jesteś zadowolona?

— Już się o to nie pytaj, tylko mów dalej.

— Ocho! i nierozum się przebierze; zmęczyłam się, a jutro tańce mię czekają.

— Jaka szkoda, tak dobrze zaczęłaś!

— Na twoją pociechę, Gabryello, ja ci jeszcze mogę wiele rzeczy o Litwie powiedzieć — zkolei odezwała się Anna.

— Nie chcę ich słyszeć: masz osobistą do Litwinów urazę za te smutne dwa lata wśród pińskiego blo-

ta i pińskiej szlachty spędzone. ale my tutaj wiemy przecież, że nie cała Litwa poluje pijana, przewodzi nad poddanymi, nikczemnie wielkim panom schlebia i tak spokojnie w ciemnocie martwieje. jak owa „koncha, co się w bagnie tai.“

— Och! wiem zawczasu, co mi chcesz przez te ostatnie wyrazy przypomnieć. Mniejsza o to, ja mego zdania nie odmienię. Dawniej, była to ziemia święta mojej wyobraźni, i Wilno Olgierdowe, i Niemen oblubieniec. i Wilia z błękitnem licem, i ta Litwinka co czerpie jej wody i ów kwiat pięknych młodzianów... wszystko w dobrej wierze na cudze słowo wielbiłam... ale teraz już się nie dam nawet pocie szukać. Byłam ja tam, poznałam Litwinów, i wiesz co, Gabryello? żeby cię bardzo nie rozgniewać...

— Rozgniewaj. ona przebaczy — rzekła Bronisława.

— No, to powiem, że na Litwie jeszcze jakaś dzika, leśna została natura; tam łatwiej o wielki geniusz, niż o ucywilizowanego człowieka, o talent, niż o poczciwość. Mniemają zwykle, że dlatego Litwinowi ufać nie można, bo jest chytry jak węź. dawny bożek jego mieszkania; co do mnie, inaczej rzecz tę sądze. Litwin wprawdzie po najdłuższej znajomości zadziwi, zawiedzie niespodziewanie, lecz nie przez chytrność i nie przez ciągle w głębi piersi tajoną myśl podstępny — tylko tak. bo on sam z sobą w zgodzie nie jest, bo sam przewidzieć nie może, kiedy z jednej ostateczności w drugą namiętność lub przypadek nim rzuci. Według Chrystusowej przypowieści: dusza jego, to owa ziemia skalista, na którą rzucone ziarno pleni się zrazu bujnie i żyźnie, ale niedługo. bo brak pod spodem gruntu i oparcia. Czy się gniewasz na mnie, Gabryello?

— Nie powinnabym, gdyż powiedziałaś mi tylko to, o co cię prosiłam. coś najnierozumniejszego:

— Albo raczej coś o czemś najnierozumniejszym.

— A znasz ty litewski lud, kobieto?



— No, ja was pogodzę — przerwała Ludwika, od kilku dni na czas bardzo krótki do miasta przybyła; — znajdźcie mi w filozofach, estetykach i wszystkich w świecie rozprawach większą nedorzecznosc od tych, które ja wam tylko z prędszego wyliczę, a na które patrzę codziennie, z którymi żyję ciągle. Szlachetczyzna i chłopstwo, wódka i pańszczyzna, zbytek i nęda.

— Nie przyjmuję tego, Ludwiko, bo wszystko, co wyliczyłaś, należałoby się raczej pod rozdział smutku, a może występku zapisać.

— Więc mówmy o tobie — zawołała Bronisława.

— Złośliwa, czy chcesz moją próżność zbudzić, żebym się w tym względzie wyżej od samego pana Alfonsa ceniła? Nic z tego nie będzie: pożegnaj was, bo mi żadna nie powiedziała dość nierozumnej rzeczy — i westchnęłam, że wśród tylu głupstw i szaleństw na świecie, niepodobna było znaleźć takiego, coby się przynajmniej na opisanie zdało.

Wtedy Ksawera, najstarsza z nas, a milcząca przez cały ciąg naszej rozmowy, rzekła mi z uśmiechem:

— Jeszcze nie trać nadziei, ja ci powiem coś najnirozumniejszego.

Nieufnie spojrzałam jej w oczy, lecz dostrzegłszy na bladej zwykle twarzy lekkiego rumieńca, aż kłasnęłam w ręce, bo mi to pomyślniejsze nadal wróżyło słowa.

— Ja się raz kochałam — dodała po chwili.

— Tylko to?... — przerwałam zawiedziona, ust sobie przygryzając — pospolite szaleństwo, stara piosneczka, zużyta osnowa!

— Tak, ale ja się kochałam w poecie.

Na te wyrazy pilnego nadstawiłam ucha i żeby więcej uzyskać szczegółów, niby nie rozumiejąc, pytającym powtórzyłam głosem:

— W poecie?



— Jaktó, Gabryello, i ty myślisz. że to nie jest najnierozumniejsze, najszaleńsze ze wszystkich szaleństw, które kiedykolwiek w życiu swoim słyszałaś? Och! pozwól sobie powiedzieć, że też okropnie grzeszysz zbytkiem dobroduszości.

— Jednakże miłość poety, Ksawero?...

— Miłość poety — przerwała z żywością — jest balladą, sonetem, elegią, ale niczem więcej. Poeta się kocha dla rymu, bo mu do natchnienia tej średniówki w życiu potrzeba, oświadczy ci się w pięknie zakreślonym peryodzie, a jeśli wzruszona i łatwowierna, z bijącym sercem, ze łzami w oku. dasz mu pełną uczucia, prawdy i wzniosłości odpowiedź, on ją gotów w lada pisemku za swój własny utwór przedrukować.

— Mnie się zdaje, Ksawero, że ty o jakimś wierszoklecie prawisz.

— Nie, ja o wszystkich. o najślawniejszych nawet mówię poetach, bo i cóż? moje najdroższe—mówiła dalej ze zwykłą już spokojnością — konieczny to jest rzeczy porządek. Ludzkość bezmiary doskonała, lecz człowiek ułomny. Och! gdyby to zawsze chętną rękę z mądrą głową, tkliwe serce z geniuszem łączyć. ale nie: ubóstwo jakieś niezwalczone, wieczna jednostronność cięży na pojedynczej naturze człowieka...

Oto ja wprawdzie nie ukochałam jednego z owych wieszczów, co przeciągłem echem po wszystkie brzmia wieki. Julian zaledwie mógł się liczyć do znaczniejszych talentów. aleć zawsze była już na nim taż sama barwa. tenże sam charakter i dlatego ręczyć ci mogę, że zacząwszy od Petrarcki, praojca zakochanych rymowników, skończywszy na pierwszym lepszym bezimennym wielbicielu Filidy lub Maryi. bo teraz Marya w modzie, ręczyć ci mogę, Gabryello, iż żaden z poetów nie kochał się nigdy.

— No, jednakże gdy patrzę w twoje wielkie, czarne oczy—odezwała się Józefa—to mi się zdaje, że ów Julian musiał.. choć troszeczkę...

— Żartujcie, żartujcie wesoło — odpowiedziała Ksawera — dziś tę wspomnienia tak daleko odemnie,

że mogłabym opowiedzieć wam wszystko. bez najmniejszego wzruszenia.

— Opowiedz! opowiedz! — zawołałam z pośpiechem.

— Opowiedz! — powtórzyły inne i Ksawera spokojnie, obojętnie. jak gdyby nie o sobie. tak zaraz mówić zaczęła:

— Najpierw proszę o sekret co do chronologii — było to w roku 182\*\*\*. miałam lat ośmnaście. Ubogim był domek moich rodziców. gospodarską pracą wszystkie dni zajęte. Jakim sposobem z tak zwyczajnego życia na marzącą. pełną dziwnych myśli wyrosłam dziewczynę? nie wiem i zapewne nikt tego wiedzieć nie może. Gdyby ktokolwiek z ludzi doszedł w samym sobie niepojętego rozwijania się ducha, niezgłębionej przyczyny. która go stwarza umysłowo i w odrębną indywidualność kształci, toby znowuż między Bogiem a ludźmi zniosła się jedna z wielkich, z największych tajemnic. Ja wychowałam się wpośród osób liczących lata życia na zbiory jesieni i wiosenne zasiewy. modlących się rannym i wieczornym pacierzem, albo mszą niedzielną. kochających jadłem i napojem, odzieżą i pomieszkaniem. temi powinnościami rodzinnych stosunków — a przecież moja myśl odstąpiła od ich myśli, zapragnęłam słowa Bożego. przemówiłam modlitwą uwielbienia i zachwyceń. wymarzyłam sobie żywsze kochanie, miłość świętszą i wznioślejszą. Wszystko to wprawdzie było raczej przecuciem, niż pojęciem lepszego świata. tęsknotą, niż rozmyślaniem. Moja dusza, jak biała karta otwartej księgi. czekała dopiero na tajemnicze przyszłości wyrazy, ale też żadne czcze, próżne. drobnostkowe nie splamiło jej słowo. W tym czasie pierwszy raz imię Juliana obito się o me uszy. Przyjechała do nas w odwiedzinny panna Antonina. już niemłoda osoba, w całym sąsiedztwie bardzo lubiona. znająca wszystkich stosunki, a niesiejąca plotek. wesoła a nieobmowna.

— Zgadnijcież państwo, kto będzie teraz waszym sąsiadem? — zawołała po pierwszych przywitaniach uściskach.

— Jakto? czyżby już kto kupił Olszówkę? — zapytał mój ojciec. — Szkoda, zawsze miałem nadzieję, że ją będą mógł tanio do mego folwarku przydzierżawić.

— I kupił, i dobrze zapłacił, a pewno biedny źle wyjdzie — odpowiedziała panna Antonina.

— Dlaczego?

— Bo niestworzone o tym nowym nabywcy powiadają rzeczy. Najpierw ma to być poeta.

— Poeta? doprawdy poeta? — zawołałam ciekawie.

— Doprawdy poeta — powtórzyła panna Antonina z uśmiechem — na własne oczy w „Kuryerze polskim“ wielką jego wierszy pochwałę czytałam. Ale na co jemu Olszówkę kupować? na niczem się nie zna, ekonom wszystkim rządzi. bo pan Julian mówi, że jemu nie przychodu, tylko spokojnej wiejskiej ciszy trzeba.

— Jeśli tak jest, to mógłby mi zawsze pola wypuścić — rzekł ojciec — jabym mu przecież nad głową nie hałasował.

— Moja droga Antolko, czyś ty go widziała? — odezwała się wtedy moja matka, już przez swoją kobiecą naturę do uważania drugostronnie tej wieści usposobiona.

— Jeszcze nie, bo z całą dumą Warszawianina i autora od parafialnych znajomości stroni, ale nasz ksiądz proboszcz kilka razy się z nim na przechadzce spotkał i powiada, że ma być grzeczny, przyjemny w rozmowie, światły nawet, choć jeszcze bardzo młody.

— A czy przystojny?

Nie uwierzycie, jak mię zmieszało to zapytanie mojej matki i z jaką niespokojnością czekałam odpowiedzi panny Antoniny.

— Nie, podobno dosyć brzydki — odrzekła.

Mnie się aż jaśniej w myślach zrobiło. Bo tylkoż wyobraźcie sobie, moje drogie, waszą dziwną Ksawerę w siedmnastu latach, rojącą o poetach, jak

o zjawiskach Bożych, dalekich w czasie, dalekich w przestrzeni — gdy nagle usłyszała, że jeden z nich blisko zamieszkał, tak blisko, iż wychyliwszy się z okna ku wschodzącemu słońcu, mogła ciemne wieńce topoli z jego dziedzińca na rumianem tle nieba rozróżnić, mogła dosłyszeć rannych piosnek nad jego polem pracujących żniwiarzy. Ogarnęła mię jakaś niepokojna ciekawość; domyśliłam się, że ten człowiek, z innej sfery, z innego życia, musi znać i rozumieć wszystkie cuda, które mi się w długich samotności godzinach marzyły, że musi umieć wszystkie wyrazy, których mi jeszcze w powszedniej brakowało mowie, i na pierwszą wzmiankę imienia, zbiegły ku niemu wszystkie sny mej wyobraźni.

— Ale nie powiadasz nam, Ksawero—przerwała Anna — czemu ci w myślach jaśniej się zrobiło, gdy usłyszałaś, że Julian był brzydki?

— Bo najpierw chciałam wam powiedzieć, dlaczego mię obchodzić mogła jego piękność lub brzydkość. dlaczego tak odrazu nim się zajęłam; teraz przyznam się wam, że nadając wyrazom wartość, jaką im dokoła mnie inni nadawali, nie mogąc do moich przeczuć, jak to dziś mówią, artystycznych innego wyszukać porównania, oprócz tego, którego mi otaczające dostarczały przedmioty, wyrobiłam sobie zupełnie odrębny sąd o rzeczach. Dla mnie piękność była najnieznośniejszą natury ludzkiej ułomnością; nie mogłam jej w pomysłach moich oddzielić od rumianej, zawsze z siebie zadowolonej twarzy jednego pana, który w całej okolicy za pięknego uchodził. Wistocie był to przystojny, wysoki mężczyzna, miał duże niebieskie oczy, jasno-blond włosy, ciemny zarost, cerę białą i świeżą. Kiedy w kościele się pokazał, niejedna twarzyczka, zamiast ku ołtarzowi, ku niemu się zwróciwszy, westchnęła pobożnie, ale dla mnie, sama nie wiem czemu, jego widok był zawsze tak przykry, nudny, drażniący, że z nim razem wszystkich pięknych ludzi znienawidziłam sobie. Nie sądzcie jednak, abym już wtedy, uprzedziwszy pewien odcień francuskiej



szkoły romansów, arcy-wzór jakiejś potworności wymarzyła sobie. Och! nie — brzydkość moich ideałów była tylko wielką różnicą piękności pana sąsiada. Ponieważ ten był bardzo białym blondynem, ja brzydkiemu snów moich dawałam płec śniadą, czarne oczy i włosy, wyraz rzewności w obliczu, a postawę nie tak siłą i wzrostem, jak raczej wdziękiem kształtów i godnością ruchów odznaczoną.

Rodzice długo jeszcze różne pannie Antoninie zadawali pytania. lecz ja, powiedziawszy sobie napewno, że Julian jest najszlachetniejszy człowiek, bo poeta, najpiękniejszy, bo brzydki, z mniejszą już ich słuchałam uwagą, a więcej w moje zatonełam myśli. wśród których ta była najważniejsza, żeby przecież jakich wierszy Juliana do czytania dostać. Nie było to równie łatwe, jak wam się zdawać może. Nowych ksiązek w sąsiedztwie i linx nie byłby dopatrzył, a jeśli gdzie dalej błysnęła czasem jaka świeższą okładką, bielszemi kartkami, to chyba na stoliku pana szambelanica, starego kawalera, który miał to w zasadach swojej moralności, aby ksiązek i pieniędzy nigdy za dom nie pożyczać. Po krótkiej naradzie jednak panna Antonina przypomniała sobie, że zna siostrzenicę skapego literata, że ta siostrzenica często wypisy z dzieł u stryja więzionych robi i że jutro mają się zobaczyć we wspólnie znajomym domu. Otrzymałam więc przyrzeczenie wstawienia się do niej, chociaż o przepisany ustęp z poezyj Juliana.

Tem przyrzeczeniem kilka dni żyłam, wśród najpiękniejszych, najśmieszniejszych, najosobliwszych domysłów: o czym Julian mógł wiersze pisać?... W moich czytelniczych zasobach było tylko kilka tomów Krasickiego, z którym ani przelotną myślą nie porównywałam go nawet, i poczciwy, rzewny Karpiński, do którego niebardzo sobie życzyłam podobnym go znaleźć. Krasicki bawił mnie i rozśmieszał. Nad „Myszeidą“ i „Satyrami“ wiele chwil bardzo wesółych spędziłam, ale jakoś czułam w głębi duszy, że to jeszcze poezją nie jest, że z pismem Juliana w rękę tak



szczerze śmiać się nie będę mogła. Karpiński zaś, mój ulubiony wówczas, mój śpiewny, mój na pamięć umiany autor, zanadto często i monotennie swoją Justynę wspominał, abym jego odbicia w wierszach Juliana dostrzedz pragnęła. W inne więc strony uleciały moje domniemywania. O czem Julian wiersze pisać może? — z tą wątpliwością pierwszy raz ciekawie, rozbiorowo, autorsko w świat spojrzałam i myślałam sobie najpierw: on pisze o Bogu.

Stek najgłębszych tajemnic i najwyższego światła. ta przyczyna niepojęta i ten koniec nieznany — to jest dział poetów, dział natchnionych, którzy muszą przecież wysławiać ludziom, co to jest, co w nich myśli, czuje, świeci, woła? co to jest ta cząstka Boga, którą pierś ich więzi? czem była dla nich wieczność, nim oni czasowi się zrodzili, i czem będzie nieskończoność, gdy im się czas skończy? Och! tak ja zaraz wszystkiego od poety dowiedzieć się chciałam i pewna byłam, że się dowiem. Kto się z trudnością nie zmierzzył, sam z własną myślą nie złamał. temu wszystko łatwym się wydaje. Ja w mojej cichej ustroni marzyłam wiele i o wielu rzeczach, ale nad żadną głębokiem nie spoczęłam zastanowieniem, bo w dziecinnej mojej ufności zdawało mi się, że są ludzie, są tam gdzieś daleko mędracy i poeci, co zdawna mają odpowiedź na wszystkie wątpliwości moje, a przeczucie kłamliwe mówiło mi ciągle w duszy, że jednego z takich na drodze życia mego spotkam niechybnie — ach! prawda — spotkałam wielu, bardzo wielu mędrców i poetów, tylko że oni mi na żadne nie odpowiedzieli pytanie. Każdą pewność człowiek sam z siebie wydobyć musi; przekonania mistrz najbieglejszy do serca nie wleje. Gdybym ja o tem pierwej była wiedziała, gdybym o własnej sile ze szczerą chęcią dobrego, z nieobłudnem prawdy pragnieniem poszła na obszary pomysłów i domysłów, systematów i teoryj — o! moje drogie, ileż to mocy duszy i pięknych lat moich byłabym oszczędziła sobie, ilu pomyłek, zawodów, oburzeń, żalów uniknęła!... Ot, lepiej nie mówmy o tem. Chyba że

tu jest która między wami, co jak ja wtedy, odważna aż do zuchwalstwa. a nieświadoma aż do ślepej ufności. rzuca się myślą na najwyższe olbrzymich pojęć tytany i wierzy jeszcze, że jej ktokolwiek do zwalczenia ich pomódz może; jeśli jest taka. a ma drażliwe nerwy, słabe piersi, wątłe zdrowie, a i piękna jest przysięgą, niech lepiej z matką codzien na bale i wieczory jeździ, niech tańczy póki jej tchu stanie; jej duszy i jej ciału mniej taniec zaszkodzi. A jeśli brzydka, to niech lepiej tablic chronologicznych Lesaža na pamięć się uczy, niechaj z małemi dziećmi sylabizuje, niech czemkolwiek zabije w sobie tę chęć zaciekania się i badań, bo ja wiem, że dla słabych jest tam przy końcu szaleństwo, lub występek.

— No, no, bądź spokojną — odezwała się Bronisia—dla żadnej z nas niema podobnego niebezpieczeństwa. Mnie takie myśli nigdy nie przechodzą przez głowę. Józia trzyma się recepty tańca, Ludwika, jeśli nie tablic Lesaža, to przynajmniej domowych rachunków z równem zajęciem i równą strzeże pilnością. Anna jest silnego zdrowia — a Gabryella... podobno ma szczerzy zamiar nie pisać już więcej. to też zapewne od tego zacznie, że i myśleć przestanie.

Uśmiechnęłam się i westchnęłam. a potem, obróciwszy się do Ksawery. rzekłam:

— Snujże dalej swą powieść; byłaś na drodze domysłów — skończyłaś na radach.

— Tak więc, jak powiadasz, byłam na drodze domysłów—mówiła znowu Ksawera.— Domysły świetne, wielkie, bo się od Boga zaczęły. I niech was to nie gorszy, młode towarzyszkii moje, jeśli jest gdzie taki człowiek, w którego ucho to wielkie imię Boga złożono, a on się niem nie zatrwożył, nie przepelnił, niby gliniana urna oceanem, to albo on większy od świata całego, albo nędzniejszy od zwierza. Ja czułam, że niepodobieństwem jest, by w mojej głowie. w mem sercu, by w głowie, w sercu którychbądź z otaczających mię istot, mogło być w całości i w prawdzie zamknięte niezmiernie Boga pojęcie, ja też mówi-

łam sobie: „chyba poeta mi to wytłumaczy“ i z podobnych marzeń w coraz dalsze szłam marzenia. i była to, jak wam już wspominałam, pierwsza moja ciężka umysłowa praca. Zaczęłam szukać wkoło siebie. czemu też on dał Boga zrozumieć?— czy naturą? Piękna, wielka, tajemnicza, ale martwa, od kamienia do piorunu, ona niczem bez mej myśli. Tam ciemno, gdzie ja nie widzę, tam jasno, gdzie ja przeglądam — piękne, brzydkie, wielkie, małe — to są moje własne słowa. Cóż mi może powiedzieć ten przedmiot, o którym ja pierwiej wyrzec czego nie zdołam? Kiedy patrzę w niebo i dyamentowe gwiazdy. czy to one mówią do mnie: „My jesteśmy jasne zgłoski pochwalnego Stwórcy hymnu“ — albo też „z nas każda łą się stoczyła po świętych ludzi obliczu. a teraz czyste wsiąknęliśmy w obłoki i świecimy ziemi, matce naszej, a jesteśmy tu wszystkie, wszystkie policzone — od tej łąy, którą Chrystusowe oczy nad murami jerozolimskiej wypłakały świątyni, aż do tej, o której nawet słońce dnia białego nie wie— my tu wszystkie pod blaskiem Bożej źrenicy gorejemy, i przybywa nas coraz, coraz więcej, że aż kiedyś potopem światłości niebios dawną naszą zalejemy dziedzinę.“ Cha, czy to gwiazdy mówią do mnie— czy też ja to im sobie mówić rozkazuję? Poeta rozwiąże wątpliwość. poeta powie mi wszystko. co ja chcę wiedzieć o Bogu, o naturze, o ludziach.

I czekałam niecierpliwie, aż dnia trzeciego wieczorem posłaniec przynosi obiecane przez pannę Antoninę wypisy.

— Przeczytasz nam to głośno — rzekła matka, ale szczęściem tak była właśnie uprawą słynnego na całą okolice zimowego masła zajęta, a ojciec miał tak długie z karbowym narady, a inni tak wiele skwapliwszych do opowiedzenia sobie mieli rzeczy. iż mi się udało mój skarb nietknięty, nieskalany aż po ostatnią chwilę spoczynku zachować. Dopiero gdy wszyscy usnęli. przy gasnącej świeczce otworzyłam kilkoćwiartkowe pismo— o Bogu?— o naturze?— o ludziach? powtórzyłam raz jeszcze i spojrzałam nakoniec...

Julian pisał o sobie.

Ach! i to jest pieśń święta, pieśń wielka, pieśń głośna. w której się choć jedna dusza, jedno odezwie serce, byle nie obłudnym dźwiękiem! Dźwięk pieśni Juliana był smutny i narzekający. Szukałam mistrza, a przekonywałam się. że tylko brata lub przyjaciela mieć mogę. Nie zraziło mnie takie przejście, bo chociaż w moich rojeniach do nieskończenie wyższej potęgi wzniosłam poezją. chociaż, jak to zwykle się zdarza. nieświadoma więc i niesprawiedliwa, poecie na barki zrzuciłam ciężar atlasu, świat kamiennem dźwigającego ramieniem. i chociaż on. poeta, z tego ciężaru. wśród łez i trudu, ledwo własne zdołał unieść serce, jednak w tem sercu było zawsze cudne i nęcące zjawisko — boleść! Ach! tego, co się skarżył, czyż jabym śmiała pytaniem mojej wątpliwości drażnić? Julian nie z naśladowania, nie z ducha stronnictwa, ale z ducha czasu i prawie mogłabym dziś powiedzieć, z powietrza Bajronowsko pisał. Nie uwierzycie jakie na mnie wrażenie zrobiło to okropne zrymowanie zapytań, tęsknoty i zwątpienia. Ja także przecież wątpiłam i pytałam, a dlatego ani jedną smutną godziną nie ochmurzyła się powieść mego życia. I owszem. prawie rzeczby mogła, że ztąd wypłynęły wszystkie jasne mej przeszłości chwile, bo wtedy tylko pytałam, gdy marzyłam. a marzyłam, gdy mię czasem samą ludzie zostawili. Dziś jeszcze przypominam sobie parę ustępów z tej pierwszej przeczytanej poezji Juliana— zdaje mi się, że tak zaczynał:

Co w duszy ludzkiej leży potrzeba.  
To Bóg sam w ludzkie osnował prawa:  
Dla młodych miłość — dla silnych sława,  
Dla cichych szczęście — dla smutnych niebo.  
Ja młody byłem i kochać chciałem  
I w drodze życia wszystko chwytałem,  
Co wzajemności błysło nadzieją:  
Czy to przyjaznej dłoni ściśnienie,  
Czy ust kochanki gorące tchnienie,



Czy zimny kamień z ojców mogiły —  
Wszystkom do piersi cisnął koleją,  
O wszystkim krwawem sercem zawadził;  
Lecz dłoń zdradziła, usta zdradziły,  
Ach! tylko kamień nie zdradził!  
Smutno to będzie kiedyś przy grobie  
„Nikt mnie nie kochał“ powiedzieć sobie.

Ja silny byłem — więc chwały chciwy,  
Prędko zamknąłem na głos pieściwy  
I na pieściwe uczucia duszę.  
W pociechę rzekłem: „Wielkim być muszę“ —  
I uchwyciłem z milczącą wiarą  
Za starą lutnię, za szablę starą,  
Bo mi się zdało, że niema dźwięku  
I w Bożej myśli niema wyrazu,  
Cobym nie rzucił na świat odrazu,  
Tak z lutnią w ręku, i z szablą w ręku!  
Lecz biada dzisiaj, ach! biada głowie,  
Co myśl osnuje na wielkim słowie,  
Bo nim to słowo z młodego czoła,  
Młodzieńczej piersi głosem zawoła  
I ostrą szablą po lutni dźwięknie.  
Biada głosowi! biada! Któż powie  
Czemu głos zmilknie, a lutnia pęknie?..

Znam brata orła — on w dobrej radzie  
Do ust upiora te słowa kładzie:  
„Błogosławione życie, w cichym, własnym domu.“  
I pewno stokroć błogosławiony,  
Kto jak roślina przyrósł do ziemi,  
Kto orzeźwiany wietrzyka tchnieniem,  
I czystą rosą nieba karmiony,  
Nigdy nadzieją, nigdy wspomnieniem  
Za gwiazdy nie biegł złotemi!  
Lecz kto był ptakiem z hyżemi pióry,  
Komu pierś lawą wrzała gorąca,  
Komu grał piorun z przyszłości chmury,  
A myśl o jasne roztliła słońca...



Komu w miłości było potrzeba  
Najpiękniejszego anioła z nieba,  
A tu w zapasy Bóg oddał komu,  
Najsilniejszego z ziemi olbrzyma —  
Och! dla takiego szczęścia już niema,  
Nawet w cichym, własnym domu!

Więc tak uciekło wszystko przedemną,  
Co tylko w życiu przyświecać miało;  
Młody — marzyłem miłość wzajemną,  
Silny — ja chciałem pieśni i boju.  
Znużony — jam chciał życia w spokoju,  
A mnie smutnemu... niebo zostało.  
I gdyby można w płonne życzenia  
Rozkręcić całą nić przeznaczenia,  
Ja dziś u grobu, cierpieniem stary,  
Dałbym za serca silniejsze bicia,  
Za dzień radości — wszystkie dni życia,  
A dzień radości — za chwilkę wiary!...

Po przeczytaniu tych wyrazów, Julian z poety stał się dla mnie świętszą jeszcze, bo nieszczęśliwą istotą. Złożyłam kartki, świeca sama zgasła, a ja długo, długo siedziałam z opartą na ręku głową. z zapłakanemi oczyma, jednym rzutem myśli wtajemniczona we wszystkie ducha ludzkiego boleści. Zdawało mi się, że ja dotychczas spokojna, szczęśliwa, niesprawiedliwie jego część zabrałam. że powinnam wszystko co mam dobrego w duszy, wesołego w przeznaczeniu jemu pod nogi cisnąć — bo on wielki, on piewca — on duma i bogactwo narodu — jemu się od wszystkich cześć, miłość i szczęście należy. Wszak prawda, że wielkie ze mnie dziecko było, tak się smucić za smutek poety — choćby i za najokropniejszy, najprawdziwszy? To się da chyba brakiem doświadczenia usprawiedliwić. Bo czy też wiecie, co robią słowikom. żeby ciągle i pięknie śpiewały? — wypalają im oczy. Więc jak usłyszycie kiedy, że którego poetę wielkie spotkało nieszczęście — cieszcie się, cieszcie — ja wam

powiadam. najpiękniejsze czytać będziecie wiersze. Poety serce, jak słowicze oko — trzeba je z rozdartej wyszarpać piersi. żeby poeta dźwięcznym głosem długą pieśń zanucił.

— Och niedobra! — przerwała Ludwika. — Ja rzekłam:

— Może ma słuszność — i przez chwilę głuche panowało milczenie. Dopiero Ksawera, sama sobie przypomniawszy, że my dalszego wątku jej powieści czekamy, tak znowu mówić zaczęła:

— Zgadnijcie też, czego ja najwięcej się bałam? Oto żeby nazajutrz nie kazano mi wierszy Juliana koniecznie głośno przeczytać. Ale był to czas żniwa, czas najpiękniejszy lata, w którym nawet literaci z profesyi niewiele czytają. więc tembardziej też u nas o wierszach zapomniano i zostałam szczęśliwa ich wyłącznem posiadaniem. Niepomna, że z druku przepisane, że już może o tysiące twardych serc się obily — marzyłam, że ja tylko wiem o nich, że to jest tajemnica pod straż mojej dobrej wiary oddana, bo takim skargom bluźniłoby każde obojętne ucho. Skargom drukowanym! Cha! czybyś mogła sobie coś więcej nierozumnego życzyć. Gabryello?... Co mi się tam dzisiaj za te szaleństwa wstydzic? Oto wam powiem nawet, że od samego przebudzenia tęskniłam za chwilką samotności, jakby za umówioną z kochankiem rozmową, bo miałam przecie z poezją Juliana rozmawiać. Łatwo mi było spełnić to życzenie. Związana tylko domową koło gospodarstwa pracą, poza jej obrębem wolna jak wiejskie powietrze, jak prawdziwy ptaszek leśny, przyzwyczaiłam wszystkich do moich dziwactw, do kilkogodzinnego znikania i samotnych dalekich przechadzek. Ach! dziś nawet, dziś gdy nauczyłam się cenić wartość młodości wśród ksiąg na ukształceniu naukowem spędzonej, dziś jeszcze nie wiem, czy bym za najkosztowniejszą edukacją oddała moje sielskie wychowanie, moje swobodne wśród pól i borów przebywane lata, moją łódkę, co się w niej sama po Pilicy wozila. Czy z was która była w Sandomier-

skiem, czy zna dobrze Pilicę, Pilicę, rzekę moich rodzinnych pamiątek? Oto słuchajcie, co raz, gdyśmy się lepiej zapoznali, Julian mi o niej powiedział:

Przezystą myślą marzy dziewica,  
Przezystą wodą płynie Pilica —  
Jeśli co ściemni Piliczne wody,  
Jeśli co kiedy dziewicy młodej  
Czoło promienne zasmuci —  
To nie kał gruntu po którym płynie,  
To nie myśl z serca — chyba jedynie  
Bóg na nie pomrok swej chmury rzuci.

Ja więc dnia tego z czystem w sercu uczuciem, z czystą w głowie myślą, puściłam się na czyste Pilicy fale. Już to jak zwykle z wodą tylko płynęłam, od niechcienia się kierując aż po umówione miejsce, gdzie poczciwy Gawrych, flis stary, miał w każdym razie znaleźć swoje czółenka, jeśli mu na co potrzebnem było. Wiem, że opis żaden i żadne opowiadanie dokładnego krajobrazu nie skreśli, jednak wyobraźcie sobie, jeśli możecie — i tu Ksawera na białym jesionie stolika zaczęła fantastyczne kreślić pejzaże, z całą dawnych przypomnień lubością.

— Otóż Pilica tak w dole płynęła; po tej stronie zielone łąki Mazowsza, tu na zakręcie nasze saudomierskie pagórki i nasze lasy ciemne, wbok od lasów dzwonnice parafialnego kościołka, wbok od pagórków dwie rozstajne drogi, jedna do rodziców moich domku wiodła, po drugiej, gdym w łódkę siadała, jakiś tuman kurzu się wznosił — ale gdzież mi to było uważać — ja sobie powtarzałam właśnie:

Och! dla takiego już szczęścia niema,  
Nawet w cichym, własnym domu!

Szczęścia niema? Dlaczego ja szczęśliwą jestem, ja, co także myślą za złotemi goniłam gwiazdami i od cichej domowej odstałam zagrody? Czemu dla mnie

w śnie jednym, w chwili marzenia jednej, tyle jeszcze pońet i wdzięków? Czemu ja, kiedy w wieczór dzień życia obliczam, z uśmiechem na ustach, z radością w sercu mówię sobie samej: „Ach! dziś tak wiele myślałam!“ Zapewne to dlatego, bo szczęście snem i myślą. O! niech on także zewnętrznemu światu zamknie duszę swoją, niech na myśli dni swoje oblicza, a bezmylnie i on szczęśliwym będzie.

Cicho, cicho śpijmy sobie,  
Aż nas Bóg przebudzi w grobie!

Zdaje mi się, że nawet dalej ciągnęłam taką piosenkę próżniaczej zachęty, ale jej sobie przypomnieć nie mogę, bo od brzegu tętent dwóch koni w najstanowczejszym przerwał mi paradoksie. Odwróciłam się, lecz wiatr swywolnik, który mi tak długo po przyjacielsku łódkę mknąć pomagał, nagle silniej dmuchnął nieco i moja czerwona z szyi chusteczka oczy mi zasłoniła. Nic nie widząc, tych słów dosłyszałam tylko:

— Zabierz nas z sobą, piękna przewoźniczko!

Ten żart niewczesny, a wśród tej wolnej zaciszy niezwykle zupełnie, oburzeniem krew mi do twarzy cisnął. Zrzuciłam mimowolną moją zasłonę i zdaje mi się, że ile tylko było w młodem i dzikim sercu niezużytego gniewu pierwotnej pogardy, tyle w jedno zebrawszy spojrzenie, ku tym dwóm śmiałkom rzuciłam. Oni tuż nad wodą stali, jeden na anglezowanym kasztanku, drugi na siwym czarno-grzywiastym, niby ze stepowej rasy koniu. Czy w przestrzeni pocisk mego oka ich nie doścignął, czy też go mało sobie wazyli, usłyszałam głośny śmiech obudwóch, a jeździec angielski odezwał się znowu:

— Pozwól, niech wsiądę z tobą, a popłyniemy choćby nawet do samego morza!

— Choćby nawet na drugi brzeg życia — dodał jego towarzysz wolnym, nieco przeciągłym, lecz dźwięcznym głosem.



Przez tę krótką chwilę śmiechu i odezwy lepiej się przypatrzyłam obu nieznanym: ten, co pierwszy się odezwał. był, o ile sądzić mogłam, dobrego wzrostu, szerokich piersi; czarne jego bardzo, według ówczesnego zwyczaju, na środku w górę nieco podniesione włosy, odsłaniały białe, wysokie czoło, dziwnie przy reszcie ogorzałej wydające się twarzy. Mogłam tem lepiej tę sprzeczność zważać, bo obadwa po rycersku uchylili swoich aksamitnych czapeczek. Jeździec siwego stepowca jak dziecko, lub cudzoziemiec przy towarzyszu wyglądał. Szczupły, drobny, biały jednostajną i bladą białością, miał równo przedzielone bardzo jasne włosy, które mu wzorem ówczesnych niemieckich burszów aż po ramiona spadały.

Niewiem, czy z reszty gniewu, czy z dziecinnej pustoty, widząc ostatniego tak wątłym i słabym, a na jakimś bystrym, pełnym ognia koniu, przyszła mi szalona myśl do głowy. Wiecie zapewne, że takie najprędzej w czyn się zamieniają. Nic nie mówiąc, zwołna do brzegu podpłynęłam, jakby na rozkaz, a kiedy oni sami wpółdziwieni, wpółrozweseleni, najmniej o cuglach myśleli, ja nagle jednym silnym wiosła uderzeniem tak na nich wodą plusnęłam, że aż przelekle konie na tylne nogi się wspięły, a obu jeźdźcom czapki z rąk wypadły. Nim znów do środka rzeki dopłynęłam, angielszyk już gdzieś daleko ze swoim panem po drodze ku góróm cwałował, a siwek jeszcze w nadbrzeżnym piasku rzucał się i wspinał. Jak widać było, chociaż drobna, silna jednak i wprawna, dłoń go trzymała. Ja teraz zkolei śmiać się i żartować mogłam, ale śmiech zamarł mi na ustach, bo jedną razą koń dęba stanął i zdało mi się, że tuż, tuż pod kopytami ślizkiego gruntu mu zabraknie, a wtem właśnie miejscu brzeg był dosyć wysoki, głębokość nurtu nieznaną... Była to okropna chwila przeświadczenia o własnem szaleństwie. Pojęłam nakoniec, że z mojej pustoty może się człowiek utopić. Chciałam podpłynąć ku niemu, ale jak to bywa w wielkiem przerażeniu, zdrętwiały mi ręce, wiosłem ruszyć nie mogłam,



a pęd wody coraz mię dalej unosił... Szczęściem że jeździec dobrze się znał z koniem, bokiem go skręcił i na piasek upadli.

Z najzimniejszą krwią powstał zrzucony; konia, na którym cała skóra drżała, nie tknął szpicrutą, tylko go poglaskał, za grzywę targnął, z ziemi podniósł czapeczki i raz jeszcze nisko skłoniwszy się ku mnie, bez pomocy strzemięcia na siodło wskoczył, a potem w milczeniu, zwolna, lecz oglądając się często, pojechał w ślady swojego towarzysza. Ja też się przyznam, że długo patrzyłam za nim — jedna chwila niebezpieczeństwa poznałomiła nas lepiej, niż salonowej rozmowy godzina. Widziałam, jak ciąglym stępem jechał na wywyższenie, od którego dzieliła się droga, potem raz jeszcze uklonił się, zgadując zapewne, że ze środka rzeki poglądam ku niemu... potem wziął się na prawo, a tam na prawo leżało kilka wiosek, leżała też i Olszówka.

W godzinę potem, gdym wróciła do domu, matka z troskliwością mię zapytała:

— Cóż ci się stało, Ksawero? Tak okropnie jesteś błada.

Który z nich dwóch Julianem? W to się teraz wszystkie moje myśli wikłały, bo że jeden Julianem być musiał, o tem ani na chwilę nie zwątpiłam, chociaż niezupełnie byli do mego ideału brzydkości podobni.

Wątpliwość moją miał dzień jutrzejszy rozstrzygnąć.

Było to właśnie koło piątej ku wieczorowi godziny; matka dla żeńców naszykowała duży kosz kawałków razowego chleba, siostry krajanki sera dzieliły, ja dla ojca i braci zimne w karafki zlewałam mleko — wtem na podwórzu coś zatętniało. Nikt nie zważał; tak często wozy do stodoły ze snopkami jeździły, cóż w tym ruchu ogólnym znaczył jeden hałas więcej? Ja tylko parę kropel nabrałam, ale przed sobą samą nie byłabym się chciała do niepodobnego przyznać domysłu, nawet oczu nie wzniosłam.

Drzwi się otworzyły i do sieni, gdzieśmy właśnie były zatrudnione, wszedł...

— Brunet! — przerwała Józia.

— Blondyn! — zawołała Bronisia.

— Blondyn? brunet?—rozdzieliły się nasze głosy.

— Blondyn — z uśmiechem zawyrokowała Ksawera.— On, Julian. Przedstawił się grzecznie, a jednak nie bez pewnego pomieszania. Prosił, żebyśmy pracy naszej nie przerywały, żeby jemu w przechadzce udział mieć wolno było i żeby mógł na polu z resztą rodziny się zapoznać.

— Bo — dodał z uśmiechem—gospodarze i żołnierze zawsze na polu znajomość zabierać powinni.

Matka moja, pełna poczciwej prostoty, w swoim ubogim domku i skromnej odzieży nigdy obcego nielekająca się wzroku, pierwszy raz w życiu zakłopotana się i prawie zawstydzona przybyciem nieznajomego gościa, drukowanego poety... Książka piorunem w myśli jej stanęła, a chociaż w tym razie dobrej, świętej kobiecie nie szło o próżność osobistą, czy ona się przybyłemu mądrą, czy bardzo ograniczoną wyda, jednakże troszczyło ją, że nie wiedziała czem go przyjąć, zająć, zabawić — prawdziwej, szczerzej gościnności troska! Przeczucie wskazało jej wreszcie najwłaściwszą drogę: ponieważ mnie najczęściej ze wszystkich czytającą widywała, mnie też staranie o rozmowie zleciła.

Z charakteru mojej matki to odziedziczyłam, że nigdy nie przemyślałam, jak ja się wydam komu, i zapewne gdyby mi wtedy coś podobnego przyszło do głowy, choćby i przez zbytnią pokorę, pełnobym smiesznych popełniła niedorzeczności, ale tak, bez żadnego na miłość własną zwrotu, wśród wielu spletnych wyobrażeń, to najdobitniej czułam i widziałam, że chcę Juliana usłyszeć, że on mi tylko może tysiące upragnionych a nieznanych jeszcze słów dopowiedzieć. Śmiało więc w naszym pochodzie stanęłam przy nim i kiedy on wahał się zapewne, czy ma co o wczoraj-

szem nadmienić spotkaniu, czy ma do znajomości się przyznać, ja bez żadnego pomieszenia mu rzekłam:

— A czy szczęśliwy był powrót?

— Szczęśliwszy niż mego towarzysza, który za nasz wspólny grzech sam jeden ze skaleczoną nogą pokutuje.

— Skaleczoną! doprawdy? więc koniecznie moją nieroztropność wyrzutem sumienia opłacić muszę?

— Och! to byłoby zadrogo; jego przypadek niebezpieczeństwem nie grozi. Lekko sobie o płot starł nogę, kiedy koń go unosił, a mnie się zdaje, że za naszą niegrzeczność większa na obydwóch powinna była spaść kara.

— Co to. to prawda; jednak się niemało pana upadkiem zatrwożyłam. Przy chwilce wolnej rozwagi, nigdybym tak sobie nie postąpiła. Trzeba to poetycznemu zawrotowi głowy darować—dodałam z uśmiechem.

Julian patrzył mi się w oczy, bo nie wiedział z pewnością, co te ostatnie znaczą wyrazy.

— Ja o sobie to mówię—rzekłam na zaspokojenie go.—Przed chwilą właśnie pana wiersze czytałam i nie byłam jakoś w zwyczajnem usposobieniu. Panowie przerwaliście mi piękne dumania; rozgniewana, zemścić się, ukarać chciałam.

— Przyznaj się pani, że to mówisz jedynie, aby tem większy żal we mnie wzbudzić, iż śmiałem cię obrazić wtedy właśnie, gdy może przyjazną, pobłażającą myśl dla mnie snułaś.

— Nie pobłażającą, panie Julianie, ale szczerze i chętnie pocieszającą.

— Cha, więc nigdy samemu sobie nie przebaczę!

— Gdyby to prawdą być miało, toby i pan nawzajem zbyt surowo siebie sądził. Oddawna już przywykłam do samotnego wozenia się po Pilicy, wszyscy znajomi wiedzą o tem; choć kto spotka, to się nie dziwi. Kiedy mnie panowie z brzegu wołać zaczęli, powinnam się była domyśleć, że to jacyś obcy ludzie, a do obcych co mi tam!

— Może tak niebo zrządziło, żeby choć niekorzystnie dla mnie, jednak znajomość przyspieszyć.

— Znajomość już dniem pierwszej była zrobiona.

— Na wierszach?

— Na współczuciu, bo pan jesteś bardzo nieszczęśliwy.

Wyobraźcie sobie radość młodego poety, któremu tak na pierwsze słowa uwierzą. Najdowcipniejsza i najżałotniejsza kobieta nie mogła miłszej znaleźć pochwały, większym usidlić go czarem. „Pan jesteś bardzo nieszczęśliwy!“ Gdyby nie konieczna przyzwoitość, zdaje mi się, że Julian byłby skakał z radości, byłby śmiał się, w ręce klaskał, ale że tego czynić nie wypadało, więc jemu pierś przepełniła się westchnieniem, ciemne oczy łzami zaszklily i odpowiedział tylko:

— Tak, pani mnie zrozumiałaś.

A po tych wyrazach byliśmy już najlepszymi przyjaciółmi i znaleźliśmy się, jakby od stu lat. Nie wiem, jak i co tam Julian z ojcem, z braćmi mówił, nie wiem nawet, kiedyśmy do domu wrócili i kiedy on odjechał; ja miałam tyle rzeczy do rozważania, tyle pamiątek do przechowania najdalszej przyszłości!

Od tego dnia coraz się stały częstszymi odwiedziny Juliana, coraz dłuższymi rozmowy nasze, lecz jeśli kiedy jeszcze ku Pilicy poszła sama i czółenkiem z wodą popłynęła, nikt mi już rojących myśli nie przerywał, nikt na mnie z brzegu nie wołał. W jakiś czas po zabranii bliższej znajomości, Julian przywiózł raz z sobą i przedstawił nam owego towarzysza nieszczęśliwej konnej przejażdżki.

Pan Leopold zbliżył się do mnie, ukłonił bardzo poważnie i zaczął mówić:

— Przepraszam panią... — lecz zaczerwienił się jak młoda dziewczyna, od białego czoła, aż po czarne wąsy, a ja nie mogłam wstrzymać dość głośnego śmiechu; odpowiedziałam tylko:

— Niech pan także wybaczy.



I na tem się skończyła cała nasza rozmowa. Pan Leopold niedługo do Galicyi wyjechał, a ja zbyt wiele o zbyt wielu przedmiotach miałam z Julianem do mówienia, żeby się kiedy zapytać o niego. Przeszedł więc w mojem życiu niedostrzeżony zupełnie — śmiechem przywitany, pożegnany zapomnieniem.

A mnie tymczasem na losu wrzecionie tęczowe nitki się snuły. Julian, bogaty w słowa, tę rzeźbę ludzkiej myśli, uzmysławiał niejako moje bezkształtne w dziedzinie ducha nabycia. Kiedy on mi powiedział to, co ja pierwaj jeszcze w głębi mej istoty czułam, to mnie jakaś dziecinna radość, lub szalona duma unosiła, a jednak nie było czem się cieszyć i czem pysznić nie było. Julian rozwijał tylko najzgubniejsze w umyśle moim zarody: wątpliwość i zniechęcenie. Gdy mu wspomniałam o tworzonych względem jego wierszy domysłach, słuchał mię zapłoniony i zmieszany przy początku, jaśniejący radością na końcu.

— Pani sama — rzekł mi wtedy — sama największą byłaś poetką, bo poezya, to jest wiecznotrwałe zapytanie, które stworzenie swemu Stwórcy na wszystkie wysławia tony. Odpowiedź byłaby mądrością Bożą, tak jak ślepa spokojność zwierzęcą bezmyślnością bywa;—wśród tych dwóch kończyn jedynie jest prawdziwa wielkość człowieka — niepewność i chęć wiedzenia bez miary.

— Lecz za tą chęcią — przełożyłam nieśmiało— za tą chęcią znowuż coś być musi. Nowonarodzonemu dziecięciu pierś matki mlekiem się wzbiera, dla ust spragnionych zawsze gdzieś świeży źródł płynię. dla głodnych pola zbożem dojrzewają, każda potrzeba ma w naturze odpowiednie zaspokojenie—czemużby tej jednej, tej najświętszej potrzebie miało zabraknąć sycającego żywiołu?

— A kto pani powiedział, że takie usposobienie jest potrzebą, nie zbytkiem, świętością, nie grzechem? Cha, zapomnieliśmy pierwszych biblijnych nauk—mówił dalej z gorzkim uśmiechem.—Bóg dał przecież Adamowi najczystsze źródło, najśodsze owoce, dał mu pić



i jeść. tylko wiedzieć zabronił. Czyż pani się zdaje, że gdyby sama nie poszła między te ciernie i głogi zwątpienia, gdybym jej w połowie mojej własnej nie napotkał drogi, jabym ją śmiało wołać ku sobie, jak wtedy szalony z kryształów Pilicy w błoto nadbrzeżne wołałem? Och! nie, piękną i wabną dla młodzieńczej wyobraźni byłbym omijał zdaleka, wspomniał może przy grobie, że kiedyś przesunęła się jasnem wśród chmur życia zjawiskiem, ale między nami pozostałaby po wiek wieków taż sama zasłona, jak ta, którą ci, pani. lekki wiatru powiew symbolicznie przy pierwszym spotkaniu na cudne rzucił oblicze.

— Lubo pan grozisz i grzechem i karą—olśniona, zachwycona z tkliwością mu rzekłam—już ja wolę, żeśmy na nią razem zasłużyli.

— Och! i ja wolę także; gdzie szczęścia niema, jest wielkość. Bądźmyż razem wielkimi, chociaż jak dwa anioły, które Pan Bóg strącił. Karmią. żywiołem odpowiednim wszelkiej chęci badania. jest nieskończone cierpienie, lecz kto jedną chwilę w życiu swoim duszą i myślą przebolał, czyż chciałby potem być szczęściem wszystkich innych, spokojnych, szczęśliwy? Nie. nigdy, nigdy! a kiedy nieba jak Bóg mieć nie mogę, to wolę piekło od ziemi!..

Zakręciło mi się w głowie od tych sofizmów—cóż dziwnego? Julian spoetyzował, wzniosł do najwyższej potęgi to, co mię dotychczas w upokorzeniu trzymało—brak wewnętrznej pewności. Ze strony próżności najwątłej tkanka ludzkiego mózgu naciągnięta i tam się najłatwiej rwie. Zgubną drogą śmiało szłam w przepaść, pyszna, że z tłumu nikt tam za mną nie wskoczy. Twarz uśmiechu. serce przychylności. ręce pracy zapomniały. Matka, widząc mię ponurą, obojętną, zmienioną. nieraz rzekła do ojca:

— Trzeba zerwać te nieszczęśliwe stosunki. Ksawerę do ciotki w Krakowskie wywieźć, bo dziewczyna szaleje z miłości.

Ojciec nic nie odpowiedział, widać zamiary ja-

kies sobie tworzył, a matka wielką, wielką słuszną miała, choć mylnie rzecz całą pojęła.

Szalałam codzien więcej, okropniej, bolesniej, ale nie szalałam z miłości. Miłość właśnie stała się dla mnie łódką zbawienia wśród burzy, aniołem, przewodnikiem wśród życia. Wam się zdaje zapewne, że od pierwszej o Julianie wzmianki zakochałam się w nim szczerze i prawdziwie; mnie samej tak się zdawało, a przecież dzisiaj inaczej cieniowanie mych uczuć pojmuję. Zrazu były one rozdrażnieniem, podniętą niespokojnej wyobraźni. Julian miał dla mnie wdzięk osobliwości, potem kochałam w nim samą siebie, przyjemną pochwałę, upragnioną rozmowę, potem dopiero Juliana kochać zaczęłam, a gdy zaczęłam, rozświetliły się moje pojęcia, uszlachetniła cała istota, bo mnie, egoistce, zarozumiałej, próżnej, wystarczał wielki udział w wielkiego poety nieszczęściu—ale mnie tkliwej, kochającej nieprzebranem w miłości sercem, taka część zbyt małą była. Poczułam w sobie niczem niezwalczone niewieściej natury prawo, prawo uszczęśliwiania kochanych. Od tej chwili zabłyśły inne gwiazdy na niebie myśli moich, a musiały być czyste, jasne same z siebie, bo potem nawet, kiedy miłość zgasła, one mi nigdy świecić nie przestały i dzisiaj jeszcze żywym blaskiem świecą.

Raz, był to piękny, jesienny wieczór, słońce w krwawym tonie zachodziło, a po ścieżkach małego ogródka, wiatr żółtkłemi szeleścił liśćmi. W milczeniu na brzoźowej pod oknem ławeczce podziwialiśmy ten obraz; różnostronnie musiały biedz myśli nasze, bo gdy w jednejsze chwili zwróciliśmy się ku sobie, chcąc obecnem rozdzielić się wrażeniem, Julian zimny uśmiech na ustach, ja łzę miałam w oku.

— Panią to smuci — rzekł, zakreślając koło w przestrzeni, jakby chciał niem objąć całego świata znaczenie— a dla mnie już szczęśliwszych chwil niema. Oto liście, wzniosłych drzew szata i korona, uwiedle, ziemi zgnilizną wracają. Oto słońce, piękne, promieniące dnia oko, chmurą zachodzi i przed ciemnością

nocy ustępuje, za parę godzin wszystko zmilknie, uci-  
chnie, spocznie. zwierzęta pracy, ludzie kłamstwa za-  
przestaną i będą mógł marzyć, że się wieki wypełniły  
i że już wszystko nicością!...

— Ach! — przerwałam coprędzej — to jest blu-  
źniercze marzenie; liść spadły przyszłej wiosny uży-  
źnia zasiewy, gasnące słońce z bliskim porankiem ja-  
sną błysnie jutrzeńką, a człowiek nie kłamstwu, lecz  
nowej zbudzi się nadziei.

— Idylla — rzucił Julian z niedbałą ironią.

— Historia — odpowiedziałam silnym i pewnym  
głosem, wsparta całą mocą mego przekonania. Julian  
spojrzał na mnie zdziwiony, zapewne uważał to, iż od  
jakiegoś czasu wspólne, jednakowe założenia w od-  
mienne przeprowadzałam wnioski, ale jeszcze nigdy  
równie śmiało i otwarcie z przeczeniem przeciw niemu  
nie wystąpiłam. Po chwili zaczął mówić wolno, obo-  
jętnie i dopiero stopniowo wciągu mowy ta drażliwa,  
nerwowa organizacya tak się dźwiękiem własnych  
rozjątrzyła wyrazów, że już mu przy końcu prędko,  
ucinkowo biegły.

— Historia — powtórzył on — tak jest, na pierw-  
szy rzut oka, wszystkie wieki toczą się jak słońce ju-  
trzeńką, zachodem, nocą, i znów jutrzeńką, znów za-  
chodem, znów nocą wracają teżsame obłąkania, wy-  
stępki i nieszczęścia. Formy wypadków podobne,  
przyczyny niezmiennie, skutki jednostajne. kto wie,  
może tak już miliony lat przetrwało? Ale gdybym ja  
się jeszcze po drugich takich milionach urodził, jabym  
wolał wierzyć, że to ku nicości dąży, niż powiedzieć  
sobie, że owym tańcem piekielnym, wirem głupstwa  
i rozpaczy, po łzach, po krwi, po błocie, nasza ziemia  
w nieskończoność się kręci.

Musiał Julian bardzo być sam z siebie zadowo-  
lony po wymówieniu tych słów, bo spojrzął w niebo  
jak kokietka w zwierciadło; zdało się, iż chciał na  
obłokach odbicia swej myśli dopatrzeć. Ja łatwo-  
wierna, wzruszona i drżąca, pogoniłam za jego spoj-  
rzeniem.

— Och! tak, tak, patrzmy ku niebu — zawołałam — gdy ziemia przed naszym rozumem milczy, lub gorzkim do serca odzywa się słowem. Kto śmie z nicości tworzyć domysły, tenby powinien jeszcze jednym skrzydła ruchem o jedną sferę wyżej ulecieć. na jedno jeszcze wzniesić się pojęcie i uwierzyć w doskonałość.

— Jaka? czyją?

— Gdybyśmy w naszych rozmowach nie spotwarzyli, nie sponiewierali wielkiego Boga imienia, to bym je teraz za odpowiedź dała. Ale smutno wspomnieć sobie, że często nadużyte i źle zrozumiane, mogłoby i teraz skrzywić myśl moją, bo ja nie chcę tu o władcy, o panu, o rządcy świata mówić, ja biorę doskonałość w jej czystem, pierwotnem znaczeniu, biorę ją taką, jakiej pojęcie w piersi każdego człowieka spoczywa, jaką czuje każde sumienie, marzy każda szlachetna dusza. Cha! powiedz mi, poeto, czemuśmy sobie Boga taką doskonałością nie wytłumaczyli? teraz by łatwiej nam było rozmawiać.

Zamilkłam na chwilę, lecz zachęcona uwagą Juliana, tak dalej snułam w wyrazach pomieszanych od dawna w głębie serca nazbierane myśli.

— Zdaje mi się, że oboje mylną poszliśmy drogą. Starcie ducha naszego ze światem zewnętrznym nazwalismy mądrością ludzką, wszelką siłę nazwalismy Bogiem. Teraz, kiedy czy w tę, czy w ową stronę, po domniemywaniach iść tylko możemy, dlaczegóżby nie przypuścić, że mądrość nie na walce, lecz na zwycięstwie polega, a Bóg siły że jest Bogiem ideałów gorącej piersi naszej? Och! ja tego dobrze wypowiedzieć nie umiem. Zrównoważenie, czy zniesienie złego przez dobre, ciemnoty przez światłość, boleści przez szczęście, to jest zagadką na całe życie człowieka. może ludzkości nawet. Lecz kiedy mam w myśli jakieś pojęcie zastosowane do tych wyrazów: cnota, piękność, doskonałość, a w sercu mam uczucie niewyczerpane, nieskazitelne, promienne — och! wtedy mnie dosyć na tem. Nie rozpaczam o przyszłości, bo wierzę w Boga



doskonałego bezkońca, a wierzę w takiego Boga, bo... kocham.

I kiedy mi ten ostatni wyraz, jak modlitwa z piersi, obok Bożego imienia uleciał, sama się dźwiękiem jego oczarowałam, upoiłam, przybyło mi odwagi, siły, pewności, więc ujawszy drżącą rękę Juliana:

— Ja kocham, ja ciebie kocham, poeto! — z uniesieniem dodałam — i ty chcesz, żebym w pokorze przyjęła klątwę nicości i potępienia, rzuconą na wszystkie dzieci tej ziemi, która i tobie jest matką? Nie, nie, Julianie, dla nas, dla ludzi, dla świata całego jest szczęście, bo jest miłość. — I spojrzałam w ciemne oczy jego, a on, blady, choć jaśniejący niewysłowionej radości uśmiechem, ścisnął obie moje dłonie i rzekł tylko:

— Prawda, prawda. Ksawero!

— Cóż to za wiersze deklamujecie? — spytał nagle, od chwili niepostrzeżenie przy nas stojący ojciec.

Dziś przypominam sobie, że to pytanie zmieszało, czy przestraszyło Juliana, bo prędko z miejsca powstał, otworzył usta, lecz nim mówić zaczął, ja pierwsza, wzruszona, ale spokojna, z dumą prawie odezwałam się:

— Ojcze mój, my nie deklamujemy wierszy, ja tylko powiedziałam Julianowi, że go kocham i że dla tego wierzę w szczęście i w Boga.

— A to co znaczy? — nawpół ze zdziwieniem, nawpół z kłopotem zawołał mój ojciec.

— To znaczy — odrzekł Julian, nieco stłumionym głosem — że jeśli ze strony rodziców przeciw mnie zarzutu jakiego nie będzie...

— Mylisz się, mylisz pan bardzo — przerwałam z żywością — to znaczy, ojcze, że Julian, poeta, z wielkim geniuszem w myśli, z wielkim w sercu nieszczęściem, a ja biedna, nieświadoma siłą uwielbienia i uczucia, tylko zdołałam stworzyć w sobie pojęcie dla geniuszu, pociechę dla nieszczęścia jego. Julianie, pamiętaj, że to nic więcej nie znaczy, i ty, mój dobry, mój kochany ojcze, nie chciej sobie tego w inny tłumaczyć sposób — schyliłam się po rękę ojcowską i z uszanowa-



niem ją do ust przycisnąwszy, na Juliana spojrzałam raz jeszcze i śpiesznie się oddaliłam. Widziałam jednak, że ojciec ruszył ramionami i doleciało mię kilka wyrazów, jak gdyby mówił, iż trudno tłumaczyć to, czego się nie rozumie; potem stał chwilę przed Julianem, zapewne chciał mu coś powiedzieć, ale namysliwszy się, wcisnął tylko głębiej kapelusz na oczy i w drugą odszedł stronę

Wieczorem długą miałam z moją matką rozmowę. Matka wspomniała coś o sądach ludzkich, jam jej o sądzie własnego mówiła sumienia, matka zrobiła wzmiankę o mojem szczęściu, o losie, mnie się rumieńcem oburzenia czoło zapłonilo, bo ja myślałam tylko o szczęściu Juliana, o wielkości poety.

— Matko, któż mię potępi, że go kocham? On wieszcz, on święty, on wybrany Boga, a że choć kocham, żoną być mu nie chcę, to moja cnota, matko, to moja świętość, to chwała jedyna. Jemu nietrzeba drogi rodzinnemi obowiązkami i rodzinną pracą utrudniać. On z życia rzeczywistego uczucie tylko czerpać powinien, z każdego serca wybrać daninę promień najczystszy, aby kiedyś wszystkie promienie w tęczę pomysłów rozwinął i ludziom oddał poezją... Innego stosunku między nim a światem być nie może, innego ja mu nie narzucę dla... ach, matko, tem jednym słowem ustaliłaś na wieki przedsięwzięcie moje... dla losu!

Jak widzicie, nie mogłyśmy się z matką zrozumieć, jednak zgodziłyśmy się prędko, bo jak zwykle, dobra, łagodna, kochająca, zaufała mi wkońcu i według woli działać pozwoliła. A czy chcecie wiedzieć, co się przez ten czas z Julianem robiło?

— Jak ty sama o tem wiedzieć możesz, Ksawero?

— Cha! śmieszna, lub też bardzo niedoświadczona jesteś, Anno. Julian zaraz nazajutrz mi wszystko powiedział. Najpierw stał długo nieruchomy, ręce mocno skrzyżował na piersiach, bo go strach dziecięcy ogarnął, żeby mu serce z tem niepojętem i nieobjętym uczuciem radości gdzieś daleko ku niebu z piersi

nie uciekło — potem klęknął. ucałował na piasku ślad mojej nogi. potem dosiadł konia, wolny bieg mu puścił i tak długo, długo po łąkach, lasach hasali sobie wesoło. a Julian od czasu do czasu powtarzał tylko: „Ja ciebie kocham, poeto“ i wymawiał te słowa dźwiękiem mojego głosu, i miał je ciągle przy sobie. nad sobą, słyszał, czuł, pił je z wracającym w oddechu powietrzem.

A wyobraźcie sobie, moje lube. że kiedyś słuchała tych powieści. siedzieliśmy we dwoje tylko w małym Gawrycha czółenku: woda lekko. choć daleko nas niosła i łód zdawał się płynąć po obu stronach jakby w ucieczce. niepowrotnie, a niebo było czyste. a Pilica jak niebo, a Julian jak poeta. Zpod ciemnych brwi i ciemnej rzęsy szkiło się lżą czarne jego oko w cudzej sprzeczności z jasnymi włosów pierścieniami i mówił do mnie:

— Byłaś mi objawieniem mądrości. Ksawero, będziesz i szczęściem mojem. Od wczorajszego wieczora do dzisiejszego poranku wiek myśli dla mnie upłynął, rozwarł świat nowy. świat jednym twoim wyrazem do życia wywołany. Błądziłem dawniej, okropnie błądziłem! Złe nie leży ani w konieczności losów, ani w naturze człowieka. złe jest tylko prostym i przemiennym skutkiem woli ludzkiej. Żadne fatum nie wyrzekło nad rodzajem naszym: „Ten brak ma cię wiecznie niepokoić, ten nadmiar wiecznie uciskać, to lub tamto nieszczęściem ci będzie.“ Och! kłamstwo, kłamstwo wierutne! Ja człowiek mogę pod każde zewnętrzne wrażenie wewnętrzną myśl podsunąć i mam to, co sam z siebie wysnułem, nie to, co do mnie z poza mnie przyszło! Czemu mi dzisiaj te wzgórza takie malownicze. ta woda tak czysta, te lasy w oddali tak wabne chłodem i sosny żywiczną wonią? Czemu w tej chwili czuję. żebym przyjął z równem uniesieniem wszystkie bogatej natury przemiany. równie piorunną burzę, jak pogodę obecną, równie śnieg wchrujący ciężkimi kłęby. jak to świeże. jędrne ciepło jesieni? Czemu? bo ja w duchu mam skarb piękności

i światła; skarb, którym wszystko dokoła zbogacę. pięknię i upromienię. Bo ja cię kocham. Ksawero! Z myślą o tobie. jak zakląłem w dźwięk czarowny wszystko co mnie otacza. tak zakląłbym wszystko, na czemby spocząć mogło ciebie wszędzie widzące spojrzenie. Mnie piorun blaskiem twego okaby świecił, a w śniegowych tumanach twoja biała, powłóczysta migotałaby szata. bo ja teraz pan wszechrzeczy, ich stosunek z sobą według mej myśli stanowią... lecz myśl moją od ciebie wzięłem. Ksawero. nie opuszczaj mię... Ksawero. bądźmy razem na całe życie, na całą wieczność!...

Miejcież lat ośmnaście i słuchajcie takich improwizacyj spokojnie, bez płonącej twarzy, bez bijącego serca, a jeszcze kiedy improwizator da się własnemu owładnąć natchnieniu i sam prawdzie wymówionych przez siebie wyrazów uwierzy... Miejcież lat ośmnaście i nie powiedźcie mu wtedy echem słów jego:

— Na całe życie, na całą wieczność...

Ja powiedziałam, i mówiłam jeszcze długo o szczęściu, o miłości. o Bogu, o poezji, patrząc w jego oblicze.

— Wszak prawda, Julianie, kto szczęśliwy, ten Boga o powód stworzenia nie pyta? Mnie tak dobrze, tak błogo żyć i kochać. Czyżbym ja sama jedna zpod ogólnego wyłamała się prawa. gdyby koniecznie złe prawem ziemi naszej było? Nie, ja tylko należną sobie część wzięłam i zaiste każdy z bliźnich moich tak brać może i powinien. Cóż ludziom na przeszkodzie do szczęścia, kiedy miłość jest w całej rozlaną naturze? — jej tętnem pierwsze młodego serca uderzenie bije, w jej uznaniu ostatnia myśl rozumu w wyższą Boską mądrość się rozpala, ale człowiek bratu człowiekowi i Bogu Ojcu świętą popsował harmonią — popsował z własnej woli. nie z przeznaczenia, jak to sam powiedziałeś, Julianie. Zamknęło się pojęcie przed zrozumieniem ogólnego prawa ku szczęściu, zamknęły uszy przed natury głosem. Ty, poeto, wstań

i przemów, niech ludzie zrozumieją, ty, poeto, wstań i zaśpiewaj! niech ludzkość usłyszy.

— Czy nie rozgniewasz się, Ksawero? — nagle z uśmiechem zagadnęła Bronisława.

— Zawczasu ci odpuszczam i przyjmuję wszelką złośliwość — odpowiedziała równie wesoło Ksawera.

— To nie jest złośliwość, tylko prosty objaśniający przypisek. Mnie się zdaje, pocziwa Ksawero, że jeśliś wtedy chciała całą ludzkość zbudzić, obdarzyć szczęściem i mądrością, to dlatego jedynie, by po wiek wieków pary kochanków spokojnie kochać się mogły.

— Słuszną jest twoja parodia. W najdalszych o przyszłości nadziejach jam tu tylko dobro ogólne na zupełną wszystkich jednostek rozłożyła szczęśliwość, jak z początku uznanie potrzeby i prawa ogólnej szczęśliwości z mojego jednostkowego złożyłam szczęścia, bo ja byłam uczuciowa tylko, za popędem serca, nie za jasnością myśli idąca dziewczyna. Ale wyobraźcie sobie, co to jest wielka talentu potęga. Wszystkie dni od tego dnia ubiegłe na świadectwo biorę, że w mojej duszy więcej było czystej ku dobremu chęci, więcej dobrego nawet, a przecież Julian wznosił się nademną świętą pieśnią ideału na całą niebios przestrzeń, która pojęciem doskonałości nad pojęciem szczęścia góruje. On twoje słowa, Bronisiu, wylał jakąś uroczystą harmonią. Z serca mego wziął pierwsze słowo prawdy, lecz je wziął prochem, a słońcem w chmury uniósł. Kiedym go słuchała pilnie, okiem i uchem, on z tej idei bezwzględного dobra wysnuł hymn zaręczyn naszych. Była to piękna, przed Bogiem i przed wspomnieniami naszemi chwila — piękny obraz — on natchniony, ja kochająca — i mówił Julian:

„Ja ciebie kocham, poeto.“ —  
Za ten wyraz, za tę chwilę.  
W proch głowę moję chylę,  
I przed tobą, kobieto,



Upadłem na kolana,  
I pokorniej, i szczerzej niż do świętej w niebie,  
Ja się modłę do ciebie,  
Do ciebie, ukochana!  
Ty mi najświętszą z świętych! czterykroć aniołem,  
Białym aniołem bez grzechu,  
Bo mój geniusz mi świeci z gwiazdy nad twem czołem,  
Bo ja mam szczęście z twojego uśmiechu,  
Mam jasność z twego spojrzenia  
I cnotę z twego natchnienia.

Czy wiesz. czem ja dawniej byłem?  
Oto ja dawniej, świat cały, święty.  
Myśli i zjawisk. na dwa rozstępy —  
Na ból i rozkosz dzieliłem.  
Samolubnemu, wszystko w naturze,  
Pogodne nieba, szalone burze,  
Gwiazdy złociste, kiedy cichą nocą.  
Niby godowe duchów pochodnie migocą.  
I tu na ziemi kwiaty z łąk kobierca,  
I wzniosłe góry, zbożem siane łąny.  
I lasów cienie i morza balwany,  
I ziarnka piasku i — bliźnich mych serca,  
Były tylko pojęciem smutku lub radości.  
Zdawało mi się wtedy, że wieczność, czas Boży,  
W przemianach nieskończoności.  
Tak się z samych uśmiechów i z samych lez złoży.  
Bo ja *marzyciel*. — Cuda wszechistnienia  
Obliczyłem — na wrażenia!...

A czy wiesz, czem potem byłem?  
Potem, gdy pierwszy toast doświadczenia  
Aż po ostatnią kroplę wychyliłem.  
Na wiwat księgom i życiu?  
Oto najpierw, jadem zwątpienia.  
Napój przez serce w ukryciu  
Po wszystkich moich żyłach się roztoczył,  
Aż padł mi w mózg i w myśl splątany,  
Szybkie odbywał przemiany —



Był chęcią wiedzy, był zapytaniem,  
Nieufnością i szemraniem,  
Aż wkońcu z ust mi bluźnierstwem wyskoczył.  
Och! jak bluźniłem, to pewno na ziemi  
Nikt już usty śmiertelnemi  
Tak zawsze i wszędzie  
Bogu bluźnić nie będzie.  
A ci ludzie — półmędrki! gdy mi się zdarzyło  
Głośniejszą klątwę z większą cisnąć siłą,  
Sobie na potępienie, a mnie na podniecie  
Z zachwianą wiarą, z okiem zapłakanem  
Wołali: — „Mamy poetę!...“  
A jam był tylko... *szatanem!*

Poetą ja dziś jestem — boś ty mnie nazwała —  
I dzisiaj to święte imię  
Nie w dźwięku i nie w rymie,  
Ale ducha sakramentem,  
W świętym czynie i uczuciu świętem —  
Jak wziąłem od mego anioła,  
Tak ludziom rozdam dokoła  
Ach! błogosławionemi dary  
Piękności, prawdy i wiary!..  
Piękności, bo pięknością świat wszechrzeczy  
[czuje —  
Prawdy, bo moją mądrość z miłości wysnuję,  
Wiary, bo wiarę moją w najwyższe koleje  
Przeprowadzę z pojęcia w życzenie, w nadzieję.  
I aż na Bogu oprę ją w wieczności;  
A Bóg mój, na ziemi i w niebie,  
Wszak to słyszałem od ciebie,  
Jest ideałem doskonałości!..

I z ostatnim wierszem zamysliła się Ksawera, i  
mysmy wszystkie milczały dokoła. szanując świętość  
przypomnień.

— Ja go tak kochałam! — zaczęła nakoniec mó-  
wić, ale jakby już nie dla nas, jakby tylko sobie swoje

własne opowiadała marzenia. — Te słowa poezyi miały być przysięgą na całe życie nasze — ślubem, modlitwą — wszakże to słyszał odemnie.. Cha! zgadnijcie — rzekła z głośnym śmiechem, głowę podnosząc i ku nam się zwracając — zgadnijcie, co się potem stało?...

Spojrzałyśmy po sobie zakłopotane nieco i w chwilę dopiero ja rzekłam:

— Julian się w innej pokochał.

Ksawera szyderczo ramionami ruszyła.

— To mu wolno było — ale on gorzej, trywialniej, nędzniej postąpił sobie. On mi w kilka tygodni potem przysłał opisanie całego poranku, i Pilicy i moje i też wiersze same... przysłał drukowane w „Noworoczniku!...”

Tak nagłym spadkiem istotnie odurzona, nic zrazu nie odpowiedziałam.

Anna tylko surowo się spytała:

— Co się stało z Julianem?

— Nie widziałam go od tej przesyłki. wyjechałam w Krakowskie; słyszałam potem, że on za granicę wyjechał — że wrócił — i mówiono, że się znowu zakochał — lecz temu ostatniemu nie wierzyłam, bo poeta kochać nie może: jemu się tylko zdaje, że kocha, kiedy ładniejsze wiersze pisze.

— A ty, Ksawero, czy kochałaś potem? — znowu zagadnęła Anna.

— Leopold był ranny wczasie wojny — odpowiedziała spokojnie — cały czas go w domu mojej ciotki doglądano, potem... wszakże wiecie, że za mąż poszłam — memu mężowi Leopold na imię.

Od dalszych objaśnień wymówiła się Ksawera żartami i spóźnioną porą, a ja na rozstaniu jej powiedziałam:

— Kiedy Julian wydrukował pierwszą waszą miłosną rozmowę, Ksawero, czy mi pozwolisz, żebym dzieje miłości jego wydrukowała nawzajem? — Spojrza-

ła na mnie z lekkim zadziwieniem, ale prędko skinąwszy głową:

— Rób z niemi co chcesz — odrzekła obojętnie; — już to ja widzę, że ich przeznaczeniem było na kartce wierszy się zacząć, na kartce prozy zakończyć!...

---

# WYJĄTKI Z PODRÓŻY KOBIETY.

## G I B R A L T A R.

Ziściły się nakoniec sny mojej młodości,— w pięknym dniu majowym ujrzałam Gibraltar, a za kilka dni mieliśmy na afrykańskiej odpocząć ziemi!... ja miałam ojca i brata mego powitać. Ile ta myśl obejmowała radości, szczęścia, życzeń spełnionych, to tylko ten może pojąć, co jak ja, wychowany pod cieniem rodzinnego domu. książkami z całym pobratał się światem, a myślą po wszystkich częściach ziemi biegł za jakąś niepojętą zdobyczą wiedzy i prawdy. Zdawało mi się, że dopiero podróż moją zaczynam, i wistocie bogate miasta Europy przesunęły się przedemną, jak zjawiska wróżki Mergany.

Molly często mówiła do mnie: „patrz na ten pomnik sztuki, na te wybiegłe wieże kościołów, na ten krajobraz cudowny“— a ja nie patrzyłam. a Molly pojąć nie mogła mojej obojętności, czyli, jak sądziła, lenistwa.

Och! ja byłabym chciała zamknąć oczy na wszystkie przedmioty, jakem już duszę na wszelkie wrażenia

zamknęła, byle tylko unieść nieskalane dziewicze podziwienie moje owej obcej części świata, która na mnie z uściskiem ojca i brata czekała. Afryka! stara ziemia, co jeszcze w ciągłym dzieciństwie synów swoich piastuje; Afryka, pierwszy temat postępów ludzkości, czemuż jej pierwszym wejrzeniem ciekawej podróźnej nie przywitać, a iść potem, jak szli ludzie w doskonaleniu swoim, od namiotu murzyna i meczetu muzułmanna, do gmachu Londynu lub Paryża, kopuły świętego Piotra lub mogunckiej katedry. Stryj Molly był wyższym oficerem w załodze fortecy. Zwiedziliśmy z nim ciekawie groźne uzbrojenie tej góry, dziś spokojnej, a którą ręka ludzka w każdej chwili w niszczący wulkan przemienić może; milczące masy twierdzy zdają się czekać niecierpliwie, póki nie rykną tysiącem paszcz spiżowych, co tak dziko z jej rozdartych wyzierają wnętrzości. Dla mnie w Gibraltarze zaczyna się Afryka. Dzieło Kalifa Al-Walid wodza Maurów Tarrik cóż dziwnego, że ujęło w wojenny rynsztunek nieostrożny ląd Europy, który zadaleko w morze ku brzegom Maurytanii wybiegnał? Europa nie byłaby tak groźnym murem opasała ostatniego krańca bogatej w pyszne grody powierzchni. Europa ucywilizowana, mądra, potężna myślą, nie potrzebuje tych twierdz, tych zbroi, które ją znaczą piętnem wojny i śmierci. „Wszak prawda—mówiłam do Molly—to jest pomnik, pamiątka jedynie przejścia Maurów przez piękną ziemię Hiszpanii?“ Molly w głos się rozśmiała, a jej stryj, może i obrażony trochę, że mu historyczno-wojskową powieść przerwałam, ruszywszy ramionami, mówił dalej: „Od roku 1783, my, Anglicy, byliśmy ciągle panami Gibraltaru; znaczne poprawy i ulepszenia fortyfikacyj...“ Nie słuchałam go więcej, sama w sobie wysnuwałam z przyszłości inną powieść, inne dzieje, a duch pokoju i szczęścia był w myśli mojej.

Po całodziennych przechadzkach spragniona snu towarzyszka mej podróży usnęła prędko i smacznie; ale, co jak mówią, nieczęsto się zdarza w Gibraltarze,



noc była tak jasna i pogodna, że nie poszłam za jej przykładem.

Och! ja tak lubię patrzeć na niebo gwiazdami zasiane. gdy czysty księżyc przyświeca, a niebo takie jest piękne w tym kraju, że gdy podniosę żaluzye mych okien i patrzę długo i myślę długo o błękitnych obłokach, o ziemi uśpionej, to mi się zdaje, że ja szczęśliwa, że wszyscy szczęśliwi, wszystko na świecie szczęśliwe! Otóż tej nocy tak dumalam sobie. Przedemną bastiony, mury twierdzy, w ciemne, niewyraźne zwały się kształty i zawisły nad wodą cieśniny, jak pobratnie im skały i opoki. Księżyc zdala błyszczał na morskich bałwanach i dalej jeszcze niż księżyc dosięgnął promieniem, mglistą masą leżał ląd Afryki, z lewej strony szumiała śródziemna odnoga, z prawej odpowiadał jej stłumiony ryk oceanu, a nad morzem i oceanem, nad cieśniną i lądami, wznosiło się pyszne, gwiazdziste sklepienie niebios. Był-to obraz zachwycający, czego w nim słabe nie dostrzegło oko, to wzruszona dusza pojęła; i zaczęłam myśleć, marzyć, dumać, jak dziecię lub poeta.

Duch Boży ku nauce ludzi wyrzył słowa mądrości swojej na wszystkich cudach natury; zjawiskami widzialnego świata mówi o prawdach wieczności, a kto głoski pisma Bożego składać potrafi, kto duszą zachwyci nieustającą pieśń przyrody, ten tylko żyć będzie w prawdzie i w Bogu, który prawdą jest, ten odrodzi się wedle ducha i pić będzie wodę żywą, co życie daje umarłym i wskrzeszenie pogrzebionym.

Lądy, morza i gwiazdy nie dla przypadku rzucone były przed oczy człowieka, żeby się na nie patrzył, a nie widział co widzi; rozgłos mądrości Stwórcy nie na to jest w naturze, żeby mówił do człowieka, a człowiek go nie słyszał; muszą być jakieś święte nauki i cudowne słowa w owem nocnem milczeniu, w owym szumie wód morskich i wiatru szeleście. Słuchajmy. Wtedy zdało mi się, że z puszczy etiopskich wzbiła się w powietrze jakaś pieśń rzewnej tęsknoty i błogiej nadziei.

„Witam cię, biała siostró moja, bogata Europo! Pokłon i chwała niech będzie tobie starszej myśli, silniejszej potęgą. Witam cię w milionach krzyży, które z łona twego na obłokach ciemne rozkładają ramiona, w tysiącach kopuł i strzał złocistych, które wysoko na wysokich świecą gmachach. Witam cię, szczęśliwa kraino myśli i modlitwy. Zbliź się do mnie, powiedz mi, jak to myśleć można, naucz mnie, jakimi wyrazy trzeba się modlić. Od czasu, jak ramię Alcyda nasze przyjazne rozerwało dłonie, ja tęsknię do ciebie, siostró moja! Wypiastrawałam wielu mędrców, wielu królów, miast ogromnych wiele, a przecież żadna mądrość nie przyrosła do mego łona, żadna myśl nie wytrysła z przeszłości mych hieroglifów w przyszłość pisma twojego. Królowie moi dawni ciężą mi dzisiaj prochem olbrzymich piramid, wyschłem jeziorem Memfisa i kamiennem popiersiem Memnona. Miasta moje ogromne, jakby zawstydzone blaskiem nowych twoich dzieci, ukryły się ruiną w mych wnętrznościach, i gdzieś tam tylko, z ponad brzegu, schylone, pokornie na twą chwałę patrzą. Bogi moje bez świątyń czekają nowego bóstwa; krokodyl z wściekłością rzuca się w sitowia spokojnego Nilu; ibis strażnik pustyni pochylił głowę smutną na błękitne piersi, a kiedy burza ryczy i uragan leci, Murzyn nie wie, gdzie ma wyciągnięte obrócić dłonie, a Arab bez ufności na księżyc dwurożny spogląda. Europo, siostró moja, powiedz mi tajemnicze słowo twej mądrości, tajemnicze nazwisko twego Boga?“

„Pokłon tobie niech będzie — mówiła wtenczas ziemia pod stopy mojemu — Afryko wielka, rozległa pustynie! Pokłon tobie niech będzie na wierzchołku Atlasu, na szczycie piramid i na gruzach Cyreny — od szumnego Nigru, aż do pierwszej kropli oceanu, która się o twój najdalszy rozbija przyładek. Pokłon tobie i twojej przyszłości, siostró; nas Alcyd, ani żadna siła nie rozłączy. Rozpletli tylko palce nasze, ale czuć musisz, jak pod zimną Gibraltaru wodą, silnie wsparłyśmy ramię o ramię, dłoń o dłoń, jak tam pod wodą

przepaść nas nie dzieli. Ukochana słońca kraino, próżno ty słowa mądrości, próżno chcesz odemnie Boskiego imienia. Czekaj cierpliwie — czas przyjdzie dla ciebie, bo i dla mnie się zbliża. Walczyłyśmy obiedwie, walczmy jeszcze. Najpierw człowiek powstał przeciw zwierzęciu i przeciw żywiołom. Wśród moich lasów jodłowych potykał się z wilkiem żarłocznym i z rysiem drapieżnym, w moich puszczech wytepiał tura i żubra, na moich górach zwyciężał niedźwiedzia. Przed zimnym śniegiem okrył się skórą sobola, przed słońcem południa zasłonił się marmurowymi ścianami, a gdy wszystko na mojej powierzchni według swej potrzeby urządził, zaczął myśleć i walczyć myślą już nie przeciw zwierzętom, lub powietrzu zmianie, ale przeciw sroższemu nieprzyjacielowi, przeciw człowiekowi, myślącemu także, i ta walka nie doszła jeszcze końca. Czekaj. Afryko, siostró moja! Twoje dzieci pierwszej nie skończyły potyczki, bo silniejszych mają przeciwników. Czemże jest wilk najsroższy, ryś, żubr, tur najokropniejszy w porównaniu z królem lwem, z okrutnym tygrysem, z zajadłą panterą, krwiożerczą hyeną, z krokodylem i z grzechotnikiem, z hypopotamem Nilu potworem? Czemże jest mroźna zima Laponii w porównaniu z uraganem, co po twych pustyniach przebiega, jak olbrzym po piaszczystem morzu, i gradem kamieni, gruzów, pyłu zasypuje wędrownego Beduina? Czemże są upały Włoch i Hiszpanii w porównaniu z ognistym promieniem słońca, który jak ołów roztopiony prostopadle na mieszkańca Kaffreryi spada? Och! zaiste, wiele dzieci twoje miały i mają jeszcze do zwalczania. Ale czekaj, wśród twoich pustyni spiekłych wytryskają coraz nowe źródła i oazy. Ludzie zwyciężą zmysłową naturę, a tymczasem na mojem łonie myśl prawdy fałsz zwycięży i podzielimy się myślą, jak dwie siostry. Kto wie, może na twoim gruncie ręką czasu usposobionym lepiej i żyźniej przyjmie się to słowo, o które dzisiaj z niecierpliwością wołałaś. Afryko, siostró moja, czekajmy! Kiedy synowie moi po burzach i nawałnicach do pożądanego brze-

gu twego dobili, zawołali razem, jakby głosem proroka: „Dobra nadzieja“ — i dobra nadzieja! ja powtarzam z nimi.“

Zdawało mi się, że te wszystkie wyrazy mówiły dwie ziemie, naprzeciw siebie leżące. Dobra nadzieja! — ozwało się echo w mej duszy, wyciągnęłam ręce, chciałam jednym uściśnieniem rozerwane lądy połączyć, te dwie siostry, które w milczeniu nocy przyjazne hymny nucą sobie wzajemnie. Potem spuściłam głowę i słuchałam morza.

Śródziemna woda cicho i stłumionym szmerem mówiła: „Smutno, smutno wśród brzegów ziemi! Ani Sambułu pysznych gmachów odbicie, ani Wenecyi pałace z marmuru, ani wyspy Archipelagu, jak kwiaty na pierś moję rzucone, ani Neapol, który się we mnie przy świetle wulkanu przegląda, ani Marsylia, co tak wdzięcznie się uśmiecha, ani brzegi Walencyi, po których czarnobrewa Hiszpanki biegają, ani brzeg żaden, ani żadna ziemia tęsknoty mojej nie zmniejszy.“

Smutno wśród lądów; dokoła mnie kamiennym otoczyły uściskiem, chciałabym wybiedz za krańce tej ziemi, a tu wszędzie niewola i więzienie, wszędzie nudno i ciasno. Oceanie, bracie mój, gdzie jesteś?“

Na tę pieśń boleści ocean zaszumiał i zadrżał, aż w piętrzyste bałwany woda się spieniła.

„Jestem blisko ciebie, na głębiach bezdennych, na przestrzeni bez początku i końca. Nie mnie ziemia, ja ziemię chłodnemi okrążyłem koły, ja wszędzie jestem. Ja zawsze widzę słońce, dnia i nocy nie zna woda moja. Spójrzj na północ i na południe, widzisz te gmachy z brylantów, większe i świetniejsze niż najświetniejsze gmachy wszystkich miast, stróżów twoich — to ja jestem; w łód się ściałem i wiecznie tam będę strzegł dwóch krańców ziemi, żeby ich człowiek nie ośwładnął. Tam ja sam panem jestem, a gdy mi zimno, płynę pod równik i gotuję się przy słońca promieniach, a gdy mi nudno, rozbijam okręty i z Lewiatanem wielorybem w zapasy się biorę. a gdy mi gorzko, piję wodę rzek tysiąca, i szczęśliwy, i wolny i potężny



jestem! Pójdź, siostró moja, pójdź do mnie! rozerwały się lądy, nic cię nie zatrzyma. Ja mam przestrzenie bez granic i miary. Ja tylko na ukojenie niewolniczej tęsknocie twojej ozwać się mogę tem wielkiem słowem: Nieskończoność! Nieskończoność!“

I przez Gibraltar wyciągnęło morze srebrzyste ramię ku oceanowi, i ocean pochwycił wodę pozdrowienia, roztworzył głębie swoje aż do dna. pianą prysnął pod obłoki; lecz gdzie woda zapłynęła nie wiedziałam, nie słyszałam, tylko usta powtórzyły: Nieskończoność!

Potem oczy w górę wzniosłam. Wszystkie gwiazdy na niebie z jasnych uplotów potworzyły litery i zgłoski słów. jakie tylko w księgach Boga zapisane być mogą. Ja czytałam. Jedne znaczyły mądrość. drugie wielkość, inne piękność, inne znowu wszechmocność. Lecz wszystkie razem zlały się w cudny, ogólny wyraz, wszystkie razem tworzyły miłość. I wtedy lądy ziemskie. wody morskie zgodnym odpowiadały im hymnem, i z puszczy Afryki. znad miast Europy, z głębin śródziemnych i przepaści oceanu wzbijał się wspólny radosny okrzyk miłości. Bo w naturze wszystko jest miłością, miłość jest Bogiem. Ona świat poczęła i ludzkość w kolej czasu rzuciła: ona prowadzi ducha wiarą i mądrością ku doskonałości i szczęściu. ona jest wiecznie ożywcem tchnieniem Bóstwa. apoteozą przyszłości.

Czemuż ja mam wątpić. ja. com pojęła tę myśl nieskończoną i świętą nieskończonej i świętej miłości, ja, com wierzyła. że kiedyś znikną z powierzchni ziemi groźne twierdze, śmierć rażące pociski. że się wyczerpie w sercach ludzkich nienawiść. w losie ludzkim nieszczęście? Złe z natury swojej musi być przemijającym i przypadkowym, względnem i kłamliwem. bo dobre jest prawdą wieczną, niezmienną. bezwzględną i jedną. Dwóch prawd niema, bo jest jeden Bóg tylko, a o tym Bogu i wiara wierzy i nauka przekonywa. dowodzi ludziom, że jest koniecznie doskonałym w do-



broci swojej i że miłością ku miłości ducha ludzkości prowadzi.

Złożyłam wtedy ręce i zaczęłam się modlić, nie tą modlitwą, która błagające oko z wyrazem prośby ku błękitowi atmosfery wznosi, ale tą prawdziwą modlitwą czci i uwielbienia w istność człowieka wsączoną, jak śpiew w piersi ptaszyny, jak zapach w listki kwiatów; tą modlitwą ducha, która nie Bogu o sobie, lecz sobie o Bogu mówi, która jak wszystkie umysłu zdolności, dana jest człowiekowi dla jego szczęścia i ulepszenia. Czułam, że owej nocy marzenie dało kształt i słowa nierozumianemu jeszcze uczuciu, niewyraźnej myśli. błogosławiłam je stokrotnie i powtarzałam sobie, com od gwiazd, morza i lądów słyszała — Miłość, Nieskończoność, Dobra Nadzieja!...

Nazajutrz Molly żałowała mnie bardzo, że całej nocy nie spałam.

---

## B U R Z A.

---

— Burza dziś będzie — rzekł spokojnie kapitan okrętu, wskazując stojącej obok siebie kobiecie zachmurzony w dali widnokrąg.

Kobieta z równą spokojnością odrzekła:

— Jeszczem nigdy nie widziała morskiej nawałnicy.

— Dzisiejsza zdaje się obiecywać najpiękniejszy widok — mówił dalej kapitan — wichry, grzmoty, pioruny i te długie błyskawice, w których całe obłoki się palą; niczego jej brakować nie będzie, może nawet rozbicia okrętu.

— Doprawdy, kapitanie? czy już zwątpiłeś o swojej „Syrenie.“ lekkiej jak skrzydło jaskółki, szybkiej jak lot orła?

— Moja „Syrena“ zwycięzko wyszła z wielu zapasów, lecz to miejsce, wczasie nawet spokojnym, jest jedno z najtrudniejszych do przebycia...

Kobieta smutnie głowę pochyliła.

— Widzę, że odwaga niewieściego serca przed niebezpieczeństwem jako śnieg wiosenny przed południowym słońcem topnieje — dodał jeszcze kapitan.

— Czy żal życia jest słabą lęklivością, kapitanie? Jeśli tak, to ja lękliwą jestem. żal mi tylu uzbieranych wyobrażeń, które żadnego przystosowania w rzeczywistości nie znalazły jeszcze. żal mi tego, co mam w sercu i w głowie, a co z sercem i z głową o podwodne skały się rozbija.

Nastąpiła chwila milczenia. Kobieta znów z pochyloną skronią zatoneła w głębokich marzeniach, kapitan wydał kilka rozkazów, a wiatr coraz silniejszy grał po linach, kłócił się z rozpuszczonymi żaglami.

— Bądź pani spokojna — rzekł kapitan, zwracając się do zamyślanej; — na co moc ludzka starczy, tego użyjemy w obronie.

Kobieta podniosła głowę, a rysy jej twarzy były tak pogodne, jak przed chwilą kiedy mówiła: jeszcze nigdy nie widziała morskiej nawałnicy.

— Już nią jestem zupełnie — odpowiedziała pewnym głosem — ach! zupełnie. wierz mi, kapitanie. Chwila minęła, już nic z siebie nie żałuję. Zgłębiłam lepiej tę wielką myśl śmierci. I cóż świat ogółu traci na jednym indywidualnem pojęciu, które gaśnie przed czasem? Ludzie pójdą dalej, choć człowiek ubędzie. Człowiek, cudowna machina ręką Boską ulepiona, szlachetny najemnik do wydobywania z wieczności skarbów wiedzy i prawdy, święty kaganiec, który wsiąka w siebie wonną oliwę przyszłości i świeci w niej jasnością natchnienia! Choć machina zepsuciu ulegnie, najemnika ręce zmartwieją, w proch się rozsypie metal kaganca, zostanie zawsze myśl mistrza, zostaną skarby w kopalni, światłość w naturze. Kto je da? mniejsza o to, byle były — a ja mogę umierać! Precz żalu

dziecinny i próżna tęsknota! Może umierać, kto mógł poznać największą śmierci tajemnicę — szczęście.

— Umierać a prędko, z wesołością — rzekł kapitan — i ja nie dbam o życie. My żeglarze szczęśliwsi od lądowych mieszkańców, nam prawie zawsze ostatnia godzina bije piorunem burzy, kulą nieprzyjaciela; niema nawet czasu spojrzeć za siebie, lub przed siebie, żałować, bać się, lub oczekiwać. Tu wszystko prędkie, niespodziane, przypadkowe; ten zostanie, ten padnie — tu śmierć dokoła, a nikt o śmierci nie myśli. Daj mi tylko Boże taki piorun, co odrazu czaszkę zgruchocze, taką kulę, co od razu serce rozbije, o nic więcej nie stoję; a kiedy zdarza mi się przesłać list do matki, która, święta i dobra kobieta, gdzieś daleko w mojej kochanej Szkocyi i za syna żeglarza się modli, to jej zawsze proszę, żeby w pacierzach swoich dodała: „Nagłą i niespodzianą śmiercią obdarz go Panie!” — Uśmiechnęła się kobieta.

— Kapitanie — rzekła — więcej niż lat w życiu, więcej masz we wspomnieniu pięknych i śmiałych czynów; podwładni słuchają cię równie przez uwielbienie i miłość, jak przez karność wojskową; tobie samemu się zdaje, żeś odważny, że w twej duszy prawdziwe męstwo spoczywa. O mój bitny żołnierzu, mój nieustraszony żeglarzu! zabij wzrokiem gniewu słabą kobietę, która temu przeczy zuchwale. Nie, nie, mój kapitanie, jesteś tylko lekkomyślnem, próznem dziecięciem, które śmiało idzie przez kładkę nad wielką przepaścią, bo mu się zdaje, że w nią nie wpadnie, bo patrzy gdzieindziej, a nigdy na dół nie spojrzy. Widzowie przyklaskują z brzoza, lecz ja milczę, ja nie tak rozumiem odwagę i męstwo. Spuść wzrok, pojmij co czynisz, a potem, wznosząc głowę, powiedz mi, że zawrotu nie czujesz i przejdź śmiało, to klasnę w ręce, powiem, że odważnym jesteś.

Kapitan zmarszczył brwi ciemne na szerokim czole, uśmiechnął się nawpół szyderczo, nawpół wesoło, zwyczajnie jak wojak na czcze słowa kobiety, i szepnął zcicha:

— Zobaczymy.

Tymczasem burza się zbliżyła, niebo ogniem zajęło, jakgdyby miało roztopionym spżem do morza wplynać, bałwany były w górę srogie, zapienione, okręt raz ciskał się pod obłoki, drugi raz spadał w przepaść tak głęboką, że kto z będących na nim wierzył w piekło, to mniemał, że się pod nim piekło roztworzyło.

Kapitan skrzyżował ręce na piersiach i rozkazy jego śpieszne, niemyłne, zbawienne brzmiały po wszystkich bokach okrętu. głośniejsze od wichru, prędsze od pioruna. Majtkowie wypełniali je w porządku, z milczeniem; tylko od czasu do czasu usta ich cicha poruszała modlitwa. Podróżni patrzyli na oczy dowódcy, jak chory na relikwią. Kobiety głośno mówiły pacierze, płakały, a jedna silnie o pokładową galeryą się wsparła i patrzyła to w niebo, to w morze, i chociaż stokrotnie o jej piersi rozbił się szklanym pyłem niejeden wytrysk śródziemnej wody, chociaż wichher stargał jej włosów zawiązkę, ona stała niewzruszona, cicha, a myślała o śmierci.

— Śmierć, owo uroczyste pozdrowienie Boga. któż ją zna tu na ziemi? Ludzie, widząc cierpienia i męki zgonu. nazywają go śmiercią, śmierć boleścią; ludzie się myślą. Gruba powłoka martwoty zaległa bujne życia i ducha przestworza. każde wydobycie się szlachetniejszych pierwiastków ze zmysłowego świata jest walką i wysileniem. Wszakże i wtedy, gdy matka z nicości dziecię światu rodzi, ból łono matki rozdziera. a przecież potem cieszą się wszyscy i mówią, że kobieta człowieka na świat wydała. Tak i ciało nasze, nim ducha w czystym duchów świecie porodzi, mocije się z własną słabością, cierpi, kona. ale konanie śmiercią nie jest. Śmierć jest najdoskonalszem połączeniem naszego ducha z Bogiem, naszej cząstki wiedzy z doskonałą wszechwiedzą. Ile jest w życiu czym niepewności. ile rzewnych, niepodobnych do wytłumaczenia smutków. ile pragnień nieskończoności, tyle jest chwil zgonu, podobieństw śmierci. Daj ziemi



naszej czyste szczęście, daj ową apokaliptyczną Jerozolimę, gród wieczystego światła i nieskończonego dobra, a ludzie nie będą umierali, bo śmierć jest tylko prerodzeniem się w życie prawdziwe. Śmierć potrzebna tam, gdzie jest jeszcze zło do naprawy, ziemskość do strząśnienia, zmysłowość do podbicia, ale tam, gdzie płyną niewyczerpniętym źródłem wody żywe, tam kto żyje, nie umiera! Ach! ja wierzę słowom Boga-Człowieka i wierzę prorocत्वu Apostoła-Poety! Leć, leć, aniele śmierci! rozkruszaj wszystko co jest przemieniem i martwem, niech się rozwija na wolnej niwie życia, to pierwotne i ostateczne tchnienie Boga, życie, ten wyraz rozwiązujący nieskończone zagadki zdającej się umierać dokoła przyrody. Leć, leć, aniele śmierci, dmuchnij na obłudne i mamiące twory, niechaj runą, a przyszłości zostawią żywotną część swoją, naukę prawdy. Leć, leć, aniele śmierci, połóż twój palec na ustach fałszywego mędrca, co pleśnią grobu okryty i zimny woła, że wszystko w grobie się kończy, że w lekkie wieko trumny można zabić silną myśl człowieka, że poświęcenia i trudy szaleństwem są i marnotrawstwem dni swoich, że krzyż Chrystusów nad wielkim tym cmentarzem bezużytecznie wyciąga ramiona, a krew męczenników w nieurodzajną wsiąknęła ziemię i powstał z niej robak grobowy, ostatni, jedyny szlachetnych dusz potomek. Leć, leć, aniele śmierci, skrzydły swemi rozwiej w powietrzu nieczne słowa, niechaj na wiek wieków zostanie o nich tylko ta pamiątka, że kłamano kiedyś. Leć, leć, aniele śmierci, a kiedy śnieżne pióra twoje dotkną czoła mojego, nie cofnę kroku, nie przymknę olśnionej źrenicy, bo ja wiem tajemnicę twoją, ja wiem, że ty szczęściem, wiedzą prawdy, ty życiem jesteś. Ach! szczęśliwy, kto może zdrowem ciałem, spokojnym umysłem patrzeć na zgon swój, umierać i myśleć o śmierci; szczęśliwy, kto może z głęboką rozważą przyjmować tę chwilę objawienia, to spełnienie najwyższego cudu.

— Rafa! rafa! — krzyknęło nagle kilka głosów.

— Zginęliśmy! — odpowiedzieli echem podróżni, a najsmielsi majtkowie z trwogą ręce opuścili i blade ich twarze zwróciły się ku dowódcy.

Rozkaz nowy, prędko, lecący ku zgubie okręt zatrzymał, jakby mocą czarnoksiężką. Przez chwil parę drżał ogromny statek na wzburzonej otchłani. niby masa granitu, gdy w upadaniu swoim słabą znajdzie zaporę i nad przepaścią się chwieje. Ustały płacze, nawet modlitwa ucichła. wszyscy milczeli i gdyby nie ryk burzy, możnaby było zliczyć przyspieszone każdej piersi odetchnienia. Lotem błyskawicy padło na dumającą kobietę spojrzenie dowódcy i ona też rzuciła ku niemu spokojnym wzrokiem braterskiego pożegnania, bo w tej stanowczej chwili posiostrzyły się ich dusze, same jedne spokojne wśród zakłóconych żywiołów i przelękłych ludzi. On z uśmiechem. jakby na ostatnie pogodzenie, rzekł tylko:

— Żadnego zawrotu nie czuję — i wzrok obojga pograżył się w bezmiernej przestrzeni.

Wiatr zadał z innej strony, wirowemi koły skreślił się okręt ku niemu i w nowym kierunku biedz zaczął szalonym, piekielnym biegiem. Nakoniec głos kapitana odezwał się słowami nadziei: „Minęło niebezpieczeństwo.“ I te wyrazy odbiły się promieniem radości na wszystkich twarzach, tylko jedno kobiety oblicze jak z przerażenia nie zbladło przed chwilą, tak i wtedy nie zajaśniało uśmiechem wesela.

Kapitan zbliżył się do niej. z uszanowaniem prawie i z tą szczerą i czystą przyjaźnią. lepszą od uszanowania, która z męskiego serca ku niewieście idąc, jest najwznioslejszą pochwałą, najprawdziwszem jej godności uznaniem.

— My tylko prawdziwie odważni jesteśmy — rzekł do niej — nasze dłonie mogą się uścisnąć wzajemnie, bratersko. Ależ powiedz mi. niepojęta istoto. powiedz mi: kto wlał w ciebie to spokojne męztwo, kto cię nauczył śmierci i burzy pogodnie stawiać czoło? Mnie dzieckiem małym ojciec wozził w małej łódce po spienionem jeziorze, mnie nadmorski wichur zahar-

tował ciało, morskie powietrze członki umocniło, mnie do śmiałości wychowywał dzień każdy; lecz zkąd ty idziesz, co odrazu stanęłaś przy kresie męskiej odwagi?

— Idę z dalekich krain, kapitanie! Jestem słabą kobietą, dłoń moja nie mogłaby dźwignąć miecza twojego, a ten ciężar, z którymbyś igrał wesoło, jak dziecię żwiru kruszyną, pochyliłby ku ziemi barki moje. Słabą, słabą jestem kobietą, nie brał mnie ojciec z sobą na fale wzburzonego jeziora, ani mroźna zima naszej zawieja nie zaprawiła ciała do trudów i niewygód; pod skrzydłem rodzicielskiej opieki wzrosłam cichą, niesmiałą gołębicą. wychowałam się pieśnią matki i myślą o Bogu. Lecz kiedy pieśń zagrała w duszy objawieniem poezyi, a myśl o Bogu rozwinęła się we wzniosłe pojęcia, w czystą wiarę, gołębica nie zadrżała przed piorunem, a słaba kobieta stanęła w równi z najodważniejszym mężem. Tak, kapitanie, wszystko wyrównywa się i harmonizuje w świecie naszym: co wam daje siła i przywyknienie, nam daje myśl i wiara.

---

## ZWALISKA LUXORU. <sup>1)</sup>

Molly szła dalej z przewodnikami, my na chwilę zatrzymaliśmy się zdjęci poszanowaniem i uwielbieniem dla sztuki. Dokoła nas były ruiny — wzrok błędził po czarnych i ciemno-czerwonych odłamach granitu, a myśl z trwożną ciekawością szukała myśli poprzedniczki swej, która skały i głązy, marmury i granity przekuła w owe tajemnicze kształty, w owe nawet nieodgadnione znaki samej sobie. Sześćset sfinksów, olbrzymich potworów, spokojnych martwotą swej kamiennej natury, zdawało się urągać z niepewności naszych marzeń — tysiące zwałonych kolumn w pyle czasu drzemało, jak ciała pomęczonych tytanów na wiek wieków w bezczynność zaklęte, a marmurowe groby bieliły się zdaleka, niby jaśniejsze zgłoski czarnego słowa zagłady. i tylko obelisk jeden zponad gruzów ku niebu śmiało wybiegł do góry.

— Ach! biada, biada kamieniom! — zawołał mój towarzysz, wskazując na niego — biada sile w nieszczęściach, biada pamiątkom przyszłości, gdy wszystko dokoła zniszczeniem zalegnie! Piorun rozkruszył wspólne jemu utwory — ząb śmierci podciął dawnych towarzyszy, ręka ludzi wydarła jedyne go brata — brata,

<sup>1)</sup> Wyjątek z podróży kobiety (z „Bibl. Warsz. 1842 r.)



który z nim razem tyle wieków strzegł wejścia monarszej świątyni, tyle wieków przedumał nad jej zwaliskami, przegadał zapomnianą hieroglifów mową — a ten obelisk zawsze stać musi, a burze, czasy, tęsknota nawet ku ziemi schylić go nie mogły!

— Prawda, stoi niezachwiany jak dusza chrześcijańska, co gdy przeszłość cała padnie przed nią w ruiny, ona jeszcze z gruzów przeszłości i z burz obecnej chwili wspina się ku niebu nadzieją i wiarą.

— Nie bluźnij słowem wiary w tych miejscach; pomnik ślepoty ludu i dzikiej fantazyi władców, ta pastwa nicości, wszakże ona także wzniosła się przez wiarę. Och! ja nie mam wiary — mówił dalej, a białe czoło jego ściągnęło się boleśnie, jakby wiekiem cierpienia w zmarszczki poorane; — wiara, czcze słowo, które mędrcy z pogardą dla tłumu rzucili, które w czasach przerodziło się w fanatyzm, lub w bezużyteczną drobnostkowość. Wiara nędzne przejście ze zwierzęcości do pierwszych pojęć umysłu, miękki, rozciągliwy wyraz, zarówno przyswojony tym martwym głazom i Bogu chrześcian — niech zaginie wiara!

— Niechże i ród człowieka zaginie! — przerwałam z gniewnem podziwieniem. — Wiara była mistrzynią ludów, wiarą przyjdzie zbawienie dla świata, pierwsze i ostatnie słowo dziejów — zbudzenie i pełnia życia ludzkości — wiara wsparcie i przewodnik ducha. Bracie! bracie! cóż będzie gdy wiara zaginie?

— Będzie przekonanie — odpowiedział spokojnie, jakgdyby te wyrazy już nie w głowie swojej, nie w sercu, lecz w otwartej przed sobą księdze wieczności czytał — będzie przekonanie, na którem dotychczas ludziom zbywało, a które ich powiedzie drogą rozumu ku prawdzie i szczęściu. Patrz, co zrobiła wiara: rzekła tym górom — „pójdźcie tu“ — i przeszły na barkach pogiębionego ludu niesione, rzekła później kawałowi złota: „błyszni j tiarą nad światem“ — i zabłysnął — a ze słów Boga, z nauki miłości, z ostatecznego prawa dla ludzi, z niemyślnej szczęścia obietnicy powstał obrządek w pokorę czoła narodów chylą.

cy — wiara postów i umartwień — nadzieja wydziedziczonych szczęśliwej ziemi mieszkańców. Ja nie chcę wiary, siostró moja!

— Co mówisz, bracie? Ów żywioł tak silny, że góry przenosi i stanowi o losie narodów, ową konieczną część ducha ludzkości, co przez wiekową kolej przekształca się w olbrzymie twory lub zadziwiające historyi wypadki — ty ją chcesz wyłączyć z pojęć rozumowych. jak mało znaczącą przypadkowość, jak niepotrzebne zieleń, na niwie świata jednodziennem słońcem rozwinięte? Och! nie, ja zabobonu i obrządków świętem imieniem wiary nie nazywam. Dla mnie wiara jest siłą w skutkach widzialną, w tajni serca pojętą — siłą. która umie niszczyć i tworzyć, gnębić i wynosić. Jak każda siła na świecie określona prawami w działaniach swoich, a nieodgadniona w jestestwie — moja wiara, przyjacielu, jest wyższą od przekonania, bo jest jego uznaniem, jego uczuciem. Mędrzec, który trudami swemi zdobył myśl prawdy i chowa ją sam w sobie, samym sobą szczęśliwy, ma przekonanie — mędrzec, który z tą myślą idzie wśród ludzi, ma wiarę, bo z wiary w przekonanie rodzi się czyn — wiara jest poezją rozumu, wiara jest odwagą myśli, wiara jest nadzieją przyszłości, wiara jest uznaniem samego siebie. W ogromie wyobrażeń, którym świat zamały, w bezmierni światów, którym pojęcie zaciasne, czemże się człowiek, samoistny człowiek wydzieli od pochłaniającej go przyrody, od zabijającej jego jednostkę myśli ogółu, czemże jeśli nie tą rozumną wiarą, która mu ducha wznieśie za obręb wiedzonego czasu — która czystą, niepokalaną myślą ku przyszłości popłynie i w piersiach mu uderzy chęcią dzielności, ufnością entuzjazmu? Złe zajęło wielki obszar ziemi — nieszczęście, dziecko złego, okropną raną, straszliwym zepsuciem roztoczyło pierś ludzkości i tyle łez płynie, i tyle jęków słyhać, i tyle przekleństw słyhać, że ja — co wiem jak można te ciosy zagoić, te łzy obetrzeć, te skargi uciszyć — ja milczę, bo czemże ja jestem, czem głos mój, czem słowo niedosłyszane lub niepojęte? Milczę, bo chociaż

wiem, martwą jest moja wiedza — czekam przyszłości, sama tylko spokojna na wzburzonej ziemi, i powiadam sobie: „Duch się wyrobi kiedyś — takie przeszedł koleje, takie ma przejść jeszcze — to jest konieczność ducha. a ja mogę ręce na piersiach skrzyżować, bom już zdobyła własne przekonanie, bo czy opór, czy pomoc jednej istoty, myśl, duch, prawda rozwinie się na łonie wieków i będzie. Och! wiara nie jest tak bezczynną; wiara myśl porywa człowieka zamkniętego w samym sobie i rzuca w świat działania, wiara go zbroi przeciw szyderstwu i prześladowaniu, przeciw mękom i śmierci, wiara daje mu siłę potrzebną do stargania tych więzów, które ze spokojnem. wygodnem życiem go łączą, które ze stosunków rodzinnych, z przywyknień serca, z upodobań wyobraźni usunęło lekką, lecz trudną do zerwania pajęczynę między nim a poświęceniem. Wiara tak się ma do przekonania, jak Nikodem księżę słuchający ukradkiem nauki Chrystusa, do Piotra apostoła rzucającego łódź ojcowską, żeby iść mistrza śladami... Pamiętasz, bracie, księdza, który w Marsylii żegnał się z rodziną, chcąc nieść ludom dzikiej Afryki, czy też wyspiarzom Polinezyi, dogmata swego wyznania? Ten człowiek miał ojca i matkę, miał siostrę i brata; ojciec, matka, brat i siostra płakali przy rozstaniu musiał on być szczerze i tkliwie kochanym — jemu także łzy w oczach błyszczały. łzy smutku, nie słabości, współczucia, nie żalu; och! musiał on szczerze i tkliwie kochać. a dla jakiejże przyszłości porzucał kraj swój, rodzinę? Prowancya ma takie wonne kwiaty na swoim łonie, takie czyste niebo nad sobą, że przez wiek wieków oko ludzkie patrzący na nią mogło — jego też nie wiodła ciekawość, nie nęciły o obcych ziemiach rozprawiane cuda; serce człowieka nawet w dniach młodości swojej nie wymarzy tklivszego uścisku nad uścisk matki, słodszej pieśczoty nad kochanki pieśczotę, lecz on rzucał matkę swoją. a czarnym kirem kapłańskiej szaty jakby deską grobową zabił swe piersi słodkim uczuciom męża i ojca. Duma niekiedy zaślepia człowieka, zgi-

na kark jego przed tronem łaski, albo chciwością podsyć rzuca go w szalone pomysły, olbrzymie przedsięwzięcia, niepodobne do spełnienia zamiary — lecz on odbijał od lądów, gdzie dostojęństw i nagród źródła płynęły — szedł na trudy i boleści, na zgon przedwczesny może — dlaczego szedł? Bo wierzył; nie rozumował sobie, że Anglicy lub Francuzi pójdą tam kiedyś z handlem i oświatą, że chrystyanizm rozszerzy się własną siłą swoją, jeden na naszej ziemi, jak jedno na naszym niebie słońce; że on sam, i słowa jego, i czyny i poświęcenia tyle znaczyć będą w mierze wieczności, co garść soli do słonego oceanu wsypana, och! nie — on wierzył i poszedł niewiernym opowiadać wiarę swoją. Ach! gdyby można ów skarb serca, owo niezłomne przekonanie o wszystkim, co indywidualnemu rozsądkowi niepodobnem się zdaje, zwrócić do godniejszych człowieczeństwa myśli — gdyby je można przystosować do ewangelicznych obietnic i z silnie wierzącą nadzieją czekać lepszej przyszłości, iść ku królestwu Bożemu! I gdyby można wlać tę nadzieję, tę wiarę marsylskiego księdza w duszę człowieka z pojęciem, z przekonaniem, z wyższym umysłem — i gdyby on...

— Och! siostró — ja wierzę!

Zamilkliśmy oboje i spojrzeli ku niebu, tem spojrzeniem mimowolnem, naturze człowieka właściwem, które w chwili zachwyty i uniesienia gwałtem oczy ku obłokom ciągnie, jakby zmysłowem objawieniem nadzmysłowej dążności naszej ku wyższemu celom, ku Bogu. Przeminięła chwila modlitwy i dumania. Ile obietnic ku przyszłości bieгло, ile szczytnych i dźwięcznych wyrazów w myśli nam grało, tego nikt nie pojmie, tego nikt nie słyszał, ani sfinks o którego kamienne boki pierściami byliśmy wsparci, ani młoda jasnowłosa Irlandka, zdala od jakiegoś czasu przy odłamie kolumny klęcząca, ani echa pustyni, ani czarnych przewodników karawana uspięna pod cieniem roślin i zwalisk Luxoru — nikt nie słyszał, tylko się dusze nasze usłyszały.



— Molly, Molly, już możemy porzucić te miejsca; gdyby głązy przemówiły, gdyby obelisk odezwał się słowem swego hieroglify i cała przeszłość stanęła przed nami, tak pewna jak liczba, tak bogata w szczegóły jak mózg erudyty — jabym już ztąd nie uniosła korzystniejszej nauki, zbawienniejszego wzruszenia, żywszego szczęścia!...

Molly przesliczną była w tej chwili: biała jak cień anioła, zamysłona niezwykłym jej pięknej główce zamysleniem, młoda, świeża, lekka i wesoła jak dziecię, a tak klęcząca wśród ruin, jak dziewiczy kwiat lilii lub pomarańczy przy smutnym, zapomnianym grobowcu.

— Nie mówcie do mnie, nie mówcie do mnie! — zawołała, obiema rękoma kryjąc twarz nadobną przed naszym wzrokiem—nie mówcie do mnie, wy, których usta brzmią ciągle słowem wiary, a jeszcze imieniem Boga nie zabrzmiały— nie chcę waszego przekonania, nie chcę waszej wiary — ja nie umiem długiem dowodzeniem przeświadczać was, że są potrzebne kościoły na ziemi, duchy światłości w niebie, ale czuć umiem i czuję, żebym żyć nie chciała i w najszcześniejszej stronie świata, gdzieby mi drzwi przybytku pańskiego otworem nie stały, gdzieby nie mogła ufną prośbą niebu się pomodlić o żadaną pomysłność, o odwrócenie przeczowanego nieszczęścia; nie chciałabym wiedzieć o przyszłości, któraby mi nie świeciła koroną świętych, ku którejbym iść musiała bez anioła stróża, niepokalanego przewodnika mej duszy; nie chciałabym nieba, na którego wysokościach nie byłoby ani tronu Boga, ani promiennych cherubinów, ani Matki Dziewicy z Synem swoim na ręku, uśmiechającej się litością i pociechą do nas kobiet, co jak one kochać i siedm mieczów boleści w sercu nosić musimy! Och! nie mówcie do mnie—ja chcę wierzyć tą wiarą, której mnie matka nauczyła, chcę się modlić tą modlitwą, którą w dzieciństwie na kolanach za jej głosem powtarzałam z uwagą; zostawcie mi moją wiarę i modlitwę moją, zostawcie mi religią cudów, pieśni i won-

nych kadzidel, co zprzed ołtarzy ku Bogu ducha naszego czystym obłokiem unosi, zostawcie mi ją, ja was słuchać nie chcę!

— A my tobie twej wiary wydzierać nie chcemy — rzekłam, tuląc do łona skronie ciągle klęczącej Molly. — Wierz, śpiewaj, módl się aniołom i Maryi-Dziewicy, ty mój śliczny aniele, ty moja piękna dziewico. Bracie — mówiłam dalej, rozgarniając mnogie pierścienie włosów na twarz Irlandki spadające — zapomnieliśmy o tych przesłicznych istotach, co żyją, myślą, sądzą — tylko życiem, myślą i sądem serca. Dla mędrców jest przekonanie, dla wybranych wiara — a cóż dla nich zostawisz?

— To co Molly wzięła sobie — odpowiedział i uśmiechnął się do niej łagodnie, jak ojciec do gwarzącej w kołysce dzieciny.

---

## RÓŻNE WIERSZE,

PÓŹNIEJ W RÓŻNYCH CHWILACH ŻYCIA PISANE.

---

### ODJEŹDZAJĄCY.

---

Bieź, mój koniu, bieź bez zwłoki,  
Prędko, prędzej bieź!  
Jak świat długi, jak szeroki  
Zbiegłem wzdłuż i wszereż!  
Ty porzucasz łąki, zdroje,  
Twej stajenki żłób,  
Ja dom rzucam, księgi moje,  
Nawet matki grób!

Co mi tam dom, co mi księgi!  
Groby co mi tam!  
Hej! po świecie w wielkie kręgi  
Dziś zawodzić nam!  
Gdzie dach nieba, dom mój wszędzie,  
Księgi w myśli mej,  
Grobem własne serce będzie,  
Hej więc koniu, hej!

Bieź, mój koniu ulubiony!  
Bieź czy tu, czy tam,  
W jakie kraje, w jakie strony,  
Czyż ja o to dbam!

Mnie cierń każda ziemia rodzi,  
Łzę kwiat każdy łśni,  
Mnie na każdym niebie wschodzi  
Gwiazda smutnych dni.  
Może biedny, niekochany  
W każdą stronę biedz —  
Może tęskny, zapomniany  
W każdym grobie ledz.

---

## O C Z Y W I S T O Ś Ć .

Słońce jasne ma promienie,  
Ptak ma dźwięczny głos;  
Swiecić słońca przeznaczenie,  
Śpiewać ptaka los.

Ty masz serce do kochania,  
Do wianeczka skroń,  
Usta masz do całowania,  
Do pieśczoły dłoń.

A więc nie chciej woli Boga  
Przeszkód kłamstwem nieść.  
A więc kochaj, moja droga,  
Więc całuj i pieść!

---



## ŁASKAWA DZIEWCZYNA.

---

Jeśli mnie kochasz, jam nie chciwa taka,  
Daj mi z popiołów wylęgłego ptaka —  
Daj mi, ach! daj mi tę piękną ptaszyne,  
Ja cię kochać będę przez godzinę.

Jeśli mnie kochasz — jam pełna dobroci,  
Chcę tylko dostać kwiateczek paproci,  
Daj mi, ach! daj mi ten kwiateczek mały!  
Ja cię kochać będę przez dzień cały.

Jeśli mnie kochasz — mnie niewiele trzeba,  
Tylko gwiazdeczki z błękitnego nieba,  
Daj mi, ach! daj mi gwiazdeczkę z obłoku,  
Ja cię kochać będę przez pół roku.

A jeśli nie masz gwiazdy, kwiatu, ptaka,  
To poproś Boga, niech nie będę taka —  
Niechaj stworzy inne serce we mnie,  
Niech cię kocham stale i wzajemnie.

---

## TĘSKNOTA.

---

Tęsknię, ach! tęsknię w zimie za kwiateczkiem,  
A gdy mam z wiosną kwiatków łąkę całą,  
To jeszcze tęsknię za konwalia białą.  
A przy konwalii za śniegu płateczkiem.

Tęsknię, ach! tęsknię do mojego brata,  
A kiedy z bratem, to tęsknię do ciebie,

A kiedym z tobą, to do Boga w niebie,  
A kiedym z Bogiem, znów tęsknię do świata.

I złe i dobre, i grzech mój i cnota,  
I czego pragnę i czego się boję,  
I myśli moje i modlitwy moje,  
I życie całe — to tylko tęsknota.

---

## ZAKLĘCIE.

---

Idę lądem, płynę wodą,  
A czy słońce lśni pogodą,  
Czy pioruny z błyskawicą,  
Czy na niebie gwiazdy świecą,  
Czy mnie noc, czy dzień otoczy,  
Czy mi jasno, czy mi ciemno,  
Zawsze przy mnie, lub przedemną,  
Takie wielkie, czarne oczy!  
Ach! to jej oczy!

Piję miód i piołun piję,  
Zbieram ciernie i lilije,  
Sok wyciskam, lecz w napoju  
Niema zdrowia ni spokoju,  
Choć dokoła przestrzeń pusta,  
Choć relikwią pocałuję,  
Zawsze na mych ustach czuję  
Koralowe drugie usta...  
Ach! to jej usta!

Istna ona czarownica,  
Świat zaklęła w swoje lica,  
W swoje usta, w swoje oczy,  
Już i pacierz nie odroczy;

Wszystko zmienia się w jej postać,  
Kędy spojrzę, wszędzie ona...  
Człowiek od tych czarów skona,  
Lub sprawczynię musi dostać —  
Ach! gdyby dostać!

## NIEPODOBIENSTWO.

Biegnie dziewczyna po majowej błoni,  
Dwie łzy ma w oczach i dwie róże w dłoni;  
Staje nad rzeką, jedną z róż obrywa,  
Rzuca na wodę i tak sobie śpiewa:

„Jeśli ta róża po wodnej głębinie  
Tutaj gdzie stoję napowrót przyplynie,  
To i mój luby znów się do mnie wróci,  
Znów mnie pokocha, znów piosnkę zanuci.“

Patrzy, patrzy, a na fali,  
Róża płynie coraz dalej,  
Coraz dalej, coraz dalej,  
Płynie róża jej.

Dziewczyna wzdycha i coś myśli długo,  
Potem na wodę rzuca różę drugą,  
A gdy rzuconą bieg wody porywa,  
Smutna dziewczyna, smutniej sobie śpiewa:

„Jeśli ta róża po wodnej głębinie  
Tutaj gdzie stoję napowrót przyplynie,  
To ja zmiennością odpłacę mu zmianę,  
Będę szczęśliwą, bo kochać przestanę.“

Patrzy, patrzy — a na fali,  
Róża płynie coraz dalej,  
Coraz dalej, coraz dalej,  
Płynie róża jej.

Biedna dziewczyna przyklękła nad rzeką,  
Do bystrej wody dwie łzy z oczu cieką;  
A woda łzy te bez śladu porywa,  
A dziewczę płacze i tak sobie śpiewa:

„Nie wróci rzeka do źródła swojego,  
Nie wróci miłość do serca zmiennego,  
A młodej duszy gdy co pokój skłóci,  
Już nigdy wiara i szczęście nie wróci!“

Płynie woda modrej fali,  
Serce płynie coraz dalej,  
I łzy płyną coraz dalej,  
Aż zapłyną w grób!

---

## PODARUNEK.

---

Zapłakała — przeżegnała,  
Pierścioneczek dała swój,  
Jam go schował, ucałował  
I ruszyłem w świat!  
    Jak ruszyłem, nie tęskniłem,  
    Bo świat takim pięknym był!  
    Cud przy cudzie — kwiaty, ludzie.  
    Młodociane dni!

Och! zrywałem — och! kochałem,  
I mówiłem sobie tak:  
Tu cochwila szczęścia tyle,  
Skarbów tyle mam,  
    Kwiatów wonie — bratnie dłonie  
    Zewsząd do mnie garną się!  
    A tam ona zasmucona,  
    Dała tylko łzę.



Łzę mi dała — przeżegnała.  
Pierścioneczek dała swój...  
W podróż całą to zbyt mało,  
Ja chcę więcej mieć.  
Tak mówiłem i pędziłem  
Coraz dalej, dalej w świat,  
Aż bez siły, u mogiły  
Zatrzymałem się.

Patrzę wkoło, schylam czoło,  
Szukam kwiatów, zwiędły już,  
Szukam ludzi — wzrok się trudzi, —  
Nie zostało nic!  
Tylko z wrażeń i wydarzeń  
Została pamięć jej łzy...  
Ach! i został, ten com dostał,  
Pierścioneczek jej!

---

### Cobym ci chciała dać?

---

Co jabym ci chciała dać?  
Chciałabym ci dać, kochanie,  
Pyszny pałac na mieszkanie,  
Z kolumnami, kryształami,  
Złocistymi wezgłowiami  
I miękkimi kobiercami,  
Pod twe drobne stopy.

Co jabym ci chciała dać?  
Chciałabym ci dać, kochanie,  
Mały domek na mieszkanie,  
Z okienkami zielonemi,  
Z ławeczkami brzoźowemi,  
Z akacyami ciernistemi,  
Nad twe białe czoło.

- Co jabym ci chciała dać?  
Chciałabym ci dać, kochanie,  
Szafir z nieba na ubranie,  
Promień z słońca na wianeczek,  
Perły z rosy na sznureczek,  
I z gwiazdeczki pierścioneczek  
Na twą śliczną rękę.
- Co jabym ci chciała dać?  
Chciałabym ci dać, kochanie,  
Biały muślin na ubranie,  
Wianek z habru upleciony,  
Krzyż z olszynki wyrobiony,  
I pierścionek poświęcony  
W samej Częstochowie.—
- Co jabym ci chciała dać?  
Chciałabym ci dać, kochanie,  
Na co tylko Boga stanie:  
Wiarę niczem niewzruszoną,  
Miłość nigdy niezdradzoną,  
I szczęśliwość wymarzoną,  
A trwałą na wieki.
- Co jabym ci chciała dać?  
Chciałabym ci dać, kochanie,  
Na co biednej ziemi stanie —  
Śmiech z próżności tego świata,  
Pobłażanie za grzech brata,  
I modlitwę co ulata  
Ku niebu w zlej doli.

---

## DLA UKOCHANYCH.

---

Jeśli w ostatnią sądu godzinę  
Bóg każdą moję przypomni winę,

I sprawiedliwą zechce dać karę,  
Za brak nadziei, za słabą wiarę,  
Za dobre chęci spełzłe na niczem,  
Za próżne dobrych uczynków ręce,  
Za mylne ścieżki w świecie zwodniczym,  
Za podźwięk skargi w każdej piosence,  
Za źle użyte zdolności moje,  
Za samolubne łzy i uśmiechy,  
Za marne troski i niepokoje,  
Za wszystkie błędy, za wszystkie grzechy —  
Jeśli mnie z gniewnej wyroków szali  
Do piekła strąci — to z piekieł proga  
Jeszcze wyżebrzę litość od Boga,  
Bo powiem — żeście wy mnie kochali.

---

## ZNIECHĘCONA.

---

Aniele stróżu i bracie mój!  
Nie chcę iść dalej — zbyt ciężki znój!  
Łzawo mym oczom, krwawo mej nodze  
I twoim skrzydłom ciasno w tej drodze.

„Nie, siostró moja, nie tutaj kres  
Naszej podróży i twoich łez:  
Dalej nam jeszcze, dalej iść trzeba  
Po ścieżce życia, za wolą nieba.“

Jakże iść dalej, gdy siły brak?  
Jam się przeszłością zmęczyła tak,  
Że ku przyszłości za skarby żadne,  
Nie, już nie pójdę, bo w kał upadnę.

„O siostró moja! choć kilka słów  
Cichej modlitwy do Boga zmów,  
A ja ci ręczę, że w tejże dobie  
Bóg da pociechę, lub wsparcie tobie!“

Więc owe słowa podpowiedz mi;  
Dziecięcy pacierz w pamięci tkwi,  
Lecz z nim uczucie wtóru nie trzyma,  
A bez uczucia modlitwy niema.

„To spojrzuj, siostró, jak wielkim świat,  
Jak jasnym słońce, jak pięknym kwiat:  
Spojrzuj. a Stwórco wzniesiesz w ofierze  
Ten głos modlitwy: — „Panie, ja wierzę!“

Och! nie, aniele, nie powiem tak,  
Nasz świat jest tylko wszechmocy znak,  
Słońce, a w chmurach — kwiat, a wśród głógu,  
Nie, ja nie wierzę — ja „wiem“ o Bogu.

„To gdy dotkliwie rani cię głóg,  
Gdy ciemność myli szlaki twych dróg,  
Życzeniem w dalsze sięgnij koleje  
I powiedz: „Boże, ja mam nadzieję!“

Och! nie, aniele — zkądże mieć ją?  
Ja grzeszna, grzeszni dokoła są —  
Więc przyszłość skutkiem przyczyny będzie,  
Bóg ją nie z łaski, lecz z praw swych przedzie.

„To biedna siostró, choć zła wśród złych,  
Na matkę twoją, na braci twych  
Wspomnij dziś sobie, a może, może,  
Zdołasz wymówić: „Ja kocham, Boże.“

Och! tak aniele, wymówię to,  
I braci moich i matkę mą  
Ja kocham, Boże!... ale cóż znaczy.  
W ustach bez wiary ten krzyk rozpaczy?

„Nie pytaj, siostró, kochaj i mów,  
Wielką przed Panem siła tych słów.  
Bóg zawsze przyjmie, Bóg zbawi tego,  
Co się miłością modli do Niego.“

Więc dalej, bracie, więc dalej w świat!  
A jeśli kiedy z koleją lat  
I w tej modlitwie siły ustana,  
To powiem: „Boże! jestem kochaną!...“

---



## SIEROTA.

W mroźną, głuchą noc zimową,  
Nad sieroty biednej głową

Trzy gwiazdeczki lśnią.

Przy sierocie nikt nie czuwa,

Tylko zwolna się przesuwa

Jakiś biały cień.

A gdy dziecię kwilić zacznie,

To pochyła się nieznacznie

I tak nuci mu:

„O mój synku, mój jedyny,

„Smutne twoje narodziny,

„Smutna dola twa!

„Nikt nie kocha, nikt nie pieści,

„Boś ty dzieckiem mej boleści,

„Dzieckiem śmierci mej!

„Ale patrz, tam na błękicie,

„W tejże chwili, co twe życie,

„Zeszły gwiazdki trzy

„I Bóg dobry obiecuje,

„Że ci jedną z nich daruje,

„Na los drogi twej.

„O mój synku! wybrać trzeba

„Z trzech gwiazdeczek tego nieba,

„A którąż ci dać?

„Jedna gwiazdka po twej stronie

„Szczerozłotym blaskiem płonie,

„Najsłodsza jest.

„Druga gwiazdka bliższa słońca,

„Dyamentowa, gorejąca,

„Najjaśniejsza z nich.

„A ta trzecia gwiazdka mała,

„To perelka czysta, biała,

„Och! najbielsza z trzech.

- „Jeśli dam ci gwiazdkę złotą,  
„Już nie będziesz ty sierotą,  
„Biedny synku mój!  
„Choć ubogi, choć na grobie,  
„Ciche szczęście znajdziesz sobie,  
„Świat ci pokój da.  
„Całe życie ci się prześni,  
„Jako zwrotka cudnej pieśni,  
„Jako marzeń rój!  
„Nieznający i nieznany,  
„Kochający i kochany,  
„Błogo będziesz żył,  
„Aż przy lubej, w własnej chatce,  
„O rodzonej twojej matce,  
„Pamięć zgaśnie ci.  
„Lecz ja przecie w życia drogę  
„Tę gwiazdeczkę dać ci mogę,  
„Co dyamentem lśni.  
„Przez jej promień nieomylny,  
„Będziesz jasny, będziesz silny,  
„Będziesz wielkim ty!  
„Co poznali ziemscy wieszczę,  
„I co mają poznać jeszcze,  
„Ty sam będziesz znał.  
„Ty nad gminu niskim tłumem,  
„Mędrca wzniesiesz się rozumem,  
„Jako orzeł król.  
„Będziesz czytał, pisał, sądził,  
„Rozkazywał, uczył, rządził  
„I zapomnisz mnie!  
„A jeżeli gwiazdę czystą,  
„Tę drobniutką, tę perlistą,  
„Dam ci, synku mój—  
„Ach! to gwiazdka jest sieroty,  
„Gwiazdka cierpień i tęsknoty,  
„Gwiazdka świętych łez.  
„W gorzkim smutku i żalobie,  
„W ciężkiej pracy zejdzie tobie,  
„Całe życie twe.

„Nic ci trudów nie nagrodzi,  
„Co zasiejesz, nie powschodzi  
„Na użytek twój.  
„I mieć będziesz za skarb cały  
„W Bogu ufność, synku mały,  
„W sercu pamięć mą.  
„O mój synku, wybrać trzeba:  
„Z trzech gwiazdeczek tego nieba —  
„I którąż ci dać?  
Spi dziecina, śpi i wzdycha.  
Jednak przez sen szepce zcicha:  
„Gwiazdkę łez mi daj!“

---

## DZIWNE DZIEWCZĘ.

---

Dziwne dziewczę! ja mówiłem,  
Wybierz co chcesz sobie;  
Kwiat do stroju, do zabawy  
Dam dyamentów tobie.

A gdyś smutna, na pociechę  
Dam piosenkę tkliwą;  
A chcesz szczęścia, to dam serce  
I miłość prawdziwą.

Ona wszystko razem wzięła,  
Razem pomieszała —  
W moją piosnkę się przed ludźmi  
Jak w kwiatek ubrała.

A gdy łezki miała w oczach,  
Gdy na twarzy smutek,  
Dość jej było na pociechę  
Wiązki niezabudek.

I w czeim gorszy, okrutniejszy  
Zamęt niepojęty!  
Serce wzięła na zabawkę,  
Na szczęście — dyamenty!...

---

## Starsza siostra znacznie młodszej siostrzyczce.

---

Czy chcesz, siostrzyczko, by na życia drodze  
Jaśniej twym myślom, a lżej twojej nodze  
Wśród cierni było i głogu?  
Chcesz?... Ja ci podam dwa środki zbawienia,  
Na wszystkie troski, na wszystkie zwątpienia:  
Pierwszy — nie dziwuj się Bogu,  
Nie dziwuj, chociaż zawsze na tej ziemi,  
Złych widzieć będziesz górą nad dobrymi —  
A drugi środek: o siostrzyczko mała,  
Od ukochanych nie żądaj, by dali  
Równy dar serca i tak cię kochali,  
Jakości ich ukochała.

---

## CIRCULUS VITIOSUS.

(Krakowiak na dwa głosy).

---

ON.

Wezmę świecę, i latarnię i głównię z komina,  
Pójdę szukać, czy jest w świecie poczciwa dziewczyna.

ONA.

Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne słońce,  
Może znajdę w którym chłopcu serce kochające.

ON.

Toć szukałem, i patrzyłem i wiem teraz o tem,  
Że nie znajdzie najpocziwszej, kto nie brzęknie złotem.

ONA.

Toć patrzyłam, i świeciłam i dojrzałam tego,  
Że z nich każdy bardzo kocha, lecz.. siebie samego.

ON.

Już znalazłem najpocziwszą, znalazłem kochaną,  
Piękną, cichą, ale w sklepie... lalkę malowaną.

ONA.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie,  
Piękny, dzielny, wojak młody... na starym portrecie.

ON.

Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,  
To może wojak z portretu na konika skoczy.

ONA.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,  
Może w lalce malowanej serce zakołata.

---

## DO MOICH DZIEWCZYNEK.

---

Dziewczynki moje, o moje kwiatki!  
Z kolebki dziecka, od piersi matki,  
Jak rąco biegną po życia drodze;  
Ach! po tej samej, z której ja schodzę!  
Znam ją tak dobrze! znam każdy kamień,  
I każdą ścieżkę błędnych omamień.  
Wiem gdzie jest cięższa, a gdzie wygodna,  
Wiem gdzie bezpieczna, a gdzie zawodna,  
Mogłabym przestrzedz, powiedzieć tyle...  
Stójcie, dziewczynki, stójcie na chwilę! —  
Lecz inędzy nami, jak świat odświata,  
Daleka przestrzeń, bo długie lata —



I ludzie krzyczą, śpiewają, piszą  
Gdy ja zawołam, ach! czy dosłyszają?

Dziewczynki moje, tam gdzie biegniecie,  
Wy pewnie piękność pochwyć chcecie,  
Cacko, gwiazdeczka, kwiatek, piosneczka.  
Tęczowe blaski, głośnie poklaski,  
Wioski spokojność, zbytków ozdoba,  
Wszystko was nęci, co się podoba.  
A za czem dążyć? co wybrać w świecie?  
Co najpiękniejsze? to wy nie wiecie.  
No, ja wam powiem, dziewczynki moje:  
Piękne są perły, dyamenty, stroje,  
Piękniejsza jednak woda w strumieniu  
I lilia polna w białym odzieniu,  
A od lilii, od czystej wody,  
Piękniejsza świeżość waszej urody;  
A od piękności hożych dziewczynek,  
Jeszcze piękniejszą łza uzalenia,  
Cicha modlitwa, święte natchnienia,  
A najpiękniejszym — dobry uczynek.  
Lecz wy daleko! Tam zaś, mój Boże!  
Tam wszelką piękność inaczej może  
Ludzie oceniają, rozważają, mierzą,  
Gdy ja tak mówię, ach! czyż uwierzą?..

Dziewczynki moje, wy się trwożycie,  
Bo o cierpieniu często słyszycie;  
Więc chociaż jeszcze przed wami leży  
Gościniec taki równy i świeży,  
Wy po tem polu gładkiem, szerokim  
Już ostrożniejszym stąpacie krokiem.  
Śmiało, dziewczynki! To strachy płonne,  
Strachy pogańskie i zabobonne!  
Ach! ja wam powiem: jest cierpienie mnóstwo,  
Piękna, lub chleba głodne ubóstwo;  
I od ubóstwa gorsza choroba;  
I od choroby gorsza żałoba;

I od żaloby, ach! gorsza strata  
Żywych serc bratnich w kałużach świata;  
I nad te straty, nad te cierpienia,  
Najgorszy z wszystkich — wyrzut sumienia.  
A jednak śmiało, dziewczynki moje,  
Ja się niczego dla was nie boję.  
Ja wiem, że tutaj z litości Pana  
Na każdą troskę pociecha dana.  
Spokojna godność, wytrwałość z pracą,  
Ubóstwo znoszą, lub też bogacą.  
Przeciw chorobie pomoc skuteczna,  
Lub w śnie ostatnim jest ulga wieczna.  
Dla tych, co płaczą w grubej żalobie,  
Zmartwychwstałego jest krzyż na grobie,  
A za odstępcę, za przemieszanie,  
Za wszystko, co nas gorzko zawodzi,  
Dość znaleźć jedno szlachetne serce:  
Jeden poczciwy, stu złych nagrodzi.  
A za grzech własny? o! jest pokora!  
Jest do poświęceń chęć bardziej skora,  
Jest pobłażanie drugim cierpliwsze,  
I są pokorne prace gorliwsze.  
Bo tak już chciało mieć prawo Boże,  
Że i grzech na coś przydać się może.  
Tylko się nigdy nie przyda na nic  
Dumnego serca pycha bez granic,  
I kiedy wszystkie łzy, wszystkie grzechy  
Zbiera i święci anioł pociechy,  
Ten anioł we śnie nawet nie stanie  
Przy takim, który kochać przestanie.  
Toż bacność w drodze z tej tylko strony  
Gdzie samolubstwem szlak jej skrzywiony...  
Lecz wy daleko! A tam znów ludzie,  
W smutku, w potrzebie, w boleści, w trudzie,  
Zapewne inne rady im dają...  
Gdy ja zawołani, czyż usłuchają?

Dziewczynki moje, wy się śpieszycie,  
Każda z was myśli, że dalsze życie

Oddać jej musi. jak płatnik wierny,  
Ze skarbów świata procent niezmierny.  
A starcy na to kiwają głową,  
Dla starców szczęście, to kłamstwa słowo!  
Lecz ja wam powiem: jest szczęście przecie,  
Jest nawet wiele szczęścia na świecie.  
Szczęściem są wasze lata niewinne,  
Wpół młodociane, a wpół dziecinne,  
Bez doświadczenia, lecz bez kłopotów:  
Czy chleb powszedni na jutro gotów?  
Czy w zdrojach uciech nie wyschła woda?  
Czy do wieczora wytrwa pogoda?  
Błogosławione pierwsze dni wiosny!  
Błogosławionyś, wieku radosny!  
Słowik ci kwili, wonieją drzewa,  
O tobie Bohdan poeta śpiewa:

„Żeś sen na kwiatach, żeś sen nasz złoty,  
„Żeś ideałem wiary i cnoty.“

Lecz on tych marzeń, od tej swobody,  
Jest większe szczęście, o wieku młody!  
Jest większe szczęście — jest głos ponętny,  
Głos cichy, miękki, a namięjtny,  
Głos, co tak szczerze, jak Bogu w niebie,  
Wymodli kiedyś: „Ja kocham ciebie.“  
A niż głos taki, niż ta zyskana,  
Więszem jest szczęściem miłość doznana.  
Gdy własne serce silniej uderzy,  
Gdy czuje, że mu cieplej i szerzej,  
Że się w niem, jakby ze snu, zbudziły  
Nowe zdolności i nowe siły...  
A większem szczęściem od tej miłości.  
Jest wielkie szczęście ludu całego;  
Prawo Chrystusa w rzeczywistości;  
Ze słowem Bożem, chleb dla każdego;  
Z życiem na ziemi, miejsce wśród tłumu;  
Ze światłem słońca, światło rozumu;  
Z pamięcią przodków, win odpuszczenie,  
I z pracą wszystkich—wszystkich zbawienie!...

Dziewczynki moje, niech każda wierzy,  
Że się jej takie szczęście należy;  
Niech za niem goni, niechaj go szuka;  
Piękność, cierpienie, radość, nauka,  
To w pomoc tylko danem wam było,  
Aby się takie szczęście ziściło.

Lecz wy daleko!...

Ach! tam inaczej  
Może im szczęście kto wytłumaczy?  
Może je znudzi inną nadzieją?  
To co im mówię, czyż rozumieją?...  
O gdyby mogły!... Dziewczynki moje!...  
Lecz ja daleko, daleko stoję...  
I jeszcze dalej smutna odchodzę —  
Szczęść Boże lepiej dziewczynek drodze!

---

## W IMIONNIKACH.

---

### I.

Smutna, ku smutnym daleko jadę,  
A może tutaj ciekawych wielu  
Zapyta panią, co ja u celu:  
Nadzieję szczęścia, czy mądrość kładę?

O niechaj wtedy za oddaloną  
Przychyłość twoja stanie obroną,  
Niechaj z pamiątki mego imienia  
Zetrze ten mylny kał posądzenia.  
Ja nie chcę szczęścia — dziś w ludzkiej mowie  
Wesołość, zbytek, szczęściem się zowie.  
A tu, jak ludzkie rozsiane plemię,  
Ciężka tęsknota padła na ziemię,  
Gdzie serca biją — to w żalu czucie,  
Gdzie pieśni słyhać — to w smutnej nucie.

Gdzie nawet z Bogiem modlitwa cicha,  
Tam myśl co skarży, tam pierś co wzdycha.  
Ja nie chcę szczęścia! Mnie dziś ubogiej,  
Gdyby los złotem cisnął wśród drogi,  
Gdyby możnością dla mnie się stały  
Wschodnich powieści czcze ideały.  
I gdyby droższe nad wszystkie skarby,  
Piękność i sztuka, myśli osnowę  
Zaczarowały w tęczowe farby,  
W dźwięki muzyki, w arcydzieł mnóstwo,  
W talentu świętość, w geniuszu bóstwo,  
W nęcącą sławnych ludzi rozmowę;  
I gdybym wszystko odrazu miała,  
Co kupiec i co artysta roi,  
Lecz w obcej ziemi — jabym wołała  
Tak cierpieć tutaj, jak bracia moi!

A kiedy nie chcę szczęścia cudzego,  
To i mądrości nie żądam cudzej;  
Rozum — nauki — co mi do tego?  
Ja kochać pragnę więcej, niż drudzy.

Kochać — bo miłość, to mądrość Boża,  
To prawda wieków, to niebios zorza,  
Co równym światła promieniem świeci  
Na silnych mędrców, na słabe dzieci.  
Tylko, że jak chciał symbol natury.  
Mądrość i słońce jaśnieją z góry.  
A słońce musi na ziemi łono  
Rzucić swój czysty, swój promień złoty;  
Mądrość być musi w serca wsączoną,  
By stworzyć objaw ciepła i cnoty.

Tak ja widziałam, och! często w życiu,  
Że mądrość mędrców — słońce co świeci,  
Ale nie grzeje, a mądrość dzieci,  
To słońce w swoim odbiciu.

Wolę być dzieckiem między drobnymi,  
Wolę być ciepłem ziarnem w mej ziemi,



Niż gdzieś daleko, choćby wysoko,  
Choćby przy słońcu — martwą opoką.

II.

**Młodemu artyście nieużyteczna przestroga.**

Ach! strzeż się, ach, strzeż się — ta czarnoksiężnica,  
Co pieśnią rozmarza, co w dźwięki zachwyca,  
Już leci tak blisko, już gwiazdy przesłania,  
Już serce wydziera, już duszę pochłania.

Ach! prędko, ach, prędko, relikwia do ręki!  
Bo pieśni cię strują, bo porwą cię dźwięki,  
Bo w wieczność daleką polecisz za niemi,  
Bez ojca na niebie — bez braci na ziemi.

Ach! śpiesz się, ach, śpiesz się — relikwia odczyni  
Zły urok senliwych widziadeł władczyni.  
Weź tylko, weź świętą, weź bardziej ci drogą,  
Niż głosy jej zaklęć drogiemi być mogą.

I przyłóż — och! przytul do piersi artysty  
Dłoń szczerzej przyjaźni, proch ziemi ojczystej,  
Ukochaj coś wyższem nad sztukę kochaniem,  
Zostaniesz się z nami, my z tobą zostaniem.

Ja wołam, ja wołam — artysta nie słucha.  
Ta czarnoksiężnica spętała mu ducha,  
I wzięła na skrzydła szerokie, tęczowe,  
I makiem snów wiecznych zwiędziła mu głowę.

Już usnął — już wzleciał — już ku nam jedynie  
Głos czarnoksiężnicy, nie jego głos płynie;  
Toż cuda się dzieją, och, cuda wśród ludzi!  
Ten głos go usennił, a nas tu on budzi.

Ten głos go rozłęsknił — a nas tu pociesza —  
Ten głos go zabija — a nas tu on wskrzesza —  
Więc dalej — więc dalej — w muzykę zaklęty,  
Leć duchu! tyś grzeszny sam sobie — nam święty!

---

III.

**Do Hip. Sk.....**

Tak wielu dzisiaj wdzięczność za to święci,  
Że, bibliografie, twa praca uczona  
Ocala daty, tytuły, imiona,  
Z fal bezdennych niepamięci.

Otóż ja tylko głos przeciwny wnoszę:  
Za samą siebie i za przyszłość całą,  
Daj chociaż trochę z tego, co przebrzmiało,  
Daj nam zapomnieć! — ja proszę.

Pamięć dziejowa, to ów żywot wieczny,  
Gdzie każdy szczegół, jak dusza człowieka,  
W swem potępieniu, lub zbawieniu czeka  
Na jakiś sąd ostateczny.

Lecz zapomnienie — wierz mi, zapomnienie —  
To przed wyrokiem łaska Sakramentu,  
To wśród pomyłek, kłamstw, zwątpień zamętu  
Naszych grzechów odpuszczenie!

12-go sierpnia 1854 roku.

KONIEC TOMU I-GO.

# SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.

	<i>Str.</i>
Szczęście poety (poezya).....	1
Prządki (powieść) .....	7
Maina i Kościej (powieść) .....	45
Przypiski.....	84
Dańko z Jawuru (powieść na tle historycznem osnowana)...	89
Trzy pieśni gęślarza .....	149
Czemu mi smutno? (poezya).....	159
Na nagrobku w Bąkowej .....	162
Fantazyja .....	163
Przekleństwo, wstęp do poematu „Lilia.“ .....	169
Lilia, fragment z powieści .....	179
Niepewność .....	189
Pewność .....	190
Znudzony .....	191
Zagadnienie .....	193
Capricio (powieść).....	202
Wyjątki z podróży kobiety: Gibraltar .....	240
Burza.....	246
Zwaliska Luxoru .....	254
Różne wiersze, później w różnych chwilach życia pisane:	
Odjeżdżający .....	261
Oczywistość .....	262
Łaskawa dziewczyna.....	263
Tęsknota .....	263
Zakłęcie .....	264
Niepodobieństwo .....	265
Podarunek .....	266
Cobym ci chciała dać? .....	267

	<i>Str.</i>
Dla ukochanych .....	268
Zniechęcona.....	269
Sierota .....	271
Dziwne dziewczę.....	273
Starsza siostra znacznie młodszej siostrzyczce .....	274
Circulus vitiosus.....	274
Do moich dziewczynek.....	275
W imiennikach.....	279
Młodemu artyście nieużyteczna przestroga .....	281
Do Hip. Sk.....	282

---

30000

16/930571



WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

256416

L-P

Biblioteka WSP Kielce



0227177